

Mills Kyle

Nieuchwytny

Prolog

Wydawało się, że nieliczni przechodnie nie mają innego celu, jak tylko wzbijać tumany kurzu, który wisi potem w powietrzu jak dym. Nie nieśli toreb z zakupami ani wieszaków z upranymi ubraniami, ani zabawek kupionych dzieciom pod wpływem impulsu. Nie wymieniali ze znajomymi plotek, nie wpatrywali się w nieistniejące w tej wiosce okna, szukając czegoś interesującego dla oka. Ogólnie rzecz biorąc, robili wrażenie szczerów, wypuszczonych na jakiś czas w otwartą przestrzeń, ale już niecierpliwie oczekujących powrotu do ciemnej, ciasnej nory, gdzie mogliby się ludzi poczuciem bezpieczeństwa.

Salam al Fayed szedł wzdłuż zniszczonego kamiennego muru. Zatrzymał się przed fragmentem zdruzgotanym przez pocisk moździerzowy i przysiadł w cieniu. W tej części świata słońce było dziwnie złośliwe. W suchym i rozrzedzonym powietrzu nie grzało, lecz paliło i wysysało siły z wszystkich i wszystkiego, co się znalazło w zasięgu jego promieni. Al Fayed wyjął spod tuniki bukłak z kozłej skóry i przyglądał się, jak ludzie zmieniają trajektorię marszu, chcąc go obejść jak największym łukiem. Z pewnością jest dla nich jeszcze jedną z niezliczonych, niebezpiecznych osób, które grasują po całym regionie, niosąc niepewność, głód i bezsensowną przemoc. W pewnym sensie mają rację.

Na każdego, kto nie odwracał wzroku, patrzył złowrogo spod postrzępionego nakrycia głowy, które częściowo przysłaniało jego ciemne oczy. Arabski znał doskonale, ale gdyby musiał otworzyć usta, natychmiast zdradziłby, że jest cudzoziemcem. Trudno powiedzieć, czy ktoś potrafiłby również rozpoznać po akcencie, że pochodzi z Nowego Jorku. Lepiej nie próbować.

Woda smakowała mu zwierzęcym piżmem i błotem, parzyła spieczone wargi. Co by teraz dał za sztyft do pielęgnacji ust o wiśniowym smaku! I za prysznic. I za drinka z lodem. Zdołał powstrzymać słaby uśmiech, zanim rozszerzone wargi znowu zaczęły krwawić. W wieku dwudziestu sześciu lat stawał się bardzo delikatny.

Nieczęste połączenie idealnej pogody, nadmiernie pesymistycznego rozpoznania wywiadowczego i niezawodnego szczęścia pozwoliło mu na dwie godziny przed czasem dołożyć cztery trupy do tysięcy rozsianych za miastem. Niestety, na Bliskim Wschodzie daje się odczuć brak sieci Starbucks - to stan rzeczy, który Stany Zjednoczone zechcą zapewne jak najszybciej zmienić - nie mógł więc w małej, schludnej łazience zmyć z siebie krwi, a potem usiąść spokojnie nad filiżanką orzechowej „latte” o smaku toffi. Nie pozostawało mu nic innego, jak w milczeniu kucać dalej, trwożąc miejscowych i wydłubując z zębów kozią sierść.

WSTĄP DO MARYNARKI - krzyczał plakat werbunkowy. POZNAJ ŚWIAT.
Myślał wtedy, że chodzi im pewnie o Hawaje.

Perspektywa wczesnej, długiej emerytury na cichej wysepce zaczynała być mu coraz bliższa. Chociaż misja się rozpoczęła gładko, to w chwili, gdy postawił stopę na piasku, poczuł się dziwnie. Oczywiście uczucie to szybko się rozplynęło w nieustannej koncentracji, jakiej wymagała jego profesja, ale teraz miał kilka minut, żeby głębiej się nad nim zastanowić. To zwątpienie. Prawda była taka, że misja mogła być tą jedną za dużo. Czuł to prawie nieomylnie. Wyczerpał chyba swój limit szczęścia, powoli zaczynało mu go brakować.

Być może to podskórne uczucie strachu było tylko cichym głosem natury, przypominającym, że wchodzi w okres życia, w którym nie będzie już ani taki szybki, ani taki silny. Być może, mówiąc językiem bardziej zrozumiałym dla nowoczesnego umysłu, był to najzwyczajniejszy, liczący milion lat odruch przetrwania. A może było to o wiele prostsze.

Może było to po prostu poczucie beznadziei i bezowocności tego wszystkiego.

Kiedy cztery długie lata temu rozpoczął pierwsze operacje na Bliskim Wschodzie, był pełen ideałów. Choć metody nie należały do najświetlejszych, jakimi dysponowała ludzkość, uważał, że to, co robi, zmienia świat. Pamiętał nawet, jak z jego ust uleciały słowa: „Uczyń świat lepszym”, choć teraz nigdy by się do tego nie przyznał.

Prawda okazała się ciemniejsza od młodzieńczych fantazji. Dzisiaj był zupełnie pewny, że zabijał po to tylko, żeby paru facetów z tytułem magistra w Waszyngtonie miało poczucie, że w ogóle coś robią. Gorzej jeszcze, żeby mogli oblec swoje wiotkie i blade ciała w kłamstwo przekonujące ich samych, że rzeczywiście są tymi dzielnymi bojownikami, o których podszeptuje im nadęte ego.

Al Fayed już nie był tak naiwny, by wierzyć, że Ameryka jest odrobinę bezpieczniejsza dlatego, że pod palącym północnoafrykańskim słońcem zostawił czerniejące ciała czterech mężczyzn. Na pewno już ich ktoś zastąpił, na pewno nadejdzie dzień, w którym ich synowie powstaną, z chęcią zemsty i nienawiścią w sercu, pragnąc poprowadzić wojnę przeciwko krajowi, który zabrał im ojców.

Jasno widział, że problemy będące plagą świata, wyraźnie widoczne w tej jego części, zakorzeniły się tak głęboko, iż nie ma już dla nich rozwiązania - pozostały tylko próżne wysiłki odwlekania tego, co i tak nieuniknione. Człowiek początku dwudziestego pierwszego wieku w niczym się nie różni od człowieka sprzed tysięcy lat, kiedy był gatunkiem gwałtownym i wrogo usposobionym, sprytnym tylko na tyle, by władać włócznią i mieczem. Jak można się było ogłupiać myśleniem, że w czasach, kiedy pojedynczy ludzie w ciągu minuty władni są obrócić w perzynę to, co budowano przez stulecia, możliwa jest stabilizacja?

Al Fayed pociągnął jeszcze łyk wody i przesunął wzrokiem po rzędzie stojących przed nim zrujnowanych budynków. Choć zostały wzniesione z kamieni i stwardniałego błota, roztaczała się nad nimi dziwna aura nietrwałości. Dramatycznie nieprzydatne bastiony, nieprzystające do wirującego wokół nich chaosu. Trudno przewidzieć, czy ulegną w końcu nowym, świetnym bombom amerykańskim, raptownej eskalacji walk frakcyjnych czy po prostu rozkładowi i rozpacz. Pewne było tylko, że któregoś dnia ulegną.

Im więcej czasu spędzał na Bliskim Wschodzie, tym głębsze żywił przekonanie, że tego regionu nie da się już podnieść ze zniszczeń. Jak ci ludzie mają się nauczyć żyć w świecie nowoczesnym, o jakim się nie śniło starożytnemu prorokowi, w którego tak głęboko wierzą? Narastał tu psychologiczny i moralny konflikt, w którym ludzie pożądamy, a zarazem wystrzegają się rzeczy mogących przynieść im postęp.

Trzeba powiedzieć, że wielu ludzi z Zachodu rzeczywiście chciało pomóc. Postrzegali własną kulturę jako wymiennie wyższą - zamożniejszą, mniej gwałtowną, zdrowszą. Tłumaczyli sobie, że gdyby tylko wyperswadować barbarzyńcom, żeby przestali walczyć i dali sobie trochę luzu, to i oni mogliby oglądać powtórki Seksu w wielkim mieście w telewizorze z dużym ekranem albo wozić dzieciaki do szkółki piłkarskiej nowiutką, sportową terenówką. Ale to nie było takie proste.

Jak się okazało, jedyną bronią, którą warto się było posłużyć, i jedyną, do której budowy Amerykanom zabrakło knowhow, była zwykła eftipatia. Jeśli nie można zrozumieć wroga, jeśli nie uda się przeniknąć jego myśli, to nigdy się go nie pokona. Absurdem było wysyłanie tutaj kolejnych niedoinformowanych generałów, mających zapanować nad sytuacją i ludźmi, z którymi nie potrafili zamienić słowa. Próby rozstrzygania arabskich problemów za pomocą amerykańskich rozwiązań miały długą i wspaniałą historię porażek, do której jednak nikt nie przywiązywał wagi. W ten sposób machina, nawet jeśli niesprawna, działała dalej.

Al Fayed oparł głowę o chłodny mur za plecami i wpatrzył się w jednolity błękit nieba. Jak na człowieka, który, nie bez trudu, zakończył edukację na dwunastej klasie, stał się niezłym filozofem politycznym. Niezbyt to przydatna umiejętność dla kogoś z jego powołaniem.

Próbował o niczym nie myśleć, a kiedy to zawiodło, usiłował przypomnieć sobie jakiś dowcip. Ale w tych okolicznościach nie przychodził mu do głowy żaden wystarczająco zabawny. Lepiej pójść dalej i pomyśleć po drodze o ciepłej posadce doradcy w strukturach bezpieczeństwa. Zdaje się, że magnum PI tylko robi z niego bandytę.

Zebrał siły, wstał i ruszył dalej ubitą drogą, gdy nagle doszedł jego uszu piskliwy, przesywający powietrze wrzask. Schował się za wypalonym wrakiem jakiejś półciężarówky, kładąc rękę na pistolecie maszynowym pod tuniką, i wyjrzał na opustoszałą nagle ulicę.

Kilka sekund później wrzask się powtórzył - rozpoznał w nim głos dziewczyny i domyślał się, że dobiega z małej alejki, oddalonej o jakieś piętnaście metrów od miejsca, w którym stał.

Droga, którą zamierzał dalej iść, wiodła obok tej alejki, rozejrzał się więc w poszukiwaniu innego przejścia na drugi koniec wioski. Jeszcze tego brakowało, żeby się wdał w jakąś drobną burdę uliczną i spaprał misję, która, przynajmniej do tej pory, przebiegała jak marzenie. Jest w tym kraju od trzech dni, zabił czworo ludzi i przeszedł pieszo blisko sto kilometrów, nie ułamawszy nawet paznokcia - nie miał ochoty, żeby ten stan rzeczy się zmienił.

Ostrożnie obszedł półciężarówkę, podbiegł kilka metrów pustą ścieżką i nie spuszczając z oka cienistych narożników i dachów domów, skręcił w lewo, w wąski przesmyk między dwoma budynkami. Tam zatrzymał go trzeci krzyk i to, że przesmyk prowadził nie wiadomo dokąd i okazał się zbyt ciasny, by mieć strategiczne znaczenie. Al Fayed był już pewien, że krzyczy dziewczyna. Jakiś osobliwy niuans akustyczny sprawiał, że proszący o pomoc krzyk, zanim się raptownie urwał, dał się idealnie rozpoznać.

Obejrzał się za siebie, klnąc pod nosem po arabsku i próbując zdecydować szybko, co robić. Brnąć w tę ciasną, śmiertelną pułapkę, czy też cofnąć się ku czemuś, co najwyraźniej może paskudnie przeszkodzić planom popołudniowego surfingu i drinków pod parasolem słonecznym. Stał jeszcze przez kilka sekund, aż w końcu się obrócił i wybiegł z powrotem na główną ulicę. Kiedy podchodził do alejki, usłyszał głosy dwóch mężczyzn, które odbijały się echem od stojących wokół kamiennych ścian, przez co wydawały się dziwnie odległe. Ledwie widocznym ruchem podniósł lufę pistoletu, by łatwiej celować, i szedł dalej w kierunku alejki.

Czarna chusta, która powinna zakrywać twarz dziewczyny, była już częściowo rozdarta, co pozwoliło mu ocenić jej wiek na szesnaście, siedemnaście lat. Leżała na plecach, w piachu, kopiąc i bijąc gwałtownie rękami, a dwóch mężczyzn usiłowało ją przytrzymać. Jeden z nich przyciskał kolanem jej klatkę piersiową, czym poważnie utrudniał kompanowi zdarcie z dziewczyny sukni, okrywającej ją od szyi po stopy. Całe to działanie było dość mało zorganizowane, jednak mężczyźni mieli przytłaczającą przewagę. Jeden z nich, posługując się nożem, ściągnął jej bieliznę; Tshirt i jakieś resztki szarej wełnianej spódniczki. Kiedy do al

Fayeda dotarło, że stoi na środku alejki i tylko się gapi, mężczyzna, który przyciskał dziewczynę, zdjął już kolano z jej piersi i usiłował teraz rozewrzeć nim jej ściśnięte nogi.

Dziewczyna zdołała uwolnić jedną rękę i już miała zaatakować paznokciami jednego z napastników, ale widząc u wylotu alejki al Fayeda, straciła raptem koncentrację. Zaczęła się zaciekle bronić, czyniąc przy tym wszystko, żeby utrzymać kontakt wzrokowy ze swoją ostatnią nadzieją.

Choć bardzo się - starał, wciąż żaden dowcip nie przychodził mu do głowy.

Jeden z mężczyzn obejrzał się i krzyknął, żeby odszedł. Kiedy al Fayed pozostał znieruchomiał, mężczyzna się zaśmiał i wrócił do wijącej się pod nim dziewczyny.

Nie miał powodu, żeby się mieszać. Takie były realia jej wszechświata. Rodzice prawdopodobnie zginęli, pozostawiając ją samą sobie - zapewne ofiary walk, które od dawien dawna przetaczały się przez te' okolice. To bardzo niebezpieczne położenie życiowe, wymagające dużo więcej ostrożności, niż dziewczyna wykazała przed chwilą.

Al Fayed nie potrafił traktować religii z całą powagą. Prawda, której nie potrafił przestać się trzymać, podpowiadała mu, że Bóg nie jest niczym więcej niż funkcją adresu danej osoby. Jeśli człowiek się urodził w Karolinie Północnej, to żył w absolutnym przekonaniu, że baptyści są jedynymi ludźmi żyjącymi z Bogiem za pan brat. W Afganistanie człowiek był gotów bez namysłu poświęcić życie w imię obrony wiary Mahometa. Tajlandia? Tam z kolei rządzi Budda. Po prostu widział w tym zbyt dużo przypadkowości, by rzeczywiście dostrzec mistycyzm.

Natomiast ewolucja... Owszem, to teoria, której mógłby się trzymać. Z tego, co miał nieszczęście w życiu zobaczyć, wie, że przetrwać umieją tylko silni, a słabi głównie z tego mają. Ta dziewczyna była na tyle głupia, że dała się zaciągnąć w brudną, małą alejkę. Mężczyznom, których zabił dzień wcześniej, zabrakło siły czy sprytu, żeby się skutecznie przed nim obronić. W szerszej perspektywie Ameryka Północna miewa się zupełnie dobrze, a większość Bliskiego Wschodu miewa się źle. Żeby życie nabrało jasnej i zadziwiająco krzepiącej symetrii, wystarczy poddać egzorcyzmom wszystkie te tajemnicze bóstwa.

Mężczyzna chwilowo przestał się szamotać ze spódniczką i przytrzymał teraz nad głową dziewczyny jej nadgarstki. Odzyskawszy w ten sposób kontrolę, znowu spojrzał na al Fayeda.

- Co tu jeszcze robisz? - krzyknął po arabsku. - Jazda stąd!

Niegłupia rada. Dziewczyna nie miała przyszłości. Nie była to niczyja wina i nie warto wylewać nad tym łez ani się tym zadrećcać. Po prostu urodziła się w niewłaściwym

czasie i miejscu. Nie miało znaczenia, czyjej życie się skończy teraz, jutro czy w przyszłym tygodniu. Ani dla niego, ani dla nikogo.

- Wynocha! - krzyknął znowu mężczyzna, podając rękę dziewczyny kompanowi i wstając. - Wynos się w tej chwili!

Dziewczyna okazywała już pierwsze oznaki zmęczenia, krzyki wydobywały się z niej coraz ciszej, między ciężkimi oddechami, kiedy wciąż próbowała się wymknąć. Jeszcze trzy minuty i nie mogłaby nawet udawać, że opiera się zamiarom, jakie mają wobec niej obaj mężczyźni; a prawdopodobnie zamierzają wiele.

Twarz podchodzącego mężczyzny była niemal niewidoczna, skryta za gęstą brodą, która rosła wysoko na policzkach, niemal po oczy. Wciąż wykrzykując jakieś słowa, sięgnął za plecy, zapewne po coś, co było bronią jakiegoś sortu.

Al Fayed szybko postąpił naprzód, chwycił łokieć mężczyzny i zablokował jego rękę na tyle długo, by sięgnąć po własny nóż i wepchnąć go, przez brodę mężczyzny, prosto w gardło.

Na jego twarzy można było zauważyć jedynie zaskoczenie, kiedy wędrował oczami w dół, by zobaczyć, jak nóż już się wyslizguje, a z rany wylewa się na pierś struga krwi. Jeszcze chwila zadziwienia i mężczyzna zwałił się ciężko na ziemię.

Nagle zmęczone pojękiwania dziewczyny przemieniły się we wściekły wrzask, który zdradził trzymającemu ją mężczyźnie, że z tyłu biegnie na niego Al Fayed. Mężczyzna był szybszy, niż mogłoby się wydawać, zdołał się przekręcić na bok i wyrwać zza pasa dość archaiczny, ale bez wątplenia wciąż skuteczny pistolet.

Z każdym krokiem zmniejszając dystans, Al Fayed rzucił w jego kierunku nóż w nadziei, że utrudni mu celowanie. Jednak ku jego zaskoczeniu - zdaje się, że niebывале szczęście nie opuszczało go w tej misji - nóż utkwiał w klatce piersiowej mężczyzny. Nie tak głęboko, aby poważnie go zranić, ale wystarczająco, aby kula, która miała trafić w swój cel, ugrzęzła w ścianie budynku po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna klęczał jeszcze, kiedy się zwarli, a padając na ziemię, Al Fayed rzucił się w prawo i zamknął oczy, by nie spalił ich proch - kula przemknęła ze świstem koło jego lewej skroni. Nie zważał na krótki ból ani dzwonienie w uchu, nakrył dłonią twarz mężczyzny i wcisnął mu głowę w miękkie, niestety, piach. Jego własny pistolet zaklinował się teraz między nimi, musiał więc - co się okazało niełatwe - wyciągnąć nóż z mostka.

Już niemal go wydobył, kiedy nagle przeszywający ból w dolnej partii pleców odebrał mu cały zapas sił. Upadając, rzucił się w lewo i pod ciężarem ciała szarpnął ostatni raz za nóż. Nóż wyszedł z kości z mokrym chrzęstem. Al Fayed natychmiast zamachnął się nim za siebie

szerokim łukiem, niezdarnie i na oślep. Ciął dziewczynę w poprzek gardła, omijając najważniejsze arterie, ale czyniąc wystarczająco duże rozcięcie, by wypuściła zakrwawiony nożyk, który wbiła w niego przed chwilą, i przycisnęła swoje małe dłonie do własnej rany.

Na ziemię padli równocześnie, al Fayed wykorzystał impet, aby się błyskawicznie obrócić i stanąć na czworakach. Kiedy jednak spróbował się podnieść, ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Powoli odwrócił głowę w kierunku dziewczyny, patrzył, jak się gwałtownie krztusi, plując z ust fontanną krwi, aż wreszcie padł na jej twarz. Całe to zdarzenie przypominać mogło, nieco źle wyostrzoną i prześwieconą, scenę filmową.

Usłyszał za sobą ruch, zdołał obrócić głowę na tyle, by zobaczyć, jak mężczyzna się podnosi na chwiejnych nogach i mierzy wolno z pistoletu. Błysk był dziwnie przyćmiony, zaraz po nim nastąpiło uderzenie w plecy. Al Fayed upadł ciężko twarzą w piach.

Dziewczyna już się nie ruszała. Nie była martwa, ale patrzyła w niebo i czekała na śmierć. Dziwne, ale najbardziej ze wszystkiego bolał teraz uśmiech, który rozszerzył jego spękane wargi. Oczywiście, wykazał się nadmierną pewnością siebie, zakładając, że dziewczyna jest niedojdą. To była pułapka mająca zwabić go do alejki, gdzie napastnicy chcieli mu odebrać to, co posiadał, i wykorzystać do przetrwania kilku kolejnych dni życia. Było głupotą dać się tak łatwo podejść, a w tym rejonie świata głupoty nic nie wynagradza.

Nie można oszukać Karola Darwina.

Rozdział pierwszy

- Roy Buckner.

- Nie..

Hillel Strand zaczął przeglądać akta, które trzymał w rękach, a odległość między jego brwiami a oprawką okularów do czytania rosła z każdą chwilą.

- Jezu Chryste, Matt. Teraz znowu co? Przecież ten facet to były członek Delty, ma na koncie mnóstwo udanych misji na terytorium wroga, w miarę czystą kartotekę...

- Znam Roya doskonale - odpowiedział Matt Egan. - Szukamy skalpela, a ten człowiek to młot kowalski. Gwałtowny, arogancki i bezczelny... młot.

- Jeśli w takim tempie będziemy budować zespół, to będzie się składał z ciebie i grupy sekretarek, Matt. Nie stawiasz czasem poprzeczki zbyt wysoko? Ci ludzie to siły specjalne. Chyba możemy się spodziewać, że są aroganccy i trochę gwałtowni.

- Racja - zgodził się Egan. - Ale Roy ma jeden poważny r problem. Przecenia własne umiejętności, owszem, imponu - ';;,| jące, a do tego za bardzo upodobał sobie zabijanie. Coś ci powiem o Royu. Kilka lat temu został wysłany do Syrii na! wspólną misję z komandosem z jednostki SEAL, najlepszym agentem, jakiego znałem, sam kiedyś z nim współpracowałem.

Przez cały czas Roy ostentacyjnie się popisывał i próbował dowieść, że jest najlepszy. O mały włos całą misję doprowadziłby do zguby. Roy o tym nie wie, ale brakowało trzech sekund, żeby ten komandos wpakował mu kulę w plecy, a gdyby tak zrobił, broniłbym tej decyzji.

Strand rzucił akta na coraz większy stos „być może” i zaczął się przekopywać przez te, do których jeszcze nie zajrzał, wyciągając coś wreszcie z samego dna.

- Oto i twój komandos z SEAL - powiedział, otwierając tekturową teczkę. - Salam al Fayed. Rozumiem, że dyskusja niepotrzebna? Bierzemy, tak?

Egan westchnął cicho i odchylił się w krześle, nie spuszczać wzroku z fotografii przypiętej do akt w rękach Stranda. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz patrzył na tę twarz. Ale nigdy wystarczająco wiele.

Departament Bezpieczeństwa Krajowego utworzył wreszcie struktury organizacyjne, a Egan został sprowadzony, by wspomóc budowę sekcji mającej bardziej „namacalnie” angażować się w kwestie zapewnienia bezpieczeństwa amerykańskim obywatelom. Rzeczywista misja sekcji, eufemistycznie nazwanej Biurem Planowania Strategicznego i Naboru, wciąż była niejasna, ale ogólnie chodziło o to, żeby rząd zaczął zmierzać w kierunku rozwiązań, jak zgrabnie to ujmowali politycy, „bardziej chirurgicznych”.

Najwidoczniej doszli wreszcie do konkluzji, że Stany Zjednoczone nie mogą wszczynać wojny z każdym krajem, który ich nienawidzi lub zaczyna rozwijać program nuklearny, i znaleźli takie wyjście z sytuacji.

Matt Egan został zarekomendowany do pracy w BPSiN jako prawa ręka Hillela Stranda. Darren Crenshaw, nowy szef Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, charakteryzując program działania wydziału, powiedział podczas rozmowy kwalifikacyjnej, że biuro ma się opierać na modelu Mosadu. Egan zakładał, że jego reakcja na taką charakterystykę - mniej więcej w słowach: „Taak, a cóż dobrego on przyniósł Izraelczykom?” - szybko skreśli jego kandydaturę. Ale to przekonanie okazało się mylne. Generał Crenshaw szukał głosu rozsądku w czymś, co stawało się coraz bardziej paranoicznym i reakcyjnym chórem.

- Sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli będziemy się trzymać z dala od al Fayed.

Jak się można było spodziewać, Strand rzucił wściekle aktami o biurko.

- Wiesz, za co nam płacą, Matt? Powiem ci. Za utworzenie grupy, która będzie umiała wykonać zadanie. Nie za to, żeby upierdzielać każdego kolejnego kandydata. - Wskazał palcem te czki na biurku. - Do dyspozycji mamy ich wszystkich. Potrzebujemy ośmiu. Jak na razie nie mamy ani jednego.

BPSiN dysponował obecnymi i dawnymi agentami sił specjalnych, z różnych formacji wojskowych, ale nawet przy szerokim wachlarzu tego rodzaju talentów nabór był nader delikatną sprawą. Na domiar złego Strand został nominowany z klucza politycznego, brakowało mu doświadczenia polowego i od razu się rzucała w oczy jego nieumiejętność pokonania całej złożoności problemów przy tworzeniu takiego zespołu.

- Kiedy kilka lat temu był w drodze do punktu zbornego, po zakończeniu...

- Czytałem akta, Matt. Wdał się w jakąś burdę uliczną i został postrzelony.

Egan skinął powoli głową.

- Niemal zginął, Hillel. Właściwie to cud, że żyje. Znalazł go jakiś muzułmański radykał, zabrał do domu i ocalił od śmierci. Odszukanie al Fayeda i wyciągnięcie go stamtąd zajęło nam pół roku.

- Więc myślisz, że co? Znalazł sobie nową ojczyznę? Jakiś facet mu pomógł i zaraz się stał sympatykiem terrorystów?

Egan się zastanawiał, czy po prostu nie przytaknąć i mieć problem z głowy, ale nie chciał ryzykować, żeby do teczki al Fayeda trafiła potem jakaś negatywna opinia.

- Daj spokój. Czytałeś, co się stało. Kiedy ściągnęliśmy go do Stanów, okazało się, że kula utkwiała tuż przy kręgosłupie. W Kalifornii znalazł się lekarz gotów ją usunąć, ale cała procedura, jako eksperymentalna, okazała się zbyt kosztowna. Lekarz wykorzystywał nowe techniki, operacja nie mieściła się w standardach żadnego z rządowych formularzy, zdecydowano więc, że rząd nie pokryje kosztów. Nieuchronnie zbliża się dzień, kiedy ta kula sparaliżuje go całkowicie, Hillel, a my nie kiwnęliśmy palcem w jego sprawie. Trzeba uczciwie powiedzieć, jak sądzę, że kiedy odchodził ze służby, nie zachował wobec nas ciepłych uczuć.

Strand usiadł na chwilę zamyślony, potem otworzył akta i zaczął je streszczać.

- Urodzony w Nowym Jorku, w rodzinie arabskich chrześcijan, emigrantów w pierwszym pokoleniu. Wygląda jak Arab, niemal perfekcyjnie włada arabskim, bez problemu biorą go za swego. Nie ma rodzeństwa, rodzice nie żyją, nieżonaty, w Stanach nie ma krewnych. Do CIA trafił z marynarki. - Strand podniósł na chwilę wzrok. - Osobiście go werbowaleś.

- To równie dobrze mogło być tysiąc lat temu - odpowiedział Egan.

- Sprawdziłem nieco więcej. Aktualnie bez pracy. Bez pieniędzy. Bez przyjaciół. Naszemu panu al Fayedowi nie układa się dobrze. Może gotów jest wrócić do zagrody?

- Hillel... Znam tego człowieka od lat, właściwie to był mój najlepszy przyjaciel. Uwierz mi, jeśli mówię, że nie tędy droga. Cały ten dziwaczny miszmasz historii, polityki i

Darwina zaczął układać sobie w głowie, zanim jeszcze go ugotowaliśmy. Można powiedzieć, że już dawno jedną nogą był poza grą. Poza tym ma poważny uraz, do tego stopnia, że już się nie kwalifikuje.

- Nie bardzo mi się podoba twoja defetystyczna postawa, Matt. Mam wrażenie, że bardziej się skupiasz na „po co”, zamiast na „Jak”. Jeśli twój wywód uczy czegośkolwiek, to tylko tego, że nie ma idealnego kandydata. Ale al Fayed jest cholernie blisko ideału. Nie mamy w tej chwili facetów takich jak on. Przyglądamy się różnym ludziom z arabskimi korzeniami, ale od kogoś takiego dzieli nas lata świetlne. Nie mamy ani jednego kandydata, który mógłby się poruszać po arabskim kraju, nie przyciągając uwagi. Ten człowiek może się tu stawić i w ciągu tygodnia być gotowy do akcji. Nie mówiąc już, ile pożytku może przynieść później na szkoleniach.

- Hillel...

- Co? Wiesz, w jakim jestem położeniu. Sukinsyny z Kongresu besztają wywiad, że nie wykorzystuje szans, cholernie dobrze wiemy, że chodzi im tylko o to, żebyśmy za każdym razem podejmowali ryzyko i zawsze wygrywali, a jeśli sprawy się spieprzą, to będą się cisnąć jeden przez drugiego, żeby własnymi rękami przybić nas do krzyża. Musimy mieć najlepszych z najlepszych i wydaje mi się, że al Fayed, mimo minusów, bije innych na głowę.

- Ale...

Strand machnął tylko ręką, żeby się już nie odzywał.

- Nie chcę wysłuchiwać argumentów, że nie możemy go brać, Matt. Chcę usłyszeć, jak możemy go zdobyć.

Rozdział drugi

Ściany były tak wypaczone i wykrzywione, że gdyby pomalowano je w jaskrawe kolory podstawowe, a nie w odłazący płatami szary, to dom wyglądałby jak lunaparkowy dom uciech. Od Waszyngtonu dzieliły go dwie godziny jazdy samochodem, stał w samym środku dwuhektarowej parceli, porosłej starymi drzewami i usianej nierównymi kamieniami. Jak ustalili, al Fayed wynajmował tę nieruchomość od ponad roku i zalegał z czynszem za dwa ostatnie miesiące.

Pięćdziesiąt metrów przed domem Egan zjechał z szutrowej drogi, zatrzymał auto i przyjrzał się posesji. Po prawej stronie od domu stał duży blaszak, może mniej wykrzywiony, ale za to mocno przerdzewiały, a plamy rdzy układały się w takie wzory, jakby ktoś rozlał po ścianach brązową farbę z dachu. Przed budynkiem, na czterech podgniłych klocach drewna, stał nie mniej zardzewiały stary samochód. Egan stwierdził, że to chyba thunderbird, choć znajomość klasycznych marek była u niego, w najlepszym razie, wrywkowa. Całą -

niewielką - wiedzę, jaką posiadał w tej dziedzinie, zdobył od samego al Fayeda, który, po kilku piwach, godzinami potrafił rozprawiać o starych samochodach.

- Będziemy tak stali? - zapytał Strand, pochylając się nad dachem auta i uderzając w niego otwartą dłonią.

Chyba że przyjdzie nam uciekać, pomyślał Egan i zmusił się do pierwszego kroku przez kobierzec piasku, żwiru i zarastających ziemię chwastów. Strand szybko do niego dołączył, ale zaraz zrobił kwaśną minę, gdy musiał zwolnić i zrównać się z nienaturalnie wolnym krokiem Egana. W jakimś stopniu Strand prawdopodobnie wiedział, że nie jest to najlepszy pomysł, i wolał nie wychodzić na szpicę.

Kiedy przechodzili obok starego samochodu, Egan zwolnił jeszcze bardziej. Przyjrzał się pełnym wdzięku liniom, ledwie widocznym pod patyną czasu i skutkami działań pogody. Trudno było nie zauważyć, że ten samochód to kolejne niespełnione marzenie al Fayeda.

Mężczyzna, który wyszedł na ganek, na pierwszy rzut oka wcale się nie wydawał znajomy. Czarne włosy miał zebrane w luźny koński ogon, który najwyraźniej spływał bardzo nisko po szerokich plecach. Jego barki i ramiona były tęgie i silne, - ale brakowało im wyrazistych kształtów, co przydawało sylwetce pewnej masywności, niemal niezdarności. Lekka korpulentność zaokrągląла też twarz i wygładzała rysy na ciemnej cerze pod oczami.

Egan zatrzymał się dobrych pięć metrów przed wejściem. Strand poszedł za jego przykładem.

- Witaj, Fade.

Przydomek, który zyskał sobie przed laty wśród kolegów z oddziału, wziął się stąd, jak mawiano, że potrafił się rozpląnąć nagle jak we mgle i zniecka poderżnąć gardło. Ale bardziej może stąd, że przeciętny komandos z SEAL nie chciałby, aby osłaniał go w akcji ktoś o nazwisku Salam al Fayed. Tak czy owak, przydomek przyłgnął.

- Matt? Co tu robisz?

Strand, przez chwilę zbity z tropu, odpowiedział w końcu za Egana.

- Chcemy porozmawiać.

Fade zszedł po stopniach, a Egan z trudem powstrzymywał odruch, by się cofnąć parę kroków.

- O czym?

- Żebyś powrócił do gry.

- Gry? - Fade z powrotem przeniósł wzrok ze Stranda na Egana. - Skąd wytrzasnąłeś tego faceta? Co to za biurokrata ze sklepu z zabawkami? Wynoście się z mojego domu.

- To nie jest twój dom - wytknął Strand. W jego głosie pobrzmiwała nuta złości, ale jeszcze nad nią panował. Nie przywykł, by ktoś go obrażał lub mówił o nim, jakby był nieobecny. - Prawda jest taka, że jeszcze miesiąc i wyrzucą cię stąd na bruk.

- Hillel... - zaczął ostrzegawczo Egan, ale Strand ciągnął:

- Ogląda pan wiadomości, panie al Fayed? Świat się zmienia, a my musimy nad tymi zmianami panować. By móc to zrobić, potrzebni nam tacy ludzie jak pan.

Fade zrobił ruch, jakby zamierzał odejść, ale po chwili chyba się rozmyślił.

- Przecież odwalacie kawał dobrej roboty. Tam, gdzie kiedyś stało World Trade Center, mamy dziś wielką dziurę, a większość państw na świecie albo nas nienawidzi, albo wysupłuje ostatniego dziesiątaka na budowę wymierzonych w nas rakiet nuklearnych. Gdyby nie wy, tacy zasrani politycy jak ty, paprający się w sprawach, o których nie macie pojęcia, to z czego zbrojeniowi kontrahenci braliby na ferrari i wystrzałowe żony, prawda?

Nie była to odpowiedź, na jaką Egan miał nadzieję, ale dobre chociaż to, że nie padły jeszcze strzały.

- Sądzę...

Strand mu przerwał.

- Mam tytuł magistra polityki społecznej z Harvardu i robię podyplomowe studia z historii Bliskiego Wschodu. Może przypomnisz mi własne wykształcenie? Udało ci się w ogóle skończyć szkołę średnią?

Odpowiedź Fade'a była bez wątpienia mniej niż cywilizowana, choć Egan nie mógł być tego pewien, gdyż padła w języku arabskim.

- Jakiś problem? - zapytał Fade, przechodząc znowu na angielski. - Nie mów mi, że czegoś nie rozumiałeś. W Iraku mieszkają sześćioletnie dzieci, które nie potrafią pisać ani czytać, ale rozumiałyby, co powiedziałem. Wybacz więc, ale twoje kompetencje jakoś nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia. Zresztą, tak w ogóle, kto ty, kurwa, jesteś?

- Nazywam się Hillel Strand. Pracuję w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Ja...

- Miałeś kiedyś w ręku Koran, panie Hillelu Strandzie z Bezpieczeństwa Krajowego? Byłeś na Bliskim Wschodzie? Czy może całe swoje doświadczenie w tej dziedzinie czerpiesz, grając w golfa z którymś z tych bydlaków, których wciąż tam ślecie, żeby wszystko jeszcze bardziej popartolili? Matt - wskazał palcem na Egana - nawet jeśli jest łajdakiem, który zada cios w plecy, miał tę przyzwoitość, żeby tam pojechać i wystawić się na kule. Tacy jak ty...

- Fade! - przerwał mu Egan. - Dość. Do Hillela nic nie masz. Nie miał nic wspólnego z tym, co się stało.

- Ach, słusznie. Ty miałeś.

Znowu to samo. Odruch, żeby się cofnąć.

Fade zrobił nagły ruch, Strand odskoczył do tyłu, trafił na jakiś kamień i niemal się przewrócił.

Fade uśmiechnął się znacząco, przewrócił oczami, a potem się odwrócił i ruszył w kierunku warsztatu.

- Wracajcie już lepiej do tego swojego Bezpieczeństwa Krajowego i powiedzcie, że wasz Arabek przeszedł na emeryturę - powiedział, znikając w rozsuwanych drzwiach budynku.

Egan odetchnął głęboko, czując ulgę, że Fade'a już nie ma. Twarz Stranda natomiast wykrzywiła złość, aż nadto dobrze znajoma.

- Cóż, jak mówiłeś - zaczął Egan, próbując rozładować sytuację - warto było spróbować. Ale ten facet to już nie to co dawniej. Sam widziałeś. Kiedyś był jak wyrzeźbiony z kamienia. Dziś to już tylko postrzelony hippis, który mieszka w lesie.

Odwrócił się do samochodu, ale stanął, słysząc Stranda.

- To nas różni, prawda, Matt? Ja nigdy nie uważam, że można się pogodzić z porażką. Pięknie.

„Kusisz los, Matt”.

Egan wszedł ostrożnie i stanął z boku, czekając, aż oczy się przyzwyczają do słabego światła. Warsztat pełen był równo ułożonych elektronarzędzi i innych potencjalnie śmiertelnych instrumentów.

- Mogłeś to lepiej załatwić, Fade. Hillel ma dużą władzę i nie przywykł, by mówić do niego w taki sposób.

- Co się stało, Matt? Znudziło ci się lizanie dupy CIA i postanowiłeś znaleźć świeże pośladeczki w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego?

.. |>|”

Prawda, jak na ironię, była taka, że Egan próbował u szefa załatwić Fade'owi operację chirurgiczną, ale szef go spławił. Po tym zdarzeniu stało się dla niego jasne, że jego kariera w CIA dobiegła końca. Bezpieczeństwo Krajowe miało stanowić bogatszą w zieleń połoninę.

Fade założył okulary ochronne i zaczął ciąć deskę na stołowej pilarsce. Egan podszedł do niego na metr i wrzasnął, chcąc przekrzyczeć wyjące ostrze.

- Chcę ci pomóc!

Fade uderzył dłonią w wyłącznik pilarki i rzucił ucięty kawałek deski na podłogę; silnik ucichł powoli.

- Nie widziałem cię od sześciu lat, nagle się zjawiasz i mówisz, że chcesz pomóc? Tak jak wtedy?

Egan podszedł do drzwi, zasunął je i odwrócił się z powrotem do Fade'a.

- Posłuchaj mnie, Hillel to tylko kolejny dupkowany polityk, któremu się zdaje, że jest twardzielem. Znasz ten gatunek równie dobrze jak ja. Gdybyś nie ciskał mu obelg w twarz, przekonałbym go, że jesteś szurnięty, i więcej byś nas nie zobaczył. Ale teraz facet podniósł czoło i nie podda się łatwo. Mogę jeszcze złagodzić sprawę, ale będziesz musiał w to wejść i też trochę zagrać.

- A jeśli nie?

- Chyba nie chcesz...

- Człowieku, co się z tobą porobiło? Nie chce mi się wierzyć, że kiedyś ufałem ci na śmierć i życie.

- Dlaczego ty zawsze wszystko utrudniasz?

- Bo to jest trudne! - krzyknął Fade, biorąc do ręki potężny śrubokręt, który leżał przy pilarence.

Egan nie spuszczał narzędzia z oka.

- Dałem temu krajowi wszystko! Byłem postrzelony, pokłuty nożem, otruty. Przeszedłem malarię, czerwonkę i gorączkę tropikalną. Raz nawet tonąłem, Chryste, ledwie przywrócili mnie do życia. Kiedy państwo było w potrzebie, ja byłem gotów. Ale kiedy ja potrzebowałem państwa, wszyscy się odwrócili do mnie plecami. Wiesz, że po tym, co zrobiłem i przez co przeszedłem, nie mogę wejść na pokład samolotu, żeby ktoś nie zajrzał mi przedtem w dupę? Czy masz pojęcie, jak teraz wygląda moje życie, Matt? Co znaczy czekać, aż kula w plecach przesunie się o milimetr w złą stronę i całkowicie mnie sparaliżuje?

Egan zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie.

- No, to posłuchaj. Właściwie nie śpiam, bo się boję, że jeśli zasnę, to nie poczuję, jak się przesuwa, i po obudzeniu nie będę mógł się już ruszyć. Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że w każdym pokoju mogę znaleźć coś, czym mogę się zabić. Żyłetki, noże, płyn do udrażniania kanalizy, szkło. Gniazdko elektryczne, trochę wody. Wcale nie wypatrywałem tych rzeczy celowo. Po prostu się objawiały. Ale wiesz, co jest najsmutniejsze? Że wciąż prawdopodobnie oszukuję samego siebie. Lekarze mówią, że na sześćdziesiąt procent będę sparaliżowany od szyi w dół.

- Fade, ja...

- Wiesz, czego się najbardziej boję, Matt? Że listonosz mnie znajdzie, zanim zdążę umrzeć z pragnienia. Że skończę na łóżku w zakładzie opieki, w pieluchach, gapiąc się w sufit przez następne trzydzieści lat.

Co odpowiedzieć na coś takiego? Nie ma odpowiedzi. Egan otworzył drzwi i zaczął się wycofywać, wciąż obserwując śrubokręt w ręku Fade'a.

- Hej, Matt...

Podniósł na chwilę wzrok, na tyle długo, by dostrzec na twarzy starego przyjaciela kamienne, złowrogie oblicze.

- Jeśli tu kiedyś wrócisz, zabiję cię.

- Uhm. Wiem.

- co? - zapytał Strand, przyspieszając obroty silnika na szutrowej ścieżce prowadzącej ku szosie.

- Powiedziałem mu, że powinien ci okazać większy szacunek.

- Będziemy go mieli?

- Próbowałem, Hillel, ale odmówił, i zaręczam, że mówił to serio.

- Wydajesz się zadowolony, że skrewiłeś sprawę.

- Skrewiliśmy dawno temu. Są w aktach moje słowa, że zrobiliśmy tego faceta w wała. Może wówczas powinniśmy być nieco bardziej dalekowzroczni i pomyśleć, że któregoś dnia znowu możemy go potrzebować.

- Były błędy - przyznał Strand. - Ale błędy można jeszcze naprawić. Pogadam z kilkoma ludźmi i zobaczymy, czy uda się załatwić operację, na której mu tak zależy. Kiedy wyzdrowieje, znowu pogadamy.

Egan potrząsnął głową.

- Kula dawno się przemieściła i obrosła tkanką bliznowatą. Za późno na operację. Nikt już nic tu nie robi.

Strand zamilkł na dłuższą chwilę, tak że Egan zaczął już myśleć, iż temat można uznać za zamknięty. Niestety.

- No dobra, w takim razie mamy coś na niego?

- Słucham?

- Słyszałeś, co powiedziałem.

- Nic, Hillel. Świetnie wykonywał swoją robotę. Dlatego tak ci na nim zależy.

- Każdy zrobił w życiu coś, czym nie może się pochwalić. Może powinniśmy to sprawdzić.

Egan nie odpowiedział od razu; patrzył przez przednią szybę na jasne, błękitne niebo. Nie ma mowy, żeby do tego dopuścił. Nie ma mowy.

- Daj mi parę dni, Hillel. Sprawdzę go.

Na ustach Stranda zagościł ledwie zauważalny, pozbawiony wesołości uśmiech.

- Nie. Ty masz za dużo na głowie. Lauren się do tego weźmie.

Rozdział trzeci

Matt Egan nie fatygował się, żeby zapalić światło, na pamięć przeszedł przez cały dom, a kiedy otworzył drzwi lodówki, oślepiła go mała lampka.

Może jednak ma jeszcze trochę szczęścia. W środku znalazł brązowiejący kawałek bananowego ciasta, rozklapniętego na pudełku z twarogiem. Jedną ręką wsunął sobie do ust połowę ciasta, a drugą wyłowił z głębi karton z mlekiem. Kiedy zamknął lodówkę, znowu ogarnęła go ciemność i wymacał dłońmi trochę wolnego miejsca na kontuarze, przy którym usiadł.

Gotów byłby postawić duże pieniądze, że to niemożliwe, ale po wyjściu od Fade'a jego dzień zdołał się jeszcze pogorszyć.

Asystentka Stranda odrzucała każdą jego propozycję pomocy przy przeglądaniu kartoteki Fade'a i zupełnie nie zwracała uwagi na bystre dopytywania o postępy w pracy. To się na pewno źle skończy. Lauren McCall, poza tym, że była pozbawioną humoru księżniczką o lodowatym sercu, miała też inne wady. Była niegłupia, bardzo zaradna i irytująco nieustępliwa. Nie mając większych szans na jej powstrzymanie, Egan odnosił wrażenie, że niebawem runie rozchwiany domek z kart, który tak starannie budował wokół dawnego przyjaciela. Bardzo źle - dla każdego, kto będzie w to zamieszany.

Wpakował resztę ciasta do ust i zaczął zawzięcie przeżuwać, ale nie poprawiło mu to nastroju. Przeciwnie, przy poczuciu nieustannej nerwowości w żołądku zaczęło mu się robić niedobrze. Idealny koniec naprawdę głównianego dnia. Albo raczej idealny początek sytuacji, która niemal na pewno zakończy się całkowitą katastrofą.

Egan rzucił opróżniony karton po mleku do, jak miał nadzieję, zlewozmywaka i zaczął po omacku szukać drogi do drzwi prowadzących do piwnicy.

Zejście ułatwiała mu jarząca się goła żarówka, która wisiała u dołu schodów. Lawirując między przyrządami gimnastycznymi, stosami porzuconych zabawek i brudów do prania, przeszedł na tył, do ciężkich, obitych drzwi. Przekręcił klamkę i zajrzał do środka.

- Jest tu kto?

Sam zbudował ten pokój i było to widać. Trochę krzywe, pozbawione okien pięć na pięć metrów; solidne ściany obłożone dźwiękochłonnymi opakowaniami po jajach i wszędzie

dookoła pajęczyny drutów i kabli. Na grubym dywanie stały wzmacniacze i instrumenty muzyczne, niektóre zbyt niewidoczne, by można je było rozpoznać. Wzdłuż przeciwnej ściany ciągnęło się jakieś nieodgadnione elektroniczne urządzenie, budzące obawy o bezpieczeństwo pożarowe, które przypominało skrzyżowanie wyszukanej wieży stereo i centrum kontroli lotów NASA w Houston.

Dzięki wielkiej determinacji i niemałej praktyce jego sześciolatka córka zdołała wygospodarować sobie w tym chaosie dość miejsca, by postawić wypieszczony dom lalek, który od pewnego czasu na nowo urządzała od podstaw.

- Do licha, skąd mama wzięła bandzo? - zapytał Egan, opierając instrument o ścianę i kładąc się na jego miejscu.

Kali wzruszyła ramionami i dalej eksperymentowała z układami feng shui w malutkim saloniku. Trzy lata temu adoptowali ją w Wietnamie, jeszcze malutką dziewczynkę, ale czasem aż trudno uwierzyć, że Elise nie jest jej matką biologiczną. Mają drobną, nawet kruchą budowę ciała, tak samo niekonwencjonalnie błyskotliwe umysły i tę samą, niemal autystyczną zdolność koncentracji. Gdyby któryś z gadżetów znajdujących się w tym pomieszczeniu raptem się zapalił, w czasie gdy obie panie domu byłyby nad czymś głęboko zamyślane, to bez wątpienia spłonąłby przy nich, a one nic by nie zauważyły.

- Tu czy tu... - zastanawiała się teraz nad miejscem dla kredensiku.

Nie miał zbyt dużego wpływu na córkę, ale jakimś trafem przejęła od niego obsesyjną potrzebę porządku, którego całkowicie brakowało jej matce.

- Może obok stołu. Barbie będzie mogła ustawiać swoją porcelanę, oglądając telewizję.

Egan spojrzał na żonę, która siedziała nieruchomo w bufiastym fotelu i przez opadające na oczy, długie włosy wpatrywała się w monitor laptopa. Wiedział, że nawet jeśli go słyszy przez olbrzymie słuchawki na uszach, nie ma co próbować z nią rozmawiać.

- Nad czym mama siedzi?

- Nie wiem. Chyba nad Truskawkowymi ludźmi, tak myślę.

- Wciąż? - Uhm...

- Późno już. Jadłaś obiad?

Dziewczynka wskazała puste pudełko po pizzy w kącie pokoju.

- Znowu zdrowa żywność, hm... Nic z ciebie nie zostanie, jeśli się będziesz tak odżywiać.

Oparł głowę o wypchanego łosia i znowu skupił na żonie spojrzenie. Wciąż się wpatrywała w ekran komputera i kiwała głową w rytm tego, co rozbrzmiewało w jej słuchawkach.

Pięć lat temu, w wyniku czegoś, co można nazwać tylko dzikim zrzędzeniem losu, pojął za żonę kobietę, którą magazyn „Spin” uznał za najbardziej utalentowaną autorkę piosenek w Ameryce. Miała wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat i aby powiązać koniec z końcem, grała na gitarze w co najmniej trzech zespołach. On był trzydziestotrzyletnim agentem operacyjnym CIA.

Od tamtego dnia nie mieli w życiu nudnych chwil. Elise udało się w końcu stworzyć zespół, w którym zadziałała właściwa chemia, i zaczęło się robić o niej głośno. Jej ostatnia płyta weszła do pierwszej dziesiątki wielu rozmaitych list przebojów, a kilka piosenek znalazło się niedawno na ścieżce dźwiękowej jakiegoś niezależnego, cieszącego się nawet powodzeniem filmu o basiście zabójcy.

Oczywiście, żaden z tych sukcesów nie przełożył się na pieniądze. W najlepszym razie jej kariera pozwalała wyjść na swoje. Szczerze mówiąc, nie przejmował się tym tak bardzo jak faktem, że utwory, które nagrywała, brzmiały w jego uszach jak walki kocurów. Była najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu poznał, i do tej pory nie mógł zrozumieć, dlaczego w ogóle zniżyła się do rozmowy z kimś takim jak on.

Wbił oczy w sufit, nie chcąc, by myśli zaczęły mu krążyć wokół porównań jego życia z życiem Fade’a - nie chciał widzieć tego skrzywionego, pustego domu i rdzewiejącego w błocie samochodu. Ich przeszłość niewiele się różniła. Dlaczego wszystko potoczyło się dla niego tak dobrze, a dla Fade’a tak źle?

Wyciągnął rękę i potarł córkę po główce, próbując wyrzucić go z głowy.

- Przestań być taki niedojrzały - powiedziała Kali, uderzając go lekko po dłoni.

Dopiero poznała to słowo, a już się stało jej ulubionym wyrażeniem. Elise oderwała raptem wzrok od komputera, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Musiał minąć z górą rok ich małżeństwa, zanim Matt się przyzwyczaił u żony do tego nagłego, niemal schizofrenicznego, przejścia od budzącej przestrasz, intensywnej koncentracji do pogodnych uśmiechów.

- Ciężki dzień? - zapytała, zdejmując słuchawki.

- Co ci każe tak myśleć?

- Bo jest dziewiąta wieczór, a ty patrzysz w sufit, upaprany ciastem na twarzy i z wąsami z mleka pod nosem.

- To wstętnie, wiesz? - dorzuciła swoje Kali.

- Hej, nie chcę słuchać takich uwag od kogoś, komu zmieniałem pieluchy.

- Wcale nie zmieniałeś!

- No dobrze. Macie rację. Bywały lepsze dni.

- Chcesz, żebym ci poprawiła humor?

- Bardzo.

Zsunęła się z bufiastego fotela i położyła się przy nim na podłodze.

- Piosenka, którą napisałam dla Madonny, idzie jak burza. Włączają do płyty.

- Żartujesz.

- Przysięgam na Boga. Dzisiaj dzwonił. Egan spojrzął na Kali.

- Słyszałaś, kochanie? Cztery lata indoktrynowania przez korporację białych, męskich szowinistów masz już opłacone, a jeśli wyjdzie „dance mix”, to może starczy jeszcze na studia magisterskie!

To kosztowało go ostrego szturchańca pod zebro.

- Sralamądrała. Nie liczyłabym na takie nadzieje. Nie wiadomo, czy piosenka w ogóle trafi do radia.

- Mimo to...

Niemal już powiedział „gratuluję”, ale ugryzł się w język. W kręgach Elise „kwestia sprzedaży” pozostawiała jakieś niegodziwe piętno. No, ale prędzej czy później człowiek osiąga w życiu moment, w którym realia zaczynają odgrywać bardzo istotną rolę.

- Wiem, ile trudu cię kosztowała ta piosenka, Elise.

- To nic wielkiego.

- Wiesz, to najlepsza rzecz, jaką napisałaś - dodał po chwili.

Roześmiała się, widząc, że mówi jak najbardziej poważnie. Doskonale знаła jego słabość do Abby albo KC&Sunshine Band, ale dawno już postanowiła się nimi nie przejmować. Między innymi.

- Jak Truskawkowi ludzie?

Od tygodni marudziła przy ostatniej piosenke do albumu Długa noc z truskawkowymi ludźmi (cokolwiek to, u diabła, miałoby znaczyć), który niedługo miał się ukazać na rynku. Terminy ją goniły i sprawy się przedstawiały coraz dramatyczniej.

- Jest skończona.

- To żart?

- Odpowiedź miałam przed sobą.

- Naprawdę? Co za odpowiedź?

- Piosenka country.

- Piosenka country? Przytaknęła podekscytowana.

- Nie masz pojęcia, jakie dźwięki można wydobyć z gitary hawajskiej, jeśli zniekształcisz je przez pedał efektów dystorsji i poczekasz, aż wybrzmi...

Hank Williams na pewno się przewraca w grobie i szuka zatyczek do uszu.

- Cóż, musimy to poważnie uczcić.

Elise obróciła się do niego i położyła mu głowę na brzuchu.

- Poważnie uczcić.

Elise, z żołądkiem pełnym zimnej pizzy i ciepłego piwa, spała już od dobrej godziny, ale Matt wciąż leżał, nie mogąc zmrużyć oka. Wreszcie wysunął rękę spod jej poduszki i cicho wyszedł z sypialni.

W swoim ciasnym pokoiku na tyłach domu miał małą lodówkę i zanim usiadł za biurkiem, sięgnął po piwo, które miało go wprowadzić na terytorium ciężkiego kaca. Zdecydowany zalać się tak, żeby utopić krążące po głowie wspomnienia, otworzył butelkę i opróżnił ją duszkiem do połowy, ale chwila, kiedy po raz pierwszy usłyszał nazwisko Salam al Fayed, wciąż stała mu przed oczami. Pracował wówczas dla wywiadu wojskowego, a Fade przechodził właśnie „Piekielny tydzień” - brutalny program szkoleniowy, z którego marynarka wojenna rekrutowała kandydatów do jednostki SEAL.

Załoga z łodzi Fade'a nie spała od dwóch dni i zdążyła już zaliczyć nieprzeliczone kilometry biegu, godziny ćwiczeń w otwartym ogniu, a także pływanie w oceanie w temperaturze wywołującej hipotermię. Dwóch z jego kompanów już zrezygnowało, a pozostali byli tak wyczerpani i wyziębieni, że Fade miał obawy, czy pokonają czekający ich tor przeszkód. Aby podnieść morale, zaczął opowiadać dowcipy, a kiedy to nie pomogło, postanowił zrobić na miejscu, na plaży, przeciągający się w czasie striptease. Kiedy był blisko końca, wszyscy, poza rozsierdzonymi instruktorami, pomrukiwali śpiewnie w rytm obrotów jego ciała.

Instruktorzy, nie bardzo wiedząc, jak postąpić, postawili Fade'a pod ścianą i wycelowali w niego wąż pożarniczy. Zanim odkręcili zawór w hydrancie, Fade zakrzyknął: „Czekajcie!” i wyjął z polowego munduru czepek pływacki, różowy w jasnożółte kaczuszki. Kiedy później, po piętnastominutowej sesji zbijania z nóg strumieniem lodowatej wody, udało mu się pobić niemal wszystkie rekordy na torze przeszkód, ludzie zaczęli mówić, że Fade chyba nie jest człowiekiem.

Krótko potem Egan przerwał służbę w wojsku i przeszedł do wydziału operacyjnego CIA, zajmując stanowisko nadzorujące działania nie w pełni legalne, ale za to coraz bardziej

konieczne. Stamtąd wciąż obserwował młodego al Fayeda, pamiętając, że CIA może być zainteresowana kimś takim, jeśli również w boju dowiedzie on swojej wartości.

Nie zajęło to wiele czasu. Pierwsza prawdziwa misja Fade[^] nadarzyła się błyskawicznie. Trafiony został helikopter, którym leciała jego drużyna, i jeden z kompanów wypadł na terytorium wroga. Wbrew rozkazom Fade chwycił broń i skoczył w ciemność za kolegą. Przez dziesięć godzin leżał ze złamaną nogą i z powodzeniem bronił nieprzytomnego przyjaciela. Kiedy ich wreszcie podjęli z ziemi, Fade zdążył nadszarpnąć morale w ponadstuosobowym oddziale wroga. Samolot szpiegowski, który nad nimi krążył, potwierdził potem, że mimo ciemności i wiatru Fade trafił człowieka z odległości dziewięciuset metrów.

Nic dziwnego, że Egan zwerbował go, kiedy jeszcze leżał w szpitalnym łóżku. Fade spędził na Bliskim Wschodzie blisko trzy lata, uczestnicząc w rozmaitych operacjach, aż w końcu dostał nożem w plecy od tej pieprzonej dziewczyny. Potem wszystko już poszło w cholerę. Jedyne, co Egan mógł dla przyjaciela zrobić, to zaproponować mu dowolne stanowisko szkoleniowe. Trudno się dziwić, że Fade odmówił. Uznał, że został zdradzony. I miał rację.

Rozdział czwarty

Ostrze pilarki uderzyło w krawędź deski i rozszczepiło ją, wypuszczając gwałtownie w bark Fade'a kawałek drewna.

- Jasny gwint!

Spojrzał na komplet mebli kuchennych, nad którym pracował, i ze złością cisnął deską w drzwiczki jednej z szafek, pozostawiając na nich pionową, głęboką rysę. Jedyne jego osiągnięciem po porannej wizycie Matta Egana i tej drugiej gnidy było zmarnowanie większej ilości dębowego drewna, niż mógł sobie finansowo pozwolić. Wszystko, co tak skrzętnie maskował siłą woli, lekami, szukaniem rozrywki, znowu zaczęło go dopadać ze wszystkich stron. Sięgnął po wiertarkę, ale opuściły go siły. Wyszedł przed dom w ciemność i nagle wydało mu się niemożliwe postawić jedną nogę przed drugą, i runął pod jakieś drzewo.

Jego oddech był teraz taki szybki, że zaczęło mu się kręcić w głowie, więc pochylił się i wsadził ją między nogi, skupiając się tylko na tym, żeby znaleźć uspokojenie.

Nie tak miało być. Był przecież najlepszy w swoim fachu. To się miało przełożyć na wspaniałą karierę. Żonę. Dzieci...

Ale nie ziściło się nic z tych rzeczy. Teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, miał tyle co nic, jakieś narzędzia, podupadający interes i parę niszczących rzeczy osobistych. Stosunki towarzyskie zerwał już przed wieloma laty. Nie było mowy, żeby rodzinę czy przyjaciół miało z nim wiązać uczucie winy, kiedy pocisk wreszcie go sparaliżuje. Sama myśl, że leży

nieruchomo i patrzy na topniejący z wolna korowód dawnych znajomych, którzy okazują mu litość, doprowadzała go do jeszcze większego szaleństwa.

Pozostało mu tylko dożyć ostatnich dni. Przez jakiś czas próbował czytać poradniki psychologiczne, ale rzucił je szybko, kiedy się zorientował, że to stek bzdur dla ludzi, których problemy były łatwe do rozwiązania albo istniały wyłącznie w ich głowach.

W jego wypadku jedynym rozwiązaniem była śmierć. Ale nie potrafił namówić siebie do samobójstwa. Czuł się przez to hipokrytą. Bo nigdy nie miał problemu, by zabijać innych.

Może to była kara. Wyrok brzmiał: pogrzebać żywcem we własnym ciele. To też jednak nie była uczciwa analogia. Ludzie pogrzebani żywcem umierali w ciągu kilku godzin. Tymczasem horror medycyny dwudziestego pierwszego wieku, przy odrobinie szczęścia, może utrzymywać go przy życiu przez dziesiątki lat.

Na domiar złego, jak się okazuje, w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego znalazła się grupa ludzi, którzy chcą go jeszcze bardziej usrać. Rząd amerykański potrafi okazać ośli upór, jeśli nie udaje mu się łatwo zdobyć tego, na co ma ochotę - to cecha, która się pogłębia w sytuacji, jeśli państwu zaczynają zagrażać, wymykające się spod kontroli, siły zewnętrzne. Strand na pewno wróci, a ten sukinsyn, Matt Egan, będzie stał u jego boku.

Z kieszeni roboczego kombinezonu Fade wyjął nóż do wyrzynania w drewnie i podniósł go, by przyjrzeć mu się w skąpym świetle padającym przez otwarte drzwi warsztatu. Ostatnia misja. Kiedy Strand się zjawi ze swoją watahą, nie potrafiąc zrozumieć prostego „nie”, znajdą tu po nich tylko gnijące w słońcu resztki - takie, jakie pozostawił po tylu innych.

Siedział tak przez dłuższy czas, wreszcie przycisnął nóż do wewnętrznej części nadgarstka i naciął skórę. Krew, która popłynęła po przedramieniu, wydawała się czarna.

Była piękna noc: ciepło, rozgwieżdżone niebo, cykanie świerszczy niesione delikatną bryzą. Nigdy nie byłoby na to lepszej pory. Przycisnął ostrze mocniej, ciemna strużka spływająca do łokcia wyraźnie zgęstniała.

Koncentrował się coraz mocniej, ale to tylko wzmagало drżenie ręki. W końcu opadł na ziemię, oczy miał suche, ale jego pierś się podnosiła i opadała w spazmatycznych oddechach. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał, choć przecież miał ku temu tyle okazji. Ludzie mówili, że to pomaga, i może pomaga. Bo jaki inny byłby sens płaczu?

Nie wiedział, jak długo leży - ale gwiazdy na niebie zmieniły położenie. Wreszcie zebrał się ciężko na nogi i ruszył w kierunku domu, a poczucie beznadziei, które zwykle w pojedynkę pochłaniało każde inne próbujące zakiełkować w nim uczucie, z wolna zaczynał wypierać gniew. Fade zmył przyschniętą krew, owinał nadgarstek bandażem, a potem przeszedł do salonu i zaczął grzebać w stosie książek dotyczących stolarki. Wreszcie pod sofą

znalazł to, czego szukał: katalog małych silniczków i serwomechanizmów używanych przy rozmaitych konstrukcjach w parkach rozrywki.

Stracił już rachubę, ilu ludzi, dzielnych i oddanych sprawie, straciło życie, próbując go zabić, i nie było mowy, żeby miał wrócić dla takiego siuska jak Hillel Strand. Czuł, że splunąłby tym samym na tych wszystkich, którzy walczyli twardo i ulegli.

Kiedy wchodził na poddasze, rana znowu zaczęła krwawić, jednak niezbyt poważnie. Szeroko otworzył stary, poobijany kufer, wypełniając powietrze stęchlą wonią starego kurzu, i opróżnił go z ułożonej w środku różnego rodzaju broni. Kiedy ją tu chował, spodziewał się, że któregoś dnia znowu może jej potrzebować, ale nie potrafił odgadnąć, skąd nadejdzie niebezpieczeństwo.

Na dnie kufra odnalazł też garść starych fotografii, na których z kolegami z oddziału zabawiają się w jakiejś taniej spelunie; fotograficzny dowód starannie przygotowanych swawoli, w które wkładał niegdyś tyle wysiłku. Kiedy patrzył na siebie na zdjęciach, czuł, że patrzy na martwego krewnego, którego nigdy nie znał. Nieuchwytnie wspomnienie, zabarwione jeszcze bardziej nieuchwytnym uczuciem żalu.

Wypuścił fotografie z ręki. Wyjął jeszcze z kufra taśmę mierniczą, by zmierzyć poddasze. Do diabła, jeśli Strand chce walki, będzie ją miał.

Rozdział piąty

Mimo trzeciego kaca w ciągu trzech ostatnich dni, o siódmej rano Matt Egan pchnął drzwi biura BPSiN. Kelly Braith, recepcjonistka, prowadziła przez słuchawki z mikrofonem rozmowę telefoniczną, ale zdołała posłać mu szeroki uśmiech, kiedy mijał ją w drodze na zaplecze, by dolać sobie więcej kawy.

Wypełniwszy po brzegi plastikowy kubeczek, który jakiś palant okleił nalepkami z Elise Egan, przeszedł pustym korytarzem. Po chwili, za dźwiękoszczelną szybą sali konferencyjnej, spostrzegł Hillela Stranda z ogromnym zajęciem rozprawiającego o czymś ze swoją asystentką. Egan przyśpieszył kroku, pragnąc przemknąć obok szyby niezauważony. Nje wchłonął jeszcze w siebie dość kofeiny, by brać na głowę coś poważniejszego niż przejrzenie porannej poczty.

Już prawie minął wielkie okno, kiedy nagle zatrzymał go charakterystyczny odgłos stukania w szkło. Gdy odwrócił głowę, Strand machał ręką, by Matt wszedł do sali.

Cudownie.

-...dobry - powitał ich Egan, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi.

Strand wyglądał na niepomierzenie zadowolonego. Lauren unikała spojrzeń Egana. Niedobry znak.

- Udało nam się zdobyć w sprawie al Fayeda coś, co powinno ciebie zainteresować - powiedział Strand, wskazując Eganowi puste krzesło i podchodząc do asystentki.

Zaczęła wolno, ani razu nie odrywając oczu od pliku dokumentów, które trzymała na kolanie.

- Nie było to łatwe, ale w końcu udało mi się wszystko powiązać w całość. Kiedy al Fayed odszedł z CIA, wyjechał do Bogoty. Tam, a być może już wcześniej, zaczął pracować dla kartelu Veli.

Jej wargi raptem jakby spierzchły i Lauren łyknęła wodę ze stojącej przed nią szklanki.

- Wybił tam kilku lokalnych konkurentów Veli, a resztę skutecznie wystraszył. Prawdopodobnie to al Fayed, w połączeniu z wyjątkową głową do interesów Castela Veli, odpowiada za sukces całego kartelu. Po jakimś roku jednak rzucił interes i wrócił do Stanów.

- Wydaje się dziwne, że ktoś taki jak Castel Vela pozwolił mu tak po prostu odejść - skomentował Strand.

- Rozmawiałam z jednym agentów DEA, który był w tym czasie w Kolumbii. Powiedział mi, że właściwie nikt dokładnie nie wie, co się wówczas działo. Jedni twierdzą, że Vela śmiertelnie się go bał, a drudzy, że kochał jak własnego syna. Jak zapewne wiecie, Vela zmarł pół roku temu, więc nigdy się nie dowiemy.

- Dlaczego ta sprawa nie wyniknęła od razu, kiedy sprawdzaliśmy akta al Fayed? - zapytał Strand tonem zdającym się zdradzać, że doskonale zna odpowiedź.

Lauren poprawiła się nieporadnie w krzesło, ale nie odezwała się słowem.

- Powiedźcie, zaraz spadnę z krzesła - powiedział w końcu Egan. - Nie każcie mi czekać.

- Ponieważ ta informacja została świadomie zatajona.

- Doprawdy? Przez kogo?

- Przez ciebie.

- Świetnie, Lauren. W ciągu trzech dni odkopałaś coś, co zagrzebywałem przez parę miesięcy. Order Złotej Gwiazdy.

Strand wskazał drzwi i Lauren wyskoczyła z sali, zanim zdołałby zmienić zdanie.

- Zdajesz sobie sprawę, że byłem nieco zaskoczony, kiedy dostałem raport?

- Fade zabijał kolumbijskich handlarzy narkotyków na kolumbijskiej ziemi. Jak mi się wydaje, nie jest to problem Stanów Zjednoczonych. Prawdę mówiąc, wiem z osobistego doświadczenia, że za takie usługi sami tam płacimy różnym ludziom.

- To są oficjalne działania, Matt, planowane i realizowane przez rząd Stanów Zjednoczonych, mające na celu likwidowanie handlu narkotykami. Nawet trudno je porównać do roboty al Fayeda. Pracował na rzecz systematycznego eliminowania słabszych organizacji narkotykowych, po to żeby Castel Vela z lepszym skutkiem mógł truć nasze dzieci.

Egan kiwnął głową, jakby słyszał, ale się nie zgadzał.

- Każdego tygodnia przyływa do tego kraju tyle kokainy, że mogłaby zatopić okręt wojenny, Hillel. Fade robił to, ponieważ...

- Nie ma znaczenia, ile tu napływa koki ani jakimi motywami kierował się al Fayed, prawda? Nie jesteś upoważniony do tego rodzaju stwierdzeń. I, do cholery, dobrze wiesz, że...

- Fade robił to - powtórzył z naciskiem Egan, uznając, że, do cholery, chce jednak dokończyć myśl - żeby zdobyć pieniądze na pomoc medyczną, którą my powinniśmy mu byli zapewnić. Kiedy jednak wrócił do Stanów, pojawiła się już tkanka bliznowata i było za późno na operację. To przez nas al Fayed tam się znalazł.

Strand podniósł obojętnie brwi.

- Dobrze. Dziękuję, Matt. To byłoby wszystko.

Egan wstał i pochylił się do niego nad stołem, patrząc szefowi prosto w oczy.

- To nie wszystko, Hillel. Mówię ci, zostaw to. Z tego nie wyniknie nic dobrego.

Strand milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć Eganowi, czy też podtrzymać polecenie, że ma odejść.

- Nie wiem, jak. mogłeś dojść do takiego wniosku, Matt. Na wyciągnięcie ręki mamy bardzo utalentowanego i świetnie wyszkolonego agenta, który mówi płynnie po arabsku. Oto, co dobrego z tego wynika.

Egan powoli usiadł z powrotem na krześle, ciągnąc dłonie po stole. Jeśli ma znaleźć sposób na przekonanie Hillela Stranda, to tylko teraz.

- Słuchaj... Fade, którego wczoraj widziałeś, nie jest już tym człowiekiem, którego ja znałem. Zaufaj mi, on jest na skraju załamania. O nim trzeba wiedzieć znacznie więcej niż to, co jest wypisane na kartce papieru.

- Może lepiej dla niego będzie, jeśli znowu wejdzie w środowisko zorganizowanej struktury, gdzie będzie mógł robić to, co potrafi najlepiej. Nie pomyślałeś o tym?

- Ale jemu nie jest potrzebna żadna zasrana zorganizowana struktura! - krzyknął Matt, nim zdołał nad sobą zapanować, ale podniósł dłoń, powstrzymał wybuch Stranda i kiedy znowu się odezwał, panował już nad głosem. - Przepraszam. Miałem ciężką noc. Może spróbuję inaczej. Mówisz, że jest dobry w tym, co robi. Ale tak naprawdę nie doceniasz jego umiejętności. Fade należy do tych niewielu ludzi, którzy są po prostu lepsi od każdego. Coś w

rodzaju Michaela Jordana, tyle że zamiast piłki w ręku ma karabin. Dzisiaj siedzi w baraku i robi drewniane stelaże do patchworków. I bardzo dobrze. Nie ma najmniejszego powodu, żeby tam włązić i trącać tego faceta patykiem. Łatwo przewidzieć, jak zareaguje.

Na twarzy Stranda pojawił się nagle szeroki, pełen niedowierzania uśmiech.

- Ty się go boisz, prawda?

- Śmiertelnie, Hillel.

Rozdział szósty

Karen Manning zadarła głowę i spojrzała w górę, w gęstą pajęczynę gałęzi przesłaniających słońce. W nocy padał deszcz i ziemia pod jej stopami była jeszcze mokra, co podnosiło wilgotność powietrza i sprawiało, że bluzka jej się przyklejała do pleców. Miała wrażenie, że to miejsce pochłania wszystko - powietrze, dźwięk i światło. Jakże właściwie, pomyślała.

Godzinę wcześniej zadzwonił, wyczekiwany z takim strachem, telefon - strumień świadomości, wypowiedany bez tchu przez mężczyznę, którego pies ruszył tropem słabej woni, teraz przenikającej już wszystko. Ten odór potęgował w niej gniew i frustrację do granic wytrzymałości. Jak zawsze.

- Masz coś? - zapytała, patrząc wreszcie w dół.

Obnażone ciało młodej kobiety zdążyło już nabrać jednolitej, żółtoszarej barwy, poza czarną pręgą na szyi, gdzie cienka linka zakończyła jej życie. Karen trzymała w ręku przemokniętą fotografię, pokazującą to samo ciało w czasach znacznie szczęśliwszych - uśmiechnięte, machające ręką, ubrane w żółte bikini.

- Nic nowego - odpowiedział John Wakefield, nie bez trudności kucając przy denacie i ostrożnie podnosząc jej rękę, chcąc się przyjrzeć zmiażdżonym pod spodem chwastom.

Patrząc na Wakefielda, nikt nie pomyślałby, że na tropienie morderców poświęcił całe swoje życie. Prędzej można by pomyśleć, że to dubler filmowy pana Rogersa. Albo sędziwy bibliotekarz.

Kiedy zaczęły się pojawiać ciała i listy, Wakefieldowi brakowało do emerytury kilka dni. Jako główny śledczy czuł się w obowiązku pozostać na stanowisku, a kiedy ogłosił swoją decyzję, wszyscy w Wirginii odetchnęli z ulgą. - Pięknie - powiedział, gramoląc się z trudem na nogi. Reumatyzm w kolanach sprawiał mu ból. Karen ujęła go pod ramię i pomogła mu wstać.

- Mamy mnóstwo czasu na działanie metodyczne... Cały czas świata.

Zawsze było tak samo. Co gorsza, zaczynała się w to wkradać monotonia. Najpierw znikła młoda kobieta, a krótko po tym na policję i do jej domu rodzinnego przychodzi list, w

którym porywacz w najdrobniejszym szczególe opisuje, co zrobi z porwaną. Dokładnie szesnaście dni później ciało dziewczyny zostaje porzucone w jakimś odludnym miejscu w Wirginii - zawsze nagie, związane i pozbawione jakichkolwiek śladów.

Karen wydała z siebie gniewny pomruk i weszła głębiej w las, łamiąc wściekle gałązki, które miały nieszczęście znaleźć się na jej drodze. Nie zatrzymała się, dopóki nie odeszła na tyle daleko, by uciec od zapachu zgnilizny i od hałasu radiowozów, jeżdżących w tę i w tę po leśnej drodze.

Nie mogła zrozumieć, jak Wakefield może trawić kolejne dni, sącząc te swoje cholerne herbatki ziołowe i spokojnie rozmyślając nad fragmentami jakichś paru dowodów, które cudem się udało zebrać. Ona chciała działać. Robić cokolwiek. Jeśli w takim tempie będą wokół tego dupka zaciskać pętlę, to umrze ze starości, zanim go złapią, a w tym czasie setki kolejnych Bogu ducha winnych kobiet spędzą ostatnie dni życia na modlitwie, by skończyło się ono jak najszybciej.

Za plecami usłyszała chrzęst stawianych nierówno kroków, ale się nie odwróciła.

- Wszystko w porządku, Karen? - Nie.

Wakefield stanął przy niej i powiódł oczami za jej spojrzeniem, w głąb ciągnących się w nieskończoność drzew.

- Po pewnym czasie możesz zacząć myśleć, że to twoja wina. Ale dobrze wiesz, że to nieprawda. To jego wina. - Pochylił się do niej, próbując ściągnąć na siebie jej wzrok. - Tyle chciałem powiedzieć. Pomogło? - Nie.

- Jest do powiedzenia coś, co pomoże?

Drgnęła, odwróciła się do niego gwałtownie i przemówiła, trochę zbyt donośnym głosem jak na ich otoczenie.

- Może mi powiedz, do cholery, po co wzięłeś mnie do tej sprawy? Nie jestem do takich rzeczy stworzona, oboje dobrze wiemy, że pod względem politycznym nie był to twój najtrafniejszy ruch w życiu.

Wakefield pokiwał głową w zamyśleniu, zupełnie nieporuszony jej wybuchem gniewu.

- Słuszne pytanie. Wybrałem ciebie, ponieważ jestem bardzo zmęczony, a ty jeszcze nie. Jesteś młoda, pełna pasji i energii. Nic z tych rzeczy nie potrafiłbym wnieść do śledztwa. Już nie. Jedyne, co mogę dać, to doświadczenie. Jeśli natomiast chodzi o politykę, to powiem ci, że jedynym plusem sytuacji, kiedy masz przejść na emeryturę, ale bierzesz jeszcze robotę, bo nikt inny nie chce jej wziąć, jest to, że politykę masz w nosie. Tak naprawdę, gdybym

zechciał, mógłbym wejść do domu kapitana i trzasnąć jego żonę w pysk. Wiesz, jakie byłyby reperkusje? Żadne.

- Widziałeś ją kiedyś? Naprawdę powinieneś ją trzasnąć.

Zaśmiał się swoim ciepłym śmiechem gospodarza telewizyjnych programów dla dzieci.

- Wiesz co, John? Jestem już chyba bliska obłąkania. Kiedy próbuję racjonalnie myśleć, opadają mnie fantazje, że ten potwór wpada mi wreszcie w ręce, a ja ukręcam mu żywcem łeb.

- Może powinnaś kupić sobie książkę o medytacji?

- Tak, na pewno kupię.

- Nie pomyślałaś, że ten człowiek może być chory? Karen podniosła oczy do nieba.

- Gówno prawda. Kolejny maniak, który nie potrafi się umówić na randkę. Wiesz, kto był chory? Kuba Rozpruwacz. To był, swego rodzaju, przedsiębiorczy facet i nawet oryginalny. Nie jakiś niedojda, któremu mama poświęcała za mało uwagi i który chce zobaczyć siebie w telewizji.

To wywołało śmiech, serdeczniej szy i bardziej ironiczny od tego, który można było usłyszeć u telewizyjnego kapitana Kangura.

- Wiesz, dlaczego jeszcze wybrałem cię do tej sprawy? Bo masz poczucie humoru i myślisz niekonwencjonalnie. Postawię się w trudnej sytuacji, ale powiem, że jesteś bodaj pierwszą osobą w historii, która dla charakterystyki Kuby Rozpruwacza użyła określenia „przedsiębiorczy”. - Położył jej na ramieniu ojcowską dłoń. - Posłuchaj, zapamiętasz coś sobie?

- Co takiego?

- Do tego śledztwa mogłem mieć najlepszych z najlepszych. Ale wybrałem ciebie.

- Wiesz, zabawny facet z ciebie, John. - Karen uderzyła się w piersi. - Poważnie. Tu się śmieję, tu, gdzie się liczy.

- Detektyw Manning?

Oboje odwrócili się do biegnącego w ich kierunku umundurowanego policjanta.

- Przyjechał kapitan. Chce z panią rozmawiać. Wakefield mrugnął do niej.

- Mam nadzieję, że nie usłyszał, co mówiłaś o jego żonie.

Kiedy Karen wybiegła z lasu, zobaczyła, jak kapitan Pickering opiera się o wóz policyjny i chłodnym okiem lustruje panujący dookoła chaos. Zwolniła kroku, zaczęła iść, robiła wszystko, by przemienić się w oddaną i karną podwładną, jaką Pickering chciał w niej

widzieć. Prawdę mówiąc, niewiele to mogło zmienić - kapitan jej nie cierpiał i absolutnie nic nie mogła z tym zrobić.

Kiedy dostała awans na dowódcę oddziału SWAT swojego obwodu, Pickering, w przeszłości sam będący dowódcą jednostki, miał wrażenie, jakby wszystkie jego zasługi i osiągnięcia straciły nagle na wartości. I nie był w tym odczuciu odosobniony. W całym stanie podniosły się głosy o „akcji afirmatywnej feministek”, a w obieg weszło tyle złośliwych dowcipów o blondynkach, że Karen zupełnie poważnie rozważała przefarbowanie się na brunetkę. Generalnie rzecz sprowadzała się do tego, że kapitan i jego łośki klub robili wszystko, aby podważyć jej awans.

Wobec tak silnego oporu, silniejszego, niż sobie wyobrażała, już po paru miesiącach chciała się podać do dymisji. Jednak zanim to zrobiła, usiadła z długopisem w ręku nad kartką papieru i zestawiała swoje kwalifikacje z kwalifikacjami mężczyzn, których pokonała w konkursie. Tym sposobem udało się jej wykazać, że bardziej się nadawała na to stanowisko od wszystkich pozostałych, poza jednym kandydatem, którego w większości kryteriów, choć minimalnie, również pokonała. Kiedy odłożyła długopis i wstała od kuchennego stołu, była przekonana, że zasłużyła sobie na to stanowisko, i zdecydowana nie dać się tak łatwo odtrącić.

- Chciał pan ze mną rozmawiać?

Nie odpowiedział; sięgnął tylko przez otwarte okno do wnętrza wozu i wręczył jej jakieś akta. Przejrzała je pobieżnie, zatrzymując się przy bardziej treściwych fragmentach.

- Co dalej?

- Twój zespół ma go zdjąć. Dzisiaj wieczór.

- Jaki zarzut?

Pickering ściągnął usta. Jeśli nie będzie uważał, zrobią mu się zmarszczki, których tak bardzo bała się jej mama.

- Mamy cynk, że to jakiś dupowaty żołnierz kolumbijskich karteli narkotykowych, który odpowiada za śmierć braci Ramirezów.

Kiwnęła przytakująco głową, a przeglądając kilka następnych stron, powstrzymywała odruch, by przygryźć dolną wargę. Bracia Ramirezowie byli parą dilerów średniego szczebla, których znaleziono przed miesiącem z małymi, okrągłutkimi dziurkami w głowach. W aktach nie wspomiano o nich ani słowem. Nie było też w aktach nic, co miałoby wskazywać, że słowo „dupowaty” trafnie charakteryzuje człowieka, którego dotyczyły. Zatrzymała się przy kopii fotografii prasowej, przedstawiającej jakiś zdewastowany dom.

- W luksusach raczej nie mieszka, prawda? Ciekawe, na co idzie cała ta wielka kasa, którą zarabia.

- Hm, gdybyś tam pojechała i go zdjęła, zamiast sterczeć tutaj, może byśmy się tego dowiedzieli.

Karen udało się uśmiechnąć i pominąć sarkazm milczeniem. Właściwie już do niego przywykła.

- Obserwowaliście go? Wiemy coś o jego przyzwyczajeniach albo...

- Widziałaś coś w aktach na ten temat? - Nie.

- Więc możesz obstawiać, że raczej go nie obserwowaliśmy. Słuchaj, Karen, ja nie proszę o wiele. Zakładamy, że facet jest uzbrojony, więc nie wysyłamy radiowozu. Zbierz ludzi, pojedź tam i przyskrzyń go, to wszystko.

- To były komandos SEAL, a teraz jeszcze słyszę, że kartelowy żołnierz. Jest pan pewien, kapitanie, że to najlepszy sposób zatrzymania? Może poczekać, aż wyjedzie do miasta, i zatrzymać go pod pozorem naruszenia przepisów drogowych? Coś z niższego tonu i bardziej na naszym terytorium.

Pickering spojrzał na nią przez słoneczne okulary.

- Jego służba w wojsku to zamierchła przeszłość, Karen. Teraz facet struga meble czy coś w tym rodzaju. Jego dom znajduje się daleko od skupisk ludzkich i jeśli nie muszę, wolę nie zaczynać z nim na środku zatłoczonej ulicy. Skoro uważasz, że nie dasz rady, znajdę kogoś innego.

Znowu wymuszony uśmiech.

- Tak jest. Zajmę się tym.

Rozdział siódmy

Fade czytał kiedyś książkę napisaną przez człowieka, który potrafił kierować własnymi snami. Kiedy wchodził w stan hipnotyczny, bliski nieświadomości, koncentrował się i wnikał w świat, jakiego zapragnął. Fade pracował nad tą sztuczką latami. Owszem, stworzył świat. Świat urzekająco ziemski, w którym był zdrowym ojcem i mężem, pracował od dziewiątej do siedemnastej, miał gromadkę dokazujących dzieci i samochód, który palił przynębiająco mało benzyny. Jednak nie udało mu się nigdy do tego świata przeniknąć. Tej fazy snu nie zaznał od lat. Raczej zapadał w jakieś głębokie otumanienie, które nigdy nie zaciemniło nawet wiszącego nad nim sufitu, nigdy nie powstrzymało nieprzerwanej parady cyfr na zegarze.

Ten wieczór był jeszcze gorszy. Fade tarł piekące oczy i w końcu dał za wygraną. Obrócił się do gołej ściany, przeklinając w duchu, że zapomniał kupić papierosy. Właściwie nie palił, ale był to nałóg, do którego zamierzał wrócić.

Za pierwszym razem odgłos nie wydawał się szczególny - cichy chrzęst, który z ledwością przeniknął przez ciężkie kotary w otwartych oknach. Fade wstrzymał oddech i nasłuchując uważnie, odwrócił głowę w stronę ciemności. Szop? Nie, odgłos, choć cichy, miał swój ciężar. Znowu jakiś niedźwiedź próbuje się dostać do kubła na śmieci? Może. A może to Hillel Strand z ofertą nie do odrzucenia.

Fade wyobraził sobie, jak mierzy w tę gładko ogoloną buzię z dwunastki i rozkwaszą wymalowany na niej wyraz samozadowolenia. Oczywiście jest mało prawdopodobne, aby Strand stawiał się tu osobiście. Na pewno przyśle oddział facetów, dawnych członków sił specjalnych, znacznie lepiej wykwalifikowanych do tego, aby nakłonić Fade'a do zejścia z błędnej drogi.

Ale Fade postanowił, że na to nie pozwoli. Zanim wpakują mu kulę, położy tyłu ludzi Stranda, ilu się da. Jakże próżny i gwałtowny koniec próżnego i gwałtownego życia. Odgłos się nie powtórzył. Fade przymknął oczy, wyobrażając sobie Hillela Stranda z przytkniętą do nosa strzelbą. Może to był świat snu, do którego potrafiłby przeniknąć? Coś bliższego rzeczywistości.

Ledwie się umościł na materacu, a do jego uszu doszedł kolejny cichy chrzęst, tym razem na tyle blisko, że mógł wyłowić detale. Głębia głosu i długość trwania utwierdziły go w przekonaniu, że odgłos ma swój ciężar. Jednak wyraziste dla ucha chrupnięcie wykluczało miękką łapę niedźwiedzia. Fade przy swoim niemałym doświadczeniu mógł jednoznacznie stwierdzić, że w tym wypadku to oznacza tylko jedno: but.

Fade pozostał nieruchomy na łóżku, uświadamiając sobie nagle, że akurat dziś wieczorem nie ma na to najmniejszej ochoty. Wybija ostatnie pół godziny jego życia, a on myśli tylko o tym, ile kłopotu może przysporzyć człowiekowi umieranie. Oczywisty znak, że za długo żyje na tym świecie. Człowiek, który tak nieudolnie go podchodził, był na tyle blisko, by wreszcie zmusić się do decyzji. Fade miał przy sobie pistolet i myśl, aby bezdusznie wygarnąć w pierwszą głowę, jaka pojawi się w oknie, była aż nadto kusząca. Jednak wszystkie przygotowania i pieniądze poszłyby wówczas na marne. To trochę wstyd.

Powolutku zsunął koc z nóg i przeczołgał się przez pokój. Wstał, nie tracąc z pola widzenia poruszających się kotar, wyciągnął ręce nad głowę i odryglował drzwiczki w ścianie, które prowadziły na poddasze. Na nowiutkich zawiasach otworzyły się niemal bez szmeru i Fade wciągnął się na górę na lekko skrzypiącej futrynie.

Stworzonemu przez niego na poddaszu „centrum dowodzenia” brakowało estetycznego wdzięku, o który zwykle umiał zadbać, ale miał za mało czasu. Ułożył się w czymś, co przypominało partacko pospawaną, stalową trumnę bez pokrywy, i wolno przejechał palcami po rzędzie ułożonych przed nim małych monitorów. Natrafił w końcu na włącznik, przesunął go i natychmiast oblała go przyćmiona zielonkawa poświata, której, o co zadbał wcześniej, nie spo. sób było zobaczyć z drugiej strony drzwi.

Włączył wszystkie pozostałe monitory, bacznie uważając, by nie potraćić przy tym któregoś z przełączników przykręconych do kawałka sklejk ani leżącego obok pilota zdalnego sterowania, przejętego z modelu samolotu i mocno przerobionego. Skrupulatnie sprawdził ułożoną równo broń - karabin M, nóż bojowy i pistolet kaliber mm - i ponownie skupił wzrok na ekranach monitorów.

Obraz był nadspodziewanie wyrazisty. To niesamowite, co w dzisiejszych czasach człowiek może osiągnąć dzięki Internetowi. W sumie większość tych bajerów jest lepsza od urządzeń, których jeszcze parę lat temu używał w CIA, uchodzących za cuda techniki.

Naprawdę był zdumiony, że wszystko działa tak znakomicie. Spodziewał się przecież, że wysłany po niego oddział spróbuje zakłócić transmisję radiową z zainstalowanych kamer. Wykorzystanie stałych łączy kablowych wydawało mu się zbyt kłopotliwe. Dziwne było także to, że nie włączył się niezależny generator prądowórczy - nie przerwali dostawy prądu. Może już stracił wyczucie? Może się chowa przed wiewiórką?

Na monitorze jednak nie zmaterializowała się wiewiórka, lecz postać mężczyzny, w czarnym mundurze polowym i ze szturmowym automatem w rękach. Mężczyzna przebiegł przed obiektywem ukrytej nad drzwiami frontowymi kamery z uaktywnionym noktowizorem.

Kilka chwil później niemal na każdym z monitorów dały się zauważyć ruchy. Fade bezszelestnie wiódł za nimi obiektywami, widząc, jak kolejni ludzie zajmują przed domem pozycje, które aż się prosiło zająć, gdyż sam je wcześniej przygotował - wykopał kilka naturalnie wyglądających wgłębień i wyeksponował je, ścinając parę newralgicznych gałęzi i konarów. Kiedy zajęli miejsca od frontu, dwóch mężczyzn pojawiło się przy tylnym wyjściu, stanąwszy po obu stronach drzwi. Fade przysunął nos do prawego monitora, usiłując dojrzeć, czy obstawili także jego warsztat, ale to przestało go interesować, kiedy naraz sobie uświadomił, że zapomniał o czymś bardzo banalnym. Własnym ubraniu. Wyglądało na to, że w swój bój ostatni wyruszy w bokserkach z królikiem Bugsem. Za to są prawie nowe. Widoczne na monitorze drzewo, stanowiące idealne miejsce dla snajpera mierzącego we front i boki domu, wciąż było puste, co wydawało się dziwne. Czyżby mieli jakiś techniczny supergadzęt, który ten dogodny punkt obserwacyjny czynił niepotrzebnym? Coś w rodzaju

bezzałogowych maszyn, które krążyły nad polem bitwy niczym sterowiec nad stadionem futbolowym podczas meczu? Czy te cudenka są teraz uzbrojone? Coś tu nie grało.

Wsparł się na łokciach i wzruszył tylko ramionami. Biorąc pod uwagę ostateczny cel operacji, nie było warto zaprzętać sobie głowy drobiazgami. Poza tym nie należał do tych, którzy przykładają wagę do technologii. Oczywiście na dużym teatrze działań ma ona sens, ale w sytuacjach jak te najczęściej tylko dekoncentruje uwagę. Zakładając oczywiście, że gadżet, na który się liczy, nie zabrudzi się jakimś pyłkiem i nie przestanie nagle działać.

Prawdę powiedziawszy, monitory, których używał, przeznaczone były do zabawy. Gdyby wiedział, że będą tak doskonale działać, kupiłby ich więcej i kilka kamer zainstalowałby dalej od domu. Czy Strand był w zasięgu? Prawdopodobnie nie. Ale Matt Egan tak. Z pewnością dowodzi tym przedstawieniem, małym, ale gwarantującym, że czas Fade'a na ziemi dobiega końca. Jedną z cech Egana było niecodzienne połączenie kreatywności i pedantycznej precyzji - właściwość nadzwyczaj mobilizująca, kiedy Fade służył pod jego rozkazami, ale w tym wypadku niewątpliwie zabójcza.

Fade próbował sobie wyobrazić, jak bierze Egana na muszkę i ciągnie za spust, ale zauważył, że taki obraz znacznie trudniej wywołać mu w myślach niż ten ze StranDEM w roli głównej. Spróbował jeszcze raz, ale nie potrafił zobaczyć czegoś więcej niż krzyżyk w celowniku. Powiedział sobie jednak, że jeśli w realnym świecie przyjdzie mu stanąć z Eganem twarzą w twarz, to, do cholery, pociągnie za spust. W tej chwili jeden z mężczyzn od frontu i jeden z dwójki na tyłach jednocześnie się wślizgnęli przez nie zamknięte drzwi do środka. Fade przeszedł na kamery wewnętrzne i patrzył, jak dokonują pierwszej lustracji salonu i kuchni. Zaraz potem dołączyli do nich dwaj kompani. Reszta pozostała na zewnątrz, jeden z przodu i jeden z tyłu, obaj w wygodnych wgłębieniach, specjalnie dla nich przygotowanych.

Czterej mężczyźni przeczesywali ostrożnie dom, a Fade, za pomocą joysticka, prowadził za nimi wewnętrzne kamery. Kiedy wszystko sprawdzili, rozluźnili się trochę i zaczęli zapalać światła. Obiektywy niezwykłych małych kamer, jak obiecano w dołączonych lśniących instrukcjach, automatycznie się przystosowały do nowego natężenia światła. Miał ich jak na widelcu.

Dwóch zajęło pozycje w salonie, a dwóch innych w sypialni. Jak się wydawało, tylko stali przy łóżku, a jeden mówił coś do mikrofonu przy kołnierzu.

Fade miał dostęp do obu tych pomieszczeń - do sypialni przez drzwiczki z poddasza, a do salonu przez właz, który kiedyś wyciął w suficie. Pytanie tylko, co z tymi możliwościami zrobić. Założył, że przyjrzą się już architektonicznym detalom domu i najprawdopodobniej

mogą już domniemywać, że znajduje się na górze. Próbują go stąd wywabić? Jasne. To oczywista pułapka, ale jakiego rodzaju? Stali tylko, a karabiny mieli opuszczone luźno u boków. Co knuł ten szczywany lis Egan?

Patrzył, jak jeden z mężczyzn w salonie podchodzi do dużego kominka i zaczyna się bacznie przyglądać metalowej płycie z uchwytem, która leżała tuż przed nim na posadzce. Chyba nie bardzo wiedział, co o niej myśleć. Z kolei drugi w sypialni zdjął rękawiczki i podszedł do łóżka, najwyraźniej, aby sprawdzić, czy jest ciepłe. Kolejna próba, by go wywabić?

Fade się uśmiechnął i potrząsnął głową. To był cały on - nie chciał, żeby go ktoś przechytrzył. Tymczasem najlepiej mieć w głowie finał, na który liczył - ogólnie rzecz biorąc mnóstwo strzelaniny, kilka krótkich eksplozji i śmierć. Jeśli ma dłużej pozostawać na poddaszu, to mógłby umrzeć chyba tylko z ciekawości.

Łapiąc za M, Fade podźwignął się ze stalowej trumny i otworzył z hukiem drzwiczki, którymi wszedł na poddasze.

Dwaj mężczyźni, słysząc trzask drzwi uderzających o ścianę, obrócili się błyskawicznie na pięcie, a jeden z nich, zanim serie

Fade'a trafiły ich obu w twarz, zdążył nawet oddać parę strzałów w deski podłogi. Fade wpółzawisł z otworu poddasza i spojrzał z ukosa na zdruzgotane kości i mięso pod hełmami obu mężczyzn. Co tu się do diabła dzieje? To niemożliwe, żeby tak łatwo udało mu się zdjąć obu gości. Po prostu niemożliwe.

Odgłos biegu, a potem raptowna cisza, kazały mu się szybko schować z powrotem, dosłownie w chwili, gdy seria kul przeszła ścianę tuż koło niego.

- Strych! Strych! - usłyszał krzyki, kiedy zatrząskiwiał drzwiczki, ciągnąc za przywiązaną do nich linkę.

Sekundę później wskoczył do swojej trumny i zakrył uszy. Jak się spodziewał, kule zaczęły bić w sufit, gruchocząc płyty gipsowe, drewno i zagęszczając powietrze do tego stopnia, że musiał przytknąć nos do monitorów, żeby widzieć strzelających.

Mężczyzna w salonie przykucnął lekko i słał dziko w górę seria za serią. Drugi przeszedł do sypialni, strzelając w resztki po drzwiczkach prowadzących na poddasze. Ich koledzy na zewnątrz wykrzykiwali coś do mikrofonów, ale raczej nie przejawiali zamiarów, by wejść do akcji z większym zaangażowaniem.

Fade zauważył, że mężczyzna w salonie znalazł się mniej więcej pod nim i strzela dalej nieustannie, celując pionowo w górę. Huk kul bijących o stalowe dno był wprost ogłuszający, mimo że Fade palce przycisnął do uszu; przy każdym trafieniu odczuwał silne

wibracje. Nagle mężczyzna padł. Fade w okamgnieniu się domyślił, że dostał własnym rykoszetem.

- Chyba, kurwa, robicie sobie jaja! - powiedział głośno, choć nie mógł siebie usłyszeć, ponieważ mężczyzna w sypialni dalej prowadził ogień.

Mimo małych rozmiarów monitora Fade dostrzegł, że w czasie strzelania mężczyzna otwiera szeroko usta i zdaje się krzyczeć. Niebawem będzie wiedział na pewno, bo przy takim tempie strzałów facetowi za kilka sekund skończy się amunicja.

Na innym z monitorów zobaczył, jak od ściany lasu odrywa się trzech mężczyzn i pędzi sprintem przez podwórze. Kiedy dotarli pod dom, jeden z nich wyjął nożyce do cięcia kabli pod napięciem i przerwał dopływ prądu do budynku - to również było do przewidzenia. Fade trącił palcem kolejny przełącznik i uruchomił generator w piwnicy, przekierowując prąd do swoich elektronicznych zabawek. Ekrany się włączyły, ale po jakichś pięciu sekundach znowu padły. Pokręcił jeszcze trochę joystickiem, ale nic nie pomogło. Nie ma co narzekać; i tak wszystko wytrzymało dłużej, niż się spodziewał.

Kiedy karabin w sypialni ucichł, Fade wsunął na oczy gogle z noktowizorem, kupione w zwykłym sklepie sieci Sharper Image, zawiesił sobie na nagim torsie pilota od modelu samolotu i przez wycięty w suficie właz spuścił się do salonu.

Dom był stary, ale nad wyraz masywny, co sprawiło, że zeskok na stary, miękki dywan nie spowodował hałasu. Trzymając nóż między zębami, Fade ostrożnie się podczołgał do mężczyzny na podłodze, choć było jasne, że nie żyje. Kula, którą sam wystrzelił, weszła w powrotną trajektorię i trafiła go w szyję tuż nad kamizelką kuloodporną. Pieskie szczęście.

Fade poczołgał się dalej, docierając wreszcie do otwartych drzwi sypialni. Zerknął jeszcze za siebie i wturlał się do środka, omiatając karabinem wnętrze; mężczyznę, który do niego z dołu strzelał, zobaczył dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej. Teraz się odwrócił. W lewej dłoni trzymał nowy magazynek. Na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zdziwienia, kiedy Fade podniósł karabin i wystrzelił prosto w tę twarz - ponad ubiorem i kamizelką chroniącymi ciało.

Nic dziwnego, że Strandowi tak na nim zależało. Swoją drogą, skąd on wziął tych koleś? Ze zgromadzenia wiejskich kwaków?

Kiedy Fade przeczłgał się z powrotem do salonu, dom był pusty. Wykorzystał sposobność i z najbliższego ciała, krwawiącego na podróbkę orientalnego dywanu, zdjął radio. Wcisnął słuchawkę do ucha i ostrożnie ruszył przez pokój w stronę wielkiego kominka.

- Wchodzę przez kuchnię - zatrzeszczało w radiu. Niedobrze.

Przetoczył się szybko na bok, w samą porę, by uniknąć ognia z broni maszynowej, który poszedł nagle na oślep z kuchni. Dalej pełził w kierunku kominka.

- Mamy zabitego w salonie! Co najmniej jednego zabitego widzę w sypialni! - usłyszał w słuchawce. - Podejrzany przemieszcza się na południową stronę pokoju.

Wydawało się prawdopodobne, że faceci na zewnątrz podchodzą pod okna, a jeśli uda im się to, zanim on dotrze do kominka, znajdzie się w samym środku niemiłego ognia krzyżowego. Czas na podjęcie wkalkulowanego ryzyka. Zerwał się na nogi i jednym susem zanurkował za kanapę; uderzył karkiem o podłogę, ale natychmiast stanął na czworakach. Dźwięk tłuczonego szkła za jego plecami porwał go znowu do szybkiego ruchu. Odepchnął się ślizgiem po podłodze, żałując, że dokładniej jej nie wypolerował, kiedy raptem kolejna salwa zaczęła tuż przed nim roznosić układ cegieł w ścianie. Poczł lekkie ukłucie w biodrze, kiedy wcisnął się wreszcie w otwór kominka i złapał uchwyt metalowej płyty. Pociągnął ją w górę, podniósł i osłonił kominek - w samą porę, by usłyszeć, jakże znajomy, odgłos kul łomoczących o metal, a nie, równie znajomy, odgłos kul uderzających w ciało.

Sięgnął nad głowę i wymacał małą latarkę w kształcie długopisu, którą przykleił wcześniej taśmą do uchwytu szybra. Oświetlił nią wiszącego u szyi, cudem ocalałego pilota. Przez chwilę tarł palce, a potem ceremonialnie wcisnął guziki oznaczone nalepką „kuchnia” i „salon”. Nic się nie stało.

Marszcząc z niezadowoleniem brwi, Fade się rozejrzył w ciemności i po namyśle poluzował stalową płytę osłaniającą otwór kominka. Wysunął antenę pilota przez wąską szparę i ponownie wdusił oba przyciski - tym razem z oczekiwanym rezultatem. Płyta z wielką siłą gruchnęła z powrotem w jego kierunku, wyginając antenę i rzucając nim o tylną ścianę kominka.

Odczekał kilka sekund, czując, jak nagrzewa się w jego dłoni uchwyt płyty, i wsłuchując się w dzwonięcie w uszach. Potem powoli opuścił prowizoryczną tarczę, ale tylko tyle, żeby oszacować stan domu.

Północna ściana znikła. Przypuszczał, że to samo stało się z większą częścią kuchni, ale nie widział jej ze swojego stanowiska. Na podłodze i na tym, co kiedyś było jego meblami, płonęło mnóstwo maleńkich ognisk. Dym, który się gromadził po jego stronie, był na tyle gęsty, że maskował jakikolwiek ruch, ale nie aż tak, żeby go podtruć. Jeszcze nie.

- Raportuj! - w słuchawkach zarekwirowanego radia zachrobotał głos kobiety.

Znowu uchylił płytę, by poprawić odbiór.

- Tom dostał - odpowiedział drżący męski głos. - Widzę go z mojej pozycji. Nie widzę Jima. Był w kuchni, ale kuchni już, kurwa, nie ma.

- Zostań na swojej pozycji i zachowaj spokój. Masz ślad podejrzanego?

- Nie, ale musi być trupem. Właściwie cały dom wyleciał w powietrze.

- Craig! Co masz?

- Południowa ściana budynku prawie nieruszona, ale ogień coraz gwałtowniej się rozprzestrzenia. Nie widzę żadnego ruchu, mnóstwo dymu. Jeśli facet jeszcze żyje, to nie pożyje długo.

Bardzo prawdopodobne, Fade to wiedział. Jeśli jednak ufać, że jego pilot będzie działał, mimo złamanej anteny, to pożyje dłużej niż oni.

Cicho opuścił stalową płytę, wyczołgał się z kominka i położył plackiem na podłodze. Podniósł wysoko pilota, by uzyskać jak największy zasięg.

- Chyba mam ruch!

- Zostań na...

Tym razem eksplozje nie były tak ogłuszające - za to jasne rozbłyski na krótko przemieniły dym z czarnego w szary w chwili, gdy modelarski serwomechanizm wyciągnął zawleczeni z granatów zakopanych w nieckach pod mężczyznami zajmującymi pozycje na zewnątrz.

- Kurwa! - usłyszał w słuchawkach. - Dostałem! Dostałem!

Po tym krótkim oświadczeniu nastąpiła, brzmiąca już mniej obiecująco, seria mokrych charknięć. Najwyraźniej gościu nie leżał tam, gdzie miał leżeć. Powinien był się położyć idealnie nad zakopanym granatem.

Nieszczęsna komplikacja. To facet na północy czy na południu? Był w stanie jeszcze prowadzić ogień?

- Czekaj, wchodzę! - Znowu głos kobiety.

Gdzie, do cholery, jest w tym wszystkim Matt? Od kiedy pozwala innym dowodzić operacjami bojowymi? I od kiedy w takich przypadkach pozwalają dowodzić kobietom? Z daleka, kiciuś, przybywasz?...

Fade zerwał z głowy gogle z noktowizorem, stanął na nogi i przebiegł przez salon, tańcząc niezdarnie między gorącymi odłamkami i ogniskami, parzącymi bosa stopy. Północ, skoro nie było tam już ściany, wydawała się przejściem po linii najmniejszego oporu. Wybrał więc ten kierunek, krztusząc się już dymem, który gęstniał pod częściowo zwalonym dachem.

Wpółpochylony pobiegł w stronę małego ognia, gdzie znajdowało się ostatnie znane mu stanowisko snajperskie przed domem. Jak wiele razy w przeszłości, tak i teraz szczęście mu sprzyjało; na ziemi zobaczył rozciągnięte ciało w czarnym uniformie.

Zmienił kierunek i zaczął biec do warsztatu, najszybciej jak pozwalały mu na to bosa stopy, lecz raptem dostrzegł kątem oka samochodowe reflektory. Nadciągały obrośniętą drzewami dróżką, która służyła mu za alejkę dojazdową do domu.

- Craig! Jaka jest sytuacja? - krzyczała kobieta w słuchawki.

Cisza.

- Craig! Odezwij się!

Jak się po chwili okazało, reflektory należały do olbrzymiej czarnej półciężarówki, która na nieutwardzonej nawierzchni miała ogromne trudności z utrzymaniem równomiernej prędkości. Parła przed siebie po wybojach, przeraźliwie podskakując z trzaskiem, a mimo to nie jechała szybciej niż jakieś dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Fade przylgnął do najbliższego drzewa i nakierował celownik karabinu na ciemną postać za kierownicą. Jednak po chwili się rozmyślił. Plan, aby dziś wieczorem zakończyć życie, nie za bardzo się sprawdzał. Czas więc na małą improwizację.

Samochód dalej się tłukł po wyboistej drodze, a on przykucnął nisko i kilkoma gałązkami osłonił białe bokserki przed snopem światła.

Okno po stronie kierowcy było otwarte. Wyraźnie widział w nim jasnowłosą, nie osłoniętą hełmem głowę, którą szarpało to do tyłu, to do przodu. Kiedy samochód się z nim zrównał, Fade wskoczył na stopień przy drzwiach, owinął rękę wokół luźnego końskiego ogona i lekko zeskoczył z powrotem na drogę.

Właściwie się nie zastanawiał, co by się stało, gdyby kobieta miała zapięte pasy bezpieczeństwa - wyraźny dowód, ile kosztowały go lata spędzone w zawodzie samotnego meblarza. Doszedł do wniosku, że skończyłaby albo ze złamanym karkiem, albo z mało atrakcyjną łysiną na głowie.

Ale na szczęście niezbyt się przejmowała bezpieczeństwem w ruchu drogowym i dała się wyciągnąć przez okno bez uszczerbku na zdrowiu. Zaciśnęła dłonie na jego przedramieniu, Fade rzucił ją na ziemię, a auto się potoczyło na jakieś drzewo.

Odciągając kobietę na bok, Fade chciał obrócić ją na brzuch, ale kiedy próbował to zrobić, puściła przedramię i złapała go mocno za łokieć. Nie zważał na to za bardzo, dopóki, za sprawą jakiegoś przemyślnego chwytu dźwigniowego, omal nie zwichnęła mu ramienia. Zmuszony zwolnić uchwyt, Fade znalazł się nagle na plecach, wijąc się z bólu i wytykając sobie w myśli, że w tym wieku powinien już wiedzieć, co może grozić ze strony kobiety.

Tymczasem w trakcie szamotaniny kobiecie udało się podnieść na kolana, a potem stanąć na nogi. Potykając się, zaczęła biec w kierunku samochodu. Fade zebrał się w sobie, wstał i dla pewności zatoczył ramieniem koło. Żadnego poważnego urazu.

Kiedy uciekła mu na kilka metrów, padła na kolana i zaczęła się szarpać ze skórzaną zapinką, która zamykała kaburę z jej bronią. Fade słyszał, jak uszło z niej powietrze, kiedy padała na ziemię, i uznał, że nie zdoła tak szybko złapać tchu. Podbiegł do niej, chwycił ją znowu za włosy i wcisnął jej twarz w ziemię, nawet nie uchylając się przed jej łokciem, którym machnęła słabo, jakby w zwolnionym tempie.

Przy pasku miała parę kajdanek, cóż za udogodnienie; spiął jej ręce na plecach, a ona usiłowała sobie w tym czasie przypomnieć, jak się oddycha.

Wsunął jej dłoń pod brzuch, odpiął pas z bronią, potem jedną ręką przyszpilił kajdanki do łądźwi, a drugą błyskawicznie ją obszukał, nie znalazł nic szczególnego poza małym nożem i radiofalówką. Kiedy cisnął jej broń między drzewa i z bólem przerzucił ją sobie przez ramię, kobieta zdążyła już odzyskać oddech, w każdym razie na tyle, by próbować kopnąć go w krtań.

Fade wszedł do lasu i ręką, której nie używał do powstrzymywania wierzgnięć, sięgnął po automat. Chciał ruszyć do swojego samochodu, ale zatrzymał się jeszcze i palcem u nogi przycisnął ostatni z guzików na pilocie. Pół sekundy później nastąpiła eksplozja w oddalonym o parędziesiąt metrów drzewie, a jego koronę objęły płomienie. Odruchowo przykucnął i patrzył, jak płonące odpryski ulatują w noc.

- Nie chce mi się wierzyć, że nikogo tam nie ulokowałaś - powiedział do coraz słabiej opierającej się kobiety. - Masz pojęcie, jakie to upierdliwe wdrapywać się na drzewo z ładunkiem wybuchowym? Włożyłem w to kupę roboty.

- Pu... puszczaj mnie - wydusiła z siebie.

- Może później. Na razie musimy pogadać.

Rozdział ósmy

Fade'owi trudno się było pozbyć uporczywego poczucia dezorientacji, kotłującego się gdzieś głęboko w głowie. Wyobrażał sobie, że właśnie tak by się czuł, gdyby ktoś przyłożył mu do czoła pistolet, pociągnął za spust i odkrył, że magazynek jest pusty. Kiedy się dekował na poddaszu, nie opuszczała go kojąca pewność, że nie przeżyje nocy. Tymczasem proszę, jedzie w majtkach autostradą, a obok, na miejscu pasażera, siedzi kobieta, która chciała go zabić. Ścisłej biorąc, klęczy na podłodze, z twarzą wtuloną w siedzenie, a rękoma związanymi na plecach i wcisniętymi pod tablicę rozdzielczą.

Zwolnił i rzucił okiem na zjazd z autostrady. Szukał przez chwilę czegoś w pamięci i w końcu zjechał w prawo. Na wąskiej wiejskiej szosie mrok gęstniał coraz bardziej, tylko z rzadka rozjaśniany światłem samotnych stacji benzynowych i wpółwymarłych miasteczek. Po

przynajmniej trzech błędnych skrętach Fade znalazł wreszcie stary kwartał przemysłowy i zwolnił przy brudnych fasadach zapuszczonych, niemal nie zamieszkanym domów.

Widział, jak kobieta się spięła, kiedy zatrzymał samochód i sięgnął nad jej plecami do schowka, z którego wyłuskał pilota do drzwi garażowych. Nie używał go od pięciu lat i właściwie się nie spodziewał, żeby zadziałał, ale kiedy przycisnął guzik, znajdujące się przed nim metalowe, zardzewiałe drzwi drgnęły i zaczęły się ze zgrzytem unosić. Ma swój dzień.

Wjechał do środka i przycisnąwszy znowu guzik, zamknął za sobą drzwi. Było to jedyne wejście do jego części budynku, będącego długim, niskim magazynem podzielonym na szereg odrębnych kwater, którego fasadę tworzyły identyczne ścianki z kruszejących cegieł. Kwatera, którą kupił za gotówkę po powrocie z Kolumbii, składała się z trzech pozbawionych okien pomieszczeń: wybetonowanego wjazdu, gdzie zostawił samochód, małego saloniku oraz sypialni, gdzie znajdował się jedynie sejf i materac. Poza tym była jeszcze mała łazienka i garderoba, z której nigdy nie chciało mu się uprzątnąć śmieci.

- Jesteśmy w domu - powiedział, łapiąc znowu kobietę za koński ogon i wyciągając ją w ten sposób z szoferki.

Nie zamierzała się bronić, ale nawet w bladym świetle, jakie się sączyło z pilota do otwierania garażu, można było dostrzec, że kipi z wściekłości.

Był tuż za nią, jedną ręką przykładając jej nóż do gardła, a drugą otwierając metalowe drzwi prowadzące do prowizorycznego saloniku.

Kiedy przeszli przez próg, nagle z prawej strony rozległo się głośne kliknięcie. Fade obrócił się błyskawicznie, zasłaniając się kobietą jak tarczą i sięgając po przewieszoną na ramieniu broń. Jednak zanim zdążył wyszarpnąć z kabury pistolet, pokój wypełniły dźwięki piosenki „Don't Worry, Be Happy”.

Fade odetchnął z ulgą i włączył lampę pod sufitem. Plastikowa ryba, którą kiedyś sobie kupił dla żartu, wiła się wesoło w takt melodii. Pomysł jej zakupu wziął się wówczas z przeświadczenia, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie mu wrócić w to miejsce, będzie to pewnie oznaczało, że ma kompletnie schrzaniłe życie. Rachuba, jak się okazało, najzupełniej trafna.

- Wybacz na sekundę.

Fade obszedł dookoła kobietę i zdjął rybę ze ściany. Rzucił ją na podłogę i zaczął po niej skakać, słuchając ostatnich gulgotów piosenki i patrząc, jak kawałeczki plastiku rozpryskują się po betonowej posadzce. Mimo powierzchownych rozcięć i zadrapań, które powstały na bosych stopach od kawałków plastiku, poczuł się trochę lepiej.

Kiedy podniósł wzrok, kobieta świdrowała go spojrzeniem; bacznie, choć wciąż z rozszerzonymi oczami. Mogąc teraz dłużej się jej przyjrzeć, stwierdził, że jest nawet

atrakcyjna. Była mniej więcej tego wzrostu co on - jeśli nie liczyć butów bojowych, które podwyższały ją do przynajmniej metra osiemdziesiąt. Czarny mundur polowy, który miała na sobie, nie oddawał jej kształtów, jednak tam, gdzie się stykał z ciałem, zdradzał jej wysportowanie, dzięki któremu o mały włos wywichnęła mu ramię. Dość długie, jasne włosy nie pasowały do jej profesji, ale uroczo ozdabiały surowe rysy twarzy i trochę spieczony na słońcu nos. Wrażenie ogólne? Zawodowa siatkarka plażowa. Albo surferka. Albo może...

- Co dalej? - zapytała.

Fade zastanowił się chwilę nad pytaniem, a potem zaczął się przekopywać przez zawartość kartonu, który stał przy umywalce. W końcu znalazł w nim rolkę grubej taśmy klejącej.

- Można jej użyć na tysiąc jeden sposobów - powiedział, wskazując jej jedyne w pokoju krzesło.

Spojrzała na nie, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Jak na razie, tak mi się wydaje, to ja mam przewagę - przypomniał, kręcąc rolką na wskazującym palcu.

Usiadła z wahaniem. Fade przykleił łańcuch kajdanek do oparcia, a jej kostki do nóg krzesła - bacząc przy tym, by nie zbliżać zanedo głowy do jej ciężkich butów.

Upewniwszy się, że jest odpowiednio unieruchomiona, Fade przeszedł do sypialni i rozerwał leżący w narożniku plastikowy worek do śmieci. Na szczęście był dość zapobiegliwy, żeby zapakować tu ubrania na zmianę, kilka par butów, a do tego jeszcze batoniki „PowerBar” twarde jak kamień, kilka pudełek błyskawicznego makaronu z serem i przybory toaletowe. Aż trudno uwierzyć, ile kłopotu mogłaby przysporzyć próba kupienia czegoś do ubrania, jeśli nie ma się dosłownie nic. KLIENTÓW BEZ BUTÓW I KOSZULI NIE OBSŁUGUJEMY.

- No, teraz już lepiej - oznajmił, wracając do saloniku w pełni ubrany i stawiając przed nią stół zбитy z grubej dykty.

Jak na swoje paskudne położenie, dziewczyna trzymała się całkiem nieźle. Można było mieć wrażenie, że coś tam zawzięcie knuje za tymi swoimi niebieskimi oczami, ale

/ prawdę mówiąc, nie miała zbyt wielu opcji, nad którymi mogłaby rozmyślać.

- Śliczne mieszkanie - powiedziała w końcu, gdy zaczęła ją dręczyć cisza.

Fade przysiadł na stole.

- Podoba ci się? Kupiłem je zaraz po powrocie do Stanów. Doszedłem wtedy do wniosku, że Kolumbijczycy mogą pewnego dnia zmienić plany co do mojej osoby i będę musiał nawiewać. Wiesz chyba, że mają nieco, nazwijmy to, zmienną naturę? Ale ostatecznie

Castel wybrał emeryturę, a ja właściwie nie pozostawiłem przy życiu nikogo innego, kto chciałby ze mną zadzierać. Już myślałem, że wyrzuciłem pieniądze w błoto, a tu proszę, zjawiliście się wy.

- Powinieneś... Powinieneś oddać się w ręce policji. Jej głos brzmiał trochę mniej pewnie niż przed chwilą.

Widocznie zaczynały do niej docierać wydarzenia minionej nocy i sytuacja, w której się znalazła. Najlepiej będzie, jeśli ten szok podziała jeszcze trochę na jego korzyść. Fade oderwał z rolki piętnastocentymetrowy kawałek taśmy, przykleił go do jej ust i znowu wyszedł do sypialni. Sejf nie był przedniej marki - kupił go w sieci towarowej Sam's Club - ale miał solidną kotwę w ścianie i był wystarczająco masywny, żeby odstraszyć złodziei, może poza tymi najbardziej pracowitymi. Patrząc jednak na grubą warstwę kurzu pokrywającą sejf, łatwo było odgadnąć, że nie gościł tu żaden z nich.

Energicznie zatarł ręce i zajął się obrotowym zamkiem szyfrowym. Udało mu się za czwartym razem. Pociągnął ciężkie drzwi, odsłaniając równo ułożone rzędy broni, gotówki, przebrań i innych akcesoriów niezbędnych każdemu uciekinierowi.

Na początek wyjął pudełko po butach, pełne dokumentów ściągniętych gumkami w parę plików. W każdym pliku znajdował się paszport, prawo jazdy i co najmniej dwie karty kredytowe. Zdjęcie w pierwszym zestawie, po który sięgnął, przedstawiało go z długą brodą, a nazywał się Mohammed Fasal. Niegłupi pomysł przed jedenastym września, ale dzisiaj idealny sposób na zwrócenie na siebie uwagi. Drugi zestaw wydał mu się właściwszy. Wrzucił go na dno torby sportowej razem z przebraniem, które wykorzystał do zdjęć na dokumentach.

Kobieta w pokoju obok zaczynała się niecierpliwić. Usłyszał stuki nóg krzesła, które rozkołysała, próbując się uwolnić z więzów. Gdy wyrżał przez uchylone drzwi, natychmiast znieruchomiała.

W ciągu następnych dziesięciu minut wypełnił torbę wszystkim, co było mu tego dnia potrzebne, resztę dobytku wsadził z powrotem do sejfu. Potem zatrzaskał drzwi, obrócił kilka razy szyfrowym zamkiem, wrócił do saloniku i jednym ruchem zerwał taśmę z ust kobiety.

- Godocholeryyyy...!

- Powiedział ci już ktoś, że tracisz za dużo negatywnej energii?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, patrzyła więc tylko na niego w ciszy, a Fade znowu przysiadł na stole.

- Porozmawiajmy.

- Porozmawiamy, jak zdejmiesz resztę taśmy. Fade uśmiechnął się z przekąsem i pokręcił głową.

- Taki twardziel, a boi się kobiety?

- Dano mi niejedyn powód, żeby bać się kobiet. Poza tym coś niecoś o tobie wiem.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Nie konkretnie o tobie - odpowiedział Fade, zakładając nogę na nogę. - Ale słyszałem, że armia szkoli żeński oddział sił specjalnych, który ma być przerzucony na Bliski Wschód. Doszedłem do wniosku, że to może być prawda, bo to całkiem niezły pomysł. Grupa chłopców, z armii chrześcijan, rewidujących w Afganistanie kobiety nigdy nie przysporzy nam przecież wielu przyjaciół. Widzę jednak, że projekt jest bardziej zaawansowany, niż myślałem.

- O czym, do diabła, mówisz?

- No... o siłach specjalnych, Bliskim Wschodzie, różnicach relig...

- Jestem policjantką! - Ha...!

- Słuchaj, powiedz mi po prostu, czego chcesz. Może będę mogła ci pomóc, co? Nie chcę, żeby sprawy potoczyły się jeszcze gorzej.

- Może być jeszcze gorzej?

Na chwilę, kiedy się zastanawiała nad odpowiedzią, ściągnęła brwi.

- Możesz mnie zabić. Fade wzruszył ramionami.

- Gorzej dla ciebie, ale dla mnie, jak by na to nie patrzeć, już nie.

- Chyba nie chcesz jeszcze wpako...

- Jak masz na imię? - Co?

- Słyszałaś.

- Karen.

- W porządku, Karen. Przejdźmy do rzeczy. Ty chcesz przeżyć, a ja chcę wiedzieć wszystko o Strandzie. Ubijemy interes?

- Co? Nie znam żadnego Stranda. Fade zmarszczył mocno brwi.

- Nie zdążyłaś się jeszcze rozejrzeć? Jeśli miałaś trochę czasu na mielenie jęzorem, to dawno się już skończył.

- Słuchaj, nie wiem, co twoim zdaniem jest tutaj grane...

- Karen, nie wyglądasz na głupią, więc nie zachowuj się głupio. Myślisz, że Strand zaryzykuje dla ciebie życie?

Poprawiła się nerwowo na krześle, na ile pozwoliła jej taśma, najwyraźniej nie wiedząc, co dalej robić. Minęło dobre pół minuty, zanim znowu na niego spojrzała.

- Może masz jakieś problemy... Może widziałeś coś, gdy byłeś w marynarce, i nie dajesz sobie z tym rady. Sąd bierze takie okoliczności pod uwagę. Naprawdę mogę pomóc.

Fade nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Sąd, hm? - Zsunął się ze stołu i łapiąc ją pod brodę, odchylił jej głowę. - Posłuchaj mnie. Nie chcę cię skrzywdzić, ale chcę Stranda i zrobię wszystko, żeby go dostać w swoje ręce. Czy wspominałem ci już, że w technikach przesłuchań szkolili mnie Izraelczycy? Będzie lepiej, jeśli od razu powiesz, gdzie pracuje, gdzie mieszka, jakie ma wpływy, a potem się zastanowimy co dalej...

- Ja nie...

Gwałtownie odciągnął do tyłu jej głowę, na tyle daleko, by zaczęła tracić oddech, i nagle zauważył, że wcale nie ma niebieskich oczu. Jedno, owszem, jest niebieskie, ale drugie jakby bardziej zielone.

- Nikt tutaj nigdy cię nie znajdzie, Karen. Mogę z tobą robić, co mi się podoba i jak długo mi się podoba. Może jednak odpuścimy sobie mało przyjemną część spotkania i od razu przejdziemy do rzeczowych informacji?

Puścił jej głowę, a kiedy cofał rękę, niemal udało się jej ugryźć go w dłoń. Co jak co, ale dziewczyna ma charakter - uznanie się jej należy.

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz, szurnięty sukinsynu! Lepiej przestań gadać i mnie zabij, jak zabiłeś moich ludzi. Oboje wiemy, że i tak to zrobisz.

Oparł się o stół i splótł ręce na piersiach.

- Powinnaś się nauczyć panować nad nerwami, Karen. Kiedyś wpędzą cię w tarapaty.

Sytuacja robiła się bardziej skomplikowana, niż się spodziewał. Najmądrzej byłoby wyciągnąć z niej wszystko torturami, potem zabić i ruszyć po Hillela, by wydłubać mu łyżką serce z piersi. Jednak, choć rzeczywiście szkolili go ci dranie Izraelczycy, w praktyce nigdy tych szkoleń nie wykorzystał. I, do jasnej cholery, nie ma zamiaru zaczynać. Jeśli przejrzała jego blef, to znaczy, że zabrakło mu szczęścia.

- Mówisz, że jesteś gliną?

- Tak! Nie wiem, kim jestem dla ciebie, ale przysięgam na Boga, jestem tylko policjantką. Nie mieliśmy zamiaru robić ci krzywdy. Mieliśmy cię zatrzymać, żebyś mógł złożyć wyjaśnienia.

Fade przytaknął w zamyśleniu głową.

- Można założyć, że oddział policjantów wybity w pień gdzieś na prowincji w Wirginii będzie wielkim newsem, prawda?

Karen nie odpowiedziała, a Fade bębnił kciukiem w mały czarnobiały telewizor, który stał na podłodze.

- Zrozumiałe zatem, że jeśli mówisz prawdę, a ja włączę telewizor, to na każdym kolejnym pieprzonym kanale zobaczę siebie.

Musiał przyznać, że była naprawdę dobra. To nieznaczne wzruszenie ramion, jakby pełne zakłopotania, było wprost doskonałe. Z pewnością równie przekonujące będą jej tłumaczenia, kiedy włączy telewizor i zobaczą powtórkę teleturnieju „Vabank”.

Stare pudło rozgrzewało się przez kilka długich chwil, a kiedy wreszcie ekran się rozjaśnił, Fade spostrzegł nagle, że patrzy na własne podwórko i własny dom, czy raczej to, co z niego zostało. Przed rozciągniętą żółtą taśmą policyjną stał jakiś reporter i mówił coś do mikrofonu.

-...prawdopodobnie w zasadzkę zastawioną przez Salama al Fayeda. Nie znamy jeszcze powodów nakazu aresztowania al Fayeda, jednak według niepotwierdzonych informacji, jest on podejrzewany o prowadzenie działalności terrorystycznej...

Fade, który przycupnął przed telewizorem, odchylił się i nie spuszczać wzroku z ekranu, przewrócił się na tyłek. Kiedy odjeżdżali spod domu, słyszał zbliżające się syreny, ale sądził, że policję wezwał jakiś sąsiad zaniepokojony wybuchami.

- Mamy już potwierdzenie informacji, że w akcji ucierpiała pewna liczba policjantów, wciąż jednak czekamy na szczegóły. Wiadomo natomiast z całą pewnością, że zniknęła Karen Manning, dowódca oddziału SWAT. - Na ekranie pojawiła się fotografia kobiety, która siedziała obok Fade'a, przywiązana taśmą do krzesła. - Policja apeluje, by każdy, kto może mieć jakiegokolwiek informacje dotyczące miejsca jej pobytu, zgłosił się na najbliższy...

Fade jednym ruchem wyłączył telewizor i cofnął rękę jak oparzony.

- Nie może być - powiedział, wstając i robiąc parę kroków do tyłu, aż w końcu oparł się plecami o ścianę. - To po prostu niemożliwe...

Nagle przypomniał sobie portfel, który wyczuł w tylnej kieszeni munduru kobiety, i sięgnął teraz po niego przez pręty w oparciu krzesła, a ona, szarpiąc się, usiłowała mu przeszkodzić.

Prawo jazdy znalazł za plastikowym okienkiem jednej z kieszonek - nazwisko się zgadzało: Karen Manning. Poszperał jeszcze trochę i znalazł wizytówkę oraz kartę identyfikacyjną: detektyw Karen Manning, policja stanowa Wirginii.

- Jezu Chryste! - krzyknął. - Co ty tam robiłaś, Karen? Po jaką cholerę tam się w ogóle zjawiałaś? Czego się spodziewałaś?

- Mówiłam już - odpowiedziała tonem obliczonym na uspokojenie Fade'a. - Nie przyjechaliśmy zrobić ci nic złego. Mieliśmy cię zatrzymać do wyjaśnień.

- Zatrzymać? Za co? Nic nie zrobiłem. Nic nie robię. Zupełnie nic. Siedzę na odludziu i klepię liche meble. - Wskazał kciukiem na telewizor. - I proszę, nie mów, że jestem terrorystą, bo to tylko rasistowskie pieprzenie.

Patrzyła na niego ostrożnie, ale nie odpowiadała.

- Wciąż jeszcze jesteśmy w Ameryce, jeśli się nie mylę, prawda? Mam chyba prawo wiedzieć, za co jestem zatrzymany.

- Panie al Fayed, nie ja prowadzę śledztwo, ale z tego, co wiem, jest pan podejrzany o współpracę z kolumbijskimi kartelami narkotykowymi i udział w morderstwie braci Ramirezów.

- Braci Ramirezów?! - krzyknął. - Kim są, kurwa, jacyś bracia Ramirezowie?

- Panie al Fayed... Może powinien pan wziąć kilka głębszych wdechów i nieco się uspokoić.

Fade jednak złapał pierwszy większy kawałek plastikowej ryby i grzmotnął nim kilka razy o ścianę. Bronić się przed grupą szkolonych zabójców z Bezpieczeństwa Krajowego to jedno; oni wiedzieliby, z kim mają do czynienia i że prawdopodobnie nie wszyscy wrócą do domów. Ale wysłany w ciemno policyjny oddział SWAT? To zupełnie co innego...

- Panie al Fayed! Niech pan się uspokoi! Proszę.

- Sama się uspokój! Właśnie zabiłem kilku policjantów!

- A jednego uprowadziłeś.

- To już chyba w tej chwili bez znaczenia, prawda? - powiedział rzucając na podłogę resztki ryby i stając naprzeciwko niej. - Kto ci powiedział, że zabiłem braci Fernandezów?

- Ramirezów. Nie wiem. Pewnie dostaliśmy cynk.

- Od kogo?

- Myślę, że anonimowo, ale nie jestem pewna...

- Gówno prawda! Nikt nie wysłał do akcji oddziału SWAT tylko dlatego, że ktoś wykręcił dziewięćset jedenaście i powiedział, że coś przeskrobałem.

- Mówiłam już, nie prowadzę śledztwa.

- Chooo...lera! - wykrzyknął Fade i zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju.

Było jasne, co się stało. Jakimś cudem Strand się dowiedział o Kolumbijczykach i postanowił to wykorzystać. Kiedy Fade odsiedziałyby kilka tygodni w celi i zmiękł, Strand przyszedłby z ofertą uwolnienia. Za jakąś cenę.

Niestety, sprawy się nie ułożyły tak idealnie.

Przestał wreszcie chodzić po pokoju, stanął za plecami Karen i wyjął z kieszeni nóż. Próbowała obrócić głowę, żeby zobaczyć, co chce jej zrobić, ale więzy jej na to nie pozwalały.

- Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli powiem, że bardzo mi przykro, prawda, Karen?

Rozdział dziewiąty

Wzbijający się na pustej drodze pył niemal go oślepił, ale nie zamykał okna. Przynajmniej pod względem pogody poranek się okazał przepiękny - w nieruchomym powietrzu, pod bezchmurnym niebem, niemal w ogóle się nie wyczuwało wilgoci. Fade pochylił się do przodu i pogłodził o jeden stopień odtwarzacz dość słabej mocy. Z doświadczenia wiedział, że przy GoGos człowiek nigdy nie wpadnie w depresję. Zaraz potem, na drugim i trzecim miejscu, Fade stawiał Ramones i Monkees, ale był przekonany, że jedna gigantyczna kolumna, z której popłynęłoby Beauty and the Beat, zaprowadziłaby pokój w całym Kongu.

Licznik, wyzerowany na początku podróży, zbliżał się już do trzydziestu kilometrów. Fade zatrzymał auto w szybko znikającym cieniu jakiegoś drzewa.

- To koniec.

Siedząca obok Karen Manning podniosła głowę i spojrzała na niego. Jej oczy zdradzały przestach, którego na twarzy nigdy by nie pokazała.

- Och, przepraszam, złe słowo, tak mi się powiedziało. Fade się pochylił, przełożył nad nią rękę i otworzył jej szeroko drzwi. Silnym pchnięciem wyrzucił ją w piętrzące się gęsto przy drodze chwasty.

Przycisnął pedał gazu i ruszył z takim przyśpieszeniem, że drzwi same się zatrzasnęły, a potem zawrócił gwałtownie o sto osiemdziesiąt stopni, wzniesając tumany kurzu, które niemal zupełnie przesłoniły kobietę, próbującą teraz wstać, z rękami skutymi na plecach.

Akurat kiedy ją mijał, potknęła się i stoczyła do suchego rowu po przydrożnym strumyczku. Wyglądało to dość żałośnie i kiedy spoglądał za nią w lusterku wstecznym, przyszło mu do głowy, że może jest za bardzo bezduszny. Nadepnął z całej siły na hamulec, wrzucił wsteczny i cofnął się do niej na pełnej szybkości, raz jeszcze wzniesając obłoki gęstego kurzu.

Wyrzucała z siebie imponującą wiązkę przekleństw, usiłując wciąż bez pomocy rąk wydostać się z rowu. Fade wyskoczył z wozu, żeby jej pomóc.

- Z takim słownictwem powinnaś służyć w marynarce - powiedział, chwytając ją pod ramiona i stawiając na nogi. - Masz kluczyk do kajdanek?

Jej wzrok niemal niedostrzegalnie powędrował w kierunku kieszeni na piersi, Fade sięgnął tam ręką, ale Karen Manning odskoczyła.

- Jesteś pewna? Trudno ci będzie przełożyć to cudo pod takimi buciorami, a jeszcze trudniej w ogóle zdjąć buty. Jeśli obiecuję, że ten dotyk, ani przez krótką chwilę, pod żadnym pozorem mnie nie ucieszy?

- Trzymaj się ode mnie z dala!

- Jak chcesz.

Sięgnął do bagażnika i wyjął litrową butelkę wody, którą rzucił na ziemię.

- Jeśli pójdziesz z powrotem tą samą drogą, po trzydziestu kilometrach dojdiesz do szosy. Wyglądasz na szybką, ale dziś będzie gorąco, a wody nie ma dużo. Uważaj na tempo i jeśli się da, staraj się iść w cieniu. - Odwrócił się i zaczął wchodzić do samochodu.

- Czekaj. Musisz się oddać w ręce policji. Nie masz szans.

Fade się uśmiechnął i odwrócił do niej głowę.

- Nie łapię tej logiki.

- Zabiłeś policjantów. Zrobią wszystko, żeby cię złapać. Oddaj się w ręce sprawiedliwości, pozwól mi się zaprowadzić na policję. Osobiście zagwarantuję ci bezpieczeństwo. Będziesz mógł poszukać adwokata i przedstawić własną wersję wydarzeń. Jeśli naprawdę sądziłeś, że zostałeś zaatakowany i znalazłeś się w niebezpieczeństwie, ława przysięgłych weźmie to pod uwagę.

- Nie sądzę. Ale dziękuję za propozycję.

- Dokąd chcesz jechać? Co chcesz teraz robić? W telewizji lecą na okrągło twoje zdjęcia. Wkrótce policja skontaktuje się z każdym, kogo w życiu znałeś, i zajrzy w każdy grajdoł, gdzie zdarzyło ci się przebywać. Tak się nie da żyć.

- Brzmi dość ponuro, ale dla mnie... to lepsza sytuacja. Chciał wejść do samochodu, ale Karen wręcz zagroziła mu drogę.

- Znowu zginą ludzie.

- To prawie gwarantowane.

Chwycił jej ramię, by odciągnąć ją od samochodu, ale w tym samym momencie odezwał się dzwonek jego telefonu komórkowego. Wzdychając ciężko, wyjął go z kieszeni.

- Pewnie pani Melman z pytaniem, dlaczego jeszcze nie dostarczyłem jej córce kuferka na ślubną wyprawkę. Ta kobieta doprowadza mnie do szału...

Numer, który się wyświetlił na ekranie, z nikim mu się jednak nie kojarzył, a zważywszy, że nie miał przyjaciół i że jego numer nie jest zarejestrowany w ewidencji, Fade zaczął się domyślać, że może dzwonić tylko ktoś w sprawie nocnych wydarzeń.

- Znajomy numer? - zapytał, podsuwając telefon pod oczy Karen.
- Bezpośredni do mojego szefa.
- Jak się nazywa?
- Seymore Pickering.
- Zmyślasz.
- Po co miałabym kłamać? Tak się nazywa.

Fade wzruszył ramionami i podniósł telefon do ucha.

- Dzień dobry, Seymore.

Cisza, jaka zaległa, zdawała się potwierdzać, że matka tego człowieka rzeczywiście dała mu na imię Seymore, a nazywała się Pickering.

- Czy rozmawiam z Salamem al Fayedem?
- Nie inaczej.
- Chcę wiedzieć, gdzie jest Karen Manning. Czy jest ranna?
- Nie powiedziałbym, że ranna, raczej trochę... wygięta.
- Chcę z nią rozmawiać.
- Spokojnie, Seymore. Nic jej nie jest. Słowo.

. | ‘

- W takim razie na pewno nie ma pan nic przeciwko temu, żeby ze mną porozmawiała.

W goście dobrej woli.

Fade podniósł oczy do nieba i przytrzymał telefon przy uchu Karen. Zerknęła na samochód, prawdopodobnie z myślą, by błyskawicznie podać jego opis, ale rozsądnie zrezygnowała z tego pomysłu. Zresztą policja najpewniej ma już opis jego auta.

- Panie kapitanie? Nic mi nie jest. Fade zabrał z powrotem telefon.
- Widzisz? Powinieneś bardziej mi zaufać.
- Pan nie ma powodu, aby ją przetrzymywać i krzywdzić, panie al Fayed.

Wykonywała swoje obowiązki. Jako były żołnierz z pewnością pan to zrozumie.

- Może i tak.
- Chciałbym, żeby puścił ją pan wolno.
- Jasne.

Znowu chwila kłopotliwej ciszy.

- Uhm... Co chce pan w zamian?
- Jakoś nic nie przychodzi mi do głowy.

Po raz trzeci cisza. Fascynujący rozmówca z tego gościa.

- Chcę, by oddał się pan w ręce policji, panie Fayed.

Gwarantuję panu bezpieczeństwo...

- Nazywam się al Fayed, pozwól, że ci przerwę. Rozmawiałem już na ten temat z oficer Manning, więc skończmy z tymi pierdołami. Rzeczy mają się tak, Seymore: mam jeszcze do zrealizowania parę spraw w życiu, ale nie ma wśród nich śmiertelnego zastrzyku z ręki kata. Ty natomiast masz na karku szaleńca, który się rozbija po Wirginii, morduje młode kobiety i robi cię w wała. Może więc na jakiś czas na tym się skoncentruj, a ode mnie trzymaj się, do cholery, z daleka. W geście wdzięczności za tę przysługę gwarantuję ci, że za jakiś miesiąc będę martwy.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że nie mogę lekceważyć takich rzeczy. Nawet gdybym chciał.

- Taa... Faktycznie. - Kiedy po chwili Fade znowu przemówił, jego głos był trochę łagodniejszy. - Posłuchaj, przykro mi z powodu twoich chłopaków. Przekaż to ich rodzinom. Powiedz, że walczyli naprawdę dobrze i wykazali du-

żną odwagę. Nie wiem, czy zechcą tego słuchać. Pewnie nie. Mówię tylko, że nie chciałbym znowu w to mieszać twoich ludzi. Bo jeśli będą do mnie strzelać, odpowiem ogniem, a z tego rodzaju wymian prawie nigdy nie wychodzę poszkodowany.

- Panie Fayed...

Fade wyłączył telefon i wrzucił go przez otwarte okno do samochodu.

- Al Fayed, kutasie - mruknął pod nosem, a potem raptem klepnął Karen w plecy. - No, to jeszcze sobie kiedyś pogadamy!

Jej oczy rozszerzyły się lekko, w ten sam ledwie uchwytny sposób, nawet trochę już pieszczotliwy.

- Tak się tylko mówi - powiedział, siadając za kierownicą. - Musisz się rozchmurzyć.

Fade nie mógł powstrzymać śmiechu na widok własnego odbicia w lusterku wstecznym, zatkniętym teraz w pniu drzewa. Jego długie, czarne włosy zastąpił jasny i krótki język, który w słońcu przybierał nienaturalny, czerwony odcień. Na małżowinie lewego ucha, gdzie wkłuł sobie złoty kolczyk, widniała jeszcze kropelka krwi. Całości dopełniały okulary w drucianej oprawie z niebieskimi szklami. Ogólny efekt nie był jednak tak oszałamiający, jak się spodziewał - z arabskiego hippisazabójcy udało mu się ledwie przedzierzgnąć w arabskiego gejazabójcę. Wydawało się niemal pewne, że spotka się ze swoim stwórcą, wyglądając jak fryzjer Saddama Husajna.

Obcinając włosy, z jeszcze większym zdziwieniem zauważył, że ręce ma pewne jak skała. Od lat trzęsły się ustawicznie - niezauważalnie, ale na tyle mocno, że stało się to prawdziwym utrapieniem podczas prac nad każdą bardziej finezyjną gablotką. Zniknęło także

wszechobecne duszenie w klatce piersiowej, co sprawiało, że czuł się... dobrze. Naprawdę dobrze.

Puścił do lusterka uśmiech i spróbował się zastanowić, czy wygląda jak szaleniec. Mniej więcej. Dzięki włosom i okularom czy też było to coś głębszego? Uznał, że wszystko po trochu. Trudno świętować dzień, w którym połowa policjantów w Ameryce ma ochotę wpakować mu kulkę w głowę, ale też, mając na uwadze jego przeszłość, nie można tego dyskredytować jako coś zupełnie złego. Zabicie Hillela Stranda i Matta Egana dało mu cel w życiu - coś, czego od dawna było mu trzeba. Gliniarze na karku to tylko dodatkowa kapka adrenaliny.

Najgorszy scenariusz byłby taki, że nie uda mu się dopaść obu bydlaków, zanim oni dopadną jego. Ale nie byłoby to takie zupełnie najgorsze na świecie - wreszcie położyliby kres jego samotności, nudzie i podskórnemu strachowi, z jakim żył od czasu fatalnego zranienia. Tak więc ma przed sobą parę gorących i hałaśliwych tygodni, a potem będzie po wszystkim. Nie żeby była to wygrana na loterii, ale lepsze od dotychczasowego życia.

Zerwał bandaż z rany, którą zadał sobie na nadgarstku, zappełnił portfel dokumentami odpowiadającymi jego obecnemu przebraniu i spojrzął na zegarek. Zatrzymał się dwadzieścia pięć kilometrów od miejsca, gdzie zostawił Karen Manning, i prawdopodobnie przebywał tu już za długo. Gliny na pewno namierzyły miejsce, z którego rozmawiał przez telefon komórkowy, a Karen, jeśli dobrze się na niej poznał, z całą pewnością biegła.

Rozdział dziesiąty

Za bardzo chciała - biegła niemal z taką szybkością, jaką osiągała w college'u, kiedy wchodziła do krajowego rankingu na dziesięć tysięcy metrów. Ale spowolnienie kroku oznaczałoby zaaprobowanie rady kogoś, kto wyróżnął jej oddział, więc jeszcze bardziej przyśpieszyła. Coraz bardziej piekło ją w płucach i ciążyła butelka z wodą, która chlupała kusząco w dłoni. Gniew i frustracja potrafiły przemóc braki kondycyjne i ciężar butów, pozwalając jej utrzymać tempo przez dobrych dziesięć minut, ale w końcu zaczęła się chaotycznie potykać. Stała, oparła się ciężko o drzewo, zgięta w pasie i rozkałana, próbując się schować przed słońcem.

Bieganie zawsze było dla niej odcięciem od świata. Im było jej gorzej, tym więcej biegała, wzmagając krok po kroku uczucie cierpienia, aż w końcu wszystko się w niej topiło. Jeszcze jednak nigdy nie przyszło jej stanąć w obliczu czegoś takiego. Żadne tempo, żaden bieg nie mógł uciszyć przerażonych głosów jej ludzi, krótko przed tym, zanim ucichły na zawsze.

- Weź się w garść, Karen - powiedziała do siebie, dysząc ciężko.

Tym razem nie o nią chodziło. Musiała jak najszybciej dotrzeć do szosy, a pokonywanie trzydziestu kilometrów trzykilometrowymi odcinkami sprintu tylko to zadanie utrudni. Znowu zaczęła biec, tym razem już z umiarkowaną prędkością, choć znowu niemal natychmiast zaczęła się potykać.

Właściwie po co ten pośpiech? Al Fayed, choć najwyraźniej padło mu na głowę, nie wydawał się wcale głupi. Celowo wywiózł ją tak daleko, żeby odjechać, zanim ona zdoła się skontaktować z biurem i powiedzieć... właśnie, co? Tak czy owak, Karen skończy w pokoju śledczym i będzie odpowiadać na pytania, za którymi będzie się kryło coraz więcej oskarżeń pod jej adresem, a które najpewniej w ogóle się nie przyczynią do jego ujęcia. Ani nie wrócą życia ludziom z jej oddziału.

Znowu próbowała biec, ale po kilku krokach zwolniła i zaczęła iść.

Napięcie, jakie narastało od chwili, gdy objęła dowództwo oddziału SWAT, było trudne do zniesienia - napięcie między nią i szefostwem, między nią i jej podwładnymi... Właściwie między nią i każdym. To usprawiedliwienie? Nie. Najważniejsze było jedno: odpowiadała za wynik akcji. Ona zaplanowała jej szczegóły; ona wydała rozkaz wejścia do domu. Teraz oni nie żyją.

Nie rozumiała tylko, jak do tego doszło. Wszystko zrobiła tak, jak uczono ją na szkoleniach, a mając na uwadze wojskową przeszłość al Fayed, wręcz wychodziła z siebie, żeby za wszelką cenę trzymać się procedur. Spodziewała się groźnego, paranoidalnego typu z arsenałem karabinów maszynowych, przepelnionego nienawiścią do władzy. Tymczasem ten facet, komandos SEAL czy nie, przeszedł się po niej i po jej ludziach, jakby ich tam nie było.

Biorąc pod uwagę pułapki z ładunkami wybuchowymi i fakt, że się zaszył na strychu uzbrojony po zęby, wydawało się pewne, że był przygotowany na tę akcję od dawna. Chyba że był szaleńcem, który noc w noc, od pięciu lat, czekał na atak.

Karen uważała, że w miarę trafnie potrafi poznać się na ludziach, i wierzyła w to, co powiedział - a przynajmniej że on sam wierzy w to, co mówi. Ponad wszelką wątpliwość spodziewał się kogoś o nazwisku Strand. Może to ktoś związany z kolumbijskimi kartelami, dla których pracował? Co prawda minęło sporo czasu, ale tym ludziom urazy z pewnością nie wylatują z pamięci. Ciekawe, że robił wrażenie, jakby naprawdę nie wiedział, kim byli bracia Ramirezowie. No i dziwne było jeszcze to, że pozostała przy życiu. Po zabiciu tylu policjantów była już przecież tylko czymś w rodzaju niezalutowanej do końca sprawy.

Karen pociągnęła z butelki precyzyjnie odmierzony łyk wody i ruszyła dalej, tym razem tempem, które mogła utrzymać do szosy, a zarazem pozwalało jej myśleć - spróbować przypomnieć sobie każdy szczegół rozmowy z al Fayedem. Nie wpadła przy nim w panikę,

ale bała się śmiertelnie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się przygotować na taką sytuację - przywiązana taśmą do krzesła przez psychopatę, który chwilę wcześniej, sam jeden, załatwił cały jej oddział szturmowy SWAT.

Rozdział jedenasty

Matt Egan wpadł z hukiem do gabinetu Stranda i skierował palec na Lauren, która notowała, co mówi do niej szef.

- Wyjdź!

Podniosła na niego oczy, potem spojrzała na Stranda i zdecydowała, że najlepiej będzie, jeśli wyjdzie bez chwili zwłoki. Egan odsunął się o krok, przytrzymał jej drzwi, a Lauren wyszła szybko, ze spuszczoną głową.

- Co ty sobie, cholera, wyobrażasz... - zaczął Strand.

- Odbiło ci!? - krzyknął do niego Egan, trzaskając drzwiami tak mocno, że na ścianie zatrzęsły się oprawione fotografie. - Posłałeś tam gliniarzy? Gliniarzy? Jakiś, kurwa, geniusz cię olśnił czy co?

- Chyba jednak nie powinieneś zapominać, do kogo mówisz i w jakiej sytuacji się znalazłeś - powiedział Strand ze spokojem, który wydawał się trochę przećwiczony.

- W jakiej sytuacji!?

- Co mu powiedziałaś, kiedy zostaliście tam sam na sam, Matt? Ostrzegłeś go?

- To żart?

Strand opierał się wygodnie w krzesło, z rękami założonymi na brzuchu.

- Nie wiem, jaki miałem wybór, Matt. Al Fayed, były żołnierz amerykańskiej armii, pracował dla karteli narkotykowych. Dawno należało zawiadomić policję. Ale jego działalność została zatajona. Dzięki tobie. Teraz, być może również dzięki tobie, wcale nie był zaskoczony. Policja miała tylko wejść i zatrzymać go w czasie snu.

Ponurą ironią w tym wszystkim, jedną z wielu, było to, że Matt rzeczywiście rozważał, czy nie zadzwonić i nie uprzedzić Fade'a o tym, iż Strand dowiedział się o koneksjach z kartelami. Szybko jednak porzucił taką myśl. Trudno było przewidzieć reakcję Fade'a. Wolał najpierw pozwolić Strandowi rozegrać karty, a potem łamać sobie głowę. Nowy dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego to były generał piechoty morskiej, człowiek honoru. Egan mógł się do niego zgłosić i wszystko mu opowiedzieć - takie posunięcie zapewne zakończyłoby jego karierę, może nawet wtrąciło do więzienia, ale przynajmniej dawałoby nadzieję, że Fade w pokoju dożyje końca swoich dni.

Do diabła ciężkiego, jak mógł przewidzieć, że Strand zrobi coś tak beznadziejnie głupiego?

- Niezła przemowa, Hillel. Masz tu ukryty mikrofon czy próbujesz przekonać samego siebie? Wystawiłeś Fade'a, żeby później się pojawić i wyciągnąć go z bagna... nie za darmo, za ucałowanie rączek i współpracę. Ile gliny z tego wiedziały? Ile im powiedziałaś?

- Policja miała całkowity dostęp do kartoteki wojskowej i każdej informacji, o jaką się dopytywali. To ich robota.

- Ale kartoteka wojskowa nie mówi wszystkiego, prawda? Wysłałeś grupę zwykłych policjantów przeciwko jednemu z najbardziej skutecznych zabójców, jakich wydał ten kraj, i teraz ci policjanci nie żyją. Dziwne, że jakoś nie widziałem w telewizji twojego nazwiska. Wielki bohater tej historii, człowiek na straży prawa.

- Policja dobrze wiedziała, że to były komandos SEAL - odpowiedział Strand już podniesionym głosem. - I żołnierz kolumbijskich karteli. Nie sądzę, żebym miał jeszcze dodawać, że jest niebezpieczny.

Musiał to Strandowi oddać. Ten facet to mistrz w swoim fachu. Niestety jego fachem była polityka, poza którą Strand zdawał się nie widzieć nic innego. Ale może nadchodzi czas, kiedy wreszcie będzie musiał się tego nauczyć. Fade'a nigdy nie interesowało załatwianie spraw kanałami urzędowymi.

- Uspokój się, Matt, usiądź. Egan się nie ruszył.

- Próbuję tylko być pragmatyczny - ciągnął Strand. - Jeśli al Fayed zostanie ujęty i stanie przed sądem, wszystko wyjdzie na jaw. To byłaby katastrofa dla państwa, dla stosunków z Arabami i szczerze mówiąc, również dla ciebie. Matt pokręcił wolno głową. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak przejęty Strand zeznaje przed gromadą wzburzonych kongresmanów, zrećnie zrzucając na niego winę. Mówiłby zapewne tak: „Z Salamem al Fayedem nawiązałem kontakt w celu przeprowadzenia rozmowy kwalifikacyjnej na okoliczność objęcia stanowiska w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Jest rzeczą oczywistą, że aby chronić nasz kraj przed wciąż aktualnym zagrożeniem terrorystycznym, staramy się pozyskać możliwie najlepszych ludzi. Niestety, odkryliśmy, że al Fayed był zamieszany w handel narkotykami, przez co nie pozostawił nam wyboru, musieliśmy zawiadomić policję. Oczywiście, aby zapewnić bezpieczeństwo naszym źródłom wywiadowczym, zrobiliśmy to anonimowo. Dopiero później się dowiedziałem, że mój zastępca, Matt Egan, tak, pisze się EGAN, był wplątany w to nieodpowiedzialne i niezgodne z prawem utajnienie sprawy”.

- Gdyby to był ktokolwiek inny, a nie ty, Hillel, pomyślałbym, że po prostu rzniesz głupa. Ale ty jesteś naprawdę głupi, prawda? Nawet nie wiesz, co narobiłeś. Nie masz, kurwa, pojęcia...

- Spocznij, spocznij! - krzyknął raptem Strand zza biurka.

Słynął z uwielbienia dla wojskowego żargonu, choć wiadomo było, że z Akademii Marynarki Wojennej przeniósł się na Harvard zaledwie po trzech tygodniach nauki.

- Chcesz udawać, że nie dostrzegasz swojej sytuacji? - mówił Strand, z wyczuwalną wciąż złością w głosie. - Czy może jednak wolisz łaskawie złożyć dupę na krześle i rozsądnie się zastanowić, co robić dalej? Zgodzisz się chyba ze mną, że nie jest ani w twoim interesie, ani w interesie policjantów, żeby odnaleźli Fade'a, zanim my zdołamy go odnaleźć i...

Zdanie zawisło w powietrzu, celowo niedokończone. Egan postanowił je dokończyć.

...i zlikwidować.

Strand ściągnął lekko brwi, robiąc pełną aprobaty minę. Wiedział już, że choćby al Fayed był nie wiadomo jak zręczny, niemożliwe, aby przebrnął przez wymiar sprawiedliwości, nie ochlapując błotem wszystkich zamieszanych w tę sprawę osób. Sytuację komplikowało jeszcze to, że jeśli również Egan miałby zatonać, to zrobi wszystko, żeby pociągnąć w toń swojego szefa.

- Gdzie on się zaszył, Matt? U przyjaciół? U rodziny? Wyjechał z kraju? Może wrócił do Kolumbii? Może do jakiegoś kraju, jak Syria, gdzie wtopi się w ludzi i nie sposób będzie go wypatrzeć?

Egan patrzył jeszcze przez kilka sekund na szefa, potem pokręcił z niedowierzaniem głową i wyszedł.

Rozdział dwunasty

- Masz zamkniętą głowę czy tylko uszy? Matt odwrócił się od zlewozmywaka pełnego brudnych naczyń i spojrzał na żonę. Ale nic nie powiedział. Elise pochylała się nad ramieniem Kali, doglądając w milczeniu, jaki kolor kredek zostanie dobrany do dzisiejszego portretu. To stała zasada w ich domu - w każdy wieczór, w zamian za godzinę spędzoną przed telewizorem, Kali miała wykonać jakąś pracę plastyczną. W swoim rankingu zagrożeń Elise traktowała telewizję na równi z bronią palną i domowymi środkami toksycznymi. Zębami i pazurami Matt wywalczył zgodę na jeden odbiornik. Wymiana „portret za godzinę telewizji” to tylko jeden z wielu dziwacznych kompromisów, dzięki którym ich małżeństwo trwało.

- Matt? - powiedziała, odwracając się wreszcie do niego. - Jesteś tam?

- Cały czas słuchałem.

Elise poznał na przyjęciu, na które zaprosił go były sąsiad, rzeźbiarz cieszący się nawet dużym powodzeniem. Oczywiście zaproszenie było zwrotem retorycznym, wyrażonym tylko dlatego, że facet się go panicznie bał. Ale Egan skorzystał. Głównie po to, żeby rzucić okiem na świat, któremu nigdy nie miał okazji przyjrzeć się z bliska. W tamtym okresie,

krótko po przejściu z wojska do CIA, wciąż się przyzwyczajał do zmiany i próbował poszerzać horyzonty. Pamiętał, że na głowie miał jeszcze krótkiego języka, a na imprezę wszedł wyprostowany sztywno, jakby miał w tyłku kij od miotły.

Co było łatwe do przewidzenia, goście trzymali się od niego z daleka. Po jakiejś półgodzinie sam zaczął zaczepiać ludzi, próbując zagaić rozmowę coraz to przyjaźniejszym i bardziej niewinnym wstępem, ale każda kolejna jego ofiara, po kilku sekundach wicia się jak piskorz, rejterowała pod byle pretekstem.

Po jakimś czasie ograniczył się tylko do objadania się pozbawioną smaku jarzynową przystawką i do przyglądania się wszystkiemu z daleka. Trudno było nie zauważyć Elise. Jej uderzająca aparycja, całkowicie nieskrępowana teatralność ruchów, przydawały jej jakiejś niesamowitej charyzmy. Nawet z daleka.

Nic dziwnego, że nie tylko jemu wpadła w oko - Elise nieustannie otoczona była ludźmi, którzy zachowywali się wobec niej bardziej jak wielbiciel niż przyjaciele. Odstawił miseczkę z sałatką tabbouleh i znalazł jakiś kawałek wolnej ściany, na tyle blisko, by móc podsłuchać jej rozmowę. Po dziesięciu minutach potrafił ułożyć już parę rzeczy w pewną całość. Po pierwsze, zajmowała się muzyką. Po drugie, grad pochwał, jaki na nią spadał, przyjmowała zmieszana - nieustannie bowiem usiłowała zmienić temat z własnej osoby na kogoś z otoczenia.

Zastanawiał się, czy nie spróbować zamienić z nią paru słów, wyczuwając podskórnie, że być może z ulgą podejmie rozmowę z kimś, kto, nie ma o niej bladego pojęcia. Lecz otaczający ją tłumek nie topniał. Zresztą, czy miał do powiedzenia coś, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie takiej kobiety?

Koniec końców wrócił do stołu z bufetem, a kiedy po jakimś czasie podniósł głowę znad sushi, Elise już nie było. Miał żołądek napchany do granic przyzwoitości, nic więcej po jej wyjściu już go tam nie trzymało. Na oczach wszystkich wylewnie podziękował sąsiadowi za zaproszenie, wprawiając go w potężne zakłopotanie, a potem, łapiąc pod drodze ze stołu butelkę chłodnego piwa, wyszedł w ciemną noc.

Ruszył wolno w kierunku domu, czytając sobie „społecznie uświadomione” naklejki na zderzakach samochodów zaparkowanych wzdłuż krawężnika i nie zwracając specjalnie uwagi na kierowcę, który nieopodal mordował silnik w jakiejś zardzewiałej półciężarówce. Znał się trochę na mechanice, ale się nie zatrzymał. Mowy nie ma, nie miał zamiaru brudzić sobie smarem rąk dla kogoś, kto przed chwilą nie chciał się zniżyć do tego, żeby zamienić z nim trzy łowa. Zresztą, mogli przyjechać rowerami. Czyż nie byłoby o bardziej przyjazne dla środowiska naturalnego?

Niefortunny kierowca nie ustawał w wysiłkach, a silnik cięż odmawiał posłuszeństwa. Po jakichś dwudziestu merach Egana ruszyło sumienie, westchnął cicho i zawrócił.

- Nie jest pan przypadkiem doskonałym mechanikiem samochodowym, który pracuje tylko charytatywnie?

Aż go zmroziło. Z szoferki wyszła młoda kobieta i spuściła smutny wzrok na maskę samochodu, której dotychczas nawet nie podniosła. To była dziewczyna z przyjęcia.

Na szczęście minęło tylko parę sekund, zanim dotarło do niego, że stoi jak słup soli. Szybko odzyskał rezon i podszedł do niej swobodnym krokiem.

- Jestem takim sobie mechanikiem, a od czasu do czasu stać mnie na dobroczynny gest.

- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Mam na imię Elise. - Kiedy podawała mu rękę, patrzyła mu w oczy, jakby nie widziała idiotycznych ciuchów i niemal nieistniejących włosów. - Byłeś na przyjęciu, prawda? Widziałam, jak podpierałeś ściany.

- Tak, to byłem ja. - Nie wiadomo dlaczego spodziewał się na jej dłoni chłodnej skóry, ale nie była chłodna. - Otwórz maskę, zajrzę do środka.

Wystarczył mu trzyminutowy przegląd za pomocą małej latarki, która znalazła się wśród rozmaitych rupieci w samochodowym schowku.

- Kiedy mówisz „beznadzieja” - powiedziała - to masz na myśli brak otuchy czy jednak kompletne załamanie?

- Prawdopodobnie coś pośrodku. Czeka cię wydatek jakichś dwustu pięćdziesięciu dolarów.

- Nie wystarczy go kopnąć trzy razy, żeby dojechał do domu?

- Obawiam się, że nie. Masz ubezpieczenie TripleA? Potrząsnęła głową.

Zaproponował, że podwiezie ją do domu, a ona, ku jego zdziwieniu, przystała na propozycję, choć na przyjęciu było mnóstwo ludzi, którzy daliby się poszatkować, byle oddać jej tę przysługę.

Nie pamiętał już, w jaki sposób rozmowa zesłała na politykę. Elise, jak mógł się spodziewać, okazała się zaciekłą liberalną aktywistką. Z kolei Matt przeżywał właśnie krótki okres głębokiego przeświadczenia, że „ludzkość jest skazana na zagładę”, i odpierał każdy jej koncept, który miałby wspomóc uciskanych. Niejedno w krótkim życiu widział i zdążył dojść do przekonania, że uciskani są właśnie dlatego uciskani, że na to zasłużyli. Nie miało to nic wspólnego ani z suszą, ani jałową glebą. Bardziej z kulturą i polityką.

Nó dobrze, ale dlaczego po prostu nie zgodził się ze wszystkim, co mówiła do niego ta niezwykła siedząca obok niego w samochodzie istota? Tego nie wiedział. Zapewne jakiś niezdrowy splot zbytnej nerwowości i zwątpienia w siebie.

Kiedy wyszła z samochodu i stanęła na alejce przed swoim domem, była już naprawdę mocno rozsierdzona. Tym bardziej był zaskoczony, kiedy zadzwoniła następnego dnia i powiedziała, że właśnie się obczytuje do dalszej części ich konwersacji, którą zaplanowała we włoskiej restauracji obok jej domu.

- Matt? - zaśpiewała Elise. - Och, Matt, kochanie. Zamrugał.

- Tak?

- Co z tobą dzisiaj? Wyglądasz, jakbyś brał udział w castingu do filmu o zombie.

- Och, mam wyjazd służbowy.

- Co takiego? t i

- Dopiero dzisiaj się dowiedziałem.

- Co ty mówisz? Kiedy?

- Muszę wyjechać dziś wieczorem. -,::

- Dzisiaj wieczorem?

- Dzisiaj się dowiedziałem.”.!:;...

- Już to raz mówiłeś.

Przytaknął tępo głową. Na razie Fade się przystosowuje do nowej sytuacji, ale wkrótce się pozbiera, a wówczas trudno będzie przewidzieć, co zrobi. Właściwie to nieprawda. To będzie łatwe do przewidzenia.

- Długo cię nie będzie?

- Nie wiem.

- Dzień, miesiąc, rok?

- Może tydzień.

- Dokąd jedziesz? - Tu i tam...

Elise otworzyła buzię, ale nic już nie powiedziała. Potem pogłaskała Kali po głowie i powiedziała jej, żeby poszła oglądać telewizję.

- Ale jeszcze nie skończyłam rysunku.

- Kochanie, każdy dokończy sobie ten portret sam w swojej głowie, dobrze? To będzie katalizator jego wyobraźni.

Kali nie miała pojęcia, co to znaczy, ale już chwilę później dotarło do niej, że w ten sposób wydłuży się jej godzina przed telewizorem i wybiegła z kuchni, zanim mama zdążyłaby zmienić zdanie.

- Usiądź, Matt.

- Trzeba pozmywać naczynia.

Wskazała na krzesło i zrobił, o co prosiła. *

- Co się dzieje?

- Nic.

- Powiedz, że to nie jest akcja. Rozmawialiśmy już o tym, kiedy adoptowaliśmy Kali. Jesteś na to za stary i masz rodzinę. Jesteś tylko od papierkowej roboty.

- Tak, od papierkowej. Ja...

- Zgodziłeś się na to, Matt. - Zatoczyła ręką koło. - Sam tego chciałeś, Matt. Nie ja ci mówiłam, jak masz żyć.

Nie zwykł okłamywać Elise i źle się czuł, przyjmując wobec niej postawę obronną.

- Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, Elise. Kiedy będziecie z Madonną jak dwie siostry, to może będę mógł rzucić pracę. Na razie jednak robota to robota.

- Nie jedź, Matt. Jeśli wyjdiesz rano z domu, żeby strzelać do Afgańczyków, równie dobrze mogę już szukać etatu, od dziewiątej do siedemnastej, choćby w produkcji dźwięku. Ja...

Jej słowa przerwał nagle dzwonek telefonu komórkowego Matta.

- Na miłość boską, Matt! To już piąty telefon dziś wieczorem. Odbierz albo wyłącz komórkę!

Pięć razy telefonował właśnie Hillel Strand, którego, rzecz jasna, zaniepokoiło nagle zniknięcie Matta po wyjściu z jego gabinetu. Niewątpliwie dręczyło go pytanie, czy jego zastępca nie znalazł sobie miejsca, w którym nie będzie mógł go wypatrzeć.

Egan wyjął z kieszeni telefon i już miał go wyłączyć, kiedy nagle się zorientował, że tym razem nie jest to numer Stranda. Nie przypominał sobie, by widział ten numer wcześniej.

Poczuł nieprzyjemne uderzenie adrenaliny, podniósł rękę, by zamilkła, z cichą nadzieją, że krew nie odpłynęła mu z twarzy zbyt raptownie. Elise patrzyła mu prosto w oczy.

- Halo? - powiedział, przyciskając telefon do ucha.

- Cześć, Matt.

- Możesz poczekać chwilkę?

- Jasne. Dlaczego nie.

Egan przycisnął klawisz wyciszenia mikrofonu i obszedł stół.

- Przepraszam - powiedział, całując ją w czubek głowy. - Nie chcę, żebyś szukała pracy od dziewiątej do siedemnastej i nie jadę strzelać do Afgańczyków. To tylko szkolenie. Nic więcej.

Nie wyglądała na przekonaną, ale nic więcej nie mógł zrobić. Włączył mikrofon i wyszedł do swojego gabinetu.

- Cześć, Fade.

- Gliny. To nie było ładne.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale nie miałem z tym nic wspólnego.

- Pewnie nie. Szpiegujesz mnie, chłopie. Kto inny by wiedział o Kolumbijczykach? Kogo innego by obchodziło, co robię po odejściu?

Egan zamknął drzwi i usiadł przy biurku, ale nie kwapił się z zapaleniem lampy. Jasny księżyc za oknem rzucał wystarczająco jasną poświatę. Poza tym Matt jakoś nie mógł się pozbyć przeczucia, że Fade być może stoi po drugiej stronie ulicy z karabinem w ręku.

- To było... - Egan zawiesił głos. Jaki to ma sens? - Co się stało, już się nie odstanie, Fade.

Żadnej odpowiedzi. >

,

- Więc jak?

- Wydymałeś mnie, chłopie. Znowu.

- Wiesz, męczy mnie słuchanie wciąż tych samych pierdoł. Żeby ci załatwić operację, dotarłem na samą górę. Kryłem cię, kiedy wyjechałeś do Kolumbii po forszę...

- Och, dzięki Bogu, że się za mną wstawiłeś, hm? Bez ciebie miałbym spieprzone życie!'

- Czego ode mnie oczekiwałeś? Miałem przyłożyć splu - j wę do skroni prezydenta i zmusić go do wypisania czeku s dla lekarza? To jest Waszyngton, Fade, nie Ruanda. Gdybym miał zasrane pieniądze, sam by ci je dał. Dobrze o tym wiesz.

Cisza.

- Więc jak się mają sprawy, Fade? Jak z tego wyjdziemy?

- Z tego nie można wyjść.

- Gówno prawda. Może pomogę ci wyjechać z kraju? Ile potrzebujesz pieniędzy? Masz z czego żyć?

- Pamiętasz mnie głupszego, niż jestem, Matt. Żeby dopiąć swego, pozwoliliście ze Strandem, by kilku policjantów straciło życie. Nie sądzę, byś chciał sprawdzać, czy taka informacja albo inne rzeczy, które miałbym do powiedzenia, zrobi na sądzie wrażenie. Jak mniemam, nie wpłynęłoby to dobrze na rozwój twojej kariery.

- Fade, możemy...

- Możesz co? Nie przejmować się tym, co się stało? To co z glinami? Też zapomną, jak gdyby nigdy nic? Chcesz wręczyć mi kilka milionów i ulokować w jakimś kurorcie ^ na brazylijskiej plaży? A może uważasz, że sam powinienem się wymknąć, schować w rynsztoku i siedzieć tam, ^ dopóki nie przestanę ruszać nogami? Daj spokój, Matt. iLS No, powiedz głośno, chcę to od ciebie usłyszeć, sukinsynu. r, Powiedz: „Fade, to się uda odkręcić, wszystko jeszcze na- . prawimy”. i”

- Nie daję gwarancji, nie w sprawach, na które nie mam - wpływu. Mogę powiedzieć tylko tyle, że zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Twoja moc, Matt, jest cokolwiek mizerna, nie? Jak na razie z tą swoją mocą potrafiłeś mnie tylko wydymać.

- Fade...

- Za pierwszym razem uszło ci to na sucho, człowieku. Ale drugiego razu nie będzie. Niechętnie to zrobię, ale zabiję cię, Matt.

Egan od początku wiedział, dokąd zmierza rozmowa, ale kiedy w końcu usłyszał te słowa, poczuł ich potworne uderzenie. Nagle oddychanie przestało być naturalne, musiał się mocno skupić, żeby nie przestać oddychać. Nigdy tak się nie czuł - nawet w czasie akcji bojowej. Różnica była nadto oczywista. Kiedyś nie miał tak dużo do stracenia. Więc co? Spierać się? Błagać? Odwoływać do rozsądku? Już za późno i niewiele to zmieni. Zawsze jest za późno i zawsze niewiele to zmieni.

- Jak... j ak rozumiem, nie musimy dodawać, że Elise i Kali są poza tą sprawą. Nic się nie wydarzy na ich oczach.

- Jak rozumiem, nie musimy dodawać, że wciąż kawał chłopa z ciebie i nie będziesz się chował za ich plecami.

Matt przytaknął.

- Do zobaczenia niebawem, Fade.

Rozdział trzynasty

- Mówię tylko, że to trochę dziwne, Karen. Wyciął w pień cały oddział, a ciebie nawet nie drasnął.

Każdy, kto ogląda trochę telewizję, właśnie tak mógł sobie wyobrazić pokój przesłuchań: szare ściany, jeden stół otoczony kilkoma niewygodnymi krzesłami i okienko zabezpieczone drucianą siatką. Już to, że siedzi tutaj, a nie w trochę sympatyczniejszej sali konferencyjnej, nie wróżyło nic dobrego. Z drugiej strony, kryło się w tym błogosławieństwo - przynajmniej ten pokój skutecznie odgradzał ją od reszty posterunku. Kiedy dziś rano szła korytarzem, przed sobą miała tylko głuche milczenie, a za sobą podnoszący się szmer

szeptów. Nikt się specjalnie nie krył ze świdrującymi spojrzeniami, a tylko nieliczni starali się ukryć niechęć.

- Twoi ludzie nie żyją. Ty siedzisz tutaj i popijasz herbatę.

Nie do końca ściśle stwierdzenie faktów. Dotychczasowe raporty wskazywały, że Erin jednak z tego wyjdzie. Poza tym nie piła herbaty, lecz colę. Karen odchyliła się do tyłu i spojrzała na kapitana Pickeringa. Zdawało się, że jest zadowolony, iż stoi z boku oparty o ścianę, a czarną robotę wykonuje Ken, jeden z najlepszych speców w departamencie od przesłuchań.

- Chcę tylko, żebyś powiedziała, Karen, dlaczego, twoim zdaniem, tak jest.

To pytanie padło po raz piąty. Pierwszy raz zostało postawione tonem przyjaznym, wręcz mimochodem. Teraz Ken pochylał się ku niej nad stołem, wspierając się na pięściach, z lekko zaróżowioną twarzą. Jeżeli temu tępemu grubasowi rzeczywiście się wydaje, że może ją zastraszyć, to był to jedynie kolejny dowód na to, że nikt w tej instytucji nie ma pojęcia, kim ona naprawdę jest. Zasufladkowali ją sobie taką, jaką chcieli ją widzieć.

- Chłopak był słodziutki, więc różnił się równo, potem pewnie uznał, że zabicie mnie byłoby nieuprzejme.

Ken zacisnął zęby.

- Może czegoś od ciebie będzie chciał?

- Tak konkretnie, to czego mógłby chcieć?

- Nie wiem. Może ubiłś z nim interes. On cię puści, a ty będziesz go informować o postępach w śledztwie. - Złagodniał tak nagle i tak czytelnie, że bez wątplenia udawał. - Do licha, Karen, sam bym tak zrobił na twoim miejscu. Gdyby jakiś psychopata przywiązał mnie do krzesła...

Główny obraz wydarzeń zaczynał być taki, że chłopcy mężnie walczyli i bohatersko zginęli, natomiast ona stchórzyła, a potem wytargowała sobie wolność. Żadna niespodzianka. Wielu mężczyzn, z którymi pracowała, z wyszukiwania jej słabostek uczyniło sobie pełnoetatowe zajęcie. Gdy tylko coś się jej nie udało, natychmiast się rodził kolejny dowcip o blondynkach. Przeważnie nie były nawet śmieszne.

- Właściwie przyklejona, byłam przyklejona do krzesła taśmą. Nie mam wątpliwości, że na moim miejscu dobiłbyś takiego targu. Aleja nie jestem tobą, prawda?

Ken odstał na chwilę od stołu i włożył ręce do kieszeni, próbując się zastanowić nad ujęciem tematu z innej strony. Karen pociągnęła łyk coli, patrząc mu prosto w twarz.

Tak naprawdę, przynajmniej na trochę złości, okazywanej jej przez kolegów, istotnie zasłużyła. Kiedy otrzymała awans, zwątpienie we własne siły i poczucie na karku całej tej

„akcji afirmatywnej” sprawiło, że zachowywała się w charakterystyczny dla siebie, ale niezbyt skuteczny sposób. Powinna się była umawiać po godzinach z chłopakami na piwo w pubach, tymczasem owa odrobina niepewności kazała jej koncentrować się na tym, żeby wszystko robić lepiej niż inni. Wmawiała sobie, że robi tak, aby zyskać szacunek podwładnych, ale to nie była cała prawda.

Gorzej nawet, powiedziała sobie, że nikomu nie pozwoli się wpuścić w politykę i zerwała kontakty z grupą feministek, jedynymi jej stroniczkami. Te szybko okrzyknęły ją zdrajczynią i teraz równie chętnie widziałyby jej klęskę. Jaka płynie z tego nauka? Efekt zmieszania niejasnych intencji z postawą obronną i własnym ego może się okazać wybuchowy.

- Mówiłaś, że się was spodziewał. - Ken cedził słowa z niesmakiem, który, jak mogła się domyślać, naprawdę odczuwał. - Uważasz, że ma w policji wtyczkę?

Znowu ten sam, aż nadto jasny podtekst: że próbuje zrzucić winę na kogoś innego. Szuka usprawiedliwień.

- Powiedziałam, że kogoś się spodziewał. Nie, że nas. Szczerze wątpię, by wiedział, że ma do czynienia z glinami, dopóki nie włączył telewizora. Gdyby wiedział, byłabym teraz martwa.

I - Ten tajemniczy Strand...; Karen wzruszyła ramionami. i - Gość, na którego temat chciał wyciągnąć ze mnie ja!| kies informacje.

- Szukaliśmy takiego nazwiska w każdej bazie danych i w kraju i nic. Nie ma takiego ani w handlu narkotykami, ani wśród podejrzanych o terroryzm, ani wśród tych, kogo I al Fayed znałby jeszcze z wojska...

I - Może to ktoś, o kim DEA nic nie wie? Może to przybrali ne nazwisko. Skąd dostaliście cynk? Rozmawialiście już ze

> swoim informatorem?

Ken zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

> - Mówię poważnie - ciągnęła, pochylając się nad stołem

II i próbując zmusić go, żeby na nią spojrział. - Kiedy tę łał migłówkę zaczyna się składać w całość, to okazuje się dużo bardziej skomplikowana od prostej wersji, że jakiś paranoik, były żołnierz, wysadza...

- Więc twoim zdaniem...

- Nie lubię, jak mi ktoś przerywa, Ken! Zamilkł, właściwie ze zdziwienia.

- Po pierwsze jestem zdania, że on nie miał nic wspólnego ze śmiercią braci Ramirezów.

- Och, po prostu wierzymy mu na słowo, tak? - udało się wtrącić Kenowi.

- Po co miałby kłamać w sprawie zabójstwa jakichś dilerów narkotykowych po tym, jak wykosił cały oddział policjantów? - Zamilkła na chwilę i wzięła głębszy oddech. - Po drugie, wydaje mi się, że al Fayed czekał na atak ze strony tego człowieka, Stranda. Nie puściłby mnie wolno, gdyby od samego początku wiedział, że jesteśmy glinami. Po co?

- Bo możesz informować go o postępach w naszym śledztwie.

Odchyliła się do tyłu.

- Ken, zastanów się... Mamy rozmawiać poważnie czy nie? Skąd dostaliśmy informacje na temat tego faceta? Był cynk, tak? Od kogo?

Ken pominął to pytanie milczeniem, podobnie jak za każdym razem, kiedy je stawiała. Najwyraźniej nie wiedział albo nie chciał powiedzieć.

- Na waszym miejscu to sprawdziłabym przede wszystkim - mówiła dalej. - Może informator wiedział, że al Fayed na niego czeka, i postanowił wysłać nas, żebyśmy odwalili czarną robotę za niego?

- Przestań, do cholery, tyle gadać! - krzyknął naraz kapitan Pickering, odrywając się wreszcie od ściany. - Zamknij się wreszcie! Spierdoliłaś operację, pozwoliłaś sobie wybić cały oddział, a teraz co? Moja wina? Na podstawie jakichś zaszranych teorii wciskasz nam, że policja dała się wmanipulować w mokrą robotę jakiegoś kartelu? Moje polecenie było proste i jasne, miałaś wejść do domu i zatrzymać sukinsyna, żebyśmy go mogli przesłuchać. Ale nie dałaś z tym sobie rady. Możesz tu siedzieć i zrzucać winę na innych, ale to jest żalosne.

- Żalosne?! - odkrzyknęła. - A kto cię ostrzegał, że wejście tam bez rozpoznania, tylko z naładowanymi karabinami, nie jest zbyt genialnym pomysłem? Kto ci mówił, że powinniśmy go zdjąć za wykroczenie drogowe? Kto ci mówił, że wydaje się dziwne, jeśli pierwszej klasy żołnierz narkotykowego kartelu mieszka w rozpadającej się ruderze i struga meble? Może powinienes bardziej zadbać o to, żeby nic z tych rzeczy się do ciebie nie przykleiło, i troszkę bardziej się starać dorwać tego faceta! Bo z góry mówię, że węszenie wokół mnie i czekanie, aż sobie nagle przypomnę, że dał mi swój adres i numer telefonu, do niczego nas nie zaprowadzi!

Pickering stał przez chwilę bez słowa, a potem skinął na Kena, by wyszedł z nim na zewnątrz. Kiedy drzwi się zamknęły, Karen trzasnęła pięścią w stół i zerwała się z krzesła. Podeszła do okna, wczepiła się palcami w drucianą siatkę i oparła czoło na parapecie.

Głupia. Dlaczego, do diabła, nie może się nauczyć trzymać język za zębami? Co powiedział jej ten cały al Fayed? Że nerwy wpędzą ją w tarapaty? Ciekawe, ten paranoik jest wnikliwym obserwatorem.

Już nic dobrego z tego nie wyjdzie. Jej ludzie nie żyją i nic z tym nie można zrobić. Pickering może tylko liczyć na znalezienie kozła ofiarnego i rewanż. Jeśli chodzi o to pierwsze, ma w rękę mocne karty. Pickering odsuwał pytanie, kto i dlaczego dał policji cynk, koncentrując dochodzenie na niepodważalnym fakcie, że al Fayed zabił kilku policjantów. Potem będzie dawał do zrozumienia, że awansował ją na dowódcę oddziału SWAT, bo się znalazł pod presją polityczną, i czekał tylko, aż dojdzie do katastrofy. To, że postępowała zgodnie z literą regulaminu, było konsekwentnie pomijane. Zresztą i tak nikt nie chciał tego słuchać. Każdy tylko chciał mieć winnego.

Cholera, może mają rację. Regulamin regulaminem, ale to była jej operacja, jej oddział, jej ludzie. Mogła zrobić więcej, niż zaprotestować słabo parę razy, a potem dać się wepchnąć do akcji jak idiotka. Mogła zażądać lepszego rozpoznania wywiadowczego, mogła się uprzeć, by poczekać na moment, kiedy podejrzany będzie z dala od domu i nieuzbrojony. Nie zrobiła tego.

Jeszcze gorsza była nabierająca rozpędu oblawa. Trudno wątpić, że prędzej czy później znajdą al Fayed - kiedy policja ma do czynienia z kimś, kto zabił jej ludzi, zaczyna grać o całą oktawę wyżej. To oznaczało tylko kolejny akt dramatu. Sęk w tym, że Karen nie była pewna, czy druga runda pójdzie im choć odrobinę lepiej niż pierwsza.

Rozdział czternasty

Biała koszula wyjściowa, którą Matt składał starannie w walizce, miała być tylko na pokaz dla żony, gdyby raptem weszła do sypialni. Tak naprawdę można ją było wykorzystać tylko w jednym celu, żeby jego ciało ładnie się prezentowało w domu pogrzebowym. Dobry dowcip, nie ma co.

Przeniósł wypełnioną do połowy walizkę do łazienki i zaczął do niej wrzucać przybory toaletowe, odwracając się za każdym razem od lustra, by nie spojrzeć przez przypadek na własne odbicie. Nie ma po co przypominać sobie przeredzonych włosów na głowie, okularów w drucianej oprawie czy nieuchronnych zmian w proporcjach jego trzydziestoosmioletniego ciała, które w barkach zaczynało być wąskie, a w biodrach coraz tęższe. Nie żeby był, jak powiedziałyby większość ludzi, mięczakiem. Trzy razy w tygodniu pokonywał w biegu osiem kilometrów, z całkiem przyzwoitą prędkością, a w pozostałe cztery dni spędzał godzinę w siłowni. Nieraz jednak miał poczucie, że przegrywa tę walkę. Zamknął walizkę, zacisnął zatrzaski i zszedł na korytarz, do gabinetu, powtarzając w duchu, że spadek kondycji fizycznej i tak nie ma nic do rzeczy. Siedem lat temu, podczas ćwiczeń w Karolinie Północnej, Fade sam jeden wykosił jego i cały jego oddział.

Kiedy szedł przez kuchnię, nie widział Elise; prawdopodobnie wpadła już w potrzask akcji, dłuższej z każdym dniem, kładzenia Kali spać. Zatrzymał się w korytarzu z myślą, by jej pomóc, ale nagle, nie wiedząc czemu, poczuł się jak ktoś z zewnątrz - jakby już nie należał do rodziny. Tu chodziło o coś więcej niż rzucone dziś kłamstwo; to było przekonanie, że w ogóle nie powinien był dopuścić do sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie miał już prawa.

Egan zamknął drzwi, usiadł przy biurku i położył na nim walizkę. W panującym półmroku niemal minutę zabrało mu przebieranie w pęku kluczy, by w końcu znaleźć właściwy, pasujący do dolnej szuflady z prawej strony. Jeśli Elise kiedykolwiek zauważyła, że szuflada jest zamykana na klucz - a na pewno zauważyła - to nigdy nie wspomniała o tym ani słowem. Prawdopodobnie nie chciała wiedzieć, co się w niej znajduje.

Pistolet, który wyjął z szuflady, wydawał się żaloszny w porównaniu z arsenałem, który, jak sobie wyobrażał, zgromadził Fade. Prawdę mówiąc, bardziej była to pamiątka niż broń palna. Jedyna rzecz, która przypominała mu karierę wojskową, a nie znalazła się, jak wszystko inne, na strychu. Jego gabinet przemienił się w przybytek bardziej sławiący osiągnięcia małżonki niż jego własne - oprawione w ramki płyty kompaktowe, plakaty z koncertów, artykuły wycięte z magazynów, recenzje. Oczywiście protestowała, ale, szczerze mówiąc, Matt nie miał najmniejszej ochoty wracać do swojej przeszłości. O ile było prawdą, że armii wiele zawdzięczał, o tyle trudno się zgodzić, by lubił ją wspominać.

O Eganach tylko tyle można było powiedzieć, że się wywodzili z proletariackiej białej biedoty. W rodzinnej tradycji leżało ukończenie co najwyżej szkoły średniej, potem piechota morska, kilka lat szykan ze strony żandarmerii wojskowej i wreszcie etat mechanika albo robotnika w ja-³ kiejś fabryce. Co środę bowling, co sobotę burda pijacka. Raz na miesiąc trochę poobijać żonę.

Bardzo długo potrafił siebie przekonywać, że pójdzie tą samą, przetartą w rodzinie drogą. Rozmyślnie zostawił szkołę, ale właściwie tylko po to, żeby się wymykać z domu i zagrzebywać gdzieś z książkami, utwierdzając ojca w przekonaniu, że uprawia jakiś sport. Choć starał się robić wszystko na opak, to szkołę skończył z dobrą średnią. Oczywiście nikt, również on, nie widział w tym osiągnięciu niczego poza zabawnym i głupim szczęściem. Oczywiście też nigdy nie przyszło mu do głowy, że życie ludzkie może się toczyć w kierunku, którego jego krewni nigdy wcześniej nie podjęli.

Jednak mimo braku wyobraźni, do którego sam się przyznawał, objawił raz błysk niezależnego myślenia, kiedy po ukończeniu szkoły wstąpił, ku rozczarowaniu ojca, do regularnej armii, a nie piechoty morskiej. Kusila go nawet służba w siłach powietrznych,

jeszcze mniej wymagająca, ale doszedł do wniosku, że nieunikniony wówczas skandal w rodzinie byłby dla niego trudny do zniesienia.

Kiedy się pojawił na pierwszych ćwiczeniach, wystarczyło trzydzieści sekund, żeby poczuł wstręt do drylu i bezlitosnej natury wojskowego życia. Po paru miesiącach był gotów strzelić sobie w łeb. Któregoś dnia, kiedy topił smutki w pobliskim barze, wdał się w rozmowę z komandosem z Zielonych Beretów. Ten nakreślił mu bardzo obiecujący obraz sił specjalnych - praca wywiadowcza, okazja do pracy intelektualnej, a przede wszystkim tyle spokoju, na ile tylko może liczyć człowiek zwerbowany do wojska.

Uporem i siłą woli przebrnął przez rygorystyczny program szkoleniowy. Ale potem, jak się okazało, czekały go jedynie przyjemności - sukces zatarł animozje w jego stosunkach z ojcem, na ile mógł je zatrzeć, a możliwości nauki były wręcz niewiarygodne. Nie miał co prawda szansy, by zostać najsilniejszy czy najszybszy w grupie, ale objawił nieprzeciętne zdolności w kierunku poznawania obcych kultur i języków oraz analitycznego myślenia.

Wszystko szło jak z płatka, dopóki armia nagle nie postanowiła zażądać od niego, by wreszcie zrobił coś w zamian za swoje miesięczne pobory. Wysłali go do Jordanii, gdzie musiał zabić człowieka. Właściwie sześciu ludzi. To oznaczało koniec miłosnej przygody z siłami specjalnymi. Gdy wylądował z powrotem w Stanach, złożył prośbę o zwolnienie ze służby. Jego dowódca podarł ją na strzępy i powiedział, żeby wrócił po dwóch dniach. Kiedy dokładnie po czterdziestu ośmiu godzinach zjawił się znowu u dowódcy, czekał na niego facet z akademii West Point. W ten sposób, całkiem niespodziewanie, Egan znalazł się na studiach.

Nie miał zaszczepionego etosu pracy i jeśli napotykał rzeczy, które zupełnie go nie interesowały, aura uniwersytecka w ogóle nie miała dla niego znaczenia. Szybko wykształcił w sobie niedobry nawyk widzenia problemów ze zbyt wielu stron i zawziętego dyskusowania na ich temat z profesorami - nawyk, który nie zdobywał mu serca w gronie pedagogicznym. Tymczasem sama idea, by ktoś stawał przed całą grupą i mówił jej, co myśleć, jakoś nigdy się w nim nie zadomowiła.

Krótko mówiąc, miał problem z posłuszeństwem wobec przełożonych, co u żołnierza nie jest dobrze widziane. Zdumiał się więc, kiedy po rekomendacji kilku wykładowców zaczął się koło niego kręcić wywiad wojskowy.

Tak więc nagle został szpionem. I to całkiem niezłym. Jego życie osobiste jednak pozostawało wciąż nieustabilizowane. Jego żona nazwałaby zapewne ten okres kryzysem tożsamości. Może trochę zbyt delikatnie, ale dość celnie. Żeby dostrzec możliwości, z których

jego koledzy z West Point korzystali bez zastanowienia, Matt musiał zrzucić z barków wielki bagaż kulturowy.

Wszystko się spełniło, kiedy przeszedł z wojska do liberalniejszej w duchu CIA i kiedy poznał Elise. Dopiero wówczas pojął, że życie, w którym szukanie ludzi jest jak nieustanna próba wpasowania kwadratowego szpunta w okrągłe otwory, prowadzi do szaleństwa.

Tak dotarł tu, gdzie jest, trzydziestoosmioletni mężczyzna, nareszcie pogodzony ze sobą, który ma wszystko, o czym nawet w młodości nie wiedział, że tego chce. I teraz to wszystko ma utracić.

‘i.

Rozdział piętnasty

Samochód był trochę poobijany i mocno ściągał w lewo, ale pod wieloma innymi względami nadawał się znakomicie. Czy błękitny cadillac deville z sześćdziesiątego piątego roku, kabriolet, może mieć wiele minusów? Auto było przestronne, miało kopyto i dawało niemal nieograniczone możliwości wiatrom, by hulały po krótko ostrzyżonej głowie Fade’a. Fade wyciągnął piwo z uchwytu na drzwiach i zerknął na szybkościomierz, pilnując, by wskaźnik utrzymywał się tuż pod progiem dozwolonej prędkości; jechał na północ autostradą międzystanową -.

Był trochę nie w sosie - nie wiedział dobrze dlaczego. Niebo było bezchmurne, kufer jego słodkiego nowego autka wypakowany był forszą, bronią i alkoholem, a jego problemy były tak bardzo nie do przewyciężenia, że nawet nie było sensu się nimi martwić.

Więc w czym sęk? Jeszcze trochę rozmyślał i odpowiedź sama się znalazła: Matt Egan.

Nawet teraz, po tym, co się stało, było niemożliwe, żeby zapomniał o przeszłości. Egan nieraz mu ratował tyłek - nie jakoś efektownie, żeby wyciągał go rannego z pola minowego, jednak był to trud nie mniej prawdziwy. Matt na pierwszym miejscu stawiał bezpieczeństwo swoich ludzi, a jego rozpoznanie wywiadowcze prawie zawsze było bezbłędne. Kiedy strach zaglądał w oczy, nie było nic lepszego od jego głosu w krótkofalówce. Człowiek wiedział, że jeśli dokładnie wykona to, co każe Matt, to mu się uda.

Potem była Mary Jane.

Fade już od roku pracował z Eganem, kiedy rozniosła się wieść, że umiera jego ojciec. Zaraz też zaczęły krążyć słuchy, że z powodu starych zadrzań Matt wcale nie zamierza się do niego wybrać. Fade’a łączyła już z Mattem pewna zażyłość i wydawało mu się oczywiste, że przyjaciel podejmuje decyzję, której gorzko pożałuje. Toteż pewnego ranka władował na

tylne siedzenie swojej rześowatej corvetty cztery skrzynki piwa, pojechał do Matta i mimo jego żywych protestów zawiózł go do Kentucky.

Dla dwudziestopięcioletniego amerykańskiego Araba, który dorastał na Brooklynie, była to wyprawa dość osobliwa. Rodzina Eganów zrobiła na nim wrażenie zgrai szczerbatych szczurojadów z planety wiejskich ciołków. Jedyny godny uwagi wyjątek stanowiła siostra Matta, Mary Jane, która za namową brata poszła do szkoły pielęgniarstwa. Fade i Mary Jane bardzo szybko się zaprzyjaźnili i przyrzekli sobie, że będą utrzymywać kontakt. Kiedy rok później kończyła szkołę, spotykali się już od jakiegoś czasu w połowie drogi między ich domami.

Nie wiedząc, jak Matt na to zareaguje, nic mu o tym nie mówili, ale było oczywiste, że prędzej czy później się dowie. Kiedy się wreszcie dowiedział, właściwie bardzo się ucieszył i nie mógł zrozumieć, dlaczego nic mu nie powiedzieli. Fade pomyślał wtedy, że jeśli facet zdaje się szaleć ze szczęścia na wieść, że sypia z jego siostrą, to można być zupełnie pewnym, iż jego przyjaźń nie jest udawana.

Kto wie, co by było, gdyby nie został ranny i gdyby nie zostawili go na lodzie? Fade byłby może teraz szwagrem Matta, a jego dzieciaki brałyby lekcje gry na gitarze u Elise Egan.

Ale nie tak się potoczyły sprawy. Kiedy wrócił, MJ tysiące razy próbowała się z nim skontaktować i go zobaczyć, a on tysiące razy odtrącał jej próby. W końcu telefon przestał dzwonić.

Fade wysączył resztę piwa i rzucił butelkę na tylne siedzenie, próbując się otrząsnąć ze wspomnień. Dłuższa zaduma nad rodziną Eganów w żadnym razie nie pasowała do jego fantastycznego trzyetapowego planu poprawiania sobie nastroju. Po zakupie samochodu przyszedł czas na etap drugi. Na swoim nowym, pierwszorzędnym telefonie Fade wybrał zapisany na grzbiecie dłoni numer i przycisnął telefon mocno do ucha, by osłonić go od wiatru.

- Departament Bezpieczeństwa Krajowego, z kim mam połączyć?

- Z biurem Hillela Stranda, proszę! - krzyknął. Nastąpiła krótka pauza, a potem usłyszał kobiecy głos:

- Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Z Hillelem Strandem, proszę.

- Mogę zapytać, kto dzwoni?

- Salam al Fayed.

Najwyraźniej kobieta albo wiedziała, co się dzieje w biurze, albo na bieżąco słuchała wiadomości, bo zanim znowu się odezwała, nastąpiła w słuchawce dłuższa chwila niezręcznego milczenia.

- Proszę poczekać...

Wziął z podłogi kolejne piwo.

- Pan al Fayed? Wszystko u pana w porządku?

- Ależ oczywiście, Hillel. Dzięki, że pytasz. A u ciebie?

- Gdzie pan jest? Czy może pan do nas przyjechać?

- Och, bardzo na to liczę. Nasłanie na mnie policji nie było zbyt uczciwą zagrywką.

- Nic o tym nie wiedziałem. Skąd miałbym wiedzieć?

- Jakoś nikt tego nie chce wziąć na siebie. Ale cóż, to jest ta najgorsza strona bycia szefem, co, Hillel? Gdzieś na kogoś trzeba zrzucić odpowiedzialność.

- Panie al Fayed, proszę posłuchać... Bardzo mi przykro z tego powodu... Wciąż próbuję ustalić, co się naprawdę stało, ale nic jeszcze nie wiem. To prawda, że chciałem, aby pan dla nas pracował. Jest pan najlepszy, a my szukamy najlepszych, jednak pana odpowiedź usłyszeliśmy wyraźnie. Oczywiście rozumiem powody resentmentu, jaki pan żywi wobec rządu, i szczerze mówiąc, nie dziwię się panu. Obowiązkiem rządu było zająć się panem, a rząd tego, niestety, nie uczynił. Być może możemy to jeszcze naprawić.

Fade musiał przyznać, że Strand potrafił mówić. Bardzo uspokajająco. Bardzo szczerze. Zupełnie inny człowiek niż ten, którego poznał na podwórku przed domem.

- Niby jak?

- Dysponujemy dość znacznymi zasobami, a także wolnością w podejmowaniu decyzji, oczywiście do pewnego stopnia. To niewiele, żeby uwolnić pana od pełni problemu, nikt nie ma takiej siły przebicia. Ale bylibyśmy w stanie zdobyć dla pana nową tożsamość i ułatwić wyjazd z kraju. Moglibyśmy również utwierdzić policję w przekonaniu, że pan nie żyje. Choć tego nie mogę, niestety, zagwarantować.

- Niezły byłby z ciebie polityk, prawda, Hillel? Wielka przyszłość. Coś mi jednak podpowiada, że nasze spotkanie mogłoby się dla mnie zakończyć w jeden tylko sposób: kulką w plecach, a jedną już mam. Nie. Żadnej polityki, żadnych matactw, żadne sranie w banie. Tylko ty i ja.

- Panie al Fayed... - zaczął znowu Strand, już trochę wyższym głosem.

- Pamiętasz, Hillel, co przed moim domem mówiłeś o grze? No, to zapraszam do gry.

Fade wyłączył telefon i rzucił go na siedzenie pasażera. Strand może go kosztować sporo wysiłku. W przeciwieństwie do Matta sukinsyn na pewno się wczołga pod biurko i

będzie tam siedział pod osłoną systemów wartych miliard dolarów, dopóki się nie upewni, że Fade jest trupem. Jednak nawet jeśli się nie uda, to da łajdakowi zasmakować poczucia, jak to jest, kiedy kolejne minuty upływają na beznadziejnym oczekiwaniu, by coś wreszcie zakończyło życie.

Rozdział szesnasty

- Matt! Czy twój telefon dobrze działa? Już zaczęłam myśleć, że zniknąłeś z powierzchni ziemi.

Kelly Braith, recepcjonistka biura, nie mogła wiedzieć, co się dzieje, ale coraz niespokojniejszy Hillel Strand zdręczał ją na pewno przez cały dzień. Poprzedniego popołudnia Egan po cichu wyłączył z gniazdka telefon w domu i włączył go dopiero dzisiaj o dziewiątej rano, kiedy już wychodził.

Wiadomości nagrane na komórkę Matta wskazywały, że już wczoraj Strand lekko się zdenerwował jego zniknięciem, ale w prawdziwą panikę wpadł dopiero parę godzin temu. Nie sposób stwierdzić z całą pewnością, co spowodowało tę nagłą eskalację, ale można się było domyślać.

Egan zerknął* na zegarek. Trzynasta. Całe przedpołudnie poświęcił na przeprowadzkę do hotelu pod Waszyngtonem i wynajęcie samochodu, którego szyby natychmiast zaciemnił. Chociaż się upewnił, że w popołudniowym słońcu nic nie można przez nie zobaczyć z zewnątrz, kiedy wjeżdżał przed chwilą na podziemny parking pod budynkiem, tempo bicia serca spadło mu do bodaj dziesięciu uderzeń na minutę. Jeśli tylko się uda, to po raz ostatni znajdzie się w promieniu piętnastu kilometrów od Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, nim któryś z nich, on albo Fade, zakończy wreszcie sprawę. Nie ma powodu, żeby staremu przyjacielowi ułatwiać zadanie.

- Przepraszam, Kel. Miałem rano coś do załatwienia. Mam nadzieję, że nie zawracali ci głowy.

W odpowiedzi Kelly wzniosła oczy do nieba i skinęła w kierunku pokoju Stranda.

Matt pokazał jej pełen zrozumienia uśmiech i nie zwalniając kroku, szedł dalej.

- Matt!

Nie odwrócił się. Wszedł do swojego pokoju i zaczął szperać w szufladach z aktami.

- Matt! - powtórzył Strand, wchodząc za nim do pokoju i zatraskując za sobą drzwi. - Dlaczego, do cholery, nie odpowiadasz na telefony?

Egan pochylił się nad pudłem z papierem do drukarek, opróżnił je i zaczął pakować do niego swoje rzeczy. Wciąż się nie odzywał.

- Dzwonił al Fayed - powiedział Strand. - Groził mi.

- O... hm... - odparł Egan, próbując rozstrzygnąć, czy kubek do kawy jest czysty, a potem wrzucił go do pudła.

- Słyszałeś?

- Taak, Hillel. Słyszałem.

Strand złapał go za ramię i obrócił do siebie, patrząc mu uważnie w twarz.

- Tobie też groził, prawda?

Egan tylko podniósł brwi i znowu zaczął grzebać w szufladach. Strand, jakby nagle rozluźniony, przysiadł na krawędzi biurka. Nieszczęścia chodzą parami.

- Więc dlaczego nie oddzwaniaasz? Musimy coś z tym zrobić. Porozmawiać.

- O czym? - dodał Egan, dodając w myślach „ty głupi kutasie”.

- O al Fayedzie i o tym, co zamierzamy z nim zrobić. Czy ci się podoba, czy nie, Matt, siedzimy razem w jednym łajnie.

Matt zatrzasnął wreszcie szufladę i się odwrócił. Strand nie wyglądał tak świeżo jak zwykle, co kazało wnioskować, że noc spędził w biurze. Szczęściarz. Bardzo możliwe, że Fade zdążył już zlokalizować jego dom.

- Właściwie, Hillel, dla mnie stanowisz tylko dodatkowy problem, kręcisz się wokół mnie i myślisz, jak zrobić ze mnie kozła ofiarnego sprawy, którą sam schrzaniłeś. Prawdę mówiąc, nie miałbym racji, gdybym powiedział, że mam gdzieś, czy Fade cię zabije czy nie, ponieważ urządziłoby mnie teraz, gdyby cię zabił. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał, ale nie leży w moim interesie, byś przeżył.

Strand otworzył usta, ale nie wypowiedział słowa. Pojęcie śmierci funkcjonowało tak daleko od świata, w którym żył, że należało wątpić, czy potrafiłby w ogóle pomyśleć o takiej ewentualności. Czy rzeczywiście rozumiał, że konsekwencją tej sytuacji może być coś więcej niż niepowodzenie w sfinalizowaniu zręcznego sojuszu politycznego lub nagły spadek na drabince płacowej? Trudno powiedzieć.

- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, mówiłem trochę... trochę nie tak - powiedział Strand.

- Byłem wściekły i nie myślałem racjonalnie. Wiesz, chcę powiedzieć tylko tyle, że nie miałem wtedy racji...

Egan patrzył na niego przez kilka chwil w milczeniu, próbując zdecydować, co robić. Oczywiście ta zmiana nastroju podyktowana była oportunistycznym. Strand stracił grunt pod nogami i zaczynał pojmować, że musi szukać pomocy. Mając tego świadomość, Egan wiedział, że łatwiej przyjdzie mu zrobić, co ma do zrobienia, jeśli zachowa dostęp do środków Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

- Kim są bracia Ramirezowie?

Pokerowa zwykle twarz Stranda tym razem go zawiodła - wyraz zaskoczenia mówił wszystko. Prasa nie pisała o Ramirezach. W każdym razie jeszcze nie.

- Ja też mam swoje źródła, Hillel.

Strand rzucił okiem na drzwi, upewniając się, czy są zamknięte, a potem siedział bez słowa przez kilka dobrych sekund, najwyraźniej usiłując oszacować, ile Egan wie, a ile powinien mu powiedzieć.

- Bracia Ramirezowie to wybieg - powiedział w końcu. - Trudno byłoby ruszyć policję historyjką o tym, że ileś lat temu al Fayed eliminował handlarzy narkotyków w Kolumbii...

- Więc skonfabulowałeś? Strand przytaknął z wahaniem.

- Poleciłem Lauren zebrać informacje o Ramirezach i al Fayedzie w taki sposób, żeby żaden biurowy zrzęda nie miał do nich wglądu, a potem dałem cynk, bardzo przekonujący i anonimowy.

Ot i cała prawda. Dla własnych korzyści Strand podrzucił policji fałszywą informację, która posłała kilku gliniarzy do kostnicy. Jeśli ta intryga wyszłaby na jaw, musiałby wyciągnąć naprawdę mocne dowody na powiązania al Fayed z Ramirezami, bo w takim wypadku nieuchronne byłoby śledztwo FBI, zakrojone na szeroką skalę. Inaczej wszystkie te pseudopatriotyczne tłumaczenia, którymi jeszcze wczoraj tak szafował, byłyby gównem warte.

- Dokonałem złej oceny - mówił dalej Strand spokojnym głosem. - Liczyłem na to, że policja zatrzyma al Fayed, a potem się zjawimy z ważną informacją, która oczyści go z zarzutów...

- Jeśli zgodziłby się dla nas pracować - dodał Egan.

- Ponoszę odpowiedzialność, Matt. Obaj ponosimy. Jesteśmy ogromnym trybem systemu bezpieczeństwa, potrzebnego, by kraj mógł iść naprzód, i wiesz równie dobrze jak ja, że al Fayed jest naszym wyjątkowym bogactwem. Nie miałem wyboru, musiałem zrobić wszystko, żeby go zdobyć. Obie strony powinny na tym skorzystać. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może dojść do czegoś takiego...

To prawdopodobnie była akurat prawda, ale w obecnej sytuacji nie miało to już znaczenia.

- Widzę to tak, Matt, że obaj jesteśmy przyparci do muru. Ja wysłałem do al Fayed policjantów pod fałszywym pretekstem, a on ich zabił. Ale nie zapominaj, że ty kryłeś jego działania w Kolumbii. Nikt nie uwierzy, że osobiście nie byłeś w to zaangażowany, to niemożliwe.

- Jeśli sprawy rzeczywiście zajdą tak daleko, to z pewnością mogę się spodziewać, że zrobisz wszystko, by całą winę zrzucić na mnie.

- Nie obracajmy tego w wojnę, w której obaj poniesiemy klęskę, Matt. Dobrze wiesz, że nie będę nawet musiał powiedzieć jednego słowa. Wiesz, jak pracuje rząd. Winny, bo znamy winny... - Strand zamilkł na moment. - Wszystko się sprowadza do tego, że musimy połączyć siły i załatwić tę sprawę. Tak będzie dobrze dla wszystkich.

- Dla wszystkich - powtórzył cicho Egan, a potem odwrócił się do niewielkiego okna, z widokiem na Waszyngton.

Ciekawe, czy Fade też by się z tym zgodził - pogrzebany gdzieś w jakimś grobie i zapamiętany przez historię wyłącznie jako psychopatyczny morderca policjantów i handlarz narkotykami.

Co powinienem zrobić?

Mógł pójść do dyrektora i o wszystkim powiedzieć. Jak by zareagował? Źle. Generał Crenshaw był nadzwyczaj niekonfliktowym człowiekiem i bardzo wrażliwym uczniem historii. Na godzinę przegadaną na temat bezpieczeństwa pół godziny potrafił prawić na temat konstytucji. Jak tylko mógł, przeciwstawiał się stopniowemu i cichemu skupianiu władzy w rękach rządu. Pozbawianie człowieka prawa do uczciwego procesu, odebranie mu prawa do podróży samolotem bez podawania powodu, przetrzymywanie podejrzanych o terroryzm w jakimś nieokreślonym, zawieszonym pierdłu - wszystko to uważał za niebezpieczną drogę, która w historii prowadziła tylko do katastrof. Najmniejsze podejrzenie, że jego podwładni mogli nadużyć władzy, jego zdaniem niesłusznie, traktował z całą powagą i surowością. Dla Egana najprawdopodobniej skończyłoby się to odsiadką aż do dni, kiedy jego córka będzie szła na emeryturę.

Co z Fade'em? Rząd nie mógł pozwolić na to, żeby rozwścieczony Salam al Fayed grasował po kraju, ani, co jeszcze gorsze, żeby zaistniał na salach sądowych. Zostanie więc powołany zespół z zadaniem odszukania go i zlikwidowania albo zadekowania do końca życia w Guantanamo. Zresztą zapłaci nie tylko Fade. Jeśli czegoś można tu było być pewnym, to tego, że Salam al Fayed nie zniknie w absolutnej ciszy. Zginą ludzie.

- Mamy niewyobrażalną przewagę, Matt. Znasz al Fayedę lepiej niż ktokolwiek inny. Ja mogę zapewnić dostęp do bieżących informacji ze śledztwa prowadzonego przez policję. Mamy jego kartotekę, której nie zobaczy nikt inny. Mamy tu, do cholery, cały zespół ludzi...

- Sugerujesz, że mamy to załatwić zupełnie sami - przerwał Egan.

- Nie sądzę, aby wprowadzenie innych osób zwiększyło nasze możliwości odnalezienia Fade'a.

Egan długo nie odpowiadał, choć wiedział, że dla niego istnieje tylko jedno wyjście. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że jeśli cała sprawa ujrzy

światło dzienne, to on skończy w więzieniu, a Fade w grobie - ale pociągając za sobą kolejnych dobrych ludzi.

- Ja poprowadzę operację - powiedział Egan. - Więc ja dowodzę.

Strand spuścił wzrok na podłogę i zaplótł dłonie na kolanie.

- Wiem, że byliście przyjaciółmi, że w jakiejś mierze czujesz się odpowiedzialny za to, co się z nim stanie. Ale tak naprawdę z tej sytuacji nie ma przyjemnego wyjścia.

Jasne było, do czego Strand zmierza, ale oczywiście chciał, żeby zostało to powiedziane głośno, bo tylko tak uzyska pewność, że obaj stoją po tej samej stronie. Strand chciał, żeby Fade został zabity i żeby ten zaszczyt przypadł Eganowi.

- Do mnie też dzwonił, Hillel. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale teraz muszę myśleć o rodzinie. On jest zbyt niebezpieczny, żeby się z nim bawić w kotka i myszkę.

Tym bardziej przekonujące, że zgodne z prawdą. Gdyby się nadarzyła okazja, szaleństwem byłoby nie strzelić - Egan to wiedział. I może by strzelił. Ale tego nie sposób powiedzieć, dopóki człowiek się nie znajdzie w takiej sytuacji. Rzeczywiście ma zabić Fade'a? Pociągnąć za spust? Jak mogło do tego dojść?

Oczywiście, całe to zagłębienie w głąb własnej duszy, konspirowanie, układanie się, paktowanie prawdopodobnie było tylko inscenizacją pozbawioną znaczenia. Trudno bowiem nie pamiętać, że, jak dotychczas, nie przeżył nikt, kogo Salam al Fayed wziął na cel. I nic nie wskazywało na to, żeby Strand albo on mieli być pierwszymi, którzy przeżyją. m

Rozdział siedemnasty

Fade przejechał wolno cadillakiem przez otwarte na oścież, metalowe, duże drzwi, a potem, kierując się wskazaniem Latynosa o ciężkich, wytatuowanych ramionach, wjechał na sam środek przestronnego, przypominającego pieczarę warsztatu samochodowego. Oto rozpoczyna się właśnie trzeci etap planu poprawiania sobie nastroju.

- Co za kupa złomu.

Fade wygramolił się z samochodu - ponad drzwiami, które, jak zauważył, zablokowały się na amen - i zeskoczył na czarnobiałą szachownicę podłogi. Obracając się wolno, ogarnął wzrokiem najwyższej jakości maszynię, wiszące na ścianach fotografie słynnych sportowców z autografem i, oczywiście w takim przybytku, plakaty półnagich kobiet. Kontrast między nieskazitelnie czystym budynkiem a niechlujnymi i posepnymi facetami, którzy oglądali ze wszystkich stron jego samochód, w rzeczywistości był jeszcze bardziej uderzający niż w telewizji.

- Dzięki, Isidro, że tak szybko znalazłeś dla mnie trochę czasu.

- Żaden problem. Od lat staramy się was, ludzi kina, obudzić. Wszystkim swoim sławnym aktorom każecie jeździć wozami, które każdy kurdupel kupi na byle ulicy. Raz podrasowaliśmy Tomowi Hanksowi, długo objaśniał jakieś bzdety o ukrytej promocji marek w filmie...

- Podrasowaliście Tomowi Hanksowi?

- Jego bryczkę, chłopie, jego bryczkę...

Pierwszy raz Fade zobaczył Isidra w teleturnieju na Discovery Channel, w którym zespół zdolnych mechaników mógł wygrać zestawy narzędzi, jeśli przerobi auto zgodnie z życzeniem klienta. W ciągu pięciu dni Isidro i jego ekipa przemieniła zwykłego porsche w wodnoładową amfibię, która na wodzie osiągała prędkość czterdziestu węzłów, a mimo to w zakręty wchodziła jak marzenie. Przy takim wyczynie to, co Fade zamierzał zrobić ze swoim caddym, powinno być dla nich bułką z masłem.

- To jak, tym rzęchem ma jeździć James Bond? - zapytał mężczyzna, który stał na bagażniku cadillaca. - Co tu ma być grane?

Kiedy Fade zatelefonował do Isidra, przedstawił się, że jest ze studia MGM i pracuje nad nowym odcinkiem Bonda. Długo by wyjaśniać, co chciał zrobić ze swoim samochodem.

- Pomysł jest taki. Postanowili zrobić ostatni odcinek. Akcja ma się rozgrywać w latach siedemdziesiątych. Wtedy filmy o Bondzie były naprawdę wdechowe. Tym razem przybywa z misją do Stanów, musi się jakoś wmieszać w obce otoczenie, a czy jest bardziej amerykański samochód od kabrioleta cadillaca?

Mężczyzna poprawił sobie na głowie czerwoną chustę i zaczął bujać tyłem samochodu, najwyraźniej zawiedziony stanem resorów.

Fade wytrzymał wzrok Isidra.

- Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu kupować cacka, biorąc pod uwagę robotę, jaką macie tu do wykonania.

Ten wzruszył tylko ramionami. Fade ruszył za nim wokół samochodu.

- Przestań, kurna, fikać z tym kufrem, bo się rozpadnie, chłopie.

Stojąc obok tego mężczyzny, Fade siłą rzeczy poczuł się jak ktoś obyty z gwiazdami filmowymi. Choć Isidro i jego chłopcy przypominali bandę zwyrodnialców ze wschodniego Los Angeles, to w swoim fachu byli prawdopodobnie najlepsi na świecie. Prawdę mówiąc, byli tak precyzyjni, że, jak mówiono, znak firmowy Isidra: „Gorące kółka z Doliny Śmierci”, nosi nawet parę części wahadłowców kosmicznych.

Isidro znowu ruszył, a Fade znowu poszedł za nim, tym razem w kierunku lodówki wymalowanej artystycznie aerografem, w której nie znajdowało się nic poza piwem.

- Więc o co chodzi, chłopie? - zapytał Isidro, zdejmując z butelki kapsel i podając ją Fade'owi.

- Cieszę się, że pytasz. Z przodu dwa karabiny maszynowe, po jednym nad każdym z reflektorów. Z tyłu jeden karabin maszynowy na środku, rażący z bagażnika. Chciałbym też, aby tylne siedzenie się unosiło i mieściło schowek na karabin i parę innych drobiazgów w tapicerce. W podłokietniku między przednimi siedzeniami musi się znajdować pistolet, także wpuszczony w piankę. Cóż jeszcze, skaner policyjny... Aha, i katapulta pod przednim siedzeniem. To absolutnie konieczne.

- Siedzenie z przodu jest jednoczęściowe - zauważył mężczyzna siedzący na bagażniku.

- Możemy je przeciąć - zaproponował ktoś inny. - Ale stracisz regulację przesuwu w przód i w tył.

- Nie szkodzi - odpowiedział Fade.

- Co myślisz? - To pytanie Isidro skierował do jedyne białego w warsztacie.

Facet miał olbrzymi biały tyłek, który był widoczny niemal w całej krasie, kiedy mężczyzna się pochylił, stanął na czworakach i zajrzał pod siedzenie.

- Czy to ma rzeczywiście działać? Fade wzruszył ramionami.

- To znaczy, pytasz, czy faktycznie ma wyrzucać gościa w powietrze? E... nie. Wiesz, chodzi tylko o to, żeby było bajerancko.

- Same sprężyny nie wystarczą. Trudno byłoby kontrolować system zapadkowy...

- Trudno byłoby też cofnąć siedzenie do pozycji wyjściowej - dodał Isidro i odwrócił się do Fade'a. - Jeszcze coś?

- Już tylko drobiazg. Potrzebny mi silnik z dobrym kopytem i jako takie zawieszenie, żebyśmy mogli wykorzystać wóz do scen z pościgami. I naprawdę elegancki lakier, myślałem o czarnym. I oczywiście świetne stereo z doskonałym nagłośnieniem. Pierce Brosnan będzie musiał spędzić w tym autku mnóstwo czasu, a jest wielkim miłośnikiem muzyki klasycznej...

Isidro skinął wolno głową i na kilka sekund przygryzł dolną wargę.

- Tanio nie będzie.

- Wiem.

- Na kiedy?

- Nie chcę wam tego robić, ale, niestety, potrzebuję to migiem. Powiedzmy... środek przyszłego tygodnia?

Wywołało to chóralny wybuch śmiechu i hiszpańskich przekleństw, które poniosły się echem po wysokich ścianach warsztatu.

- Wiem, wiem - powiedział Fade, rozkładając bezradnie ręce. - Zrzucili mi to nagle na głowę. Pierce przyjeżdża do Stanów już niedługo i w Los Angeles chcą zrobić wielki show. Bond ma podjechać tym cackiem i zaparkować je na trawniku, to będzie gwóźdź programu. Trwają jeszcze rozmowy z telewizją, która ma nakręcić dokument o powstawaniu filmu, oczywiście, również będzie w nim wystąpili. Wiem, że to upierdliwe, ale mielibyście niesamowitą reklamę.

Isidro pociągnął długi łyk piwa z butelki i raz jeszcze obszedł samochód.

- Kurna, blachę do lakierowania i chromowania trzeba będzie zdjąć jeszcze dzisiaj. Mówiłem już, że nie będzie tanio?

Fade wyszczerzył w uśmiechu zęby, zdjął z ramienia mały plecak i rzucił go mężczyźnie.

- Tu jest pięćdziesiąt kawałków. Na początek.

Tym razem nie podniósł się rwetes; reakcja była diabelsko bardziej pozytywna.

- A te spluwy - odezwał się znowu Isidro. - Co to ma właściwie być?

Fade znowu się uśmiechnął i bez słowa otworzył bagażnik.

- Maldición\ Prawdziwe?

- Prawdę mówiąc, prawdziwe. O wiele taniej uzyskać pozwolenie na prawdziwe i strzelać ślepakami, niż próbować coś budować od podstaw. Mogą być?

Isidro chwycił jeden z karabinów maszynowych, przyjął odpowiednią postawę i pokiwał głową z aprobatą.

- Niezłe sztuki, chłopie.

- Więc są w porządku?

Przyłożył broń do oka, wycelował w wiśniowoczerwone go harleya, który stał w drugim końcu budynku.

- Pewnie będziemy musieli je trochę pociachać, żeby pasowały.

- Róbcie, co trzeba. Macie carte blanche.

Isidro wrócił na przód samochodu i rzucił broń na maskę, zupełnie się nie przejmując wgnieceniem, które zrobił.

- Jesteś klientem w moim typie, chłopie.

Rozdział osiemnasty

Matt Egan stanął pod ścianą z tyłu sali konferencyjnej i oparł się o nią plecami, nie mając jakoś ochoty usiąść przy stole, przed którym stał teraz Strand.

Biuro Planowania Strategicznego i Naboru miało jedynie ośmioro stałych pracowników - chodziło o to, że im będzie mniejsze, tym łatwiej będzie je utrzymać w

tajemnicy. Z tych ośmiu osób tylko cztery wiedziały o Fadzie: Strand, on sam oraz William Freiser, osobisty sekretarz Matta, i Lauren McCall, sekretarka Stranda. Oboje byli młodymi, ambitnymi, wykształconymi ludźmi, choć zupełnie jeszcze niezorientowanymi w meandrach prawdziwego świata. Prawdę mówiąc, o ile wiedział, był jedyną osobą w tej nowej, tajnej komórce operacyjnej Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, która brała udział w akcji z bronią w ręku i w ogóle była na Bliskim Wschodzie. Nie, ściśle rzecz biorąc, prawnik, zatrudniany do interpretacji zapisów konstytucji i obchodzenia czasami przepisów Ustawy Patriotycznej, pojechał raz do Jerozolimy zwiedzić kościoły.

Fraiser, na którego Egan uszczypliwie wołał Billy, skon - | czył studia ledwie pięć lat temu i został przydzielony Mattowi odgórnie. Oczywiście miał wszelkie kwalifikacje: był sportowcem uniwersytetu należącego do szacownej Ivy League, z wybornymi stopniami, czystą przeszłością i znakomitym pochodzeniem ze Wschodniego Wybrzeża. Mimo to - a może właśnie przez to - Egan nigdy nie potrafił się do niego przekonać. Fraiser jeszcze w szkole był przewodniczącym klasy i, jak na gust Egana, wydawał się po prostu zbyt ułożonym i zbyt politycznym typem. Ale uczciwie mówiąc, ta niechęć brała się bardziej z pierwszego wrażenia niż rzeczowej oceny - od czasu, gdy zaczął pracę, Billy nie zrobił nic, co nie byłoby prawie perfekcyjne. Krótko mówiąc: młody człowiek wyekwipowany we wszystkie narzędzia niezbędne do zbudowania sobie wielkiej przyszłości.

Natomiast Lauren idealnie pasowała do Stranda: piękna blondynka, która zdawała się interesować pracą o tyle, o ile mogło jej to posłużyć za trampolinę do większych rzeczy, ale która była tak blisko doskonałości, że właściwie nie było to takie ważne. Nie znaczy to, że przy zatrudnianiu Strand brał pod uwagę jej umiejętności. Bardzo prawdopodobne, że decyzję oparł nie na ocenie jej kwalifikacji, lecz na wyglądzie (skandynawska królowa śniegu) i sposobie, w jaki się nosiła (arystokratyczna domina). Nie chodziło tu wcale o podtekst seksualny - nic z tych rzeczy. Strand po prostu uważał, że dziewczyna będzie w jego biurze pierwszej klasy ornamentem.

Pozostałych dwóch mężczyzn w sali Egan znał tylko z kartotek. Byli najlepszymi z kandydatów do miejsc w skrzydle operacyjnym BPSiN.

- Chciałbym przedstawić wam Douga Banesa i Steve'a Despaina - powiedział Strand, kiedy zajęli miejsca. - Przeszli do nas z sił specjalnych piechoty morskiej i są pierwszymi zwerbowanymi przez nas agentami operacyjnymi.

Egan niechętnie się przyłączył do krótkiego interludium ściskania rąk i wymiany uprzejmości, ale zaraz wrócił pod ścianę. Banes i Despain byli na pewno w porządku, ale czuł się przy nich nieswojo. Prawdopodobnie brało się to stąd, że Strand ani słowem nie uprzedził

go o ich zatrudnieniu i że najpewniej zostali poinstruowani, by odpowiadać wyłącznie przed nim. Jest prawie pewne, że w ostatecznej rozgrywce przysporzą tylko Eganowi kolejnych kłopotów.

- Wczoraj skontaktował się ze mną al Fayed - oznajmił Strand.

W pokoju zaległa cisza jak makiem zasiał.

Ciekawe, że Billy i Lauren robili wrażenie bardziej nerwowych niż wszyscy inni. Z grubsza zdawali sobie sprawę z tego, co się stało, i na pewno śledzili w telewizji okoliczności tajnej akcji BPSiN, której celem było zwerbowanie Fade'a. Najprawdopodobniej nie opuszczała ich myśl, że odsiadką w więzieniu kończą ludzie na ich stanowiskach, a nie ich przełożeni - ci najwyżej zasilą sieć oldbojów rozpiętą na lukratywnych stanowiskach w gospodarce.

- Stracił głowę - mówił dalej Strand. - Palnął mi jakąś bombastyczną przemowę. Próbowałem go uspokoić, przemówić mu do rozsądku, ale na próżno... - Zamilkł teatralnie. - Nie chcę, abyście wpadali w panikę, ale uważam, że nie mam prawa tego przed wami kryć. Grozi nam. Wszystkim. Mówi, że chce wyciąć mnie i cały zespół.

Egan zmarszczył brwi, a oczy Billy'ego i Lauren zrobiły się okrągłe. Zabawne, ale kiedy z nim rozmawiał, Fade jakoś nie wspominał, że ma na pieńku z całym zespołem. Jeśli się zastanowić, to właściwie nie mówił też nic bombastycznego. Strand potrzebował ludzi dobrze umotywowanych i pewnie doszedł do wniosku, że nic tak nie nakręca człowieka jak spojrzenie w oczy gwałtownej śmierci. Egan wiedział z doświadczenia, że taka strategia jest dużo mniej skuteczna, niż się można spodziewać. Co innego motywacja, a co innego przerażenie. Sytuacja tego rodzaju zawsze się może przerodzić w anarchiczną grę, w której każdy gra tylko o siebie.

- Musimy go oczywiście odnaleźć i zneutralizować sytuację, jak najszybciej i najciszej.

Po chwili milczenia Billy odchrząknął głośno. Egan chciał zapytać Stranda, co rozumie przez tę neutralizację, ale tego nie zrobił.

- Sprawę poprowadzi Matt - oznajmił Strand. - To prawda, że w kwestiach śledczych nie ma doświadczenia dwudziestoletniego weterana FBI, ale jestem przekonany, że nadaje się do tej roboty najlepiej z nas wszystkich. Osobiście zna przeszłość al Fayed'a, zna jego skłonności i wie, jak jest wyszkolony. I ma was, najlepszy zespół w branży. Chyba nikt nie wątpi, że jeśli dobrze się skupimy na tej sprawie, to my zgarniemy ze stołu ostatnią, zwycięską lewę.

Zebranie trwało jeszcze godzinę, przeistaczając się ostatecznie w lawinę gorączkowych, właściwie bezcelowych pytań, na które Strand nie znał odpowiedzi.

Pukanie było tak nieśmiałe, że Egan postanowił je zignorować w nadziei, że osoba za drzwiami szybko sobie pójdzie. Ponad dwie godziny temu minął czas, jaki dał sobie na wyjście z biura - powinien być już daleko stąd. Nie miał zamiaru dać się zastrzelić w samochodzie, odjeżdżając z miejsca, gdzie jego obecność jest aż nadto oczywista. Jeśli ma przegrać, to z większą godnością.

Kiedy zamykał stojące na biurku pudło, znowu usłyszał pukanie. Tym razem bardziej stanowcze.

- Co jest?

Drzwi powoli się otworzyły, ukazując Lauren i Billy'ego. Stali nieruchomo w progu, nie wchodząc do środka.

- Co jest? - powtórzył Egan, szukając paznokciem końcówki taśmy klejącej?

- Możemy chwilę porozmawiać?

Billy nie wyglądał źle, choć zapewne miał w życiu lepsze dni, ale zmiana w Lauren była uderzająca. Właściwie miała tylko przekrzywiony kołnierzyk bluzki i niezbyt idealnie ułożone włosy. Niby nic, ale jak na kobietę, która przed zjedzeniem sushi układa sobie kawałki na talerzu według rozmiaru, takie subtelne różnice mogą oznaczać załamanie nerwowe.

- Mówcie, tylko szybko.

Weszli parę kroków, cichutko zamknęli za sobą drzwi, ale dalej stali w milczeniu, jakby nie słysząc jego prośby.

- Na miłość boską, o co chodzi? - zapytał Egan, coraz bardziej poirytowany, gdyż nie mógł się uporać z rolką taśmy.

Lauren zrobiła krok naprzód, nietypowy dla niej, pełen wahania.

- Zastanawiamy się, co robić, Matt. Mieszkam sama w parterowym mieszkaniu. Jak mam zadbać o bezpieczeństwo? Powinnam kupić jakąś broń?

Egan ciężko westchnął i rzucił rolkę na biurko.

- No dobra, posłuchajcie mnie uważnie. Fade chce dostać Hillela i mnie, choć nie wiem, czy w takiej kolejności. Wami nie jest zainteresowany. Nie będzie ryzykował wystawienia się komuś innemu na cel i zaprzepaszczenia szansy na Hillela czy na mnie. Nie kupujcie broni, pitbuli czy systemów alarmowych. Jeśli Fade byłby wami zainteresowany, nie powstrzymałaby go żadna z tych rzeczy. Ale

(nie jest, jasne? Do diabła, on nawet nie ma pojęcia o waszym istnieniu. Ponadto brakuje mu doświadczenia śledczych i, o ile pamiętam, ledwie potrafi włączyć komputer.

- Jeśli nie jest nami zainteresowany, to dlaczego nam groził? - zapytała Lauren.

Billy był wyraźnie zadowolony, że to ona przejęła inicjatywę.

Najkrócej, rzecz jasna, byłoby odpowiedzieć, że nie groził. Ale Egan nie był gotów nazwać kłamcą swojego szefa. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Chce wami wstrząsnąć, Lauren. Chce, żebyście stracili głowę.

- Jeśli jednak nie stracimy głowy i podejmiemy go bardzo blisko, to co zrobić, żeby się nie zwrócił przeciwko nam i nie chciał nas powstrzymać?

Dobre pytanie, ale nie sposób udzielić na nie odpowiedzi, która brzmiałaby choć trochę przekonująco. Fade'a zatrzyma tak naprawdę to, że mimo przeczących temu dowodów, nie jest mordercą. Nie zabija z premedytacją kobiet, dzieci, przypadkowych gapiów ani urzędników z biura. Jak Egan miał opisać w dwie minuty osobę, z którą spędził tyle lat?

- Możecie słuchać, co wam mówię, albo nie. - Podniósł pudło i ruszył do wyjścia. - Bez obaw, śpijcie spokojnie.

Billy usunął mu się z drogi, ale Lauren nie.

- To wszystko, Matt? Nasze życie zawisło na włosku i tylko tyle masz nam do powiedzenia? Przepraszam. Przeszkadzamy ci w ucieczce?

- Lauren... - ostrzegł ją cicho Billy.

- Czego wy ode mnie chcecie, do cholery? - przerwał mu Egan. - Mam was zapewnić, że będziecie bezpieczni, jeśli włożycie spluwę pod poduszkę? To idźcie na oddział intensywnej opieki i zapytajcie tego gościa ze SWAT, czy to wystarczy? A teraz zejście mi z drogi, proszę, bo mam zamiar wyjść i spróbować go odszukać. Jeśli go znajdę, to zanim mnie zabije, nie omieszkać mu wypomnieć, że was niepotrzebnie stresuje.

Jedną ręką ujął pudło, drugą chwycił Lauren za ramię, by usunąć ją sobie z drogi, i poszedł w kierunku windy.

Rozdział dziewiętnasty

- Mój mąż nigdy nie uważał, by była dobrze przygotowana. Dostała awans tylko przez te feministki, wie pan, jak to dzisiaj jest, a teraz... - Jej głos się załamał i kobieta delikatnie dotknęła palcem oczu, nie naruszając starannie nałożonego makijażu. - Teraz nie żyje...

Nazywała się Brandy Slater, choć krążyły plotki, że ostatnią literę imienia koniecznie chciała zmienić na „i”. Była dość ładną kobietą, taką w stylu gwiazdki porno, i widać było, że

kamera kocha ją z wzajemnością. Karen Manning sięgnęła po pilota, położyła kciuk na guziku „wyłącz”, ale jakoś nie mogła się przemóc, by go przycisnąć.

- Nie powinno się mieszać polityki w takie sprawy jak ta - mówiła dalej Brandy zupełnie szczerze. - Tu w grę wchodzi życie ludzkie.

Jej mąż, Hal, był jednym z tych, których zabił al Fayed. Można było odnieść wrażenie, że największe pocieszenie Brandy znajduje w roli eksperta od krytykowania Karen dla bodaj każdej stacji telewizyjnej na półkuli zachodniej. Jak na ironię, Hal był świetny. Chociaż, co zrozumiałe, w kwestiach społecznych i politycznych nie bronił otwarcie swojego dowódcy, to zachowywał się wobec niej bardzo przyzwoicie. Na jeszcze większą ironię zakrawało to, że - jak podejrzewała Karen - wcale nie śmierć męża wzbudzała w Brandy niechęć do jej osoby. Spotkały się już wcześniej na kilku przyjęciach. Pani Slater po prostu należała do tych kobiet, które w kimś pokroju Karen, osoby zasługującej na to, by przewodzić, widziały zagrożenie dla dam rozpieszczonych przez życie. Każda próba, jaką podejmowała Karen, by stworzyć zdrową relację z Brandy, napotykała wyłącznie złość. Czym się tak martwiła? Na świecie zawsze się znajdzie miejsce dla długowłosej cizi.

- Wszyscy chłopcy uważali, że się nie nadaje, zawsze mówili, że tylko czekać, aż ich wszystkich pozabija...

Karen się skrzywiła i zaczęła się zastanawiać, czy stara Brandy przewidziałaaby, że na tych cholernych drzewach ktoś rozmieści bomby detonowane radiem. Nie pamiętała też, aby Hal, podczas ostatniej odprawy, zwrócił jej uwagę na taką możliwość. Zresztą, jeśli chodzi o ścisłość, nikt tego nie przewidział.

Karen ułożyła się bokiem na kanapie, wciąż patrząc w ekran telewizora i upominając siebie w duchu, że to nie Brandy i nie Hal mieli cokolwiek przewidywać. To było wyłącznie jej zadanie.

Brandy zniknęła teraz sprzed obiektywu i dziennikarz zaczął, jakże dobrze już znajomy, monolog na temat okoliczności jej awansu i błędów w ocenie jej kwalifikacji, na wszelki wypadek jednak nie podając konkretnych przykładów. Oczywiście, ani słowem nie wspomniał o tym, że była najszybszym członkiem oddziału i bez wysiłku potrafiła minąć najgroźniejszego rywala. I słowem nie wspomniał o tym, że miała najlepsze wykształcenie, że studia liceni cjackie skończyła ze średnią ocen „a na magisterskich zaliczyła kryminologię. Była też najsilniejsza fizycznie w swojej wadze. Największą jej słabością było strzelanie, ale specjalnie wykupiła lekcje u indywidualnego trenera i poświęciła temu długie miesiące, by ostatecznie stać się; trzecim strzelcem w oddziale. Ta charakterystyka kwalifikacji wcale nie

wynika z oceny subiektywnej - wszystko zostało sprawdzone w testach, zarejestrowane i najwyraźniej całkowicie zapomniane.

Ekran w telewizorze zamigotał i po chwili Karen zobaczyła relację z konferencji prasowej.

- Jaki jest w tej chwili status oficer Manning? Kapitan Pickering zmarszczył z dezaprobatą brwi nad pulpitem.

- Do czasu zakończenia dochodzenia mającego wyjaśnić całą sprawę oficer Karen Manning pozostanie na przymusowym urlopie.

- Czy macie jakieś wskazówki dotyczące miejsca pobytu al Fayeda? - pada kolejne pytanie zza ekranu.

- Nie wolno mi ujawniać szczegółów, ale mogę powiedzieć, że dotychczasowe wyniki toczącego się śledztwa są bardzo zadowalające. - Pickering podniósł palec i wskazał kogoś u dołu ekranu.

- Panie kapitanie, czy mając na uwadze wojskowe doświadczenie al Fayeda, podjęto szczególne środki ostrożności przy próbie jego zatrzymania?

Karen znowu usiadła prosto i położyła nogi na stoliczku przed kanapą. „Dlaczego im nie powiesz, pierdzielu, że chciałam go zdjąć za przekroczenie prędkości?”

- Ta kwestia wciąż jest przedmiotem dochodzenia. Następne pytanie?

Natychmiast wykrzyknął je ten sam dziennikarz.

- Panie kapitanie, jeden człowiek, który służył w wojsku dość dawno temu, wybił cały oddział SWAT. Jak się to ma do efektywności szkoleń, którym są poddawani pańscy ludzie?

Karen pochyliła się ku odbiornikowi, ciekawa, jaką odpowiedź wymyśli Pickering. Trudno mu będzie ją obwiniać, ponieważ Karen nie ma nic wspólnego ze strategią szkoleń, ale przecież jeszcze trudniej będzie mu przyznać, że w obliczu kompetentnego przeciwnika jego ukochana elita wojowników zamieniła się w mięso armatnie.

- To byli najlepsi z najlepszych! - niemal krzyknął. - Oddali życie na służbie. Nie będę kwestionował ich poświęcenia i odwagi.

Oczywisty brak odpowiedzi, za to wystarczająco patetyczny, by zniechęcić do dalszych pytań.

- Panie kapitanie, mam dwa pytania, jeśli pan pozwoli - tym razem głos kobiecy. - Wspomniał pan o przymusowym urlopie Karen Manning do czasu zakończenia śledztwa. Czy to standardowa procedura w takiej sytuacji? I drugie pytanie, czy biorąc pod uwagę dotychczasowe wyniki dochodzenia, są podstawy, aby twierdzić, że oficer Manning, usiłując

zatrzymać podejrzanego, nie postępowała zgodnie z procedurami obowiązującymi w departamencie?

Karen miała ochotę siłą woli naprowadzić kamerę na dziennikarkę, która zadała te pytania. Warto zapamiętać ludzi mediów, którzy nie ścigają jej z widzami i pochodniami.

- Proszę pani, czas trwania naszego śledztwa można liczyć właściwie w godzinach. W chwili obecnej trudno mi jasno określić, co się stało, a co nie, choć powinno. Poza tym, nawet gdybym coś wiedział, to przy aktualnym stanie rzeczy nie mógłbym o tym informować. Proszę o następne pyt...

- A pierwsza część mojego pytania? Przymusowy urlop?

- Zuch dziewczyna - mruknęła do siebie Karen.

- Tak... - Pickering zmuszony był to przyznać. - Tak, to standardowa procedura.

Karen wyłączyła pilotem telewizor i rzuciła się z powrotem na kanapę, którą miała pod sobą właściwie przez cały dzień. To niezbyt zdrowe. Powinna zostawić telewizor i pobiegać. Albo pozmywać naczynia, które zalegają w zlewie.

Albo...

Znowu jednak włączyła telewizor i zaczęła przeglądać kanał za kanałem.

Nie wiedziała dlaczego. Wydawało się już pewne, że jej wersja wydarzeń nigdy nie trafi do opinii publicznej. Pickering posłał ją do al Fayeda wbrew jej protestom i skończyło się to katastrofą. Teraz będzie mówił jak najmniej. Poczeka, aż dzieła dokonają wdowy i wypowiedzi anonimowe.

Zadzwoił telefon. Telefonowało dzisiaj co najmniej pięciu dziennikarzy, ale jasno jej zapowiedziano, że dopóki trwa śledztwo, nie ma prawa rozmawiać z prasą. Być może wkrótce będzie zmuszona złamać ten zakaz, ale jeszcze nie czas iść na wojnę.

Kiedy odezwała się automatyczna sekretarka, usłyszała głos Johna Wakefielda.

- Zejdź z kanapy i odbierz telefon, Karen. Sięgnęła po słuchawkę.

- Cześć, John.

- Jak leci?

- Oglądałeś telewizję?; Nie odpowiedział.

- Więc wiesz, jak leci.

- Dzwonili do mnie jacyś dziennikarze, ale nawet nie podnosiłem słuchawki. Nie jestem pewien, co im powiedzieć.

Karen naciągnęła poduszkę na głowę i wbiła wzrok w nieprzeniknioną ciemność. Nie, tylko nie on. Wiedziała, że jedyną chwilą, której nie udzwignie, będzie ta, w której Wakefield odwróci się do niej plecami.

- Karen? Jesteś tam?

- John, ja... - Usłyszała, jak załamuje się jej głos, i przyciskając poduszkę do twarzy, otarła łzę. - Wiem, odpowiadam za to. Ale czy jestem winna? Powiedz prawdę.

- Nie to miałem na myśli, Karen. Gdybym nie wierzył w ciebie na sto procent, nie pokonywałbym zapory ogniowej, żeby cię ściągnąć do sprawy „Kolekcjonera”. Z chęcią oddzwonię do dziennikarzy, kiedy skończymy rozmowę, ale najpierw chcę coś usłyszeć od ciebie.

Karen opuściła poduszkę na podłogę i jej twarz znowu się pojawiła w świetle.

- Dziękuję, John. To dla mnie wiele znaczy.

- No więc? Chcesz, żebym się w to włączył?

- Nie. Dziękuję, ale jeszcze nie. Chcę, żeby sprawy się toczyły własnym torem przez jakiś czas, a potem zobaczymy.

- Wiesz, że Pickering zrobi wszystko, byle uratować własny tyłek.

- Tak, wiem. Co z „Kolekcjonerem”?

- Przyszły listy. Ma nową dziewczynę.

Karen wypuściła powietrze z płuc.;

- Stephany Narwal? - Taak...

Zniknięcie Narwal zgłoszono policji cztery dni temu - piękna, młoda kobieta, która idealnie pasowała do profilu ofiary.

- Chciałem, żebyś pomogła mi przy rozmowie z rodziną. Próbowałem cię zdjąć z tego urlopu i wprowadzić z powrotem do biura, ale nie było szans. Przepisy. Jeśli jednak będę miał coś ciekawego, to znajdę sposób, żeby znowu cię tu mieć. Brakuje mi twojego spojrzenia na sprawę.

- Dziękuję. Doceniam to.

- Uszy do góry.

Odłożyła słuchawkę i po raz pierwszy tego dnia nie odczuła potrzeby włączenia wiadomości w telewizji. Dzięki Bogu, jest John Wakefield.

Kiedy wstała i ruszyła do kuchni, telefon zadzwonił jeszcze raz; chwyciła po drodze słuchawkę i zabrała ją ze sobą.

- Halo? - Otworzyła zmywarkę i zaczęła wybierać ze zlewu brudne sztućce.

- Jak sobie radzisz, kochanie?

- Cześć, mamó. W porządku.

- Po twoim głosie czuję, że niezupełnie. Oglądasz wiadomości w telewizji? Okropne. Kiedy się wreszcie pokażesz i wszystko sprostujesz?

- Nie mogę, mammo. Rozmawialiśmy już o tym.

- To nieszczęsne, co się stało, ale to nie powód, żeby mieli o tobie opowiadać takie rzeczy w telewizji.

Jej matka była osobą uprzedzająco grzeczną. Najmocniejszą krytyką w jej ustach były słowa: „po prostu bezczelny”. Adolf Hitler? „Po prostu bezczelny”. Natomiast wszystko inne, co mogło uchodzić za mniej ważkie, było „nieszczęsne”. Wybity oddział i osierocone dzieci? „Nieszczęsne”. Oboje z ojcem mieli bardzo dobre serca i robili wszystko, co w ich mocy, żeby zrozumieć i wspomóc córkę, czarną owcę w rodzinie, choć nie zawsze ułatwiało jej to życie.

Kiedy koledzy Karen - i tak mało wobec niej towarzyscy - dowiedzieli się, że jej rodzice nie tylko są multimilionerami, ale na dodatek wysoko postawionymi członkami politycznej koterii towarzyskiej, sprawy się jeszcze bardziej skomplikowały. Karen mogła tylko przyjmować w milczeniu drwiące uwagi, podnosić oczy do nieba i głupio się uśmiechać. Trudno jej było protestować. Dom, w którym teraz stała przy zlewie, to prezent na zakończenie studiów, a samochód, który uparła się kupić samodzielnie, jednego dnia został w cudowny sposób całkowicie spalony.

Sytuacji nie ułatwiało to, że staruszkowie nie myśleli o policjantach lepiej niż policjanci o nich. Ani jej matka, ani ojciec nie uważali, by cała ta „przygoda z policją” miała trwać dłużej niż rok czy dwa. Zakładali, że Karen się w tym czasie wyszumi, odejdzie ze służby, pozna sympatycznego mężczyznę i wreszcie się usatkuje. Czasem miała wrażenie, że grozi jej zmiążdzenie pod ciężarem tych wszystkich stereotypów.

- W telewizji mówią, że jesteś na przymusowym urlopie. To znaczy, że masz wolne?

- No, chyba tak - odpowiedziała Karen, usiłując zdrapać z patelni stary makaron.

- To może pojedziemy do naszego domu na Hawajach? Ojciec też ma trochę czasu.

Powinniście usiąść i porozmawiać ze sobą.

- Mammo, nie zaczynaj.

- Nie zaczynaj, czego? To jest twój ojciec i chce ci pomóc. Wiesz, że nie zrobi nic wbrew twojej woli.

Ojciec rozpoczął interesy od rozwożenia papierosów pikapem i zbudował imperium warte miliony dolarów, polegając wyłącznie na swojej nieprzeciętnej inteligencji, raczej wątpliwej bezwzględności i wrodzonym zmyśle politycznym. Kiedy rósł w siłę, zawsze dbał o to, by jego pieniądze i różne fundusze trafiały do komórek partii republikańskiej i nigdy mu się nie zdarzyło, by wspierał przegranych. To uczyniło go wpływowym człowiekiem o

szerokich i znakomitych koneksjach, za co kiedyś Karen głośno go krytykowała, w pełnym ideałów okresie, przez który każdy przechodzi na studiach.

- Naprawdę nie mogę, mamó.

- Nie możesz jechać na Hawaje czy nie możesz przyjąć jego pomocy?

- Jedno i drugie. Nie sądzę, żebym się dobrze czuła, wylegując się na plaży w chwili, gdy moi ludzie chowani są w grobie. I nie mogę przyjąć od ojca pomocy, bo w czasie studiów byłam dla niego jędzą w tych sprawach.

- Och, on nigdy tego nie brał poważnie, kochanie. Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie, zrób to dla niego. Bezczyność go zabija. Kiedy nie jest w biurze, chodzi niespokojnie po domu i warczy, że spadnie na nich jak gniew boży. Właściwie powinnaś to zrobić dla mnie. Doprowadza mnie już do szału.

- Pomyślę o tym.,i

- O nic więcej nie chcę cię prosić.

Na telefonie zapaliła się kontrolka drugiej linii i chociaż Karen nie miała ochoty na kolejną rozmowę, nadarzyła się doskonała wymówka. Sytuacja, w jakiej stawiała rodziców, dawno już zaczęła wzbudzać w niej poczucie winy, a najmniej było jej teraz potrzebne jego pogłębianie. Była prawie pewna, że rodzice natykają się teraz w życiu towarzyskim na poważne rafy. Już to, że ich córka jest niezamężną policjantką, nie było dobrze widziane (z insynuowanym zapewne podtekstem lesbijskim), ale córka, która jest policjantką niezamężną i niekompetentną, to już kompletna kłapa.

- Słuchaj, mamó, muszę kończyć. Porozmawiamy jutro, dobrze?

- Dobrze, ale pomyśl o Hawajach. Po twoim głosie czuję, że powinnaś na jakiś czas wyjechać.

- Pomyślę - obiecała Karen i przeszła na drugą linię. - Halo?

- Cześć, Karen. Jak leci?

Zajęło jej trochę czasu, by skojarzyć głos, a kiedy skojarzyła, zamarła.

- Kurczę, prasa daje ci nieźle popalić. Myślałaś już o firmie pijarowskiej? Wiesz, potrzebna jest może jakaś totalna przemiana? Polakierujesz włosy i zrobisz sobie trwałą, prawie jak ta suka, która na ciebie ujada.

- Czego chcesz?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza na jakieś dobre dziesięć sekund.

- Chcę powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało...

- Czyli właściwie z jakiego? Że zabiłeś moich ludzi? Czy że zrobiłeś ze mnie dziewczynę na plakat, symbolizującą niekompetencję państwa?

Nawet nie przyszło jej do głowy, że Salam al Fayed mógłby zadzwonić do niej do domu, i absolutnie nie była na tę rozmowę przygotowana. Ile razy jeszcze ten facet ją zaskoczy?

- Pewnie z obu powodów, choć niełatwo ci będzie mnie przekonać, że wszyscy ci faceci byli twoimi przyjaciółmi. Zawsze myślałem, że być Arabem w SEAL to ciężka przeprawa, ale być kobietą, dowódcą oddziału SWAT, to jest dopiero kiepska rzecz. Przynajmniej nie miałem wokół siebie ludzi, którzy nieustannie kwestionowali moje umiejętności i prawo do bycia tam, gdzie jestem. Hmm... choć pewnie nie robili tego, bo za bardzo byli zajęci myśleniem, kiedy zaczną strzelać im w plecy i wyrzaskiwać „Allah Akbar!”

- Nic o mnie nie wiesz i jestem pewna, do cholery, że o moich ludziach też gównowiesz. Nic mnie z tobą nie łączy, al Fayed, jasne? Nic.

- Jezu. Jesteś najgorszym śledczym, jakiego w życiu spotkałem. Czy nie powinnaś być wobec mnie miła, zdobyć moje zaufanie, pozwolić mi się pogubić i wypaplać co nieco?

Teraz, kiedy o tym wspomniał, Karen pomyślała, że rzeczywiście, prawdopodobnie tak powinna z nim rozmawiać.

- Mnie nie szkolili Izraelczycy, al Fayed.

- Tak... Z tego powodu też mi przykro. Musiałaś się cholernie bać.

Już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć coś ostrego, ale powstrzymała się w ostatniej chwili, uświadomiwszy sobie, że wcale nie usłyszała w jego słowach protekcyjnej nuty. Przeprosiny miały w sobie jakąś dziwną szczerłość.

- Przysięgam ci, że gdybym miał choć drobne podejrzenie, że jesteście glinami, nie oddałbym do was ani jednego strzału.

- Jeśli nie do policjanta, to do kogo byś strzelał? Do Stranda?

Zaśmiał się cicho po drugiej stronie telefonu.

- Widzę, że zapamiętałaś. Chyba jednak nie byłaś tak przestraszona, jak mi się zdawało.

- Chyba nie.

- Więc kto zawiadomił policję, Karen? -.

- Nie jestem upoważniona, żeby o tym mówić.

- „Nie jestem upoważniona”... - zadrwił i znowu się roześmiał. - Uwielbiam te rozmówki policyjne. Uczą was tego w akademii? Daj spokój, mam chyba prawo stanąć oko w oko z oskarżycielem. Nie wyczytaliście jeszcze tego, patrioci, w konstytucji, co?

Nie odpowiedziała.,\

- Nie wiesz, prawda, Karen? Nie masz zielonego pojęcia, dlaczego się tam znalazłaś.
- Już raz to przerabialiśmy. Byłeś zamieszany w kolumbijskie kartele i zabiłeś braci

Ramirezów.

- Byłem zamieszany w kolumbijskie kartele. Byłem. Ale wiele lat temu.
- A Ramirezowie?
- Posłuchaj, zabiłem w życiu wielu ludzi, ale nie aż tylu, żebym ich pozapominał.
- Twierdzisz, że jesteś niewinny?
- Niewinny... To ty powiedziałaś, nie ja. Ja tylko mówię, że nie zabiłem tych koleśi

Ramirezów. I myślę, że mi wierzysz, bo po sprzątnięciu oddziału SWAT nie mam najmniejszego powodu, żeby dzielić włos na czworo.

Karen wytarła ręce w ręcznik i usiadła przy małym kuchennym stole. Nie mylił się. Wierzyła mu.

- Nieszczęsna pomyłka... - powiedziała, krzywiąc się kwaśno na dźwięk ulubionego słówka matki.

Ale raptem znowu wstała i spróbowała otrząsnąć się z otumaniającej mgły, jaka na nią opadła. Musi się wziąć w garść, nie może mu pozwolić zapanować nad rozmową.

- Ale dla karteli pracowałeś. Prawda? Co dla nich robiłeś?
- Hm, przeredziłem trochę konkurencję Castela Veli. Ale tylko w Kolumbii. Nigdy w Stanach. Teraz wyrabiam meble. Nie potrzebujesz czasem kuferka na ślubną wyprawkę? Wątpię, by kobieta, która go u mnie zamówiła, jeszcze go chciała, skoro jestem wrogiem publicznym numer jeden.

- Moje plany małżeńskie nie weszły jeszcze w stadium, w którym jakoś cholernie potrzebowałabym kuferka na wyprawkę.

- Mogłabyś w nim trzymać wycinki z gazet.
- Wal się.
- Masz rację. |='-
- Więc kto to jest Strand? ‘
- To dość oczywiste, ale, jak mniemam, dla ciebie to c#L nowego...w
- Wróg, którego zrobiłeś sobie jeszcze w Kolumbii?

?

- Nie, tamci są przeważnie martwi. To nowy dopisek na mojej liście.

- Dlaczego nie chcesz mi tego powiedzieć, al Fayed, do ciężkiej cholery? Jeśli rzeczywiście miałeś powód, by wierzyć, że ktoś chce cię zabić, to zarzut może być

łagodniejszy. Do diabła, może to ten cały Strand nas zawiadomił, żeby ciebie podejść. Z taką informacją twój adwokat miałby co robić...

- Nie sądzę, żebym rzeczywiście musiał się martwić, czy moja sprawa trafi na wokandę. Ale dziękuję, że o tym myślisz.

Jego ton zdawał się wskazywać, że rozmowę uważa powoli za zakończoną. Karen zaczęła gorączkowo myśleć, co robić, żeby się jeszcze nie rozłączyła.

- Może się spotkamy? Porozmawiamy jeszcze... - Pacnęła się cicho w czoło, zanim zdążyła wypowiedzieć całą myśl do końca. Pensjonarskie gadanie.

Był na tyle uprzejmy, że zignorował jej słowa.

- Mniejsza z tym, tak naprawdę zadzwoniłem do ciebie, żeby ci powiedzieć...

- Tak?

- Wiem, co znaczy stracić swoich ludzi, i wiem, co znaczy być opuszczonym przez tych, którzy powinni stać za tobą murem. To nie była twoja wina. Postawiono cię w nieprawdopodobnej sytuacji. Staraj się tylko zapamiętać jedno. Choć nie zawsze możesz mieć wpływ na to, co myślą o tobie inni, to zawsze masz wpływ na to, co sama o sobie pomyślisz.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż słyszała po drugiej stronie jego oddech. - Al Fayed?

- Mów mi Fade.

- Dlaczego naprawdę do mnie zadzwoniłeś? Znowu ten sam beztroski, krótki śmiech.

- Chyba dlatego, że nie mam z kim porozmawiać.

Potem połączenie zostało przerwane, a Karen wpatrywała się przez kilka sekund w słuchawkę, zanim zaczęła wybierać numer na policję.

Rozdział dwudziesty

Duża tablica na kółkach, którą specjalnie sobie kupił, zajmowała niemal całą wolną przestrzeń w pokoju i żeby przeczytać, co na niej napisał, Egan musiał położyć się bokiem na hotelowym łóżku. Zaciągnięte, ciężkie kotary przesłaniały bezchmurne niebo, jeszcze bardziej potęgując poczucie klaustrofobii i nadając zapuszczonemu wnętrzu wygląd i woń wilgotnej groty.

Egan przeczytał kartotekę Fade'a od deski do deski. Zapoznał się też z kartotekami ludzi, z którymi tamten walczył - w zasadzie przeczytał wszystko, co na temat Salama al Fayed'a znalazł w archiwach rządowych. Rezultaty nie były oszałamiające. Połowa tablicy wciąż świeciła pustką, a na drugiej spisane były pomysły, które mógłby uznać co najmniej za wątpliwe. Próbował się na nich skupić, ale po chwili uświadomił sobie, że gapi się tylko w butelkę piwa, która stała chwiejnie na jego klatce piersiowej.

Nie trzeba było wiele czasu, by w jego głowie zaczęły się piętrzyć myśli p Elise i Kali. Usiłował je odegnąć, ale niełatwo było je pokonać. Po upływie jałowej półgodziny wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do domu.

- Halo? - usłyszał.

- Co robicie?

- Cześć, Matt. Właśnie skończyłam rozmawiać z Charliem. Omawiamy wydanie płyty.

Charlie to szef wydawnictwa fonograficznego Elise, cał-) kiem przyzwoity facet, z niewiadomych powodów niezmiernie oddany jej mało dochodowej karierze.

- Uda ci się dotrzymać terminu?

- Nie powinnam z tym mieć problemu. Musimy już jednak ostro zaczynać próby i jak najszybciej wejść do studia. Mam nadzieję, że kilka piosenek uda się nam przygotować na koncert w Waszyngtonie w przyszłym tygodniu. Powinniśmy je wypróbować przed prawdziwą publicznością.

- Przepraszam, że nie mogę ci teraz pomóc przy Kali.

- Nie ma sprawy. Jakoś sobie radzę. Kiedy wracasz do domu?

- Okazało się, że to zajmie o wiele więcej czasu, niż się spodziewałem. Wrócę za jakiś czas.

- Cóż, gnębienie ludu to czasochłonne zajęcie.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

- Ale wezmę rewanż. Jeśli się nie mylę, Charlie będzie chciał, żebyśmy wydłużyła trasę koncertową. Możliwe, że nawet do trzydziestu miast.

- To chyba nieźle - wymamrotał Egan. - Musiał się wreszcie przekonać do twoich piosenek.

- Czuję, że jesteś trochę przygnębiony, Matt. Wszystko w porządku?

- Siedzę w hotelu i czekam na nie kończące się, nudne zebrania, wiesz, jak to jest.

- Na pewno tylko tyle?

Nie po to dzwonił, żeby sprawdzić, czy żona zauważy jego przygnębienie. Właściwie po co dzwonił? Żeby sobie uprzytomnić, że prawdopodobnie już nigdy jej nie zobaczy?

- Ach, ktoś puka do drzwi - skłamał. - Muszę już kończyć.

- Kali podskakuje i próbuje wyrwać mi słuchawkę. Powiedz jej chociaż dzień dobry.

- Elise, ja...

- Tata! Cześć. Tata?

W jej głosie było tyle podniecenia i ufności, że jakoś zapało mu dech.

- Cześć, słonko, co słyszeć w szkole?

- Zostanę gimnastyczką.

/ - O, to dość nagła decyzja. Jaką gimnastyczką?

- Mieliśmy zajęcia sportowe i zrobiłam koziółka najlepiej z całej grupy i pani Reynolds powiedziała, że mogłabym zostać gimnastyczką. Taka gimnastyczką chodzi po takim czymś i są takie poręcze, na których ona się kręci i...

W oddali usłyszał głos Elise:

- Tato nie może za długo rozmawiać, Kali, musi pracować. Później opowiesz mu o lekcji wuefu, dobrze?

- Dobra. Przyjdiesz jutro? Mogę ci pokazać...

- Jutro nie - powiedział Egan spokojnym głosem. - Ale już wkrótce, tak? Poćwicz trochę, chcę zobaczyć perfekcyjnego koziółka...

Kiedy się rozłączył, zacisnął mocno oczy, izolując się od wszystkiego dookoła siebie. Kiepski pomysł i kiepskie wykonanie. Czas zamknąć Elise i Kali w tej części głowy, przez którą jego myśli nigdy nie podróżują. Teraz były mu wyłącznie ciężarem.

Zdjął z klatki piersiowej piwo i zmusił się, by raz jeszcze skupić uwagę na tablicy.

Wydawało się, że najbardziej efektywnie zanalizuje ten problem, zakładając, że Fade ma go zabić w starciu bezpośrednim. Jeśli nowym żołnierzom Stranda zabraknie szczęścia i zdarzy im się znaleźć w tym samym miejscu, w tym samym czasie, to prawdopodobnie również zostaną zabici. Jeśli pojawią się gliniarze, liczba ofiar będzie rosła. Oznaczało to tyle, że Egan musi być sprytniejszy. Musi znaleźć sposób, jak go zaskoczyć...

Potem co?

Egan potrząsnął gwałtownie głową, usiłując zdyscyplinować rozbiegane myśli. Przede wszystkim musi go odnaleźć pierwszy, potem będzie się martwił o resztę.

Pierwsza kolumna zapisków na tablicy wyliczała działania policji - w zasadzie chodziło o najbardziej oczywiste kierunki śledztwa, obrane na podstawie informacji, jakimi może policja dysponować. Biorąc pod uwagę dotychczasowe raporty, ich entuzjazm nie był jednak taki duży, jakiego mógłby oczekiwać. Olbrzymią część środków pochłaniała sprawa „Kolekcjonera”, a Pickering, jak się zdawało, bardziej był zainteresowany tym, żeby chronić własny tyłek, niż odnaleźć człowieka, który sprzątnął mu oddział SWAT.

Jak na razie policja przeanalizowała zapisy rozmów telefonicznych Fade'a i dowiedziała się tyle, że właściwie z nikim nie rozmawiał - najbardziej godne uwagi to telefony do sklepu sieci Sharper Image i do dostawcy towarów do sklepów modelarskich, który wyposażył go w rzeczy niezbędne, by zamienić dom w jedną wielką wybuchową

pułapkę. Przesłuchania sąsiadów, klientów i kolegów składały się na obraz człowieka, który jak świat długi i szeroki nie miał przyjaciela.

Egan wyciągnął z małej lodówki jeszcze jedną puszkę piwa, próbując za dużo nie myśleć o tym, co przemieniło Fade'a w człowieka pełnego jadu, furii i przygnębienia. Kiedyś ludzie przesuwali terminy przyjęć, kiedy się okazywało, że nie może przyjść.

Na pozostałej części prawej strony tablicy znajdowały się opisy innych ślepych dróg, w jakie zapewne zabrnę policja. Rodzice Fade'a dawno już nie żyli, a z siostrą nigdy nie miał dobrego kontaktu.

Samochód, którym odjeżdżał na oczach Karen, został oczywiście zgłoszony wszystkim patrolom jako poszukiwany, ale Fade z pewnością zdążył go gdzieś porzucić. Penetracje na lotniskach, dworcach autobusowych, w agencjach wynajmu samochodów i w bazach danych firm taksówkowych przyniosły dokładnie taki sam efekt, jak prowadzone bez większego przekonania poszukiwania wśród miejscowych sprzedawców samochodów i motocykli.

Jednym z fundamentalnych błędów policji było założenie, że Fade ucieka. Egan mógłby zagwarantować, że Fade nigdzie się nie wybierze, dopóki nie zrobi tego, co ma do zrobienia. Początkowo ekipa Pickeringa próbowała go namierzyć przez telefon komórkowy, wykorzystując informację o rzeczywistym czasie, w którym stacja przekaźnikowa odbierała sygnał telefonu Fade'a. Niestety, jak się wydawało, w ostatnich latach Fade mocno się podciągnął w sprawach nowych technologii, ponieważ nabył za gotówkę telefon satelitarny, wykupując z góry tysiąc godzin rozmów. Według Billy'ego, w najlepszym razie mogli liczyć na to, że Fade będzie rozmawiał przez telefon w chwili, kiedy satelita, przez którego się łączy, znajdzie się nad horyzontem, wówczas będą znali długość geograficzną, zawężając pole poszukiwań do - bagatela - paru tysięcy kilometrów kwadratowych.

Pewne możliwości dawał samochód. Fade uwielbiał stare gruchoty - zwłaszcza kabriolety. Egan pamiętał jego encyklopedyczną wiedzę i długie wykłady na ten temat, którymi Fade wypełniał, nieuniknione w ich profesji, długie okresy bezczynności. Samochód na podwórku przed domem Fade'a świadczył o tym, że przynajmniej tej fascynacji nie zarzucił.

W nadciągającej konfrontacji Fade widzi swój bój ostatni i dlatego, jak można się domyślać, będzie chciał wyruszyć do niego w odpowiednim samochodzie. Oczywiście pewną istotną kwestię stanowiły pieniądze, ale biorąc pod uwagę jego styl życia i to, że nie wydał na operację pieniędzy zarobionych w Kolumbii, prawdopodobnie gotówki ma w bród. Poza tym jednak Eganowi nie udało się wiele zebrać. Kryjówka, do której Fade zabrał Karen Manning,

wskazywała, że był od dawna przygotowany na wizytę kogoś z przeszłości, kogoś, kto prędzej czy później miał się u niego zjawić - choć zapewne się nie spodziewał, że będzie to rząd Stanów Zjednoczonych. Oznaczało to również, że z pewnością przygotowany był na zmianę tożsamości i własnego wyglądu oraz że miał należyty arsenał broni.

Manning wspominała w zeznaniach o Strandzie, ale nie padło jego imię, ani słowem też nie zahaczyła o Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Policja zajrzała w personalia tysięcy Strandów w Ameryce, głównie osób o więziennej przeszłości lub choćby podejrzewanych o udział w handlu narkotykami - bez rezultatu. Na tym etapie śledztwa jednak nie zechcą angażować swoich ludzi w kontynuowanie tego tropu. Podobnie jak w przeszłość Fade'a w Kolumbii. Nie mieli dostępu do utajnionych akt DEA, Agencji do spraw Walki z Narkotykami, ani do raportów CIA, tak naprawdę więc nie mieli nawet od czego zacząć. Ludzie Pickeringa posprawdzali umowy kupna lub najmu nieruchomości, podobnych w opisie do tej, do której Fade zawiózł Karen Manning, ale też na próżno. Karen widziała tylko wewnątrz budynku i ewentualnie mogła w przybliżeniu określić, ile czasu zabrał przejazd z domu do kryjówki. Oczywiście w końcu znajdą to miejsce, ale trochę to potrwa.

Policja zdobyła także wyciąg z jego kartoteki wojskowej, ale gdy tylko zacznie węszyć wokół rozwiązanej już komórki CIA, dla której Fade pracował po odejściu z armii, natychmiast wpadnie w ślepią uliczkę. Każda próba pójścia tropem byłego agenta, objętego „Systemem Bezpieczeństwa Ramseya”, kończy się błędzeniem po labiryncie bez wyjścia.

Egan miał więc pewną przewagę nad innymi ekipami ścigającymi Fade'a. Nie tylko od podszewki znał „System Ramseya”, w którego ramach sam pracował, ale miał jeszcze dostęp do danych CIA na temat przeszłości Fade'a, sięgających nawet do wczesnego dzieciństwa.

Niestety, każdy kij ma dwa końce. Po latach przyjaźni Fade równie doskonale znał historię życia Egana, a o drobiazgach, których być może nie zna, dowie się bez wielkiego wysiłku.

Strand to inna para kaloszy. Fade wiedział tylko, jak się nazywa i że pracuje w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Jego adres i numer telefonu były ściśle zastrzeżone, co jeszcze bardziej utrudniało dotarcie do niego. Oczywiście, Fade mógłby próbować dobrać się do niego w biurze, to jednak było zbyt oczywiste i pociągało za sobą duże ryzyko.

Czy Stranda można było wykorzystać do zwabienia Fade'a? Może podrzucić jakąś fałszywą informację w publicznie dostępnych danych? Prawdę mówiąc, pomysł, by użyć Stranda jako przynęty, był bardzo nęcący - praktycznie idealna sytuacja. Jeśli pomogłaby w

odnalezieniu Fade'a, to wspaniale, a z drugiej strony, jeśli się zdarzy, że Strand oberwie kulkę, to cóż...

Niestety wyglądało na to, że od pewnego czasu Strand bardzo niechętnie wychodzi ze swojego gabinetu.

Egan położył głowę na materacu i zaczął się wpatrywać w sufit. Po chwili wzięt głęboki oddech i powiedział głośno do pustego pokoju:

- Do diabła, Fade, jak mogło do tego dojść?

Rozdział dwudziesty pierwszy

- Zamknij drzwi i weź sobie krzesło, Billy - powiedział Strand. Wystawił własne krzesło zza biurka, by spotkanie wyglądało na mniej formalne.

Fraiser usiadł koło Lauren, przeciągając wolno dłonią po włosach. Była dziesiąta wieczorem. Poza nimi trojgiem w biurze nie było już nikogo. Nikt tego głośno nie powiedział, ale żadne z nich nie zamierzało wracać do domu. Strand posłał po ubranie i inne niezbędne rzeczy, i wiedział, że Lauren i Fraiser po cichu zrobili to samo.

Wystraszona, śpiąca na podłodze ekipa to nic dobrego, ale to cena, którą Strand musiał zapłacić za niczym niezakłócone skupienie się na sprawie i całodobowe czuwanie. Dobrze zrobił, był tego pewien, mówiąc, że al Fayed im również grozi śmiercią.

- Chciałem tylko porozmawiać, wyczuć, jak się toczy sprawy, jak się trzymacie, może ktoś rzuci jakiś pomysł. - Strand usiłował mówić jak najbardziej rozluźnionym głosem. - Może na początek podsumujcie krótko, w jakim miejscu w tej chwili stoimy.

Lauren spojrzała na Fraisera, ale żadne z nich się nie odezwało.

- Jakiś problem?

- Tak naprawdę w żadnym miejscu - odezwała się wreszcie Lauren. - Zebraliśmy pierwsze informacje, o które prosiliście, Matt je zabrał i wyszedł z biura. Kiedy próbowaliśmy z nim porozmawiać, powiedział właściwie tyle, że mam się zamknąć, i odepchnął mnie z drogi...

Fraiser zmieszany wbił oczy w podłogę. Niewątpliwie miał ochotę bronić szefa, ale nie brakowało mu oleju w głowie, by wiedzieć, że, koniec końców, pracuje przecież dla Stranda.

- Rozumiem. Bill? Znasz zamiary Matta?

- Nie ma go w domu. Obawia się, że al Fayed może go tam nakryć. Jest w jakimś hotelu, analizuje nasze informacje i obmyśla, jak najlepiej go dopaść.

- Wiemy, w którym hotelu się zatrzymał? Fraiser potrząsnął głową.

- Nie pytałem. Mogę sprawdzić.

- Sprawdź. Rozmawiałeś z nim, odkąd wyszedł z biura? Znowu przeczący ruch głową.

- Ale zadzwoni. Potrzebuje tylko trochę czasu. Strand oparł się w krzesło, usilnie próbując zachować jak najbardziej obojętny wyraz twarzy. Jak do tego, kurwa, doszło? Przecież jego plan nie mógł być już ani prostszy, ani odporniejszy na głupotę. Kto by pomyślał, że policja wykaże się jednak taką tępotą i niekompetencją w kwestii zatrzymania jednego obywatela? Przez to jest teraz kompletnie sam - uzależniony od Matta Egana, człowieka o wątpliwym poczuciu lojalności i instynktach politycznych kapuścianej głowy.

- Myślę, że powinniśmy dać mu szansę, Lauren. Matt to porządny facet... - Strand urwał, pozostawiając na końcu zdania domyślne „ale”. Położył palec na wargach, udając, że głęboko się namyśla, co dalej powiedzieć. - To mnie stawia w trudnej sytuacji - powiedział wreszcie. - Matt był przez długi czas przyjacielem al Fayed'a i choć ma to swoje plusy, to niestety może również mieć minusy.

Cały manewr polegał na tym, żeby wzbudzić w nich podejrzliwość, na tyle silną, aby Fraiser i Lauren pozostali mu lojalni, ale nie aż tak silną, aby zechcieli podminować wysiłki Egana. Jest bardzo prawdopodobne, że w głowie Egana zrodził się jakiś kretyński pomysł, żeby wyciągnąć al Fayed'a z dołka i że ta tykająca bomba eksploduje w najmniej odpowiednim momencie. Z upływem lat Strand się nauczył tolerować to neandertalskie, gównie warte braterstwo między żołnierzami, pokutujące wciąż w tych kręgach rządu, ale, do jasnej cholery, nie pozwoli się zabić!

- Oczywiście Matt to lojalny i honorowy człowiek, i właśnie dlatego taka sytuacja musi mu przeszkadzać. Czy się zawaha, kiedy stanie twarzą w twarz z al Fayedem? Jeśli tak, to czy al Fayed ucieknie? Albo gorzej, zabije go? Chodzi mi o to, że Matt może mieć niejasną ocenę sytuacji, dlatego musimy nieustannie myśleć i stawiać pytania. Jeśli macie jakieś problemy czy pomysły, które powinniśmy rozważyć, lub jeśli będziecie mieć wrażenie, że Matt nie mówi wam wszystkiego, to chcę, żebyście przychodzili z tym prosto do mnie. Jeżeli będziemy działać jako zespół, to nie mam wątpliwości, że pokonamy każdą trudność. Al Fayed w zasadzie nie ma żadnych środków, a nasze są praktycznie nieograniczone.

Lauren i Fraiser przytaknęli słabo. - Słuchajcie, nie chcemy, aby Matt brał wszystko na siebie, ani też, jeśli już o tym mowa, aby nikt nic nie brał tylko na siebie. Al Fayed może dać nam tylko jedną jedyną szansę i nie wolno nam skrewić.

Tak naprawdę Strandowi chodziło o to, żeby odsunąć Egana od wszystkiego, co nie miało dla niego newralgicznego znaczenia. Już polecił Lauren usuwać z policyjnych raportów wszystkie informacje o tym, że al Fayed kontaktował się telefonicznie z Karen Manning.

Gliniarze wciąż przejawiali skrajny idiotyzm, zakładając, że al Fayed uciekł, i nie fatygowali się nawet, by mieć Manning na oku. On tego błędu nie powtórzy.

- Żebyśmy trzymali rękę na pulsie i wiedzieli, co się dzieje, chcę, byście ze wszystkim, co zdobędziecie, przychodzili najpierw do mnie po akceptację, a dopiero potem przekazywali Mattowi. Czy to jest jasne? Znowu kiwnięcia głową.

- Ostatecznie, powinniśmy zacząć uważnie obserwować prasowe agencje informacyjne. Al Fayed może próbować dotrzeć do kogoś, kto zechce wywlec na światło dzienne jego wersję wydarzeń. Bill, będziesz za to odpowiedzialny, dobrze? - Tak jest.

- Dobra. Wszystko dla wszystkich jasne? Powtarzam, nie próbuję pomijać Matta, chodzi mi o to, że musimy mieć oczy i uszy otwarte na wszystko, co się dzieje, i nie możemy sobie pozwolić na to, aby nam umknął najdrobniejszy szczegół. Dobrze się rozumiemy? Bill?

- Rozumiem.

- Ale zgadzasz się z tym? Bo jeśli nie albo jeśli masz na ten temat inne zdanie, chcę je usłyszeć. Po to się zebraliśmy.

- Nie, nie mam. Myślę, że ma pan rację. Nie może nam umknąć najdrobniejszy szczegół. a

„

Rozdział dwudziesty drugi

Fade założył słuchawki i zaczął odsłuchiwać dwanaście wiadomości nagranych w telefonie komórkowym. Zastrzeżony numer wcale nie zniechęcił jego najzaradniejszych wielbicieli.

Łyknął głośno resztkę kawy i uśmiechnął się mimowolnie, słysząc, jak jakiś mężczyzna wyklada drżącym głosem teorię o tym, że do policji zdołali przeniknąć kosmici, i pyta, jakiego koloru krwią krwawili policjanci, których zabił. Drugą z wiadomości, która podejmowała klasyczny temat CHWDP, skasował po odsłuchaniu ledwie paru sekund. Wiadomość numer trzy to dziennikarz: „Panie al Fayed, nazywam się Kevin Swale, pracuję dla „Washington Post”. Bardzo chciałbym z panem porozmawiać. Wiem, że pewnie nie ma pan ochoty, ale jeśli przejrzy pan moje artykuły, to zobaczy pan, że potrafię być naprawdę bezstronny. Nic by pan nie stracił, przekazując nam własną wersję wydarzeń...”

Fade skasował także tę wiadomość, pominął parę następnych i zatrzymał się na kojącym głosie jakiegoś policyjnego negocjatora, który jednak nie miał mu wiele do powiedzenia. Potem znowu było kilku takich od tych, którzy nienawidzą policji, i to wszystko.

Wcześniej otrzymał wiadomość, poddającą myśl, że jest jednym z czterech jeźdźców Apokalipsy i że wszystko, co się stało, zostało przepowiedziane u św. Jana. Czy raczej u Nostradamusa? U któregoś z nich.

- Czy jeszcze coś panu podać?

Fade zdjął słuchawki i spojrzał na kelnerkę. Była sobota i w małej kawiarence internetowej, którą znalazł w pobliżu kampusu uniwersytetu Columbia, prócz nich nie było nikogo, co mu bardzo odpowiadało. Jego przebranie było idealne, choć wyglądał może trochę głupkowato, ale nigdy nie wiadomo, czy jakiś student akademii sztuk pięknych o fotograficznej pamięci nie wskaże go nagle palcem i nie zacznie się wydzierać.

- Nie była zła - powiedział, wskazując pusty kubek po kawie. - Ale mam ochotę na coś okazalszego. Proszę o mocha chai z mlekiem.

Kobieta spojrzała na niego zbита z tropu.

- No nic, proszę o coś naprawdę wyszukanego i drogiego. Kelnerka wzruszyła ramionami i wróciła do baru, a on znowu mógł się skoncentrować na ekranie komputerowego monitora. Cały ten Internet trochę jednak zawiódł jego nadzieje. Po tylu achach i ochach, które słyszał, wydawało mu się, że wystarczy wprowadzić nazwisko Stranda do wyszukiwarki, a pozna całą historię jego życia. Smutna prawda była taka, że na witrynie poświęconej jakiejś sesji, podczas której Strand przemawiał, natrafił tylko na jego skąpy biogram.

Przynajmniej się dowiedział, że Strand ma czterdzieści dziewięć lat, jest nieżonaty, studia licencjackie ukończył na Harvardzie, a teraz uczęszcza jeszcze na zajęcia na uniwersytecie Georgetown. Zanim zaczął pracować w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego, związany był z rządową Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, gdzie uczestniczył w pewnych „poufnych projektach”. Pochodził spod Chicago, gdzie mieszkało całe mnóstwo Strandów, mogących być z nim spokrewnionych lub nie. W samym Dystrykcie Columbia znalazł jeszcze więcej Strandów, ale ani jednego Hillela. Właściwie nie miało to większego znaczenia. Jest mało prawdopodobne, by Strand siedział w domu i czekał, aż ktoś przyjdzie i go zastrzeli.

Patrząc z perspektywy czasu, telefonowanie do niego było głupim posunięciem. Facet stał się czujniejszy. Ale Fade nie żałował. Chciał, żeby Strand się bał. Chciał, żeby strach go pożerał.

Kelnerka postawiła przed nim na stole wysoką, grubą szklanę, z artystycznie skłębionym, gęstym napojem. Po zachłannym łyku pozostały mu wąsy z bitej śmietany pod

nosem i oparzony język, szybko więc odstawił szklanke i znowu się skoncentrował na ekranie komputera.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że Strand dobrał sobie dla ochrony paru funkcjonariuszy operacyjnych i albo zamieszkał w biurze, albo się wycofał w jakieś „ściśle tajne miejsce”. Nie dawało to dużego pola manewru. Fade mógł obstarwić siedzibę Bezpieczeństwa Krajowego w nadziei, że wciąż tam jest, a któregoś dnia w końcu wyjdzie - taki krok jednak wydawał się nazbyt oczywisty i ryzykowny.

Sęk w tym, że cała ta zakochana zabawa w detektywa tylko go wkurzała. Jest nudna, czasochłonna i skomplikowana. Tę część roboty zawsze wykonywał za niego Matt. I całe szczęście. Gdyby sam się musiał tym zajmować, jego oddział skończyłby zapewne w samym środku Syrii, pytając miejscowych chłopów o drogę na Irak.

Trudno było się nie zastanawiać, co porabia w tej chwili Egan. Na pewno się nie ukrywa w biurze. To nie w jego stylu. Pewnie ruszył w teren i opracowuje jakiś zmyślny, skryty plan, by go wytropić i strzelić mu w plecy. Nie, żeby nie miał dla takiej postawy szacunku. Bardzo sprytny podejście. I dodaje całej operacji jakże potrzebną szczyptę emocji...

Wypił jeszcze łyk swojego napoju, już z większą ostrożnością, i upomniał siebie w duchu, że Matt nie jest priorytetem. Pierwszy na liście jest Hillel Strand i całą uwagę musi teraz skupić na tym, czy jest w stanie dobrać mu się do skóry.

Więc co dalej? Bez wątpienia są ludzie, którzy potrafią wykorzystywać Internet i publicznie dostępne dane do tego, żeby wszystko sprawdzić, nawet ulubiony kolor Stranda. Ale Fade do nich nie należał. Może powinien podzwonić trochę po tych oszołomach, od których dostał tyle wiadomości, i zapytać o radę?

Ma lepszy pomysł, zadzwoni i zapyta o Caddy'ego. Sprawdzi, jak sobie radzi Isidro...

Nie. Koniec z wymówkami. Nie jest łatwo, a będzie jeszcze trudniej, gdy Egan i gliny zaczną zaciskać wokół niego pętlę. Oczywiście musiał jeszcze pamiętać o kuli w plecach. Potyczka z oddziałem SWAT za diabła mu nie pomogła i wciąż czekał, aż wróci pełne czucie w prawej stopie. Gonienie za ludźmi może się okazać kłopotliwe, jeśli nogi odmówią raptem posłuszeństwa.

Ktoś powiedział mu kiedyś, chyba Egan, że sieć pizzerii Domino's zgromadziła listę numerów zastrzeżonych i sprzedawała je prywatnym firmom wywiadowczym. Może coś by tam znalazł? Uśmiechnął się na myśl, jak przykładła lufę do głowy jakiemuś pryszczatemu młodzikowi i żąda dostępu do krajowej bazy danych - aha, jeszcze kawałek pepperoni z czarnymi oliwkami, na grubym cieście.

Witryna „Amazon” wymieniała listę książek na temat sposobów odnajdywania ludzi, które wymieniały takie źródła jak ewidencje gruntów, raporty o kredytach, listy absolwentów szkół średnich, ale komu chciałoby się teraz zajmować takimi nonsensami? Czy on jest bibliotekarzem?

Karen Manning. Oto osoba, której potrzebował. Jak wynikało z telewizyjnych wiadomości, nie tylko była gorącą kowbojką, w swoim rodzaju, ale okazała się na tyle inteligentna, by wejść do grupy śledczej ścigającej tego wariata, który się panoszy po Wirginii i zabija młode dziewczęta.

Fade zerknął jeszcze raz na niesprawiedliwy i niepochlebny artykuł na jej temat w gazecie leżącej obok niego i potrząsnął głową. Kobieta wzięła na siebie zadanie, które kazało jej rzucić na szalę własne życie, by ratować innych, a teraz wszyscy ujeżdżają na niej jak na łysej kobyle. Zastanawiał się, ilu dziennikarzy, dla ratowania swoich ludzi, weszłoby ślepo w strefę wojenną, jaką tam stworzył.

Wyciągnął rękę po szklankę, ale zapomniał o niej, kiedy pogrążył się w rozmyślaniach nad tym, jak niewiele przypadków byłoby trzeba, żeby ich los połączył. Mógł nie zważać na napaść na Arabkę i iść dalej, prosto do punktu podjęcia. Karen mogła zostawić policję i wstąpić do wojska, gdzie kobiety z jej charakterem zachęcano do udziału w nowym programie tworzenia żeńskich Oddziałów Operacji Specjalnych. Gdyby się wydarzyły obie te rzeczy, jest niemal pewne, że prędzej czy później ich drogi by się skrzyżowały. Może by się zaprzyjaźnili. Może by się nawet pobrali.

Po jakimś czasie zostaliby instruktorami, przeszliby do administracji, założyliby rodzinę...

- Smakowała panu nasza latte? Fade zamrugał i spojrzał na kelnerkę.

- Była świetna. Dziękuję.

- Jeszcze coś podać?

Pokręcił głową i patrzył za nią, jak manewrując między stolikami, odchodzi do baru. Dość tych snów na jawie. Czas ruszyć naprzód albo się wycofać.

Spojrzał na notatnik leżący obok klawiatury i wybrał na telefonie komórkowym zapisany tam numer.

- Departament Bezpieczeństwa Krajowego, z kim mam połączyć?

- Z biurem Hillela Stranda, proszę.

Nastąpiła krótka przerwa, a potem odezwał się kobiecy głos.

- Biuro Planowania Strategicznego i Naboru, w czym mogę pomóc?

- Cześć. Hillel prosił, żebym przesłał mu jakieś dokumenty, i zapomniał podać piętro, które muszę zamieścić w adresie.

- Oczywiście. Proszę wysłać na szóste piętro. Na pewno dojdzie.

- Świetnie, a z kim rozmawiam? Z asystentką Hillela?

- Nie. Kelly Braith. Jestem recepcjonistką.

- Och, znakomicie. Dziękuję, Kelly. Zaraz wysyłam do niego pocztę.

Fade wyłączył telefon i wszedł na strony „BigBook.com”. Być może panna Braith nie jest taka tajna jak jej szef.

|.A”t”;>>bt:

Rozdział dwudziesty trzeci

Może gdyby pisał większymi literami lub dodał trochę grafiki, tablica nie wydawałaby się taka pusta. Ale nie zrobił tego, czas więc sobie uczciwie powiedzieć, że nie tylko niewiele dróg prowadzi do Fade’a, ale te, które istnieją, są naszkicowane trochę na wyrost.

- Dobra, wszyscy jesteśmy. - Z telefonu dobiegł go, brzmiały z daleka, głos Stranda.

Egan poprawił słuchawkę w ucho i zaczął chodzić w tę i we w tę, na ile pozwalały mu rozmiary ciasnego hotelowego pokoju.

- Pierwsza rzecz, której musimy się bliżej przyjrzeć, to samochody. Fade ma bzika na punkcie klasycznych marek, szczególnie uwielbia kabriolety. Billy, chciałbym, żebyś zajrzał do lokalnej prasy i obdzwonił komisje z używanymi samochodami. Dowiedz się, czy w ostatnim czasie nie sprzedali czegoś starego i czegoś bardzo sexy facetowi, który choć trochę odpowiadałby rysopisowi Fade’a.

- Co z wypożyczalniami, Matt? Dzisiejsze wypożyczalnie samochodów są jak ze snu - odpowiedział Billy.

- Hm, to dla mnie coś nowego. Możesz spróbować.

- Już się zabieram.

- W porządku. Następną rzecz. Kiedy w CIA sprawdzaliśmy przeszłość Fade’a, pewnym problemem okazał się jeden z jego kumpli ze szkoły średniej. Nie spędził w więzieniu ani jednego dnia, ale jak ustaliliśmy, to świetnie usytuowany diler narkotykowy w Nowym Jorku.

- Javan Franklin - powiedziała Lauren.

- Tak. Prawdopodobnie to on skontaktował Fade’a z Kolumbijczykami. Chciałbym z nim pogadać.

- Znajdziemy go - zapewnił Strand.

- Domyślam się, że na kartach kredytowych i w bankomatach nie ma śladu aktywności?

- Nic - potwierdziła Lauren. - Nawet jeśli jest, to pamiętaj, że policja też się temu przygląda.

- Czemu jeszcze się przyglądają?

- Przesłałem ci emailem ich ostatni raport - odpowiedział Fraiser. - W zasadzie robią dokładnie to, czego się spodziewaliśmy. Żadnych niespodzianek. Na razie.

- Dobrze. Informuj mnie na bieżąco. Jeszcze tego by brakowało, żeby gdzieś wpadł na gliniarzy.

- Nie martw się - powiedział Strand. - Mamy wszystko pod kontrolą. W jakim punkcie jesteś? Posunąłeś się trochę?

- Staram się dotrzeć do paru osób, z którymi służył w marynarce i „systemie Ramsey”. Wciąż może utrzymywać z nimi kontakt. Może wiedzą, gdzie mógł się zaszyść.

- Co to za ludzie? Mamy ci przekazać ich adresy i przeszłość?

Egan nie odpowiedział od razu. Było jasne, że Strand chce się trzymać jak najbliżej niego i chętnie postawiłby przy nim tajniaków. Eganowi, co prawda, nie zależało specjalnie, żeby utrzymywać w tajemnicy miejsce swojego pobytu, ale z drugiej strony nie chciał go ujawniać bez potrzeby. Przyjdzie czas, kiedy będzie musiał się opowiedzieć po czyjejś stronie, ale na razie najlepiej czuł się sam.

- Dzięki. Myślę, że dam sobie z tym radę. Jeszcze coś?

Cisza.

- No, to w porządku. Możecie mnie łąpać na komórkę.

Rozdział dwudziesty czwarty

.|fi’.

Karen Manning nigdy nie była w tej części południowowschodniego Waszyngtonu, a sądząc po spojrzeniach, jakimi obrzucali ją kidzie na ulicy, w ogóle rzadko widywano tu młode blondynki za kierownicą hondy. Już na mapie droga wydawała się trudna do odnalezienia, a rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza - labirynt zaśmieconych ulic z rozpadającymi się chodnikami i rzędami wałących się, starych domów lub pudełkowatych apartamentowców.

Zatrzymała się na skrzyżowaniu bez oznakowań, wybrała na chybił trafił i skręciła w prawo. Nie była to może najbardziej naukowa z metod nawigacji, ale okazała się skuteczna. Trzy kilometry dalej natrafiła na blokadę policyjną i tłum gapiów. Podjechała powoli, żeby

rodzice mogli odciągnąć swoje dzieciaki na chodniki, i na tyle wolno, że dobrze usłyszała wulgarną zaczepkę jakiegoś roześmianego nastolatka.

Zatrzymała się dziesięć metrów przed żółtą barykadą policyjnych koziołków, wysiadła z samochodu i wyciągając z kieszeni odznakę, podeszła do młodego policjanta, który pilnował tłumu. Okazało się, że odznaka nie była potrzebna, policjant machnął ręką, by przeszła, nie kryjąc przy tym wyrazu lekkiego niesmaku, do którego Karen zaczęła się już przyzwyczajając.

Większość działań koncentrowała się wokół czegoś, co kiedyś pewnie było samochodem, ale w tej chwili tylko z pozbawionego kół podwozia sterczały nieliczne części samochodowe. Przy powyginanych pozostałościach karoserii kręciło się dwóch policjantów od odcisków palców, a trzeci badał resztki tablicy rozdzielczej, prawdopodobnie w poszukiwaniu nitki z ubrań. Pozostali policjanci rozeszli się po ulicy, przepytując ludzi i pukając do pobliskich domów. Karen zauważyła Johna Wakefielda opartego o jeden z żółtych koziołków i ruszyła w jego stronę.

- Karen! Co tu robisz? - zapytał, prostując się i przygarniając ją na krótko do siebie.

- Właśnie chciałam zapytać cię o to samo. Jeśli zobaczy cię jakiś dziennikarz i pomyśli, że też się zajmujesz tą sprawą, to będą nas atakować, że ważniejsza jest dla nas sprawa śmierci własnych ludzi nad zabójstwa tych wszystkich kobiet...

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Brakuje mi kumpla i powodowała mną ciekawość. Poza tym sprawa „Kolekcjonera” będzie stała w miejscu dopóki... No, wiesz.

Niestety wiedziała. Dopóki nie zniknie kolejna kobieta i nie odnajdzie się ciało Stephany Narwal.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że nie cieszysz się moim widokiem. Jesteś chyba jedynym człowiekiem w policji, który chce jeszcze ze mną rozmawiać. - Skinęła głową w kierunku szkieletu żelastwa przy krawężniku. - Co tu się dzieje?

- Jeszcze niewiele wiadomo. Jedno jest pewne... auto pamiętało lepsze dni.

- Czy na pewno należy do Fade'a?

- Fade'a?

- Z tego, co wiem, tak na siebie mówi.

- Słyszałem, że z nim rozmawiałaś, ale myślałem, że to kolejne plotki.

- Nie. To prawda. Ale nie poszło mi najlepiej. Nic z niego nie wycisnęłam.

Pokiwał w zamyśleniu głową, spojrzał w dół i zerwał ze spodni jakąś niewidoczną nitkę; gest, który obserwowała już tysiące razy, lecz wciąż nie potrafiła go rozszyfrować.

- Cóż, odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. To z całą pewnością samochód al Fayeda. Udało nam się odczytać numer seryjny na jednym z nieruszonych kawałków. Wygląda na to, że porzucił go wczoraj wieczorem, ale nie ma w pobliżu żadnych kamer przemysłowych i oczywiście nikt go nie widział.

Karen ruszyła za nim i przeszli kawałek pod policyjną barykadę, gdzie Wakefield mógł dać odpocząć swoim nękanym reumatyzmem kolanom.

- Wątpię, by ktoś z mieszkańców pragnął z nami rozmawiać. Łatwo się domyślić, że nie darzą tu policji wielką miłością i pewnie każdy jest przekonany, że będziemy chcieli ich zgarnąć za ogołocenie auta albo zmusić do sypnięcia tego, kto to zrobił.

- Tak to mniej więcej wygląda - zgodził się Wakefield. - Na razie sprawdzamy firmy taksówkowe, żeby zobaczyć, czy ktoś go stąd nie odwoził, ale dryndziarze niechętnie się zapuszczają nocą w ten rejon, zakładam więc, że zasuwał piechotą do najbliższej stacji metra albo do innego samochodu, który zadekował wcześniej gdzieś w okolicy...

- To chyba dość ryzykowne w tej dzielnicy. Wakefield się uśmiechnął.

- Śmiem twierdzić, że ten gość zawsze dojdzie tam, gdzie ma ochotę dojść.

- Więc kolejna ślepa uliczka - powiedziała, czując, jak do jej głosu wkrada się rozgoryczenie, choć chciała nad nim zapanować. - To powoli staje się historią naszego życia, John.

- Takjakby, prawda?... O...Uhm...

- Co? - Karen zauważyła, że Wakefield patrzy gdzieś ponad jej lewym ramieniem.

- Nasz nieustraszony wódz.

- Cudownie.

- Co tu robisz, do cholery!?! - usłyszała za plecami głos kapitana Pickeringa.

Kiedy się odwróciła, żeby odpowiedzieć, zorientowała się, że Pickering wcale nie mówi do niej. Właściwie chyba jej nawet nie zauważył.

- Byłem akurat w okolicy - odpowiedział Wakefield.

- W takim razie szybko z tej okolicy wrywaj. Lada chwila zjawią się pieprzone pismaki.

Wakefield odepchnął się od koziolka, stanął, klepnął przyjaźnie Karen po ramieniu i odszedł wolnym krokiem.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. I uszy do góry! - rzucił jej na odchodnym.

Odprowadzała go wzrokiem, gdy zaczął się przeciskać przez tłum ludzi, otaczających miejsce przestępstwa. Uczuła lekkie ukłucie zazdrości połączone z wdzięcznością. Musi być przyjemnie, gdy jest się kuloodpornym.

- Tu pracują ludzie - powiedział Pickering. - Nie chcę, żebyś im przeszkadzała.

Kilka odpowiedzi przemknęło jej przez głowę, ale zatrzymała je wszystkie dla siebie i przeszła obok niego bez słowa. Uszła parę metrów, kiedy krzyknął za nią:

- Poczekaj na mnie w moim samochodzie, Karen!

Ton jego głosu był rozkazujący i lekceważący zarazem. Dlaczego miałby być inny?

Szła po prostu dalej, on obrócił nóż, który wbił jej wcześniej w plecy, a ona nie wydała z siebie głosu protestu. Zawsze lojalny kozioł ofiarny.

Pickering zaparkował koło jej samochodu i Karen przyszło do głowy, żeby po prostu wsiąść do swojego auta i odjechać, ale szybko porzuciła tę myśl. Dałoby to jej ogromną satysfakcję, ale nadszedł czas, żeby wreszcie wyjaśnić sobie parę rzeczy.

Kiedy mijala tego samego młodego policjanta pilnującego gapiów, na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiezek, do którego Karen jeszcze nie była przyzwyczajona.

- Jakiś problem? - wyrzuciła z siebie, nim zdążyła powstrzymać słowa.

Policjant najwyraźniej nie oczekiwał, że Karen rzuci mu wyzwanie, i cofnął się o krok. - Nie.

Wyjaśnwszy sprawę z policjantem, Karen szybko pokonała resztę drogi do samochodu Pickeringa i przysiadła na jego nieskazitelnej, lśniącej masce, czując, jak nity dzinsów rysują karoserię. Dziecinada? Oczywiście. Ale daje dziwnie dużo radości.

Z tej nieco wywyższonej pozycji Karen widziała, jak Pickering, z rękami założonymi po królewsku na udekorowanych piersiach, rozmawia z ludźmi zbierającymi z auta odciski palców. Nie sposób się było domyślić, co mu mówią, ale sądząc po języku ciała, nie były to rzeczy, których słuchał z przyjemnością.

Kilka razy obszedł wrak dookoła, kucając od czasu do czasu, by lepiej się czemuś przyjrzeć, a po chwili ruszył z powrotem do swojego samochodu i do niej.

- Nasz psycholog uważa, że al Fayed spróbuje budować między wami jakąś relację - zaczął mówić, gdy tylko Karen się znalazła w zasięgu jego głosu. - Ken jest zdania, że powinnaś do niego zadzwonić i spróbować nawiązać jakieś porozumienie.

Milczała, domyślając się, że Pickeringa musi rozsadzać z chęci, żeby rzucić jej rozkaz natychmiastowego zejścia z maski samochodu.

- Pojedziesz za mną na posterunek, tam omówimy tę sprawę.

Spojrzała ponad jego głowę na grupę bawiących się na chodniku dzieci. Jeśli Pickeringowi uda się przy jej pomocy dostać Fade'a, to jest prawie pewne, że zrobi wszystko, aby jej udział zminimalizować, a całą zasługę przypisać sobie.

- Co będę z tego miała, kapitanie?

- Że co?

- Słyszał mnie pan.

- Masz pomóc w ujęciu człowieka, który zabił twoich ludzi.

- Moi ludzie nie żyją, a złapanie al Fayed'a już tego nie zmienia.

- Do cholery, o czym ty mówisz, Karen? Jesteś policjantką. Za to ci płacą.

- O czym mówię? O tym, że media wieszają na mnie psy, a ty nie pozwalasz mi się bronić.

- Nie mam wpływu na to, co o tobie mówią.

- Nie, ale możesz wystąpić w telewizji i wesprzeć mnie kilkoma słowami komentarza, a nie pozwalać paru żonom i osobom anonimowym gadać, co im ślina na język przyniesie. Pan wykonałby to zadanie inaczej, kapitanie? Jakoś tego nie słyszałam. Nie słyszałam też ani razu, że odradzałam tę akcję. Słyszę tylko, że wszystko spieprzyłam i nie nadaję się do dowodzenia oddziałem SWAT.

Pickering wzruszył ramionami wymijająco.

- Nie mogę się publicznie wypowiadać na temat trwającego śledztwa.

- Nie o to pana proszę. Proszę tylko o okazanie wsparcia, takiego samego, jakie w policji okazuje pan mężczyznom. Jeśli nie, to proszę zdjąć mi knebel z ust i pozwolić opowiedzieć własną wersję wydarzeń.

- Wiesz, że nie mogę ci pozwolić na...

- Nie wiem nic na temat śledztwa w sprawie al Fayed'a ani nic, jeśli o to chodzi, na temat dochodzenia w sprawie mojego postępowania. Tak naprawdę, nie mam nawet możliwości, żeby opowiedzieć coś więcej niż własną wersję tego, co się po prostu wydarzyło.

- Jezu Chryste, Karen! Jakiś debil uzbrojony po zęby szaleje na ulicach, a ty myślisz o swoim nie najlepszym wizerunku publicznym? Wiesz, co zrobisz? To, co ci każę, czyli wskakuj do samochodu i jedź za mną na posterunek, tam usiądziemy przy telefonie i pomożesz nam tego dupka dorwać! Rozumiesz?

Zrobił krok w kierunku drzwi swojego samochodu, ale stanął, kiedy zobaczył, że Karen nie rusza się z miejsca.

- To rozkaz, Karen.

- Rozkaz, który wykonam z wielką chęcią. Chcę tylko czegoś drobnego w zamian.

- W takiej sytuacji chcesz się bawić w politykowanie, co? Jesteś gotowa machnąć ręką na to, że jakiś psychopata, który pozabijał ci ludzi, wciąż chodzi wolny...

- Może to lepsze, niż pomóc ci go odnaleźć, bo wypuścisz na niego kolejny oddział SWAT.

- Wciąż chcesz na mnie zrzucić całą winę! - krzyknął. - Więc powiem ci, jaka teraz będzie różnica. Teraz oddziałem będzie dowodził ktoś kompetentny.

Zsunęła się szybko z maski, drapiąc przy tym karoserię, obróciła się do niego natychmiast na pięcie, gotowa krzyknąć, ale w ostatniej chwili zdołała się pohamować. Jeśli kiedyś miała utrzymać swój niesławny temperament na wodzy, to teraz była to najbardziej odpowiednia chwila.

- Niech pan posłucha, kapitanie... Nie lubi mnie pan i bardzo mi przykro. Ale prawda jest taka, że miałam i wciąż mam kwalifikacje na dowódcę SWAT, i co do litery postępowałam zgodnie z procedurami. Ta sprawa źle wpływa na wizerunek całego departamentu. Ja wychodzę na idiot-s ‘!; |’ ,!’ ,,,,!| |’; || \ |... ii kę, nasi ludzie na słabo wyszkolonych policjantów, a pan na kogoś, kto nie potrafi skutecznie zarządzać instytucją. Choćby nie wiem ile razy imputował pan ludziom, że to feministki wcisnęły mnie panu do gardła, to prędzej czy później prasę to znudzi, a w końcu się obróci przeciw panu.

Zdołał na chwilę ruszyć szczęką i otworzyć usta, by coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Nie próbuję przedstawić siebie jako bohaterki. Nasi ludzie zginęli, a ja za nich odpowiadałam. Ale zostałam potraktowana niesprawiedliwie. Proszę pana tylko o to, żeby opowiedział wszystko, co się stało. Jestem gotowa przyjąć cięgi za to, na co rzeczywiście zasłużyłam, ale jeśli moje nazwisko dalej będzie mieszane z błotem, przestanę milczeć.

Znowu otworzył usta, ale zanim wydał z siebie głos, rozejrzał się uważnie dookoła, patrząc, czy ktoś go nie usłyszy.

- Zadzwoń do al Fayed, a pomyślę o tym.

- Chciałabym także, żeby cofnięto mi przymusowy urlop i przywrócono mnie do pracy nad sprawą „Kolekcjonera”. John mnie potrzebuje i będę mogła pokazać, że mam zaufanie departamentu.

- Ale ty nie masz zaufania departamentu, Karen. Jezu, o co jeszcze poprosisz? Może jakiś pierdolony awans? Może podwyżkę? Jak ci się wydaje, na jakie jeszcze nagrody zasłużyłaś za to, że dałaś sobie wybić oddział? Rany boskie, ludzie mówią na ciebie jak na spluwę, „Widowmaker”. Co powiedzą mężczyźni, jeśli zacznę ciebie usprawiedliwiać?

- Nie chcę się usprawiedliwiać - powiedziała, wciąż pohamowując gniew. Mama byłaby z niej dumna. - Chcę tylko faktów, chcę, żeby pozwolono mi wrócić do pracy i złapać człowieka, który właśnie w tej chwili zamęcza gdzieś na śmierć kolejną kobietę.

Długo nie odpowiadał.

- Zobaczymy, jak sobie poradzisz z Fayedem.

Karen potrząsnęła głową. b

- Ty pierwszy.

- Zbyt ryzykownie rozgrywasz karty, Karen. Co powiesz, jeśli pokażę się w telewizji i powiem dziennikarzom, że nie chcesz współpracować w dochodzeniu w sprawie śmierci swoich ludzi?

- A może pokaże się pan w telewizji i powie dziennikarzom, że na podstawie dotychczasowych ustaleń faktów działałam zgodnie z regulaminami departamentu i dlatego przywraca mnie pan do służby czynnej?

- Nie jestem do tego gotowy. Żadnych faktów jeszcze nie ustalono.

- Panie kapitanie! - powiedziała głośno, tracąc w końcu podtrzymywany z takim wysiłkiem spokój. - Pan doskonale wie, co się stało. Ma pan nagrania wszystkich rozmów, jakie się toczyły w czasie akcji! Ma pan kratery po wybuchach bomb. Ma pan spalony dom. Ma pan zwłoki. Ma pan pilota zdalnego sterowania i kamery termowizyjne al Fayed. To nie są żadne kosmiczne technologie!

Jej wybuch wywołał na jego ustach ledwie widoczny uśmiech.

- To ultimatum?

- Przepraszam. Sądziłam, że wyrażam się jasno. Tak, to ultimatum.

- W takim razie... nie. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić.

Znowu wyciągnęła z kieszeni policyjną odznakę, ale tym razem rzuciła nią, trafiając Pickeringa mocno w pierś.

- W takim razie czas zacząć grę. i

‘ i i

*iU

Rozdział dwudziesty piąty

Matt Egan zmrużył oczy przed słońcem odbijającym się w rzędzie samochodów i przeszedł szybko na drugi koniec placu, prosto do świeżo pomalowanej przyczepy campingowej.

W ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin Billy i Lauren wykonali nadludzką pracę, w czym z pewnością pomogło im to, że zdecydowali się przeprowadzić na stałe do

biura BPSiN. Oboje byli absolutnie przekonani, że Fade czeka na nich w krzakach pod domem, z fortepianową struną w rękach, idealną do obwodu ich szyi. Może Strand miał rację - jak na razie ich bezgraniczna motywacja i długie godziny nieustrudzonej pracy bezsprzecznie są plusem.

Po drobiazgowym przeglądzie ogłoszeń prasowych w całym regionie i skrupulatnym spisaniu sprzedaży we wszystkich komisach samochodowych w promieniu blisko ośmiuset kilometrów, ustalili, że w interesującym ich przedziale czasu właściciela zmieniło dwadzieścia osiem samochodów klasycznych marek. Mając w pamięci miłość Fade'a do kabrioletów, a także terkotliwe tło jego rozmowy telefonicznej ze StranDEM, Egan postanowił się skoncentrować na trzech pierwszych kabrio. Jak się okazało, jeden z nich w ogóle nie był na chodzie i został odholowany przez jakiegoś sześćdziesięcioletniego nabywcę. Drugi co prawda był w stanie idealnym, kupiła go jednak jakaś kobieta w prezencie mężowi. Ale trzeci, tutaj, w komisie w Baltimore, został sprzedany mężczyźnie po trzydziestce.

Człowiek, który wyszedł z przyczepy i podszedł do niego z wyciągniętą ręką, w niczym nie przypominał typowego sprzedawcy używanych samochodów. Miał najwyżej czterdzieści lat, beztroski uśmiech na twarzy i sposób poruszania się, który doskonale pasował do niewyprasowanej, wełnianej białej koszuli oraz spodni khaki.

- Witam, nazywam się Troy Powell - powiedział. - Pomóc w czymś czy tylko się pan rozgląda?

Egan długo rozważał wcześniej, jak się przedstawić, ale żadna z wielu opcji nie była wolna od słabych stron. Normalnie machnąłby mu przed oczami legitymacją Bezpieczeństwa Krajowego i uzyskał każdą informację. Ale w tych okolicznościach nie było to najlepsze rozwiązanie.

- Matt. Miło mi. Właściwie chciałem tylko porozmawiać o pewnym facecie, który kupił tu parę dni temu starego cadillaca.

Mężczyzna cofnął rękę, nieco gwałtowniej, niż było to konieczne.

- Zaraz, zaraz, samochód, owszem, miał potencjał, ale uprzedzałem, że nie jest idealny. Mówił, że jest mechanikiem i zamierza go przerobić. To, że sprzedaję używane samochody, nie oznacza zaraz, że jestem...

Egan się uśmiechnął szeroko i rozbrajająco, i podniósł dłonie w pokojowym geście.

- Spokojnie, spokojnie. Nie interesuje mnie auto. Szukam człowieka.

- Jest pan gliną? Potrząsnął głową.

- W takim razie naprawdę nie mogę panu pomóc. Nie wolno mi tak po prostu przekazywać danych osobowych moich klientów. Ale mam za to trochę fajnych bryczek na placu, jeśli szuka pan czegoś dla siebie...

- Możemy wejść na chwilę do środka i porozmawiać? Powell wzruszył ramionami i Egan wszedł za nim po schodkach do przyczepy, zamykając za sobą drzwi.

- Jestem prywatnym detektywem, specjalizuję się w tropieniu tatusiów, którzy zapominają płacić alimenty. Facet, którego szukam, zniknął przed rokiem, zostawiając żonę z dwójką małych chłopców bez środków do życia. Dziewczyna stara się uczyć i pracować na pełny etat, żeby coś włożyć do garnka, a ten kutas kupuje sobie klasyczne autka. Chcę go odnaleźć i namówić, żeby jednak szanował sądowe wyroki i utrzymywał własne dzieci.

Powell usiadł wygodnie na krześle za sfatygowanym biurkiem i skrzyżował ręce na piersiach.

- Nawet gdybym chciał, nie wiem, jak mógłbym panu pomóc. Nie ma obowiązku podawania pełnych informacji przy zakupie samochodu, chyba że ktoś się stara o kredyt, ale ten facet płacił gotówką. Właściwie powiedział tylko, jak się nazywa.

- I jak się nazywa?

Powell nie odpowiedział. Egan sięgnął do portfela i wyjął trzy studolarowe banknoty.

- Z pewnością to nie wydaje się panu dużo - powiedział, przesuwając pieniądze w jego stronę. - Ale dla kobiety, która mi je dała, to prawdziwa fortuna.

Powell patrzył na pieniądze przez dobrych trzydzieści sekund, a w końcu powiedział:

- Sam mam dwoje dzieci. Dziewczynki. A pan? Proste pytanie. Dlaczego tak ciężko było mu odpowiedzieć?

- Nie jestem żonaty - powiedział w końcu.

- Masz, Billy? - powiedział Egan do telefonu komórkowego, skręcając w lewo, w ulicę, która, jak miał nadzieję, prowadziła na autostradę.

Ostatecznie Powell zgodził się sprzedać informację. Nie było jej wiele, ale wystarczyło. Rysopis nabywcy cadillaca pasował jak ulał - wysportowany mężczyzna, w wieku około trzydziestu pięciu lat, ciemna cera, wzrost jakiegoś metr siedemdziesiąt pięć. O wiele bardziej interesujące były przefarbowane na blond włosy, kolczyk w uchu i okulary o prostokątnych, niebieskich szklach. To chyba najbardziej efektywne przebranie dla mężczyzny, który z byle sztuczną brodą zawsze będzie wyglądał jak ktoś, kto ma zamiar wysadzić coś w powietrze.

- Rozumiem - odpowiedział Fraiser. - Myślisz, że to on?

- Myślę, że to on.

- Juhu! - krzyknął Fraiser. - Wiedziałem, że go dopadniesz, Matt. <

- Na razie jeszcze nikogo nie dopadłem, to tylko początek. Sprawdź na wszelki wypadek nazwisko, które podał. Choć sądzę, że je wymyślił na poczekaniu.

- A samochód?

- Nie wiem. Sprzedawca powiedział, że nie jest zupełnie na chodzie, więc Fade prawdopodobnie odstawił go do mechanika. Podzwoń trochę, może się czegoś dowiesz. Przede wszystkim do warsztatów z ekspresowym lakierowaniem, dobra?

- Jasne. Ale nawet jeśli będziemy znali kolor auta i tymczasowy numer rejestracyjny, to trudno chyba liczyć na to, że akurat koło ciebie przejedzie, co?

- Będziemy musieli zawiadomić policję, żeby uruchomili standardowe poszukiwania. Powiedz im, że to osobnik podejrzany o terroryzm i że pod żadnym pozorem nie wolno go zatrzymywać ani nawet się do niego zbliżać. Powiedz, że musi nas naprowadzić na jakiś punkt kontaktowy czy coś w tym rodzaju.

- Mhm... w porządku... - odpowiedział Bill, trochę niepewnie.

Prawdopodobnie zaraz po odłożeniu słuchawki Bill pobiegnie do Stranda zdać mu relację z rozmowy, co skończy się wyrażanymi głośno wątpliwościami, czy rzeczywiście wciągać w to policję. Ale czy mają wybór? Brakowało im rąk do pracy.

- Jeśli w kwestii policji Hillel będzie miał wątpliwości, niech do mnie dzwoni.

- Dobrze. Jeszcze coś?

- Niestety, to wszystko.

- Wydobyłeś coś od jego dawnych przyjaciół? Spotkałeś się już z nimi?

- Z większością tak, ale nic nie mam. Od lat nikt się nie widział z Fade'em i z nim nie rozmawiał.

- Powiedzieliby, gdyby z nim rozmawiali?

Dobre pytanie. Egan przedstawiał sprawę tak, że próbuje cichcem odszukać Fade'a, zanim policjanci przyprą go muru i zanim znowu zginą ludzie, ale wiedział, że dawni kumple z oddziału Fade'a niechętnie będą sypać - raz dlatego, że go lubili i szanowali, a dwa, że nikt nie miał ochoty z nim zadzierać. Ich zdaniem, najmądrzej było się nie mieszać do spraw Fade'a i pozwolić, by sam rozwiązywał swoje problemy.

- Naprawdę nie wiem, Billy. Mam jeszcze jedno nazwisko na liście. Jeśli czegoś się dowiem, dam znać.

Rozłączył się i natychmiast wybrał numer Roya Bucknera, byłego agenta operacyjnego Delty, którego Strand chciał zatrudnić w pierwszej kolejności, karka i buraka jakich mało. Buckner, w przeciwieństwie do osób, z którymi Egan dotychczas rozmawiał,

nienawidził Fade'a. Po jednej ze wspólnie zakończonych misji Fade jasno dał do zrozumienia, że nie będzie już z nim współpracował. A jeśli mówi coś takiego Salam al Fayed, to słowa te, prędzej czy później, dotrą do uszu tych, którzy zarządzają całym biznesem. Nie minęło wiele dni, a Buckner został odsunięty od udziału w operacjach, a niebawem zwolniony ze służby. O wszystko oczywiście obwiniał Fade'a, a nie własne niedołęstwo.

W wypadku Bucknera Egan postanowił opowiedzieć trochę inną historyjkę: Fade stracił nerwy, a on pomaga policji go wytropić. Mało prawdopodobne, by Buckner miał jakieś użyteczne informacje, ale jeśli tak, to nie będzie się posiadał ze szczęścia, że może działać na szkodę Fade'a.

- Halo?

- Dzień dobry. Matt Egan. Wciąż szukam Roya.

- Proszę pana - żona Bucknera próbowała przekrzyczeć wrzeszczące dziecko - już mówiłam, wciąż nie ma go w domu, podobnie jak nie było go wcześniej, gdy dwa razy pan dzwonił. Jak mam panu pomóc?

- Może mogłaby pani dać mi numer telefonu komórkowego, wówczas nie musiałbym pani zawracać głowy.

- On nie ma telefonu komórkowego. Jak mówiłam, zostawiłam mu wiadomość, że pan dzwonił...

- Jest jakieś biuro, knajpa, gdzie jada i pije, jakieś miejsce, gdzie mógłbym go spotkać?

- Ma jakąś robotę i do licha, nie wiem, gdzie może być. Był już w Waszyngtonie, był gdzieś w Wirginii, a nie dalej, jak parę godzin temu, dzwonił z Baltimore. Prawdę mówiąc, w ogóle o panu nie wspomniał, więc może nie chce z panem rozmawiać?

Egan przyspieszył na wjeździe na autostradę - i poczuł, jak zęby same mu się zaciskają, gdy usłyszał słowa kobiety. „Był już w Waszyngtonie, był gdzieś w Wirginii, a nie dalej, jak parę godzin temu, dzwonił z Baltimore”.

- Dziękuję - powiedział w końcu. - Bardzo mi pani pomogła.

Egan zapisał na tablicy informacje od handlarza używanymi samochodami i opadł ciężko na łóżko, zatykając kciukiem butelkę, by nie wylało się z niej piwo. Tablica była już zapelniona niemal w dwóch trzecich - co dało przynajmniej iluzję postępu. Leżał i myślał o niebieskich migdałach, gdy zaczął dzwonić telefon komórkowy.

- Halo?

- Matt. Słyszałem, że już prawie rozgryzłeś sprawę. Świetna robota. - Głos Hillela Stranda. - Są tu Lauren i Bill, przełączę aparat na tryb głośnomówiący.

- Matt? Słyszysz mnie? - Lauren. - Tak.

- Próbowaliśmy rozpracować samochód, ale nie udało się znaleźć nikogo, kto mógł go przemaalować. Za parę dni jeszcze raz ich obdzwonimy. Nazwisko, które podałeś, też nic nie dało. Sprawdziliśmy konta bankowe, prawa jazdy, karty kredytowe, co tylko chcesz. Instykt cię chyba nie mylił, wymyślił sobie to nazwisko już na placu.

- Co z domem, do którego przewiózł Karen Manning?

- Sprawdzamy w agencjach nieruchomości kupno i wynajem tego typu posesji w ciągu ostatnich kilku lat, ale wyszła nam tak ogromna liczba, że poszukiwania nie dają żadnego rezultatu.

- Co z poszukiwaniami samochodu przez policję? Wrócił głos Stranda.

- To ryzykowna strategia, Matt... Ale zgoda. Musimy spróbować. Policja ma już opis samochodu, numer rejestracyjny i rysopis al Fayed. Powiedzieliśmy im, żeby trzymali się od niego z daleka i natychmiast nas zawiadomili, kiedy go zobaczą.

- Świetnie. Jeszcze coś?

- Powoli docieram do handlarza narkotyków, kumpla al

Fayed - powiedział Fraiser. - Niestety, tego rodzaju typy nie drukują swojego nazwiska w książce telefonicznej.

- Kiedy?

- Jutro, mam nadzieję. Najdalej dzień później.

- Im wcześniej, tym lepiej, Billy. Jeszcze coś?

- Już nic szczególnego. Pewnie widziałeś w telewizji, że w jakiejś zawszej dzielnicy Waszyngtonu policja znalazła stary samochód al Fayed, ale niewiele z niego zostało. Raporty policji masz w emailu, jeśli masz chęć do nich zajrzeć, ale ja bym się nie trudził. Nic w nich nie ma.

-

Rozdział dwudziesty szósty i i |.u

- Jest zielony.

Isidro zagryzł wargę i przestąpił niepewnie z nogi na nogę - bardzo dziwne zachowanie jak na studwudziestopięciokilową tuszę wytatuowanych mięśni.

- Pierwsza warstwa, którą położyliśmy, była czarna, ale zadzwonił lakiernik... Eee... fura wyglądała, jakby miał nią jeździć Batman, a nie James Bond. Lakiernik sam wyszedł z

propozycją; to się nazywa „brytyjska zieleń wyścigowa” na perłowym podkładzie. Może to jeszcze nie to, ale musisz przyznać, że wygląda zajebiście.

Fade pokiwał głową, ale nic nie powiedział, tylko okrążył dalej cadillaca. Kiedy stanął przed połyskującym przednim zderzakiem, jego uwagę zwróciło delikatne wybrzuszenie w masce samochodu.

- To po co? - zapytał.

- Trzeba było wykombinować nową maskę, ale nie narusza linii auta. Musieliśmy jakoś pomieścić to...

Isidro zwolnił zatrząsk i podniósł maskę, ukazując całkowicie nowiutki silnik. Fade się pochylał głęboko i poczuł lekki zawrót głowy, widząc masywny zespół silnikowy w czerwieni, czerni i chromach; chwilę później dostrzegł biegnące wzdłuż silnika matowoczarne karabiny maszynowe. Lufy idealnie się wpasowywały w dwie sprytnie zakamuflowane dziurki nad przednimi reflektorami. Kiedy się wyprostował, robił wszystko, żeby nie zdradzić wrażenia, jakie to na nim wywarło.

- Przyspieszenie od zera do setki ma takie, że potrzebny ci będzie, chłopie, kołnierz ortopedyczny - mówił dalej Isidro. - Zawieszenie podrasowane, w pełni wyścigowe. Możesz w tej suce zostawić za sobą kilometr gumy, a w zakręt wejdzie jak porszak.

Fade przytaknął i raz jeszcze przeszedł wzdłuż samochodu, przesuwając dłonią po eleganckim jasnobrązowym obiciu wnętrza i ręcznie szitym, równiutko odciągniętym dachu.

- Europejska skóra, chłopie. Tam nie używają drutu kolczastego, więc bez najmniejszej skazy.

Fade pokazał palcem dwie pluszowe kostki do gry, za-’ wieszona na lusterku wstecznym.

- Ładne cacka.

- Gratis - powiedział Isidro, wsadził kluczyk do zamka bagażnika i zrobił krok w tył; klapa podniosła się płynnie. - Tył musieliśmy wzmocnić, klapa kufra zrobiła się ciężka, więc zainstalowaliśmy hydraulikę.

Fade wskazał na metalowy zbiornik, który zajmował niemal całą prawą połowę bagażnika.

- Co to jest, do cholery?

- Twoja katapulta, chłopie.

- Żartujesz. Udało się wam to zrobić?

- Pewno, że się, kurna, udało. Ale nie było łatwo. Sprężyny to niewypał. Użyliśmy sprężonego powietrza.

Fade pokazał na ciężki karabin maszynowy, zabezpieczony stalowymi klamrami, wcelowany lufą w kolejną zakamuflowaną dziurkę, tuż nad tylną tablicą rejestracyjną. Długi pas z amunicją, jakiego nigdy wcześniej nie widział, wchodził w komorę z artystycznie wykonanego bębna.

- Skąd wzięliście amunicję?

- Mam kumpla, który na indywidualne zamówienie produkuje broń i ma kupę ślepaków. Baliśmy się, że strzelanie w czasie jazdy będzie rzutowało na prowadzenie samochodu, ale się okazało, że przednie karabiny nie stwarzają żadnego problemu, a tylny tylko nieznacznie unosi tył auta... Hej, sprawdźmy, jak to działa. - Isidro zdjął buty i stanął na przednim siedzeniu obok kierowcy, a jego ludzie zgromadzili się przy drzwiach z tej samej strony. - Usiądź za kierownicą - zwrócił się do klienta.

Fade wsiadł do auta, zapadając się z rozkoszą w nowiutkiej tapicerce.

- Przelącznik jest w podłodze, obok pedału gazu. Musisz na niego cholernie mocno nadepnąć.

Fade przeciągnął dłonią po drewnianym deseniu kierownicy.

- Teraz?

- Dawaj.

Fade spojrzał na troszkę nerwową twarz Isidra i spuścił gwałtownie nogę na przycisk.

Usłyszał krótki świst i nagle facet znalazł się w powietrzu. Wzleciał na dobre półtora metra i zaczął spadać. Najwyraźniej nie pierwszy raz testowali siedzenie, ponieważ jego ludzie stali dokładnie w miejscu, gdzie spadał, i bez trudu go złapali.

Fade zdał sobie sprawę, że usta ma szeroko otwarte, patrząc, jak siedzenie powoli wraca do pozycji wyjściowej. Skończył z powściągliwością. Zrzucił z nóg buty i wskoczył na siedzenie obok kierowcy.

- Bryczka jest, kurwa, perfekt! Nie do wiary! - Wskazał palcem przycisk w podłodze. - Dalej, Isidro. Teraz ja.

Olbrzymi Latynos uśmiechnął się szeroko, zanurkował pod kierownicę, uważając, żeby nie dotknąć tapicerki brudną koszulą, i uderzył ręką w przycisk w podłodze.

Zdumiała go siła wyrzutu, niemal ugięła mu kolana i wypchnęła w niekontrolowany łuk, który zakręcił nim i pchnął w jeszcze bardziej niekontrolowane opadanie, nad samą krawędź drzwi samochodu. Ludzie Isidra byli szybsi, niż sugerowałby to ich wygląd, i zdołali go złapać, zanim zrobił sobie krzywdę lub odrapał lakier wozu.

- Nie do wiary! - powtórzył Fade, pomagając wstać mężczyźnie, którego zwałił z nóg.

- Więc... podoba ci się?

- Czy mi się podoba? Jest cudowny! Przeszedłeś samego siebie, Isidro.

Latynos skłonił się teatralnie.

- Więc szepniesz słówko tym i owym? Mamy szansę wykorzystać rozgłos. Zawsze chciałem się załapać do przemysłu filmowego...

- Bez obaw. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to będziecie mieli taki rozgłos, że sobie z nim nie poradzicie.

Fade przez blisko godzinę stał na parkingu przed nie kończącym się, jak się zdawało, kompleksem centrów handlowych, obserwował krążące wolno samochody i nasłuchiwał rozmów policji przez wart dziesięć tysięcy dolarów system radiowy Caddy'ego. Ze stojącej na podłodze turystycznej lodóweczki wyciągnął puszkę piwa i wystawiwszy ją za okno, otworzył, mierząc w zaparkowane obok stare Subaru. Kiedy z zadowoleniem stwierdził, że piwo już nie kapie z puszki, pociągnął parę łyków i znowu zaczął lustrować plac malutką lornetką. Wciąż nic.

Po kolejnym kwadransie zaczął odczuwać nudę. Wyłączył nasłuch i włożył do odtwarzacza płytę z rapem, w którą zapobiegliwie - zaopatrzył go Isidro. Ale to pozwoliło mu podtrzymać ciekawość tylko przez pięć minut. W końcu sięgnął po telefon i wybrał zapisany w jego pamięci numer.

- Halo?

- Może rzucisz tę głupią robotę i wyruszysz ze mną w trasę? Zaliczymy parę dobrych restauracji, potańczymy, zabijemy parę osób... Będzie zabawa na sto dwa.

- Brzmi zachęcająco - odpowiedziała Karen Manning. - Podjedź po mnie do domu.

Fade się zaśmiał i znowu chwycił lornetkę. Trzy alejki dalej krążył w poszukiwaniu miejsca lexus sedan z tymczasowymi tablicami rejestracyjnymi. Kiedy w końcu skręcił, Fade zobaczył na tylnym zderzaku nalepkę z napisem: „Zapytaj, jak się czują moje wnuki”. Pięknie.

- Przypomniałaś mi dowcip - powiedział, biorąc do ręki tablice, które odkręcił właśnie od swojego samochodu i sprawdzając, czy w automatycznej wkrętarce nie wyczerpał się akumulator. - Wiesz, jak się kochają jeżozwierze?

- Nie wiem. Jak?

- Bardzo ostrożnie.

Włożył telefon do kieszeni koszuli, wcisnął do ucha słuchawkę, potem wyskoczył z samochodu i naturalnym krokiem ruszył w kierunku siwej pani, która wysiadała z lexusa. Zwolnił trochę, poczekał, aż kobieta pokona większość drogi dzielącej ją od centrum

handlowego i przykucnął między przednim zderzakiem jej auta a zderzakiem samochodu stojącego przed nim.

- Jak sobie radzą nasi chłopcy radarowcy? Słyszałem, że znaleźli mój samochód. Dasz wiarę? Byłem pewny, że natychmiast zostanie skradziony, przemaalowany i sprzedany jakiemuś gościowi w Nebrasce. W dzisiejszych czasach nie można już liczyć na innych.

- Cóż, w każdym razie niewiele z niego zostało.

- Mają coś?

- Nie wiem. Domyślam się, że chodzą po domach i węszą, ale nie jest to dzielnica, która słynie z wzorcowej współpracy z policją, a śmiem sądzić, że teraz jest jeszcze trudniej, kiedy się okazało, że samochód należał do ciebie. W tej części Waszyngtonu zabójcy policjantów cieszą się popularnością.

Fade zmarszczył brwi, zdjął tablicę lexusa i zaczął przykręcać w jej miejsce własną. „Zabójca policjantów” - mógłby szczęśliwie dożyć swoich ostatnich dni bez takiej etykiety.

- Wiesz co, Fade? Zadzwońeś w dobrym momencie. Siedzę sama w domu i nie mam co robić. Może powiesz mi coś o sobie?

- Och, na pewno nie chcesz, żebym cię zanudzał na swój temat - odpowiedział.

Przeszedł na tył samochodu i próbując się zachowywać jak najbardziej naturalnie, zaczął odkręcać drugą tablicę. Wątpił, żeby policja kiedykolwiek doszła do tego, że kupił cadillaca, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Właściwie to chcę.

- Nic ciekawego, naprawdę. Biedny, arabski lump z Nowego Jorku wstępuje do marynarki, bo jest za głupi czy za leniwy, żeby iść do college'u. Kończy w SEAL z powodu nieopanowanego upodobania do gumowych fetyszy. Włóczy się po świecie, zabija ludzi, którzy nie zrobili mu nic złego... A ty?

- Jeśli masz telewizor, wiesz wszystko, co trzeba. Każdy wie.

Zaskoczyło go, że nie próbowała nawet ukryć goryczy w swoim głosie.

- Jesteś w tym coraz lepsza, Karen. Czuję się niemal zmuszony przekazać ci mój adres i pełen inwentarz broni.

Koniecznienie muszę zapytać, to był rzeczywiście twój pierwszy raz?

Jak można się było spodziewać, nastąpiła krótka pauza.

- Tak.

- Uwielbiam to - powiedział, dokręcił tylną tablicę i oparł się o samochód, odgrywając rolę kogoś, kto pozalałtwiał swoje sprawy i czeka na mamę z zakupami. - Kto wybrał sukienkę?

Tym razem odpowiedziała już z nutą irytacji w głosie.

- Mamusia.

- To ślicznie.

- Wiesz, jak to mówią. Kiedy widzisz dziewczynę w krynolinie, wszystko jest już jasne...

- Ale co się kryje pod tym wszystkim, Karen? Co się kryje pod tą ładną opalenizną, rażącą niekompetencją i niechęcią do współpracy?

- Wiele nieokreślonej złości. Kto to jest Strand?

- To długa historia.

- Mówiłam już, mam czas.

- Eeh... Nie mówmy o nim. Powiedzmy, że ten temat mnie dołuje.

- Dlaczego nie chcesz, żebym ci pomogła, Fade?

- Pomogła? Jak?

Nie odpowiedziała od razu. Fade się rozejrzył, a po chwili ruszył z powrotem do samochodu przykręcić tablice z lexusa starszej pani.

- Słuchaj, Fade... Policja prowadzi dochodzenie z klapkami na oczach. Interesuje ich tylko jedno, dostać cię w swoje ręce, nie chcą słuchać o niczym innym.

- Czy nie zależy ci na tym samym? Do diabła, gdybyś mnie zastrzeliła, rozwiązałabyś wszystkie swoje problemy.

- Nie chcę do ciebie strzelać, Fade.

- Oczywiście, że chcesz. Sama przyznaj. Dlaczego miałabyś nie chcieć?

- Ponieważ nikogo nie chcę zastrzelić. Powiem więcej, nie chcę, żebyś zastrzelił znowu naszych ludzi, a może do tego dojść, jeśli wszystko się skończy jakimś dzikim spektaklem w stylu macho. Wierzę ci, kiedy mówisz, że nie chciałeś zabić policjantów, i przypuszczam, że nikogo nie chcesz zabić. Przyjedź do nas. Znajdź dobrego adwokata. Przeżyj.

- Jakoś mi się nie wydaje, żeby ktoś chciał być zainteresowany wywlekaniem przeze mnie mojej historii, a oddanie się w ręce wymiaru sprawiedliwości zakończy się egzekucją. Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, jak umieram przypięty paskami do stołu i jak patrzą na mnie rodziny moich ofiar. Do licha, gdybyś zaprosiła wszystkich, musiałabyś wynająć cały stadion...

- Ale jeśli...

- Słuchaj, Karen. Moja sytuacja jest... dość skomplikowana. Ale doceniam twoją troskę. Naprawdę.

Skończył przykręcać tablice, wstał, przeciągnął się, próbując rozluźnić bolesny splot, który związał się w dolnej części pleców, i zaczął się zastanawiać, czy w Kmarcie, po drugiej stronie ulicy, sprzedają śrutówki.

- Fade...

- Dzięki za rozmowę, Karen. Muszę kończyć.

Rozdział dwudziesty siódmy

Jazda na przedmieścia Nowego Jorku zajęła Eganowi sześć godzin, potem kolejne dwie zmarnował na mozolny przejazd w kompletnie anarchicznym ruchu kołowym, by ostatecznie trafić do wskazanej wcześniej, groźnie wyglądającej podmiejskiej dzielnicy.

Miał wrażenie, że gdy słońce zeszło niżej, zrobiło się cieplej. Wysiadł z samochodu, wprost w wilgotne powietrze, pachnące betonem i spalinami. Ulica była pusta, ale tu i ówdzie kilka osób stało na chodniku, a jeszcze więcej okupowało ganki przed niszczącymi kamienicami z brązowej cegły, stojącymi w zwartych rzędach po obu stronach wąskiej ulicy. Wszyscy robili jedno i to samo: uporczywie się w niego wpatrywali. Już chciał przejść na drugą stronę ulicy, ale jeszcze się obrócił, zanurkował w samochodzie, włożył pistolet z powrotem do schowka i zamknął go na klucz. Później się okaże, czy to mądry krok czy samobójczy.

- Popilnować autka, panie szanowny?

Egan zatrzasnął drzwi i odwrócił się tam, skąd dobiegł go głos. Dzieciak miał pewnie jakieś trzynaście lat, ubrany był w dżinsy i czysty biały Tshirt, o dziwo bez żadnego logo.

- Nie wyglądasz mi na twardziela.

- Jestem twardszy od pana.

Egan się roześmiał i rozejrzał jeszcze raz dookoła, przekonując się, że wciąż na niego patrzą. Zastanawiał się, czy Fade spotkał się z taką samą reakcją miejscowych, kiedy porzucił swój samochód w Waszyngtonie. Oczywiście z za - ' sadniczą różnicą. Każdy, kogo nie kopnął w głowę koń, instynktownie wiedział, że z Fade'em nie warto zadzierać.

Egan natomiast okrzepł już w wyglądzie kogoś, kim jest w każdym calu - mężczyzną mieszkającym wygodnie na przedmieściach ze zbzikowaną żoną i córką, która z szybkością światła wchodzi w wiek dojrzewania.

- Dobra inwestycja, proszę pana. Gwarantowana.

- Gwarantowana, hm? Ile? ' Ciemne, mocno brązowe oczy chłopca nie przesłaniały > skrytej w nich inteligencji. Albo samochód będzie rzeczywiście bezpieczny, albo, gdy wróci, dawno już go tu nie bę-” dzie.

- Dwadzieścia dolców.

Egan wyjął portfel i podał mu pięćdziesiąt dolarów.

- Człowieku, czy wyglądam na gościa, który ma przy sobie resztę?

- Jak mi powiesz, gdzie mieszka Javan Franklin, będziemy kwita.

Zdenerwowany chłopiec wypuścił z płuc powietrze.

- Nie widzisz, jak mama mnie ubiera? Mam dość ciężkie życie bez chlapania jęzorem.

- Rozumiem - powiedział Egan, ruszając w kierunku szerokiego budynku przy przecznicy. - Jeśli samochód będzie stał dokładnie w tym samym miejscu, kiedy wrócę, czeka cię druga pięćdziesiątka.

Młodzi mężczyźni stłoczeni na schodach, stali już tam, zanim się zbliżył na odległość dziesięciu metrów, a co najmniej trzech z nich gorączkowo rozmawiało już przez telefon komórkowy. Gdy był w odległości pięciu metrów, połowa z nich spłynęła falą na chodnik i natychmiast go otoczyła.

- Co tu, kurwa, robisz, chłoptasiu? Zgubiłeś drogę czy jesteś gliną? - zapytał jeden z nich.

- Ani jedno, ani drugie.

- To może walniętą dziwką, co?

- Szukam Javana Franklina.

- Kogo?

Egan odwrócił się do młodego człowieka, który się pokazał jako rzecznik tłumku i wskazał telefon na jego biodrze.

- Zadzwoń do Javana i powiedz, że chce się z nim zobaczyć przyjaciel Salama al Fayed.

Cała grupa w jednej chwili zamilkła, ale wciąż posuwała się ku niemu centymetr po centymetrze, przybliżając chwilę, w której nie będzie już mógł zrobić nic, a tylko paść na ziemię i dać się pobić na śmierć - jeśli rzeczywiście postanowią zaatakować. Nie, to nie do końca jest prawda. Zanim runąłby na ziemię, prawdopodobnie zdołałby chwycić tego stojącego tuż przed nim. Oczywiście, nie byłoby w tym większego sensu poza tym, że umarłby trochę szczęśliwszy, ściskając w rękach złamany kark jednego z tych osiłków.

Może facet się domyślał, co Eganowi chodzi po głowie, a może wiedział coś na temat Fade'a, w każdym razie wycofał się po chwili i zastąpiła go zwałista góra cielska, ledwie mieszcząca się w Tshircie Chicago Bulls.

Egan nie słyszał, co chłopak mówi do telefonu, ale kiedy skończył, skinął lekko głową i Egan poczuł, jak pada na chodnik twarzą do dołu. Usiłował uchwycić którąś z niezliczonych, przytrzymujących go rąk, zdołał już prawie złapać jakiś obwieszony

pierścionkami palec, zaplątany w jego Tshirt, ale grubas, który stał przed nim, opadł mu na bark oboma kolanami.

Więc to koniec, pomyślał, walcząc o oddech po ciężarem grubasa. On, który przetrwał niejedną misję na tyłach wroga, który jeszcze więcej takich misji koordynował, straci życie w Wielkim Jabłku z rąk zgrai nastolatków. Myśl o Elise i Kali dodała mu na krótko sił i zdołał uwolnić jedną rękę. Uniósł znad chodnika głowę, na ile pozwalała mu jego pozycja, i spojrzał na najbliższe paski od spodni. Jeden z gnojków miał pistolet. Gdyby udało mu się sięgnąć...

Wciąż nie dostrzegał pod ręką żadnej broni bardziej śmiertelnej niż klamra do paska, kiedy raptem dotarło do niego, że właściwie nic mu nie robią. Nie otrzymał ani ciosów, ani kopniaków, ani pchnięcia jakimś ostrzem, ani kuli. Ich dłonie przesuwały się tylko sprawnie po całym jego ciele, w poszukiwaniu broni albo podsłuchu.

- Wierzcie mi, już raz to przerabialiśmy. ^

- I przerobimy jeszcze raz.

Egan został pchnięty na ścianę i znowu dokładnie prze? szukany, tym razem z czterdziestką piątką przyciśniętą do ucha.

- Tylko spoko, koleś, hm? - zaproponował mężczyzna, który go przeszukiwał.

W końcu się odsunął, chwycił go za kołnierz i pociągnął przez kuchnię, która wyglądała tak, jakby nie korzystano z niej od lat pięćdziesiątych. Sypialnia w dużym apartamencie była zastawiona kanapami i skórzanymi fotelami, zaaranżowanymi tak, że przypominały salę na królewskim dworze. Król, jak można było sądzić, to ten w czerwonym klubowym fotelu, po którego bokach stali młodzieńcy z kaburami na szelkach.

- Od razu poznam glinę, jak takiego widzę, i powiem wam, że to zafajdany glina - powiedział jeden z nich.

Mężczyzna w fotelu najwyraźniej był nieuzbrojony. Miał na sobie białą płócienną koszulę i kremowe, luźne spodnie. Był bosy. Kiedy skinął głową, jeden z mężczyzn stojących za Eganem wyrwał mu portfel i zaniósł go szefowi.

- Słodka - powiedział mężczyzna w fotelu, trzymając w ręku zdjęcie Kali. - Twoja?

Egan przytaknął.

- Zatem czym mogę służyć, Matt? - powiedział mężczyzna, rzucając mu z powrotem portfel.

- Javan Franklin?

Wyraz jego twarzy dobitnie sugerował, że nie był skłonny odpowiadać na to pytanie.

- Chcę porozmawiać o Salamie al Fayedzie.

- Och, tak? Ostatnio słyszę o Salu same dobre rzeczy. Wszyscy pozostali, było ich już siedmiu w pokoju, parsknęli śmiechem.

- Rozmawiałeś z nim ostatnio?

- Co cię to, kurwa, obchodzi? Mówisz, że nie jesteś gliną, tak?

Egan potrząsnął głową i uznał, że jedynym sposobem na osiągnięcie celu wizyty jest mówienie prawdy. Franklin wyglądał na poważnego sceptyka.

- Kiedyś z nim pracowałem. Uważa, że wystawiłem go do wiatru, i powiedział, że chce mnie zabić. Chciałbym go odszukać, zanim uda mu się zrealizować zamiar.

Wydawało się, że Franklin spodziewał się bardziej skomplikowanego kadzenia, i minęła dłuższa chwila, zanim wyjaśnienia Egana do niego dotarły.

- A zrobiłeś to? - Co?

- Wystawiłeś go do wiatru?

- To trudne pytanie.

- Czyżby?

- Powiedzmy, że nie miał u mnie takich pleców, jak powinien...

Franklin kiwnął głową i spojrzał po swoich ludziach.

- Cóżr Matt, wygląda na to, że się wpakowałeś w łajno po uszy. Ale nie wiem, co mnie obchodzi, czy Sal cię zabije czy nie.

- Ponieważ mamy w tym wspólny interes.

- Jak to wykoncypowałeś?

- Obaj jesteśmy jego przyjaciółmi i obu nas, niestety, urządza jego śmierć. Mnie, ponieważ on chce mnie zabić, a ciebie, ponieważ wprowadziłeś go do Kolumbijczyków z naręczem fałszywych dowodów tożsamości. Im dłużej trwa Fade, tym coraz większa jest szansa, że gliny zaczną ci się dobierać do skóry, a nie muszę ci chyba mówić, że nie są zachwyceni z powodu śmierci swoich ludzi. Potrzebują kogoś, na kogo będą mogli zwalić winę.

Franklin gryzł przez chwilę wargi, a potem machnął w powietrzu ręką. Egan pomyślał, że został wyproszony, ale to inni zaczęli wychodzić z pokoju. Kiedy przechodził koło niego mężczyzna, który go przeszukiwał, Egan chwycił go za ramię.

- Hej, mam prośbę. Myślę, że mam ogon. Biały mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, cholernie niebezpieczne karczycho i skurwiel. Mógłbyś się za nim rozejrzeć, a jeśli go zobaczysz, to przekaż, żeby na mnie poczekał. Chcę z nim pogadać.

Franklin przyzwolił skinieniem głowy i Egan puścił ramię mężczyzny. Kiedy drzwi się zatrzasnęły i zostali sami, gospodarz dał znak, by usiadł.

- Znam Sala od czasu, gdy byliśmy dziećmi. Chciałem, żeby dla mnie pracował, ale z jakichś powodów nawiał i wstąpił do marynarki. Nigdy, kurwa, nie pojmę, komu się chce wstawać o piątej rano z jakimś gościem wrzeszczącym nad uchem. Ale z drugiej strony, Sal zawsze był dziwakiem. Nigdy jakoś go nie interesowało, co się dzieje na ulicy. Byłem szczerze zaskoczony, kiedy po latach niewidzenia pojawił się w moich progach i poprosił o pracę.

- Dałeś mu tę pracę?

- Kurwa, skąd. Za mały jestem na takie zagrywki. Zatrudniasz jakiegoś gnoja z SEAL i konkurencja się robi nerwowa, kapujesz? Wydaje im się, że próbujesz zachwiać równowagę sił.

- Kolumbijczycy się nie przejmowali równowagą sił?

- To kupa popierdzielonych wypierdków. Przez całe życie mają więcej szmalu, niż mogliby wydać, i ciągle im mało. Bo i co można, kurwa, kupić w takiej Kolumbii? Nie mają nawet asfaltowych dróg. Owszem, skontaktowałem z nimi Sala. Jak rozumiem, odwalił kawał dobrej roboty i zarobił dobrą kasę. Ale dawno z tym zerwał.

Egan kiwnął głową, ale nic nie powiedział.

- To czego ode mnie chcesz, człowieku?

- Był przygotowany, że coś takiego może się wydarzyć, Javan. Miał kryjówkę, forszę, przebrania, nie trzeba chyba dodawać, że również jakieś fałszywe dokumenty. Doszedłem do wniosku, że w takim wypadku mogę liczyć tylko na ciebie.

Franklin odchylił się w fotelu, najwyraźniej niezadowolony z tego, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

- Słuchaj, Javan, Salam sam to sobie zafundował. To nie twoja wina. Pomogłeś mu i zostałeś wplątany w działania człowieka, który zabija policjantów, a do tego jest pochodzenia arabskiego. Prasa już bluzga idiotyzmami na temat jego możliwych powiązań z al Kaidą. Ile czasu trzeba, żeby się zjawił Departament Bezpieczeństwa Krajowego? Dam się pociąć, że masz adwokata jak sto diabłów, ale nawet on nie zrobi nic, jeśli znajdziesz się na plaży w Guantanamo, w klatce trzy metry na trzy.

Franklin stukał palcami w oparcie fotela przez kilka chwil, nie spuszczać wzroku z Egana, a potem wyciągnął notesik z kieszeni w koszuli. Napisał coś na nim, oderwał kartkę, złożył ją i podał.

- Dałem mu takie nazwisko, ale nie wiem, co z nim zrobił. Naprawdę.

Egan wziął kartkę i ruszył w kierunku drzwi.

- Hej, Matt?

Zatrzymał się z ręką na klamce. - Tak?

- Lepiej się zastanów dwa razy, czy rzeczywiście chcesz znaleźć Sala. Bo jeśli tak, to ta słodka dziewczynka nie będzie już miała tatusia.

- Tam - powiedział prowadzący go mężczyzna, zatrzymując się na chodniku i wskazując palcem. - Za kontenerem na śmieci. *

Egan zawahał się przez moment, a potem wkroczył w zarzuconą śmieciami alejkę między budynkami, żałując, że nie wziął pistoletu, kiedy przechodził obok samochodu. Dobre chociaż to, że dzieciak, któremu zapłacił, żeby miał auto na oku, cierpliwie siedział na masce i czekał na drugie pięćdziesiąt dolarów.

Szedł dalej naprzód, trzymając się jak najbardziej lewej strony, jeśli pozwalała na to wąziutka alejka, i skupiając wzrok w jednym punkcie za kontenerem.

Roy Buckner wyglądał niemal tak, jak go sobie zapamiętał. Odejście ze służby wojskowej nie spowodowało zmiany uczesania, ale dodało mu trochę wagi. Lekko orli nos wyglądał teraz mniej wydatnie z powodu nagromadzenia tłuszczu, za to, jakby dla wyrównania, oczy nieco się zapadły. Z kącika jego ust ciekła strużka krwi. Jak można było wnosić z jego miny, był mocno zбитy z tropu tym, że czterech czarnych uczniaków ze szkoły średniej trzymało go na dystans, mierząc z karabinów maszynowych.

- Jak idzie, Roy?

Ściągnął opuchnięte wargi, co miało oznaczać, że panuje nad sytuacją.

- Całkiem nieźle, Matt. Co u ciebie?

- Nie narzekam.

Egan prześlizgnął się obok jednego z dzieciaków, objął Roya ramieniem i poprowadził go z powrotem alejką. Jego nowy oddział podążał za nimi jak cień.

- Chodzi o to, Roy, że nie chcę, żebyś za mną laził. Sram ze strachu na samą myśl, że mógłbym się dostać między ciebie i Fade'a.

- To chyba nie mój problem, co, Matt?

- Cóż, w pewnym sensie tak. Bo jeśli zobaczę cię jeszcze raz, to cię zastrzelę.

Rozdział dwudziesty ósmy

Recepcjonistce Hillela Stranda musiało się nieźle powodzić. Nawet w ciemności można było wyczuć, że dzielnica jest nowiutka - nieoznakowany jeszcze chodnik, nieopierzone drzewka, przywiązane do palików kawałkami zielonego materiału, opustoszałe zaułki. Domy, których budowę już ukończono, były jednolite i bardzo szerokie, niemal przytłaczały wąskie działki, na których stały.

Fade stawiał duże kroki, kierując się rzędem szeroko rozstawionych na chodniku lamp ulicznych, i próbował sobie przypomnieć słowo, które usłyszał kiedyś na określenie tego typu zabudowy.

McDomki. Właśnie. Chyba nigdy nie słyszał tak perfekcyjnie wymyślonego słowa.

Jak można się było spodziewać, numery domów były jednolicie podświetlone i mały w idealnym porządku. Kiedy dotarł pod numer sześćset dziewiętnaście, przemknął pod dom, trzymając się prawej strony alejki, prześlizgnął się przez niezamkniętą na klucz furtkę i wyszedł na jego tyły.

Kilka godzin temu, z niewykończonego budynku stojącego parę numerów dalej, Fade patrzył, jak Kelly Braith i jej mąż pakują dwóch nastoletnich synów do minivana i odjeżdżają. Nie ruszył się stamtąd, dopóki nie zapadła ciemność, która dawała mu osłonę i pozwoliła się upewnić, że w domu nie ma nikogo, bo nie zapaliło się żadne światło.

Cały ogródek otoczony był drewnianym płotem, postawionym bardziej dla zapewnienia prywatności niż bezpieczeństwa. Fade nasłuchiwał przez chwilę ruchów w sąsiednich ogródkach, a nic nie usłyszawszy, wybił łokciem jeden ze szklanych paneli w tylnych drzwiach domu. Sięgnął przez otwór, przekręcił zamek, zrobił krok w tył i czekał na buczenie alarmu. Nic. Jak się zdaje, całą forszę przeznaczoną na podniesienie standardu Braithowie woleli wydać na szafki kuchenne w imitacji czereśni.

Fade wyjął z plastikowej reklamówki martwego ptaka, którego nosił przy sobie przez cały czas, i ostrożnie ułożył go na ziemi, w taki sposób, aby się wydawało, że wpadł na szklane drzwi i złamał sobie kark. Potem cicho wszedł do środka. Czas, jaki poświęcił wcześniej na dokładne poznanie rozkładu podobnego mieszkania na tej samej ulicy, się opłacił, ponieważ gabinecik przy salonie potrafił odnaleźć bez zapalania światła.

Usiadł cicho na krześle za zabałaganionym biurkiem, sięgnął do klawiatury i patrzył, jak pulpit płaskiego monitora rozbłyska radosnym portretem rodzinnym. Po kilku chwilach znalazł folder „Moje dokumenty” i zaczął przeglądać zawarte w nim pliki.

Większość dotyczyła sklepu elektronicznego męża, ale znalazło się parę interesujących rodzyneków. W książce adresowej było trochę informacji osobistych na temat Stranda i Egana, między innymi daty urodzin, adresy i numery telefonów. Co ciekawe, lada dzień Strand skończy pięćdziesiąt lat. No, chyba że wszystko się potoczy po myśli Fade'a.

Co prawda było to łatwiejsze niż przekopywanie się przez księgi wieczyste i o wiele bardziej higieniczne niż grzebanie w śmietniku, ale niestety na ekranie nie pojawiła się naprawdę ważna informacja. Żaden z nich nie będzie w ten weekend kosił trawy przed domem i należało wątpić, by Strand chciał wydawać urodzinowe przyjęcie w miejscu

obfitującym w całe mnóstwo załamów, z których można by zaatakować. Może mają jakieś umówione spotkania, które zmuszą ich do wychylenia nosa z kryjówek? Fade otworzył w komputerze kalendarz, przejrzał go szybko, ale, co specjalnie go nie zdziwiło, Kelly nie zapisywała w nim terminów spotkań szefa. Już miał zamknąć program, kiedy raptem wpadł mu w oko wpis wybiegający dwa dni w przyszłość.

„Odebrać tort”.

Zastygł na chwilę, a potem wrócił do książki adresowej i upewnił się co do urodzin Stranda. Za dwa dni.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, coraz większy, w miarę jak dojrzywał plan w jego głowie. Nie jakiś tam zwykły plan. Plan na miarę Alberta Einsteina. Plan na miarę Leonarda da Vinci. Plan tak wysublimowany, tak elegancki, że gdyby żył Mozart, skomponowałby na jego cześć symfonię.

Od frontu dał się nagle słyszeć głośny terkot mechanizmu otwierającego drzwi garażowe i Fade zaczął się wycofywać w kierunku kuchni z coraz szerszym uśmiechem na ustach. Jak to zwykle bywa, szczegóły logistyczne spowodują wiele różnego rodzaju komplikacji, ale jeśli tylko się skoncentruje i dobrze je przemyśli, to może się udać. Tak naprawdę potrzebował jeszcze tylko tego, żeby Matt Egan pomógł mu dopiąć na ostatni guzik cały plan. Jeśli go zabraknie, będzie liczył na łut szczęścia, które zdawało się go nigdy nie opuszczać, w każdym razie jeśli chodziło o zabijanie ludzi.

Rozdział dwudziesty dziewięty

Hillel Strand przewrócił kolejną stronę policyjnego raportu i zaznaczył markerem cały pierwszy akapit. Ten imbecyl, Pickering, w tak oczywisty i nieprzejednany sposób próbował wykorzystać Karen Manning dla ratowania własnego tyłka, że dziewczyna odeszła ze służby - a to wprowadza kolejny, nieprzewidywalny element do sytuacji, która już teraz zaczyna się wymykać spod kontroli. Strand chwycił długopis i zapisał na marginesie notkę: „Lauren, co ona chce zrobić? Prasa? PILNUJ TEGO!”

Znowu przewrócił stronę i dużym znakiem X przekreślił całe streszczenie raportu Manning dotyczące telefonu od al Fayed. Chciał być pewien, że wszelkie wzmianki o kontakcie między nimi zostaną usunięte z teczki, zanim raport zostanie zeskanowany i przesłany emailem Mattowi Eganowi. Wyraźne zainteresowanie al Fayed Karen Manning było najlepszym z tropów, w które nie wmieszał się jeszcze Egan. Doug Banes miał dziewczynę na oku i jeśli al Fayed postanowi osobiście się z nią spotkać, zniknie raz na zawsze, bez załamywania rąk i problemów ze starymi przyjaźniami.

Była to linia, którą policja, przy całej swej wątpliwej mądrości, postanowiła bardziej czy mniej zignorować. Manning co prawda zgodziła się na podsłuch w telefonie, ale poza tym policja po prostu jej ufała, że zdradzi każdy inny interesujący szczegół, który nie wynikał z podsłuchu. Policjanci wciąż zakładali, że al Fayed nawiał, i nie brali pod uwagę możliwości, że może jednak przyczał się gdzieś w Waszyngtonie, czeka i prowadzi własną pieprzoną grę. Strand odsunął na bok teczkę z raportem i spojrzął na ułożony równo na podłodze stosik ubrań. Od blisko tygodnia nie wychodził z biura i zaczynał odnosić wrażenie, że złość i frustracja narastają w nim z każdą upływającą godziną. Powód do wściekłości dawał już sam fakt, że jakiś nieuk i były trep zmienił mu życie, ale to, że stał się więzi niem własnego biura, że dzieli łazienkę z asystentką, że odżywia się zimnymi daniami na wynos, wręcz budziło w nim instynkt zabijania.

Usiadł spokojnie, przymknął oczy i zmusił się do myślenia, że niebawem wszystko się skończy. Raptem zadzwonił telefon. Porwał słuchawkę i przyłożył ją mocno do ucha.

- Co jest?

- Przycisnął mnie.

Strand siedział przez chwilę nieporuszony, a potem nagle chwycił elektryczną temperówkę do ołówków i cisnął nią z rozmachem o ścianę, wzniecając tuman wiórków i potrzaskanego plastiku, który opadł na jego ułożone na podłodze rzeczy.

- Co ty pierdolisz, Roy? Powiedziałeś, że to w ogóle nie wchodzi w grę! Że to żaden problem!

- Nie wiesz, co się stało, człowieku. Gwarantuję, że mnie nie widział. Wydzwaniał przecież do mnie do domu i zostawiał wiadomości. Przeciek musiał być po twojej stronie.

Strand zerwał się zza biurka, ale nie miał dokąd skierować kroków. Egan się nie mylił co do Bucknera - żalosny, arogancki dupek, który przecenia własne możliwości. Ale służył w siłach specjalnych i irracjonalnie nienawidził al Fayed. To dawało mu jedyne w swoim rodzaju kwalifikacje, które skłoniły Stranda do przymknięcia oczu na słabości.

- Roy, w grze jesteśmy tylko ty i ja. Nikt więcej nie wie, że poleciłem ci śledzić Matta. To ty skrewiłeś robotę.

- Co za różnica. Nie ma co płakać. Jedno jest pewne, znikł.

- Zgubiłeś go?

- Miał za sobą kupę czarnuchów z automatami i powiedział, że jeśli mnie zobaczy, to zabije. Ma skurwiel szczęście, że nie położyłem go tam na miejscu.

- Jezu Chryste - jęknął Strand, padając z powrotem na krzesło i próbując trzeźwo myśleć; jednak nie pozostawało wiele możliwości. - Zastąpisz Douga Banesa, który obstawia Karen Manning.

- Tę sukę ze SWATu?

- Mamy podstawy, by sądzić, że al Fayed zechce się z nią osobiście skontaktować.

- Sam chciałbym się z nią skontaktować... osobiście. Widziałeś tę dupę?

- Zamknij się. Po prostu zamknij się i natychmiast tam wrywaj. Mam nadzieję, że tym razem uda ci się pozostać niezauważonym.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i pojawiła się w nich głowa Lauren.

- Co jest? - zapytał cicho, zasłaniając mikrofon słuchawki.

- Matt na trójce.

Kolejne gwałtowne machnięcie i Lauren wycofała się szybko, trzaskając za sobą drzwiami.

- Skończyliśmy? - usłyszał w słuchawce głos Bucknera.

- Pędź do Karen Manning. Natychmiast - odpowiedział Strand i przełączył linie, odłączając Bucknera.

- Matt? Jesteś tam?

- Rozmawiałeś już z Royem?

- Właśnie miałem go na linii. Powiedział, że mu groziłeś. Co się dzieje?

- Co się dzieje? Kazałeś temu czubkowi za mną chodzić.

- Przydzieliłem ci wykwalifikowanego agenta jako wsparcie, Matt...

- Wsparcie. Jasne. Więcej tego nie rób, Hillel.

- Tu nie chodzi o ciebie, Matt - odpowiedział Strand, zmuszając się do spokoju. - W tym wypadku nie będziemy mieli zbyt wielu okazji.

Nastąpiła krótka cisza w telefonie, a po chwili przemówił Egan.

- Hillel, moim zdaniem, Fade nie będzie sobie zawracał głowy moją osobą, dopóki nie sprzątnie ciebie. Sądzę, że do tego czasu mogę sobie wziąć urlop...

- Czy to groźba?

- Myśl, co chcesz.

Strand zacisnął zęby, ale wiedział, że niewiele może zrobić. Jak na razie, to Egan miał go w ręku. - Matt, ja... Usłyszał ciche piknięcie i połączenie zostało przerwane.

- Kurwa mać! - Przycisnął w telefonie guzik intercomu do Lauren. - Znajdź Billa i zaraz przyjdźcie do mnie.

Kiedy siadali przed nim na krzesłach, Strand zdołał już ochłonąć na tyle, by zmusić się do niskiego, monotonnego tonu, dobrze imitującego wewnętrzny spokój.

- Rozmawiałem z Mattem i nie jestem pewien, co się z nim dzieje. Nie sądzę, żeby tu jeszcze wpadł, i mam przeczucie, że nie wróci już także do hotelu. Wygląda na to, że im dalej się posuwamy w głąb, tym bardziej Matt chce działać na własną rękę. Nie ma żadnego powodu, żeby nas unikać, chyba że zmienił nagle zdanie co do dalszych działań. Jeśli rzeczywiście tak jest, to, w mojej opinii, powinniśmy wziąć pod uwagę również taki scenariusz, że z powodu jakiejś źle pojętej lojalności względem Fade'a Matt da się zabić. Albo wręcz pozbawi nas sposobności zneutralizowania niebezpiecznego człowieka, którego jedynym celem w życiu jest to, by nas zamordować... - Zawiesił na chwilę głos. - Jakieś pomysły?

- Rozmawiałem z nim jeszcze wczoraj wieczorem - powiedział Fraiser. - Wydawał mi się całkiem w porządku.

Fraiser nie wiedział o Royu Bucknerze. Dostawał do rąk te same ocenzurowane raporty co Matt. W tym momencie jeszcze nie było powodu, by wiedział, że Egan nie o wszystkim jest informowany.

- Czego się dowiedział od handlarza narkotyków, Bill?

- Nie powiedział wiele, w każdym razie żadnych szczegółów. Mówił, że jeszcze nad tym pracuje.

- Możemy się do niego dostać?

- Do Javana Franklina? Nie wiem. W zasadzie mieszka w fortecy i jeśli nie chcemy angażować policji, nie bardzo wiem, co można zrobić, by użyć wobec niego siły...

Strand się odwrócił i spojrzał w okno, na kobierzec świateł, w jaki przemienił się nocą Waszyngton.

- Jak odnajdziemy Matta?

||| '||. Nastąpiło długie milczenie, przerwane w końcu przez Lauren.

- Powinniśmy wysłać kogoś do hotelu, żeby się upewnić, czy faktycznie jest czysty i czy Matt nie zostawił śladów wskazujących na jego dalsze zamiary.

Strand przytaknął, ale nie odwrócił się do nich.

- Niech Despain się tym zajmie.

- Poza tym nie wiem... Można jeszcze sprawdzić jego transakcje w bankomatach i na kartach kredytowych? Ale na pewno to przewidzi.

- Żona?

- Są ze sobą bardzo blisko - odpowiedział Fraiser. - Ale wątpię, by to coś dało. Matt trzyma się od niej z dala z obawy, że al Fayed mógłby próbować go przy niej dopaść.

Strand nabrał powietrza głęboko w płuca i wolno je wypuścił.

- Musimy mocniej pomyśleć.

- Prędzej czy później będzie musiał wrócić - stwierdziła Lauren. - Jeśli przestaniemy się do niego odzywać, trudno będzie mu analizować dane wywiadowcze i nie będzie miał pojęcia, co zamierza policja.

Strand nie odpowiedział. Trudna sprawa. Bez Egana cała maszyna staje w miejscu...

- Nie możemy go odciąć - powiedział Strand, odwracając się do nich wreszcie. - Ale przypomnę wam jeszcze raz. Matt nie może dostać nic, absolutnie nic, co nie przeszło wcześniej przez moje ręce. Zrozumieliście?

Rozdział trzydziesty

Z całą pewnością był to adres, który wręczył mu Franklin, ale wydawało się, że coś tu nie gra - stary wiejski dom, w średnio zamożnej dzielnicy, gdzie pełno przyzwoitych samochodów i wózków golfowych.

Egan zwolnił i skręcił w alejkę dojazdową, podziwiając liczną rodzinę krasnoludków pilnujących jakiegoś krzaczka przed drzwiami. Siedział przez kilka sekund i myślał, czy nie wycofać auta i nie odjechać. Najwyraźniej Franklin zrobił go w wała. Żadna niespodzianka, wiele się po nim nie spodziewał.

W końcu jednak podjął postanowienie. Rozejrzy się jeszcze raz i jeśli zobaczy choćby ślad plastikowego różowego flaminga, spada stąd natychmiast. Jeśli nie, zapuka do drzwi.

Nie była to może skrupulatna lustracja, ale mógł przyjąć, że nie ma tu ptaków w żadnym kolorze, wysiadł więc z samochodu i przeszedł ścieżką pod główne wejście.

Mężczyzna, który otworzył Eganowi drzwi, upewnił go tylko w przekonaniu, że Franklin wystrychnął go na dudka. Miał około pięćdziesięciu lat, resztki włosów na głowie związał w koński ogon, ubrany był w hawajską koszulę, która wypinała się wdzięcznie na brzuchu, zakrywając spodnie khaki z obciętymi nogawkami. Brakowało mu tylko drinka z parasolką w łupinie ananasa, a w tle wesołych melodyjek Jimmy'ego Buffetta.

- Potrzebuję nowego dowodu - powiedział Egan bez odrobiny entuzjazmu.

Ku jego zaskoczeniu, w oczach mężczyzny błysnęła iskra zrozumienia, ale gospodarz zaraz ten wyraz zamaskował.

- Chyba trafił pan pod zły adres. Kogo pan szuka? Egan się obejrzał i nie widząc nikogo na ulicy, wepchnął mężczyznę do środka i wślizgnął się zaraz za nim.

- Hej! Co pan sobie wyobraża? Wynoś się pan stąd, bo wezwę gliny!

- Potrzebna mi informacja na temat al Fayed - powiedział Egan, zamykając drzwi.

Wnętrze pogrążone było w głębokim mroku, w którym unosiła się woń papierosów i maryški.

- Nigdy o kimś takim nie słyszałem - powiedział odruchowo mężczyzna.

- Trochę mało prawdopodobne, bo mówią o nim prawie wszystkie wiadomości w całym kraju.

Mężczyzna, którego nazwiska Egan nie znał, cofnął się o krok.

- To znaczy, nic o nim nie wiem... Wie pan, co miałem na myśli! Kim pan jest? Gliną? Ma pan nakaz?

- Nie pracuję w policji i mógłbym się mniej przejmować, jak zarabiasz na życie, ale kiedyś zrobiłeś dla al Fayed a parę dowodów osobistych i potrzebne mi są ich kopie. Usiądź więc spokojnie przy komputerze i mi je wydrukuj. Potem sobie pójdę i nigdy już nie będziesz musiał o mnie myśleć.

- Człowieku, nie mam pojęcia, o czym mówisz z tymi pierdołami o jakichś dowodach. Trafiłeś na niewłaściwego faceta. Teraz się wynoś, zanim zadzwonię po policję. - Zrobił krok w kierunku telefonu, który stał na półce przy wieży stereo, wyglądającej na bardzo drogą, ale Matt przeciął mu drogę.

- Słuchaj... Jak masz na imię? - Syd.

- Słuchaj, Syd. Nie jestem złym człowiekiem, ale, naprawdę, ta informacja jest mi cholernie potrzebna i zrobię wszystko, żeby ją zdobyć. Pomińmy zatem tę mniej przyjemną część i przejdźmy od razu do rzeczy.

- Sąsiedzi są raptem parę metrów ode mnie - ostrzegł mężczyzna. - Jeśli zacznę krzyczeć, w pół sekundy wykręcą dziewięćset jedenastcie.

- Daj spokój, Syd. Bądź rozsądny.

- Liczę do trzech i wrzeszczę. Przysięgam, że wrzeszczę. Raz... Dwa...

Egan wpakował mu stopę między nogi z taką siłą, że przez chwilę pomyślał, iż uszkodził sobie kostkę. Kiedy wy dostał nogę z powrotem, pokręcił nią dla pewności kilka razy, a mężczyzna trzymał się za krocze i zawodził tak niskim głosem, że sąsiedzi nie usłyszeli by nawet z bliska. Egan pchnął go lekko, przewrócił na dywan, a potem pociągnął na niego stojącą obok półkę z płytami. Czując, że z nogą jest mniej więcej w porządku, wymierzył mu jeszcze dość mocnego kopniaka w żebra, gdy nagle zobaczył patrzące na niego oczy własnej żony. Na dywanie leżała jej druga płyta.

- Hej - powiedział Egan, nachylając się i klepiąc go na odlew w policzek. - Syd! Żyjesz? Słyszysz mnie?

Nie mógł jeszcze mówić, ale skinął głową.

- Nie lubię tego. Naprawdę. Tym bardziej gdy wiem, że to zupełnie niepotrzebne. Proszę cię tylko o jedno, kopie tego, co zrobiłeś dla al Fayeda. Przysięgam ci, że gliny o niczym się ode mnie nie dowiedzą...

- Nie mam ich - zdołał wykrztusić mężczyzna. Przetoczył się na plecy, wciąż rozpaczliwie trzymając się całą dłonią za krocze. Egan, widząc kolor jego twarzy, zaczął się zastanawiać, czy facet nie dostanie za chwilę wylewu. Tego jeszcze by mu brakowało.

- Po co miałbym przechowywać jakieś archiwa, przecież one... one by mnie tylko obciążały.

- Och, proszę... Nie jestem idiotą, Syd. Skrypt szyfru nie do złamania można dzisiaj kupić za mniej niż filiżankę kawy, potem wystarczy zapisać te rzeczy w byle serwerze na całym świecie. Daję głowę, że kopie masz tutaj. Nigdy nie wiesz, kiedy się zjawią gliny i będziesz musiał ubić z nimi interes, mam rację?

- Człowieku, chyba nie wiesz, o czym mówisz!

Egan porwał z kanapy poduszkę, która wyglądała jak obdarty ze skóry pudelek, przyłożył ją do kolana mężczyzny, potem wyciągnął pistolet i przycisnął jego lufę do poduszki.

- Kurwa! Oszalałeś?!

- Nie - odparł Egan. - Jestem gotowy na wszystko.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Fade, choć niechętnie, szybko zaczął nabierać szacunku do milionów ludzi, którzy żyją z pracy przy komputerze. Kiedyś spędził dwa dni zanurzony nieruchomo po nos w błotnistej rzece, czekając, by pewien kambodżański dżentelmen zechciał popełnić błąd i podejść zbyt blisko niego. Wówczas uważał, że to była ciężka służba, ale to pestka w porównaniu z fizyczną i psychiczną torturą siedzenia godzina w godzinę nad laptopem. Fade czuł się, jakby miał wbity nóż między łopatki, a beczynność doprowadzała go do szaleństwa - czy też, w oczach policji i prasy, do jeszcze większego szaleństwa.

Co gorsza, coraz bardziej swojskie, przytępione mrowienie w stopie było ostrzejsze niż kiedykolwiek. Z kolei drętwienie w dolnej partii pleców zdawało się wciskać jego milusiński pocisk coraz głębiej w kręgosłup. Potrzebna mu asystentka. Może powinien dać do „Postu” ogłoszenie z ofertą pracy. Na przykład coś takiego: „Pasjonujące stanowisko dla początkujących w rozwijającej się dynamicznie branży zamachów na życie. W perspektywie niemal pewność awansu”.

Fade się uśmiechnął, wstał niepewnie i poszedł sprawdzić garnek z makaronem Liptona, który gotował się na płytce elektrycznej koło zlewu. Na wierzchu wody unosiła się szarawa warstwa ołowiowej farby i azbestu, który nieustannie się osypywał z sufitu starego jak świat. Człowiek mądry po szkodzie, prawdopodobnie powinien był się szarpnąć na sympatyczniejszy domkryjówkę, ale kto by przypuszczał, że w ogóle będzie mu potrzebny? W planach było tylko miejsce, w którym miałby się zaopatrzyć w do-

łóżki, wodę tożsamości, gotówkę i broń, a potem wypad. Długoterminowe wygody nawet nie przyszły mu do głowy.

Włączył mały czarnobiałą telewizor, który stał obok niego, przejrzał parę kanałów, z ulgą stwierdził, że na plan pierwszy wróciły mydlane opery, i że nigdzie, przynajmniej na razie, nie wspomniano ani słowem o jego osobie. Ostatnie wiadomości, które widział, o jedenastej wieczorem dzień wcześniej, informowały o wystąpieniu ze służby Karen Manning oraz o tym, że policja dokonała „znaczącego postępu” w poszukiwaniach przestępcy. Przez chwilę kusilo go, żeby zadzwonić do niej i zapytać, co się stało, ale ostatecznie zebrał tylko z makaronu trujące paskudztwo i przeszedł z patelnią do swojego prowizorycznego stanowiska pracy.

Jeszcze dwie godziny ciężkiej pracy i w końcu skończył wpisywanie adresów z książki telefonicznej do bazy kartograficznego oprogramowania, identyfikując w komputerze każdą cukiernię, jaka się znajdowała między domem Kelly Braith a kwaterą Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Swoją nadzieję oparł na założeniu, że Braith darzyła szefa sympatią i nie chciała kupować mu tortu w pierwszym lepszym markecie spożywczym, ale z drugiej strony nie aż taką sympatią, żeby szukać wykwintnej cukierni oddalonej wiele kilometrów od jej codziennej trasy. Jeśli to założenie było mylne, czekał go jeszcze długi dzień pracy.

Wziął do ręki nowy telefon satelitarny, który kupił dziś rano, i zaczął wybierać numery.

Kiedy się łączył z dwudziestą cukiernią, miał już słuchawki na głowie i podciągał się na framudze drzwi, która wyglądała tak, jakby lada chwila miała się oderwać od ściany. Gimnastyka, jak zawsze, zaczęła mu przywracać czucie w stopie, ale już nie tak szybko jak niegdyś. Widać, takie podniecenie nie działało dobrze na jego delikatną konstrukcję fizyczną.

- Cukiernia „Przysmak”, czym mogę służyć?

- Dzień dobry, moja przyjaciółka, Kelly Braith, poprosiła, żebym odebrał za nią tort, który ma być gotowy na jutro. Chciałem zapytać, czy mógłbym przyjść troszkę wcześniej, i*

- Może pan powtórzyć nazwisko?

- BRAITH. - Fade spuścił się z framugi i zaczął biegać wokół cadillaca.

- Hm... tak. Jest.

Stanął jak wryty, o mało nie uderzając golenią w tylny zderzak.

- Co pani powiedziała?

- Mam ten tort. Marchwiowy. Z napisem „Sto lat Hillel”, tak?

- Tak, to ten.

- Odbiór jest zapisany na siódmą trzydzieści. Otwieramy o siódmej, więc może pan przyjść zaraz po otwarciu.

- Świetnie, dziękuję. A o której dzisiaj zamykacie?

- O siedemnastej trzydzieści, ale do tego czasu nie będzie gotowy. Rano muszę go jeszcze udekorować.

Fade zacisnął w powietrzu pięść i zatańczył z radości. tango solo, na ile starczyło mu miejsca.

- Oczywiście. Tort trzeba udekorować. Dziękuję. Do zobaczenia.

Nie sposób przecenić roli, jaką przy zabijaniu ludzi odgrywa łut szczęścia - w chwili krytycznej prawdopodobnie wnosił tyle samo, co talent i wykształcenie. O ile z Losem Fade miał mocno na pieńku, o tyle zawsze się czuł pupilkiem Śmierci. Najwyraźniej długa rozłąka tego nie zmieniła. Cukiernia była idealna. Sklepik z witryną na cichej ulicy, otoczony innymi sklepikami, których nie otwierano przed dziesiątą rano.

Przyjechał o trzeciej w nocy, wpatrywał się przez chwilę w ciemne okna frontowe, a potem objechał sklepik i zaparkował na pustym parkingu na jego tyłach. Odrętwiały od długiego siedzenia, położył się w końcu na tylnym siedzeniu caddy'ego i obserwował okolicę w świetle gwiazd, których blask silniejszy był od przyćmionego światła parkingowej latarni. Upływ czasu oceniał po ich ruchu na niebie, zerkając jednak czasem na zegarek, by sprawdzić, na ile potrafi być jeszcze dokładny.

O czwartej, wbrew temu, co twierdziły reklamy pączków z Dunkin' Donuts, wciąż panowała martwa cisza. Fade naciągnął na siebie kurtkę i zamknął oczy, pozwalając sobie na małą drzemkę.

Z półsnu wyrwał go warkot silnika i smugi reflektorów omiatających jego auto. Zsunął się szybko na podłogę i ukrył w głębokim cieniu przednich siedzeń. Krótco potem silnik zamilkł, reflektory zgasły i usłyszał otwierane, a po chwili zatraskiwane drzwi samochodu. Rozległy się kroki, które jednak nagle się zatrzymały i usłyszał, jak zaczynają się zbliżać w jego kierunku. Fade wstrzymał oddech i obserwował, jak metr przed cadillakiem zatrzymuje się kobieta i powoli wodzi wzrokiem po samochodzie.

- Cacko - powiedziała głośno, odwróciła się i zniknęła mu z oczu.

Nie ma co, babka z manierami i gustem.

Począł na brzęk kluczy, potem wyprostował się wolno do pozycji siedzącej i spojrzał ostrożnie przez przednią szybę. Kobieta zdawała się być całkowicie pochłonięta otwieraniem tylnych drzwi cukierni, stanął więc cichutko na asfalcie i zaczął zachodzić ją od tyłu na palcach.

Dzielił go od niej ledwie metr, kiedy otworzyła drzwi. Rzucając się do przodu, zasłonił jej dłonią usta i wciągnął ją do środka, zamykając za sobą drzwi kopniakiem.

Kobieta walczyła z uporem godnym szacunku, ale kiedy przyłożył jej do policzka lufę pistoletu, znieruchomiała w jednej chwili.

- Jeśli będziesz krzyczeć, zastrzełę.

Jej plecy tak mocno przywierały do jego klatki piersiowej, że kiedy powoli odejmował rękę od jej ust, czuł, jak drży na całym ciele. Z ulgą zauważył, że jest młoda i w niezłej kondycji. Obawiał się wcześniej, że trafi na siedemdziesięcioletnią staruszkę, której tętnice zatkałe są długimi latami smakowania wyrabianych ciast. Bynajmniej nie miał zamiaru przyprawić czyjejs babuni o zawał serca.

- Ja... ja pieniądze zabieram do banku wieczorem, po zamknięciu sklepu. Teraz mam tylko...

- Nie chodzi o pieniądze.

Błąd, niewłaściwe słowa. Z gardła kobiety wydobyło się niemal niesłyszalne, zduszone piśnicie i nie drżała już, lecz trzęsła się jak trusia.

- Nie, nie, spokojnie. O to też mi nie chodzi. Oddychajże, proszę.

Kobieta złapała oddech, Fade cofnął się trochę, wciąż mierząc z pistoletu w jej twarz. Nawet była ładna. Ciemne, długie do ramion włosy, duże, piękne oczy, niemal czarne. Może ma słabość do morderców socjopatów? Do diabła, właściwie był sławny.

- Więc czego pan chce? - zdołała wydobyć z siebie parę słów, zerkając na magnes kuchenny, do którego przylegało kilka, raczej nędznych noży.

Fade nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Chcę tylko, żebyś upiekła mi tort. Marchwiowy. Jeśli to nie sprawi ci kłopotu.

- Mógł pan po prostu zadzwonić.

- Cóż, mam specjalne składniki, które trzeba dodać do tortu.

Wyciągnął z kieszeni parę szklanych fiolek i postawił je na kontuarze.

- Co... co to jest?

To było dobre pytanie. Naprawdę nie wiedział za dobrze. Zakupowe szaleństwo wczorajszego wieczoru zaczął oczywiście od półek z trutkami na szczury. Był wówczas w dość posępnym nastroju. Bawił się pudełkiem przez kilka minut, odczytując cudownie sadystyczną listę składników na jednym z boków, lecz w końcu musiał odstawić pudełko z powrotem na półkę. Proste i skuteczne, owszem. Ale niemożliwe do wykonania. Po prostu nie było sposobu, aby wiedzieć, kto skosztuje urodzinowy tort Stranda.

Więc co? Zawsze było LSD, środek, który zwykle bił rekordy na skali natężenia wesołej zabawy. Niestety, nie miał pojęcia, gdzie poza koncertami „Grateful Dead” zdobyć LSD, ale Jerry Garcia już przecież nie żył.

Trudno zlekceważyć możliwości zwykłego środka na zatwardzenie, zwłaszcza że niósł przesłanie rodzaju: „Pierdol się!” Ale tak naprawdę nic mu to nie dawało.

Kilka godzin później, w całodobowej aptece, w której nie było już klientów, bardzo pomocny okazał się pewien młody farmaceuta, któremu Fade przyłożył do ucha spluwę i który sam zaproponował miksturę gwarantującą prawdziwie obsceniczną kombinację wybuchowego rozwolnienia i wymiotów o sile wystrzelonego pocisku. Po takiej propozycji w głowie Fade’a zaczął się rodzić nowy, znacznie bardziej udoskonalony plan działania.

- Co to jest? - powtórzyła kobieta, badawczo zerkając kątem oka na fiołki, ale nie spuszczać wzroku z Fade’a.

- Co za różnica?

- Pan chce, żebym kogoś otruła. Nie zrobię tego. Zniecierpliwiony Fade zmarszczył brwi i założył ręce na piersiach, znacząco pukając palcem w spust pistoletu. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi na ziemi nie ma moralnego kręgosłupa, a jemu się przytrafiła kobieta z zasadami.

- Słuchaj - powiedział w końcu - nie chcę się czepiać szczegółów, ale to ja mam broń, a nie ty.

Karen Manning zmusiła się, by przestać wreszcie chodzić, i stanęła na środku pokoju, robiąc parę razy długi i głęboki wdech, potem wydech, i wpatrując się w drzwi oddalone od niej ledwie o metr. Gdyby teraz skoczyła, mogłaby przebiec cały korytarz, zwalić z nóg strażnika, czy może dwóch, i w niespełna dziesięć sekund byłaby na wolności.

Przełknęła w końcu resztki dumy, jakie w niej jeszcze zostały, i wracając do domu z miejsca, gdzie rzuciła w Pickeringa odznaką, zadzwoniła prosto do ojca. Ojciec powiedział, żeby zawróciła i przyjechała zaraz do jego biura. Kiedy zjawiała się na miejscu, konferowały już przy nim trzy osoby z jednej z najlepszych na świecie firm PR, a on rozmawiał przez

telefon z gubernatorem Wirginii. Najwyraźniej zdążył już wydać sto tysięcy dolarów na podwaliny dnia, w którym z płaczem wróciła do tatusia. Co za wstyd.

W ten oto sposób znalazła się tutaj, w zielonym studiu programu „Czynnik ‘Reilly’ego”, gdzie czekała na wywiad z jednym z najbardziej zjadliwych i najwyżej cenionych gospodarzy różnych talkshow. Uważała, że nie jest w pełni gotowa, mimo wielu godzin szkoleń w nowym zespole pijarowskim i mimo rozgrzewki, jaką był wywiad w lokalnych wiadomościach, dokładnie wcześniej przeanalizowany na w dwudziestoosobowej sondażowej grupie docelowej.

Gotowa czy nie, była jednak tutaj, a nie gdzie indziej. Po wywiadzie rodzinny odrzutowiec learjet natychmiast przeniesie ją stąd na spotkanie z jedną z najlepszych nowojorskich firm prawniczych, która ma ocenić, czy będzie można zaskarżyć departament policji o zniesławienie. Ojciec obiecał, że tylko na postrach, ale wiedziała, że bacznie będzie musiała mieć go na oku. Taki już jest, że ponosi go, gdy, niczym rekin, poczuje krew w wodzie.

Kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy, wyciągnęła go z torebki w nadziei, że dzwoni ktoś, kto ma dla niej parę mądrych słów na ostatnią chwilę. Widząc na ekranie numer dzwoniącej osoby, zamarła. Doprawdy, nie tego było jej trzeba. Musiała się skoncentrować na tym, co ją czeka w studiu, a nie na tym, co zostawiła za sobą.

- Cześć, Fade - powiedziała, przykładając do ucha telefon.

- Widziałem cię w telewizji. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że odeszłaś z policji? Byłaś w dość dziwnej sukience. Tę również pozwoliłaś wybrać mamie?

- Taką wskazał sondaż. Podobno świadczy o wysokiej kompetencji, bez zbędnej wyniosłości.

- Sondaż? Niezły pomysł, Karen. Media mogą cię zranić, ale jeśli dobrze zagrasz kartą, mogą ci też pomóc.

- Wiesz, co by mi naprawdę pomogło?

- Poczekaj, nie mów...

- Gdybyś się oddał w ręce policji.

- Niestety, trochę jestem teraz zajęty. Właściwie, to mam pracę.

- Pracę?

- Tak. W cukierni. Choć, prawdę mówiąc, nie zostanę tu chyba na pełen etat. Wiesz, coś ci powiem, daj mi jeszcze trochę czasu, a pozwolę ci mnie zabić.

- Ile razy mam ci mówić...! - wyrwało się Karen, zanim się zorientowała, że krzyczy. - Ile razy mam ci mówić, że nie chcę cię zabijać.

- Wiem. Ty...

Nagle Fade zamilkł, a Karen usłyszała w słuchawce jakiś odległy dzwoneczek, jaki wisi często u drzwi sklepowych.

- Uups... Wygląda na to, że mam klienta...

- Klienta? Fade, co ty...

- Przepraszam, ale muszę pędzić...

Połączenie zostało przerwane i zorientowała się po chwili, że patrzy w słuchawkę jak cieleń na malowane wrota. Dlaczego mu właściwie uwierzyła, że pracuje w cukierni? I dlaczego do niej dzwonił? I kim on w ogóle jest, do cholery? Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni i wróciła do ćwiczeń oddechowych, na próżno próbując przestać o nim myśleć.

Kim on jest? Najdziwniejszym wielokrotnym mordercą, jakiego w życiu widziała - oto, kim jest.

Rozdział trzydziesty drugi

Poprzedni pokój hotelowy Eguna pozostawiał wiele do życzenia, ale kolejny robił wrażenie, jakby w ogóle był przeznaczony do użytkowania najwyżej przez godzinę. Podejrzewając, że Strand z pewnością robi wszystko, żeby go znaleźć, Egan omijał duże sieci hotelowe i ostatecznie zamieszkał w samodzielnym hoteliku, gdzie widziano mile zapłatę w gotówce, nie pytano o prawdziwe nazwisko i nie było komputera łączącego z zewnętrznym światem. Z wypełnionego lodem kubła na śmieci Egan wyciągnął piwo i padł na łóżko. Rozwahał zakup nowej tablicy, tylko po co? Wyczerpał już większość możliwości odnalezienia Fade'a. W obecnej sytuacji wystarczy mu już właściwie bloczek samoprzylepnych karteczek.

Dobre chociaż to, że z lufą przy kolanie Syd wyraził o wiele większą chęć współpracy i Egan miał teraz przed sobą dużą szarą kopertę, pękata od kolorowych wydruków wszystkich sfalszowanych praw jazdy i paszportów Fade'a. Na całe szczęście Syd się okazał zwyczajnym tchórzem, gdyż Egan wątpił, by był zdolny pociągnąć za spust. Choć wcale nie był taki pewny. Ta niepewność nie dawała mu spokoju.

Odkręcił kapsel z butelki i pociągnął długi łyk piwa. Nie ma sensu roztrząsać jakichś mglistych kwestii moralnych, skoro wciąż nie potrafi rozwiązać tych oczywistych. Pozyskanie dowodów tożsamości było wielkim krokiem naprzód i sprawiło, że perspektywa odnalezienia Fade'a rzeczywiście zaczęła nabierać realnych kształtów. Co miał zamiar zrobić, jeśli go odnajdzie? Czy Fade będzie skłonny rozmawiać, czy od razu zacznie strzelać? A jeśli chybi, co jest mało prawdopodobne, to Egan odpowie strzałami?

To bardzo optymistyczny scenariusz. Bardziej prawdopodobny był taki, że znajdzie sposób, jak Fade'a zaskoczyć od tyłu, i będzie miał okazję bezpiecznie strzelić staremu przyjacielowi w plecy. To pozostawiało dwa wyjścia: krzyknąć coś głupekowego, w rodzaju: „Stój, bo strzelam!”, i dać Fade'owi szansę, albo po prostu pociągnąć za spust i tę szansę mu odebrać.

Po kwadransie deliberowania nad tym dylematem Egan nie doszedł do żadnego wniosku. Może lepiej. Będzie się tym martwił, kiedy - jeśli - ta chwila nadejdzie.

Wziął do ręki swój nowy telefon i wybrał numer, zapadając się jeszcze głębiej w upchnięte pod głową, bezkształtne poduszki.

- Halo?

- Słyszałem dzisiaj w radiu coś o nowej płycie Madonny, ale nawet nie wymienili twojego nazwiska.

Elise się zaśmiała.

- Dzięki Bogu.

- Kiedy wreszcie zacznie się trochę doceniać tych, którzy naprawdę tworzą piosenkę?

- Chyba nie na tym świecie, kochanie. Właściwie rozmawiałam wczoraj z jej, och, jej ludźmi i oni mówią, że mam przygotować nową piosenkę na kolejną płytę. Najwyraźniej bardzo się jej spodobała.

Normalnie powiedziałaby jej, żeby wzięła się do tego tylko, jeśli ma ochotę - ale w tych okolicznościach...

- To chyba niegorsza fucha, którą warto się zająć, Elise.

- Tak, ale jak wiesz, ja lubię odgrywać artystę męczennika. Choć szczerze mówiąc, to łatwe pieniądze. Puszczasz takt, przy którym ludzie zaczynają kręcić tyłkami, rzucasz jakiś chwytliwy haczyk, nakładasz na to zwiewny i seksowny wokal, by dać to europejskie czucie, którego ona szuka, i powtarzasz to wszystko przez pięć minut.

- I kasujesz czek - przypomniał jej.

- Oczywiście. Jakże mogłabym zapomnieć o najprzyjemniejszej części.

Pociągnął jeszcze jeden łyk piwa i zaczął się zastanawiać, jak długo musieliby być razem, żeby rzeczywiście uwierzył, że za niego wyszła. Niekiedy przerażała go myśl, że jest jego żoną. Kiedy wychodziła na drinka z chłopakami z Pearl Jam czy R.E.M., czy z kimś tam jeszcze, Matt ekspediował ją z brzuchem pełnym makaronu i ostrzeżeniem, żeby dzwoniła po niego, jeśli wypije zbyt dużo, by usiąść za kierownicą. Co za nonsens. Ci faceci byli bogaci, sławni i utalentowani, i rzeczywiście rozumieli jej muzykę. Gdyby się kiedyś dowiedziała, że ma takie odczucia, śmiałaby się z niego na pewno przez kilka dni. Ale co mógł poradzić?

- Nie jesteś nieszczęśliwa, prawda? - usłyszał własne słowa.

- O czym mówisz? O sprawie z Madonną?

- Nie. W ogóle. To, że mieszkasz na przedmieściach. Że masz na własność minivana.

- Co się z tobą ostatnio dzieje, Matt? Oczywiście, że nie jestem. Nic bym nie zmieniła.

Ani jednej rzeczy. Choć musisz przyznać, to trochę śmieszne, że jeżdżę minivanem.

- Mówiłaś, że będziesz mogła zmieścić siedzonko Kali i pełen zestaw perkusyjny - przypomniał jej.

- Wiem, co mówiłam. Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, wszystko w porządku.

Nastąpiła chwila milczenia, a kiedy znowu przemówiła, w jej głosie zabrzmiała nuta wahania.

- A ty? Chyba nie jesteś nieszczęśliwy, prawda?

- Ja? Dlaczego miałbym być nieszczęśliwy?

- Nie wiem. Bo każdy, z kim pracujesz, uważa, że masz zwariowaną żonę? Nigdy tego nie powiedziałeś, ale jak się domyślam, pewnie nie przeoczyłeś, że tytuły moich piosenek padają podczas obrad komisji śledczych grzebiących w rockowych tekstach. Założę się, że to gorący temat rozmów przy automacie z kawą w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego.

Egan przyglądał się plamie na suficie, która kształtem przypominała słońca.

- To tylko politycy, starają się zachować posady. Im bardziej uda się im przestraszyć ludzi, tym łatwiej będzie im o reelekcję.

Usłyszał, jak wypuściła długi oddech.

- Robią dobrą robotę.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem. Kiedy byłam małą, wszystko było białe i czarne. Było mi tak dobrze w tej... nazwałbyś to moralnością? Filozofią? Byłam pewna, że jestem inna. Ale może byłam tylko młoda. Teraz już nie jestem.

- Dopiero co skończyłaś trzydzieści jeden lat, Elise. To jeszcze nie czas na zakład opiekuńczy.

- Wiesz, o co mi chodzi. Oglądałam wczoraj wiadomości. To potworne. Co będzie, jeśli ten maniak, który grasuje i morduje kobiety, dopadnie Kali? Albo jeśli jakiś Arab, któremu się wydaje, że Bóg przemawia wyłącznie do niego, wysadzi ją w powietrze? Albo jeśli jakiś dzieciak, któremu w domu się poświęca za mało uwagi, przyjdzie któregoś dnia do jej szkoły i zastrzeli ją bez żadnego powodu?

- Media nie różnią się wiele od rządu, Elise. Wszystkim się wydaje, że Ameryka staje się najmniej bezpiecznym miejscem na ziemi. Tymczasem, tak naprawdę, staje się miejscem coraz bezpieczniejszym. Całodobowe stacje telewizyjne muszą robić wszystko, żeby trzymać ludzi przyklejonych do telewizorów, by mogli sprzedać pampersy, samochody terenowe czy co tam jeszcze. Ludzie, którzy sądzą, że znajdują się w niebezpieczeństwie, nie zmieniają kanałów...

- Wiem. Po prostu ostatnio zaczyna to do mnie docierać...

Egan pokiwał głową, na ile pozwoliła mu poduszka wpółwinięta wokół jego głowy.

- Rodzicielstwo skłania do innego myślenia.

- Chyba tak. Siedzisz historię o tym facecie, który załatwił policjantów?

Egan zeszywniał. Fade zniknął z jego życia na długo, zanim Matt poznał Elise, i z oczywistych powodów nigdy jej o nim nie mówił. Spiał się.

- Mówią, że służył w oddziałach SEAL - ciągnęła Elise. - Znałeś go?

- Ja służyłem w regularnej armii, Elise. Jak ma się Kali?

Ku jego zdziwieniu, pozwoliła mu się uchylić od odpowiedzi.

- Przeziębła się, jest przekonana, że nic mnie to nie obchodzi, i mówi, że jeśli byłby tata, to wszystko byłoby lepiej. Pół godziny temu udało mi się ją wreszcie uspić. Będzie rozczarowana, że ominął ją twój telefon.

- Powiedz jej, że obiecuję, że następnym razem na pewno ją złapię. Nie miałem ani minuty, wiesz? Właściwie, muszę kończyć...

- Poczekaj! Nie powiedziałaś, co u ciebie. Ani kiedy będziesz w domu.

- Wszystko w porządku i nie wiem. Niedługo.

- Wychodzisz w ogóle? Nowy Jork to fantastyczne miasto.

- Niezbyt.

- Och! - Co?

- O, nic. Próbuję zlutować ten moduł na konsoli brzmieniowej... Za parę dni mam koncert w Waszyngtonie.

- Jasne. Zupełnie zapomniałem. Jeśli nie będziemy wcześniej rozmawiać, to powodzenia...

Egan wypił do końca piwo, przeglądając spreparowane dla Fade'a dowody tożsamości i poszukując w Internecie kolejnych nazwisk. W sumie było ich sześć; dla każdego dorobiono prawo jazdy, akt urodzenia, kartę ubezpieczenia socjalnego i paszport. Na dwóch dowodach Fade wyglądał na zdjęciu jak w rzeczywistości, byłyby więc kompletnie niepraktyczne, skoro jego twarz można teraz zobaczyć w każdym telewizorze. Na trzecim dowodzie miał długą,

kłaczastą brodę i za bardzo przypominał Araba, by po jedenastym września taki dowód mógł się okazać przydatny. Numer cztery przedstawiał osobę w okularach, jakby wprost ze szkoły przygotowawczej, taką, jaką opisał sprzedawca cadillaca. Na dwóch ostatnich Fade miał w sobie coś z jasnowłosego intelektualisty geja. Egan był gotów postawić duże pieniądze, że posługiwał się którymś z tych ostatnich - własna matka by go nie poznała.

Łącze w gniazdku telefonicznym, do którego podłączył laptopa, nie było szczególnie szybkie, ale wystarczyło, by ściągnąć przez Internet raporty korzystania z kart kredytowych na poszczególne nazwiska i sprawdzić jakieś dane na ich temat. Wcale go nie zdziwiło, że nie znalazł wiele. Przy wszystkich widniał jeden i ten sam adres: skrzynka pocztowa w Manassas - wątpił, by Fade kiedykolwiek jeszcze odwiedził to miasteczko. Nie znalazł śladu zakładu energetycznego ani firmy przyjmującej raty za dom, dzięki którym mógłby określić miejsce, dokąd wywiózł Karen Manning.

Każda z fikcyjnych osób miała po dwie karty kredytowe, ale z żadnej z tych kart nie korzystał. Matt Egan wszedł na strony firm wystawiających karty i stwierdził, że Fade nigdy się nie zarejestrował jako użytkownik z dostępem do rachunków online. Dzięki temu Egan mógł wpisać swoje własne hasła pod dane jego kart, co pozwoli mu monitorować korzystanie z kart w rzeczywistym czasie. Poza tym niewiele więcej mógł zrobić.

Chwycił za telefon i wybrał numer komórki Billy'ego Fraisera. Wsluchując się w sygnał, odkręcił kolejną butelkę piwa.

- Cześć, kochanie. Poczekaj chwilkę, przejdę do swojego pokoju.

Egan podniósł brwi zdziwiony.

- Oczywiście, złotko - mruknął.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi, a po chwili Bill/ego:

- Matt! Co się dzieje, do cholery?

- Nie rozumiem.

- Hillel mówi, że puściły ci nerwy, że nas unikasz i wszystko chcesz załatwić sam.

- Czy w związku z tym nosi się z jakimś zamiarem? Brak odpowiedzi.

- Wsluchaj się w mój głos, Billy. Czy brzmi tak, jakbym stracił nerwy? Natomiast wiem, że za moimi plecami ktoś miesza, i wcale mnie to nie cieszy. Sprawy, których nie znam cholernie dokładnie, w mojej sytuacji mogą mnie zabić.

Znowu brak odpowiedzi, ale tym razem Egan postanowił nie przerywać ciszy. Po kolejnych dziesięciu sekundach Fraiser znowu przemówił.

- Wiem, co o mnie myślisz, Matt. Uważasz, że jestem tylko kolejnym z tych cwanych gogusiów, którzy się załapali na rządową posadkę. Młodym Hillelem Strandem.

- Nie, ja...

- Oczywiście, że tak. I w porządku, nie mam zamiaru się gniewać. Prowadzę tę grę i jestem w tym całkiem dobry. Ale coś mnie różni od Hillela. Ja wiem, że to stek bzdur.

- Nie bardzo wiem, jak mam to rozumieć - powiedział Egan.

- Jestem dość sprytny, by wiedzieć, że kiedy przyjdzie co do czego, to wołałbym, Matt, żebyś ty mnie osłaniał. Nie Hillel.

Egan podniósł się i oparł o długie lustro na wezłowniu łóżka, nie wiedząc, czy wierzyć w to, co słyszą jego własne uszy.

- Jeśli to prawda, to zacznij mówić.

Egan wyobraził sobie, jak Fraiser spaceruje nerwowo po pokoju, kręcąc młynki swoim pogryzionym ołówkiem, jak zawsze, gdy zżerają go nerwy. Nie mógł za to wyobrazić sobie innej osoby, Stranda. Siedzi u siebie w gabinecie, błogo obojętny? Czy przysiadł na biurku Fraisera i podsłuchuje rozmowę?

- Hillel kazał Lauren cię szukać, ale ona tylko udaje, że coś robi. Doszła do wniosku, że skoro nie chcesz, żeby cię znaleziono, to nie będzie ci deptać po piętach. Gliny palą gumy, ale stoją w miejscu, wciąż wychodzą z założenia, że Fade próbuje uciec z kraju, co każe postawić pytanie, czy rzeczywiście robimy sobie przysługę, ukrywając przed nimi prawdę.

- Nie wiem - odparł Egan. - Prawdę mówiąc, poza poszukiwaniem samochodu Fade'a gliny nie będą mogły zrobić nic więcej niż my. Poza tym, jeśli uda im się dopaść Fade'a, znowu stracą ludzi. W tej chwili Fade nie stanowi zagrożenia dla nikogo poza mną i Hillelem. Choć wiem, że nie bardzo w to wierzysz. Jeszcze coś?

- Raporty, które od nas dostajesz, przechodzą najpierw przez ręce Stranda.

- Co ukrywa przede mną?

- Nie wiem. Może nic. Jeżeli cenzuruje przeznaczone dla ciebie informacje, to jestem ostatnią osobą, której piśnie o tym słowo.

- Pewnie masz rację. To wszystko?

- Obawiam się, że tak.

- Dobra. Jak się czegoś jeszcze dowiesz, dzwoń. Dam ci nowy numer, pod którym mnie...

- Wiem, telefon satelitarny - powiedział Fraiser. - Lauren pokazała mi transakcję na wyciągu z rachunku twojej karty Visa.

- Obawiałem się, że na komórce Strand monitoruje moje rozmowy.

- Słusznie się obawiałeś.

Odczytał mu numer i już miał się rozłączyć, ale jeszcze zmienił zdanie.

- Aha, Billy? - Tak?

- Spróbuj się trochę odprężyć, dobrze? Ani na sekundę nie uwierzę, że Fade ma zamiar załatwić ciebie albo Lauren, ale jeśli faktycznie ma taki zamiar, to zrobi to po moim trupie. Mówię serio.

- Wiem. Dlatego rozmawiamy.

Rozdział trzydziesty trzeci

Hillel Strand zmusił się do uśmiechu, kiedy w recepcji biura BPSiN rozbrzmiało na fałszywej nucie gromkie „Sto lat”. Poza Billym i Lauren nikt nie wiedział, co się dzieje, choć z pewnością wszyscy wyczuwali jakieś napięcie. Jeśli nie można było nigdzie znaleźć Egana, a Strand z asystentami spędzał noce w biurze, to było raczej oczywiste, że ludzie zaczną się czegoś domyślać. Na wszelki wypadek Strand wygłosił rano krótkie przemówienie o tym, jak wielką rolę w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego odgrywa zachowanie pełnej dyskrecji, i przypomniał drakońskie kary, jakim poddany będzie każdy, kto puści parę z gęby.

Nie mógł jednak przesadzać z groźbami. Było równie istotne, żeby zachować jak najwięcej pozorów normalności. Kiedy więc Kelly Braith wyszła z kuchni dostojnym krokiem, niosąc ogromny tort z urodzinowymi świeczkami, Strand się przyłączył do oklasków.

Wieczorem poprzedniego dnia w programie „Czynnik ‘Reilly’ego” wystąpiła Karen Manning. Wspomnienie jej jakże przekonującego wystąpienia wciąż wywoływało u niego ucisk w piersi - w zasadzie utrudniało mu to nabranie głębokiego wdechu do zdmuchnięcia świeczek. Choć Karen skupiła się na szczegółach spotkania z al Fayedem i okolicznościach rezygnacji ze służby, trudno zaprzeczyć, że obraz sprawy w krajowych mediach stał się trochę bardziej obiektywny. Do wczorajszego wieczoru zniknięcie al Fayedem i brak postępów policji w śledztwie kazało prasie traktować całą sprawę bardziej jako jednorazowy dramat niż historię, która ma swój dalszy ciąg. Przy nieskończeniu bardziej ponurej sprawie „Kolekcjonera” relacjonowanie jej w mediach zaczynało już po prostu przygasać. Tymczasem Manning miała możliwość odwrócić tę tendencję. Atrakcyjna kobieta, walcząca zajadłe o dobre imię, do tego jeszcze aluzja do polityki seksistowskiej i ojciec z wyjątkowo mocnymi koneksjami, skłonny wydać każdą sumę, by twarz córki była wszechobecna. Wystarczy jeden pieprzony dziennikarz, który zechce spojrzeć z innego punktu widzenia, żeby wszystko znowu wybuchło. Trochę za dużo grzebania w przeszłości al Fayedem, trochę szczęścia przy dociekaniu źródeł policyjnych podejrzeń... Tylko zadowolający i ostateczny koniec sprawy gwarantował mu bezpieczeństwo. Czyli trup byłego komandosa.

Ku własnemu zdumieniu udało mu się zdmuchnąć świece. Podniósł rękę, uciszając nieśmiały aplauz, i sięgnął po podsunięty mu talerz z kawałkiem tortu.

- W tym roku szczególnie to odczuwam. Oficjalnie jestem już za stary na tę masę pracy, która spadła nam na głowy w ostatnich tygodniach. Chcę tylko powiedzieć, że jestem wdzięczny za wasze wsparcie, a szczególnie za kawał ciężkiej roboty, którą wykonują Lauren i Bill, pomagając mi się wygrzebać z tego dołka, i Mattowi, który niestety nie może być teraz z nami, za jego koronkową pracę w terenie. Mam nadzieję, że uda się to wszystko zamknąć, zanim zapomnę, jak się macha kijem golfowym.

Pomieszczenie wypełnił szmer uprzejmego śmiechu, a Strand podszedł do biurka Kelly i wziął do ręki widelczyk.

- Proszę, częstujcie się, tort wygląda fantastycznie.

- Co z Mattem? - zapytał Strand, kiedy Lauren zamknęła drzwi do jego pokoju.

- Nic. Jeszcze przed waszą rozmową wyjął sporo gotówki z lokaty oszczędnościowej i sądzę, że zapewne korzysta z tych pieniędzy...

- Nie proszę cię, żebyś coś sądziła! - krzyknął. Przymknęła na chwilę oczy i odsunęła wilgotny kosmyk włosów, który przyłgął jej do policzka. Strand wskazał jej gwałtownym ruchem krzesło przed biurkiem, przetykając głośno. Od wielu dni stres się odbijał na jego żołądku, ale w ciągu ostatniej godziny zaczęło być naprawdę źle. Nieustanne pieczenie zastąpiły teraz słabe drżenia, przerywane niekiedy coraz bardziej dokuczliwymi skurczami. Lauren usiadła niepewnie i ciągnęła:

- Zakładamy, że mieszka w jakimś niezależnym hoteliku, gdzieś niedaleko, ale wobec ograniczonych źródeł informacji i zalecenia, żeby nie przyciągać uwagi, nasze możliwości... - Zawiesiła na chwilę głos. - Nasze możliwości sprawdzenia tych hotelików są także ograniczone. Możemy włączyć policję do poszukiwania samochodu Matta, jak zrobiliśmy to w wypadku al Fayed, jednak niewykluczone, że w pewnym momencie musielibyśmy wytłumaczyć, dlaczego wysoko postawiony pracownik Departamen...

Nagle Lauren zerwała się z krzesła na równe nogi i przyciskając mocno dłoń do ust, rzuciła się do drzwi. Strand patrzył, jak na moment zawisała na klamce, a potem pchnęła drzwi i znikła w korytarzu, pędząc w kierunku toalety - jego własny żołądek zareagował na to poruszenie niebezpiecznym gnecieniem. Strand zrobił parę wdechów i przycisnął czoło do chłodnego blatu biurka. Na czubku jego nosa zebrała się kropla potu, która chwilę później spadła i zostawiła na dywanie ciemną plamę.

- Hillel?

Mokre czoło oderwało się ciężko od blatu z odgłosem cmoknięcia, a Strand usiłował skoncentrować wzrok na mglistym zarysie postaci Kelly Braith wspartej o framugę drzwi. Ten ruch, choć taki powolny, wywołał kolejny skurcz i Strand zacisnął zęby, czekając, aż przeminie.

- Masz... masz telefon na dwójce - zdołała wydusić z siebie Kelly.

Chciał jej powiedzieć, żeby poprosiła dzwoniącą osobę o zostawienie wiadomości, ale stwierdził, że nie może mówić. Potrząsnął więc tylko głową.

- To Salam al Fayed - powiedziała takim tonem, jakby to nazwisko absolutnie nic jej nie mówiło. - Powiedział, że będziesz chciał...

I już jej nie było. Podobnie jak Lauren, pobiegła pędem do toalety.

Co się, do cholery, dzieje? Czy tort był zepsuty? Co się może zepsuć w torcie? Zerknął na telefon i zobaczył migającą czerwoną kontrolkę. Skurcz ustąpił na tyle, że mógł chyba rozmawiać, ale nie był pewien, czy ma ochotę.

Po co dzwoni al Fayed? Czego chce? Znowu pogrozić? Może chce zawrzeć układ, bo doszedł wreszcie do przekonania, że Strand nie ma zamiaru się wystawiać? W końcu podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Cześć, Hillel! Jak zdrówko? - Co?

- Zatruję twój tort, ośla dupo. Łatwo dałeś się podejść. Naprawdę, tonie była nawet próba sił. No nic tam, pewnie rozmawiamy po raz ostatni. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Uspokój się, Billy! Nie rozumiem ani jednego słowa! Czekaj. - Matt Egan zwolnił, zjechał do krawężnika i wyłączył silnik. - Mów, o co, do diabła, chodzi?

- Ten sukinsyn nas otruł. Jesteśmy załatwieni! Wszyscy w biurze z wyjątkiem mnie! Ja nie jadłem. Kurwa! Mówiłeś, że nas nie ruszy!

- Billy? Posłuchaj mnie. Uspokój się wreszcie. Przez chwilę założmy, że nie wiem, o czym mówisz, do cholery, tak? Zaczynij od początku.

- Tort Hillela - powiedział Billy, tym razem udało mu się wolniej wypowiadać słowa.

- Miał urodziny, zorganizowaliśmy małe przyjęcie w biurze. Olałem je, bo jestem z tobą, no wiesz. Stwierdziłem, że mam go w dupie.

- Do rzeczy - ponaglił Egan. - Przejdź do rzeczy.

- Kelly zamówiła tort w cukierni. Poza mną każdy zjadł po kawałku i wszyscy się pochorowali. Potem zadzwonił al Fayed i powiedział Hillelowi, że zatrzał tort. Cholera. Nawet nie uwierzysz, jak to wyglądało. Oni już nie żyją, człowieku. Wszyscy nie żyją.

Egan siedział nieporuszony, patrzył przez przednią szybę na ludzi w biurowych ubraniach, uciekających chodnikiem przed pierwszymi kroplami siąpiącego deszczu. To wszystko nie trzymało się kupy.

- Zaraz, zaraz Billy, stop, krok w tył. Mówisz, że nie żyją? Stoisz w tej chwili po kolana wśród trupów?

- Nie, nie, zabrało ich pogotowie. Wszędzie tu wymiotowali, mieli konwulsje... Na pewno już nie żyją. Al Fayed powiedział, że umrą.

Egan siedział przez kilka sekund w milczeniu, a potem na jego twarzy zaczął się pojawiać szeroki uśmiech. Z tego Fade'a wciąż jest niezły psotnik. Po chwili jednak uśmiech nagle znikł z jego twarzy.

- Cholera jasna! Billy, słuchaj uważnie! Zadzwoń do ambulansów, które po nich przyjechały, i powiedz, żeby je-, chały do innego szpi... - zamilkł.

- Co? Matt? Jesteś tam jeszcze?

Nie odpowiedział od razu. Może zareagował zbyt pośpiesznie. Może to okazja, na którą czekał.

- Co to za szpital? - Hm?

- Który szpital, Billy? Do którego szpitala ich zawieźli?

Rozdział trzydziesty czwarty

- Trzy dziesiątki - powiedział Fade, rozkładając karty na stoliczku.

Siedzący obok mężczyzna przeżuwał między wargami nie zapalonego papierosa i wpatrywał się w swoje karty z intensywnością, która zdradzała, że chętnie by je wszystkie wymienił. Niespełna godzinę temu jego żona i syn mieli poważny wypadek samochodowy. Wyglądało na to, że oboje przeżyją, ale nie było pewności, czy lekarze uratują chłopcu rękę i czy pogra sobie jeszcze w baseball.

Fade przystał na partyjkę pokera, na pięć - i dziesięciocentówki, żeby zająć czymś innym myśli mężczyzny, ale z marnym skutkiem. Jego brak koncentracji wzbogacił Fade'a o pięć dolarów.

- Coś mi się zdaje, że puści mnie pan z torbami - powiedział mężczyzna, tasując i rozdając karty.

Fade patrzył w karty bez specjalnego zainteresowania, zwracając baczniejszą uwagę na lekarzy i pielęgniarki, pojawiające się za długim kontuarem po jego lewej stronie.

- Wymieniam...

- Za dwie minuty będą ofiary zatrucia - usłyszał, jak mówi jedna z pielęgniarek.;<

- Ile osób?

- Siedem. Wszystkie zatrute z jednego źródła. Mężczyzna zamachał ręką przed oczami Fade'a. <

- Wszystko w porządku? Ile pan bierze kart?

- Taak. Trzy. Niestety to moja ostatnia kolejka, więc stawiam wszystko.

Fade pchnął stosik monet na środek stołu i rzucił na stół dwie pary. Jak można się było spodziewać, przegrał.

- Wygląda na to, że szczęście do pana wróciło - powiedział, wstając i potrząsając dłoń mężczyzny. - Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze z chłopcem.

Kiedy Fade skręcił za róg i zaczął iść do wyjścia długim korytarzem, podwójne drzwi na jego końcu były już szeroko otwarte, a w ich tle widać było grupę mężczyzn wyciągających z ambulansu nosze na kółkach. Patrzył, jak przekazują je parze sanitariuszy i zanurzają się wewnątrz pojazdu po ofiarę numer dwa.

Pielęgniarki i lekarze otoczyli nosze, zanim jeszcze przejechały przez drzwi. Fade przysłuchiwał się krótkiej relacji sanitariuszy, a pacjent, częściowo niewidoczny pod nasiąkniętym wymiocinami prześcieradłem, kręcił się słabowicie to w jedną, to w drugą stronę.

Robota lekarza pogotowia ratunkowego to całkiem niezły ubaw, pomyślał Fade. I to pod względem intelektualnym, jak i fizycznym, i wydawało się, że zapewnić może taką samą intensywność, oczyszczającą z nadmiaru myśli, jak pole bitwy. Może powinien był więcej się uczyć w szkole i pójść tą drogą? Chyba nie byłoby ciężko. Nikt do człowieka nie strzela i na pewno nie trzeba wykazywać się taką precyzją, jak, dajmy na to, przy łączeniu desek stolarskich w jaskółczy ogon.

Fade zatrzymał się niespełna metr od pierwszego z pacjentów, który minął już drzwi, i stanawszy na palcach usiłował zobaczyć jego twarz. Jedna z pielęgniarek pochyliła się nad noszami, by założyć wenflon, i odsłoniła leżącą na nich kobietę, w wieku nieco ponad trzydziestu lat, o ciemnych włosach i szczupłej twarzy, w której po chwili rozpoznał Kelly Braith. Wstrząsnęła nim jej zielona cera.

Nosze wjeżdżały wciąż przez drzwi jedne za drugimi i Fade stanął przy ścianie, skąd mógł je dobrze widzieć.

Młoda kobieta, bardzo atrakcyjna nawet z bolesciwym wyrazem twarzy, o oczach, które nie potrafiły spocząć w jednym miejscu. Mężczyzna po czterdziestce, wyglądający jak księgowy, który mocno przedawkował..

Kiedy przetoczyły się obok niego nosze z cielskiem odpowiedniej wielkości, Fade osłonił dłonią nos i zrobił niepewny krok naprzód. Nie był to najgorszy zapach, jaki w życiu

poczuł, ale z drugiej strony nie był to zapach przyjemny. Na skali obrzydliwości coś może między zabrudzoną pieluchą a masową kremacją.

Jedna z pielęgniarek przeniknęła obok niego i odciągnęła prześcieradło, odsłaniając Hillela Stranda w chwili, gdy zaczął wymiotować na podłogę. Fade sięgnął do paska po broń, próbując znaleźć bezpieczną drogę przez, zwrócone przed momentem, treści żołądkowe Stranda.

- Proszę pana! - krzyknęła na niego pielęgniarka. - Proszę się cofnąć!

Fade zignorował ją, nie chcąc sobie psuć dobrego humoru. Co za doskonały koniec doskonałego łajdaka. To niemal wstyd zastrzelić go teraz, gdy cierpi tak bardzo poniżej ludzkiej godności. Ale co tam, do diabła z nim.

- Proszę pana!

Broń w jego dłoni spostrzegła w tej samej sekundzie, w której Fade dostrzegł Matta Egana - wybiegł sprintem zza ambulansu i wpadł do środka jak burza. Czasem ten koleś potrafi zepsuć najlepszą zabawę.

Pielęgniarka rzuciła się na podłogę, lądując w zwymiotowanej marchewce Stranda i zaczęła krzyczeć: „Pistolet! On ma pistolet!!” Wszyscy się nagle rozpierchli, a w zamieszaniu jeden z sanitariuszy pchnął nosze ze StranDEM, które potoczyły się korytarzem, pozbawiając Fade'a osłony. Fade schylił się, podbiegł szybko do Kelly Braith, schował się za jej nosze i wycelował nad jej dyszącą ciężko klatką piersiową.

Okazja szybkiego zakończenia sprawy przeszła Eganowi koło nosa, więc musiał się błyskawicznie schować za automatem z napojami.

- Rzuć broń! Natychmiast!

Fade widział fragment jego głowy wychylającej się zza automatu, ale Kelly miała takie konwulsje, że schrzaniła mu precyzję celowania.

- Och, daj spokój, Matt. Przecież ten facet to kompletny palant. Pozwól mi do niego strzelić. Tylko raz, przysięgam.

- Gdyby to ode mnie zależało, powiedziałbym, żebyś sobie strzelał - odparł Egan. - Ale mam pewne zobowiązania.

- A jeśli obiecuję, że tylko go drasnę?

- Czas leci.

Raptem Kelly Braith zaczęła sobie trochę uświadamiać, co się dzieje, i spróbowała podjąć walkę. Jej ledwie zaciśnięta pięśćka biła w niego bez sensu, a z głębi jej gardła zaczęło się wydobywać jakieś słabe, charkliwe popiskiwanie. Fade westchnął ciężko. Jak zwykle Egan ma rację. Klasyczny pat. Matt nie ma zamiaru strzelać i ryzykować, że trafi w

recepjonistkę, albo że kula przeszyje ścianę i trafi jakąś kobietę w ciąży. Zresztą był dobrym strzelcem i jeśli Fade wzięłby teraz na cel Stranda, to szybko znalazłby się na muszce Egana, z czego ten mógłby chętnie skorzystać. Co więcej, szpitalna ochrona na pewno była już w drodze. Czas leci.

- Jesteś mi solą w oku - powiedział Fade, wycofując się powoli i ciągnąc za sobą Kelly Braith. - Załatwimy to później.

:t

Rozdział trzydziesty piąty

- Kurwa, to chyba jakieś żarty - powiedział półszeptem Matt Egan, gdy drzwi windy otworzyły się na jego piętrze w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego.

Hol odgradzała zasłona z przezroczystej, grubej folii, za którą wszyscy mieli na sobie ochronne kombinezony odkażania biologicznego. Kiedy wychodził z windy, jeden z kosmonautów podniósł rękę w geście, który przywodził na myśl osobę przeprowadzającą przez jezdnię uczniów szkoły podstawowej.

- Proszę pana! - krzyknął mężczyzna, choć zza szybki jego hełmu i foliowej zasłony głos ten zabrzmiał ledwie jak szept. - To obszar zamknięty! Nie widział pan...

- Zamknij się! - powiedział Egan, przedzierając się przez plastik i idąc w kierunku swojego pokoju.

Kiedy mężczyzna spróbował zablokować mu przejście, Egan przystawił dłoń do jego piersi i pchnął go lekko na bok. Człowiek, obciążony ochronnym ekwipunkiem, stracił równowagę i zwałił się na podłogę, pociągając za sobą resztę plastikowej zasłony.

- Wynocha! - wrzasnął Egan, wchodząc do recepcji biura BPSiN. - Wszyscy wynocha.

Trzej mężczyźni, wyposażeni w respiratory i jednolite pomarańczowe kombinezony, przerwali zbieranie próbek i odwrócili się do niego w nieporadnych ruchach.

- Proszę pana! To teren skaż...

- Gdzie Billy? - przerwał Egan. ' | k | '. - Ale pan nie może... |:|:|!|

- Gdzie on jest!?

- Jest... w biurze. Bardzo możliwe, że został ska...

- Macie ludzi w szpitalu?

Mężczyzna chyba nie wiedział, co odpowiedzieć, i spojrzał błagalnie na kolegów. Żaden się nie odezwał.

- Hej, skupcie się! Czy macie w szpitalu ludzi?

- Są w drodze, myślę, że jeszcze nie dojecha...

- Kurwa! - krzyknął Egan i zaczął biec do pokoju Billy'ego.

- Proszę pana! Pan tam nie może wejść. Istnieje możliwość skaż...

Ale Egan już przekraczał próg pokoju Fraisera i zatrząskiwiał za sobą drzwi.

- Matt! Co tu robisz? Dlaczego nie masz odzieży ochronnej? Podejrzewają, że jesteśmy narażeni na działanie broni biologicznej. Mówią, że wszyscy możemy być zarażeni!

- To nie żadna broń biologiczna, Chryste! To prawdopodobnie tylko środek na przeczyszczenie. - Kiwnął kciukiem za siebie, w kierunku drzwi. - Wiesz, kto rządzi tą szurniętą hałastą?

- Taak, to jest...

- Zadzwoń do niego zaraz i powiedz, żeby wycofał ludzi ze szpitala. Powiedz mu, że mamy potwierdzenie, że to był jakiś prosty środek chemiczny i że jeśli się tam pokażą, to spalą tajne dochodzenie antyterrorystyczne. Powiedz, że rozmawiałeś z Hillelem i to wyszło bezpośrednio od niego.

- Nie sądzę, aby Hillel...

- Zrób to.

Billy patrzył na niego uporczywie przez parę sekund, a potem usiadł zrezygnowany przy biurku i chwycił słuchawkę telefonu. Egan wykorzystał tę chwilę, by wrócić na korytarz i poszukać czegoś do picia. Po konfrontacji z Fade'em czuł w ustach zupełną suchość. Idąc do baniaka z wodą mineralną, zobaczył w recepcji stojących ciągle ludzi z jednostki skażenia biologicznego, którzy robili wrażenie mocno zagubionych.

- Co tu jeszcze robicie? Powiedziałem chyba, żebyście spadali. I zabierzcie ze sobą to plastikowe gówno.

Wypił trzy pełne papierowe kubeczki wody, z wściekłością ciskając każdy do kubła na śmieci. Powinien był strzelać. Wmówił sobie, że Kelly jest za blisko, ale szansa, że trafi ją z takiej odległości, nie była wiele większa niż zero. Gdyby wziął go dobrze na muszkę, Fade ruszyłby na Stranda i dostałby kulkę - Egan widział to w jego oczach. Teraz wszystko zaczyna się od nowa i w końcu wybuchnie w twarz, a tak byłoby już po wszystkim. Zabiłby Salama al Fayedą.

-? - zapytał Egan, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi do pokoju Fraisera.

- Zrobione. Zawracają. Cholera, mam nadzieję, że jesteś pewny...

Zadzwoił telefon komórkowy Egana, a kiedy zobaczył na ekranie, kto telefonuje, opadł na krzesło i przycisnął go do ucha.

- Cześć, Fade.

Fraiser wytrzeszczył oczy i wlepił wzrok w telefon.

- Jaki pracownik nie chodzi na przyjęcia urodzinowe własnego szefa? Jak z takim podejściem chcesz się piąć w górę?

- Słuchaj, mam tu teraz w biurze faceta, który myśli, że zaaplikowałeś mu wirusa Ebola, i kupę ludzi w kosmicznych kombinezonach. Mogę oddzwonić później?

- Nie ma problemu.

Egan wepchnął telefon z powrotem do kieszeni.

- To był on? To był al Fayed?

- Pierwsza najważniejsza rzecz - zaczął Egan, ignorując pytanie - ustal, co wiedzą media. Jeśli jest nagranie z kamery przemysłowej ze mną i Fade'em, musimy je przejąć. Personel szpitala z nikim nie może o tym rozmawiać. Powiedz im, co chcesz, że to dotyczy tajnego śledztwa w sprawie terroryzmu. W telewizji nie chcę słyszeć ani widzieć nikogo, kogo znam. Zwłaszcza Fade'a. Wątpię, żeby ktoś go rozpoznał w tym przebraniu, ale jeśli to pójdzie na antenę...

- Hm, jasne. Ja...

- Druga najważniejsza rzecz. Niech Banes i Despain obsadzą w szpitalu Hillela. Fade może wpaść na pomysł, żeby tam wrócić.

- Już tam są. Kazałem im osłaniać w szpitalu wszystkich naszych, ale są we dwójkę, może być cienko. ,,

||-.'.. '>|| ‘

- Niech się martwią tylko o Hillela. Jeden ma siedzieć u niego w pokoju, a drugi niech się zajmie tymi taśmami z ochrony.

- Ale...

Egan wskazał palcem telefon na biurku Faisera i wyszedł z powrotem do recepcji, żeby się jeszcze napić. Ludzie z jednostki skażenia biologicznego zniknęli, ale większość ich sprzętu wciąż się poniewierała po tym, co niedawno było schludnym biurem. Połowa wszystkich mebli była poprzestawiana albo przewrócona, a dywan plamiły co najmniej trzy wciąż mokre kałuże wymiocin, wypełniając powietrze kwaśnawym, gryzącym odorem. Wycofał się do pokoju i zamknął drzwi, żałując, że nie może otworzyć okna.

Kiedy Egan oddzwonił, Fade odebrał niemal natychmiast.

- Matt, ty draniu. Wiedziałeś, że czekam w szpitalu. Miałeś mnóstwo czasu, żeby zawrócić ambulans. Własnego szefa użyłeś jako przynęty!

- Gorzej nawet, pomyślałem sobie, że ja spudłuję, a ty go trafisz. Żaden koniec świata.

- Powtarzam to od lat. Z takim przyjacielem jak ty żadni wrogowie nie są człowiekowi potrzebni.

- Pierdol się.

- O, to mi coś przypomniało. W toalecie cukierni „Przysmak” siedzą przykute dwie panienki. Mógłbyś kogoś wysłać, żeby je uwolnili?

Egan spisał nazwę cukierni na kartce papieru.

- Zajmę się tym.

- To by było na tyle. Jak rozumiem, do zobaczenia.

- Czekaj, Fade, daj spokój. To zaczyna być idiotyczne. Nie masz żadnych szans. Hillel ma w szpitalu dobrą obstawę, to ludzie, których nazwiska nie są ci obce. Kiedy wyjdzie, wróci do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, gdzie zostanie, dopóki nie zobaczy twojego trupa. I założę się, że nie będzie już jadał nic, co mu ktoś kupi na wynos. Masz przechlapane. Nie jesteś w stanie tu wejść, nie zabiwszy paru facetów, a obaj wiemy, że nie chcesz tego robić...

- Hm, w takim razie co z tobą? Może się gdzieś spotkamy i skończymy, co mamy do zakończenia?

- Nie. Dzisiaj mam za dużo do stracenia i jestem na tyle bystry, by wiedzieć, że pójście z tobą na walkę wręcz byłoby samobójstwem. Jeśli nie uda się nam dojść z tym do ładu, to pozostanie mi to, co umiem najlepiej. Wykombinuję, gdzie jesteś, i zastrzelę cię z daleka.

- Chyba że ja znajdę cię pierwszy.

- Chyba że.

- Tak się nie da żyć, co, Matt? Cały czas czekać na najgorsze.

- Nie. Myślę, że się nie da.

Skończywszy rozmowę, Egan oparł się o biurko i stał tak w milczeniu przez kilka minut, a potem przeszedł do pokoju Fraisera.

- Muszę sływać, Billy. Fade się domyśla, że tu jestem, nie chcę, żeby mnie tu wyhaczył.

Fraiser kiwnął głową.

- Rozmawiałem ze szpitalem. Lekarze mówią, że nic naszym ludziom nie będzie. Miałaś rację. Jednak nikt nie umiał mi powiedzieć, kiedy wyjdą do domu, więc, jak na razie, masz tylko mnie. Co mam zrobić?

Egan oparł się o framugę drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

- Potrzebuję wszystko, Billy. Jeśli Hillel coś przed nami chowa, musisz to znaleźć. I to szybko.

- Zaraz się do tego zabieram.

Egan się odwrócił, żeby wyjść, ale stanął jeszcze.

- Aha. Fade powiedział, że musimy kogoś wysłać do cukierni „Przysmak”, żeby uwolnić ludzi, którzy zrobili ten tort.

- Jest tam już jednostka skażenia biologicznego.

- Chryste...

Rozdział trzydziesty szósty

- Musisz mówić głośniej! - wrzasnął do telefonu Egan. Fraiser powtórzył, ale wciąż nie można go było zrozumieć.

- Krzycz!

Bezładna kolejka całkowicie zappełniła już skraj chodnika i zaczynała się wylewać na jezdnię, wywołując wściekle trąbienie wśród próbujących przebić się przez tłum kierowców. Egan przeszedł na prawą stronę i ocierając się ramieniem o kruszące cegły budynku, przepchnął się przez niemiłosierny tłok. Dziesięć metrów dalej został zepchnięty na ulicę przez zwartą grupę wesółków, opryskujących się nawzajem piwem. Wejście do klubu znajdowało się w zasięgu ręki.

- Mamy raport ze szpitala - krzyczał Billy. - Środki, które znajdowały się w torcie, można łatwo dostać na receptę. Nie było to nic, co mogło zabić, ale zmieszano je w takich proporcjach, że człowiek wolałby chyba nie żyć. Tak czy siak, ludzie od skażenia zostali już całkowicie wykluczeni.

- Co z archiwum Hillela? - pytał Egan, wciąż przedzierając się przez ciżbę.

- Udało mi się dostać do jego szuflad, ale nic w nich nie znalazłem. Gorzej mi idzie z komputerem. Wiesz, nie jestem hakerem. Nie sądzę, by udało mi się uzyskać dostęp.

- Cholera - powiedział cicho Egan, kiwając głową na dwóch olbrzymich bramkarzy, którzy, rozstępując się na boki, wpuścili go do środka.

Zanim znowu mógł coś powiedzieć, musiał poczekać, aż ucichną wściekle okrzyki osób stojących za nim w kolejce.

- Dobra. Próbuj dalej.

Korytarz, chociaż pusty, był nadspodziewanie ciasny, oświetlony tylko ultrafioletem, przez który jaskrawo fluoryzowały nabazgrane na ścianach graffiti. Ale już chwilę później wszedł do przestronnej sali koncertowej otoczonej szeroką galerią. Na dalekim końcu zobaczył oświetloną słabo, pustą scenę, wciśniętą między dwie ściany gigantycznych kolumn głośnikowych. Od razu zaczął się przeciskać w kierunku najbliższego z czterech strategicznie rozmieszczonych barów.

Mimo że tłum trzymano jeszcze w ryzach na zewnątrz, krzeselka przy barze były wszystkie zajęte. Mgliście rozpoznawał większość siedzących na nich osób, pracowników klubu, promotorów, pomocników technicznych, przyjaciół grupy, a oni szybko rozpoznali jego. Krzeselko, którego się uczeplił wzrokiem, błyskawicznie opustoszało, a zanim usiadł, opustoszały już wszystkie sąsiednie krzeselka.

Kiwnął na barmana, by podał mu piwo, i patrzył, jak tłum zaczyna się wlewać do środka, jak się rozpierzcha w półbiegu po sali, jak każdy próbuje wyznaczyć sobie miejsce do oglądania koncertu i zarezerwować najlepszy kawałek podłogi. Nie minęła minuta, a krzeselka wokół niego zajęli ludzie, którzy nie mieli pojęcia o przeświadczeniu panującym w branży muzyki alternatywnej, że Matt jest skonstruowaną przez rząd maszyną do zabijania, mogącą w każdej chwili wypalić.

Jak zawsze, zdumiała go liczebność i różnorodność tłumu - było tu wszystko; od dreadów i farbowanych ciuchów, po łyse pały i skórzane kurtki. Elise miała jakiś niezwykle uniwersalny urok - co znaczyło, że kochały się w niej dziwaki wszelkiego autoramentu. Rzadko występowała lokalnie, ale wtedy bilety na koncert rozchodziły się w ciągu paru godzin. Egan sięgnął po portfel, ale barman pokręcił głową i pchnął do niego po kontuarze szklankę piwa. Gratisowy drink wzmógł zainteresowanie dwóch siedzących obok skinheadów o typowo niebezpiecznym wyglądzie, którym już wcześniej wpadły w oko koszulka polo i wojskowe spodnie Egana.

Oczywiście się nie mylili. Nie powinno go tutaj być, ale konfrontacja z Fade'em i perspektywa chaosu, jaki ma jeszcze nastąpić, pozostawiły w nim uczucie zawieszenia. Zupełnie jakby się cofnął w czasie, jakby się zwijał z powrotem w kłęb nerwów i siły - kłęb, w który kiedyś przemieniły go siły specjalne. Potrzebował czegoś, co by mu przypomniało, że nie jest już tamtą osobą i że tak naprawdę nigdy nie chciał nią być za wszelką cenę.

Poza tym ryzyko było prawie żadne. Niemożliwe, by Fade wpadł na to, że Egan będzie aż tak głupi i pokaże się na koncercie swojej małżonki. To nazbyt oczywiste.

Był przy drugim piwie, kiedy nagle wrzawa podniesiona wśród tłumu kazała mu się obrócić. Zobaczył wchodzącą na scenę młodą kobietę z szokująco zielonymi włosami i pasującą do nich kolorem gitarą basową. Trudno zaprzeczyć, że to najmniej lubiana przez niego osoba w zespole - złe babsko, które wyłaziło ze skóry, by dać mu do zrozumienia, że durzy się w jego żonie jak szalone, utrzymując to w tajemnicy przed wszystkimi innymi. Nawet Elise nic nie wiedziała. Zaraz po niej na scenie pojawił się skrzypek, niebywale utalentowany i niewiarygodnie chudy facet, z niepohamowaną miłością do heroiny i jeszcze bardziej niepohamowaną idee fixe, że Egan to wtyczka DEA. Wreszcie w światła reflektorów

wszedł Erik, chłopak o złotym sercu, jedyny poza Elise członek zespołu, który nie mówił o nim za jego plecami „dzieciobójca”. Dzięki ci, Boże, za perkusistów.

Wrzawa przemieniła się w krzyki, kiedy wreszcie się pojawiła Elise, ubrana w czarną spódniczkę mini i dość purytańską białą bluzkę, którą miała jeszcze po mamie. Podłączyła do aparatury połyskującą, srebrną gitarę - którą Matt kupił jej kilka lat temu na Boże Narodzenie, zadłużając się w lombardzie - zaśpiewała do mikrofonu parę linijek a cappella, a potem uderzyła w struny, wyzwalaając grom dźwięków, który wstrząsnął lustrem za jego plecami. Jak można się było spodziewać, ludzie przy scenie oszaleli - zaczęli dziko wirować i odbijać się od siebie, objawiając dziecinny entuzjazm, który kiedyś Egan mylnie wziął za koncertowe rozruchy.

Wsadził sobie do uszu parę zwykłych zatyczek i patrzył,

jak żona stawia nogę na jakimś monitorze i miota czarnymi włosami bez opamiętania po twarzy, rzucając głową to w przód, to w tył. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by odpowiedział, gdyby dziesięć lat wcześniej jakaś wróżka przepowiedziała mu, że nastanie dzień, gdy będzie siedział w sali koncertowej wypełnionej dziewięciuset ludźmi zaglądającymi jego żonie pod sukienkę, podczas gdy ona usilnie będzie próbowała roztrzaskać gitarę, za którą Matt ma jeszcze do zapłacenia siedem rat. I że będzie szczęśliwszy, niż mógłby to sobie wyobrazić.

Co wróżka powiedziałaaby mu dzisiaj? Czy powiedziałaaby, że w chwili, kiedy wreszcie zaczął coś mieć, wszystko utraci?

Ktoś klepnął go delikatnie w ramię i Egan podniósł oczy. Światła migotały chaotycznie. Przez moment widział tylko niewyraźną postać, wzrostu jakiegoś metr osiemdziesiąt, ubraną w białą, jakby azjatycką koszulę wepchniętą niedbale w dzinsy. Kiedy smuga jednego z punktowych reflektorów trafiła w lustro za barem, nastąpiło nagle błysnięcie światła, w którym zobaczył mężczyznę o ciemnej karnacji, krótkich, brązowych włosach i w okularach z niebieskimi szklami osadzonymi na wytwornym, mezopotamskim nosie.

Egan trochę - się poderwał, trochę zsunął, ostatecznie spadł z krzesła, przewracając się wraz z piwem na kolana siedzącego obok sąsiada. Osoba ta, ma się rozumieć mocno poirytowana, pchnęła go od tyłu i Egan wylądował na czworakach na podłodze. Zanim stanął dobrze na nogi, oblany piwem skinhead zsunął się już z krzeselka i toczył się wprost na niego. Na oko ważył jakieś sto dwadzieścia kilo. Z pewnością nie takiej atrakcji było mu teraz trzeba.

Zebrał się w sobie w oczekiwaniu na nieunikniony atak, ale zanim nastąpił, Fade błyskawicznie zaplątał ramię wokół szyi mężczyzny i dusząc go, powalił na ziemię. Zaraz

potem, zadany jakby od niechcienia kopniakiem, uderzył w jego skroń srebrnym czubkiem kowbojskiego buta.

Egan spostrzegł kątem oka dwóch, biegnących szybko w ich kierunku ochroniarzy i starał się mieć teraz na oku z jednej strony ochroniarzy, a z drugiej Fade'a, który siedział już przy barze i machał dziesięciodolarówką do osłupiałego barmana.

- Stać! - wrzasnął Egan głośno, przekrzykując rezonans emanujący z gitary swojej żony.

Ochroniarze znali go i automatycznie zrobili, jak im kazał, patrząc podejrzliwie na Fade'a, ale na szczęście nie robiąc kroku w jego kierunku. Egan wskazał palcem najpierw mężczyznę leżącego nieruchomo na podłodze, a potem drzwi wyjściowe. Ochroniarze chwycili go za kurtkę i zaczęli go ciągnąć do wyjścia, wciąż jednak nie spuszczać oczu z Fade'a, który siedział wygodnie przy barze i założywszy nogę na nogę, popijał budweisera.

Egan potoczył dookoła wzrokiem, upewnił się, że sytuacja została opanowana, jak można się spodziewać na koncertach jego własnej żony, i wyjął z uszu zatyczki.

- Nie doceniłem cię - krzyknął, siadając z powrotem na krzeselku i dając barmanowi znak, by podał mu drugie piwo. - Dobrze mnie wyczułeś.

- Chętnie podziękowałbym za takie uznanie - powiedział Fade, nachylając się na tyle blisko, by Egan mógł go usłyszeć, jednak zachowując dystans. - Ale już parę tygodni temu kupiłem bilety. Twoja żona to geniusz. Prawdę mówiąc, pamiętam cię bardziej jako fana „Village People”.

Egan podał barmanowi dwudziestodolarówkę i zasygnalizował, żeby zatrzymał resztę.

- Ta basistka to kto, Matt? Ślicznotka, powiedziałbym, taka w rodzaju postaci z japońskich kreskówek.

- Chętnie ci ją przedstawię.

- Ee... Nie najlepszy to okres na zawieranie znajomości. Jak się miewa twoja siostra?

- Nieźle. Wyszła za prawnika, ma trójkę dzieci. Grywa w golfa.

Fade się uśmiechnął i odwrócił głowę, by lepiej się przyjrzeć występom na scenie.

- Dobrze. To dobrze.

Egan nie bardzo wiedział, co więcej mają sobie do powiedzenia, więc siedzieli bez słowa, udając, że oglądają występ Elise, ale tak naprawdę nie spuszczać się nawzajem z oczu.

Za pasem na plecach miał pistolet. Wiedział, że bramkarze nie będą go rewidować. Czy Fade'owi udało się wnieść broń? Czy to miało znaczenie? Wszędzie dookoła są ludzie,

tak ciasno stłoczeni, że kiedy tłum zafalował, potracali ich nawet przy barze. Broń musiała pozostać na swoim miejscu.

- Jak sądzisz, zrobiliśmy coś dobrego? - zapytał w końcu Fade.

- O czym mówisz?

- Zastanawiam się, jaki był sens jeżdżenia daleko w świat i nadstawiania głowy, po to tylko, żeby wracać do domu na pogrzeby własnych przyjaciół? Afrykanie wciąż dbają o to, by mieć u siebie rzezie i śmierć głodową, Arabowie wciąż biegają z bombami w majtkach, a Koreańczycy z północy i Irańczycy wciąż główkują, jak na nas spuścić bombę atomową. Więc po co to wszystko?

- Walczyliśmy o prawdę i sprawiedliwość, i jeszcze... o amerykański styl życia?

Fade się roześmiał.

- Ale czym jest prawda? Albo sprawiedliwość? A zwłaszcza, skoro o tym mowa, amerykański styl życia? Zmienia się każdego dnia. Pamiętasz czasy, gdy ser był zdrową przekąską, Saddam Hussajn dzielnie zwalczał ekstremizm na Bliskim Wschodzie, a genialnymi muzykami byli kolesie z „Milli Vanilli”? Dla jakich ideałów, które za pięć lat wyjdą już z mody, umierają dzisiaj chłopcy dużo od nas młodszy? Myślę sobie tylko, że skoro nie bardzo wiemy, co, do cholery, zrobić z tym światem, to może lepiej dać mu święty spokój?

Egan wzruszył ramionami i pociągnął z butelki długi łyk piwa.

- Czasem trudno stać z boku, przyglądać się i nic nie robić. Czasem po prostu nie jest to szlachetne. Czasem to tylko strach albo polityka, albo resztki zimnej wojny. Do diabła, sam nie wiem.

Fade zamilkł i patrzył, jak jakiś facet we flanelowej koszuli wskakuje na scenę, by chwilę później zanurkować z niej prosto w tłum, podczas gdy Elise wciąż niestrudzenie zabiegała o to, by gwałtownie skrócić żywot swojej gitary.

Wydawało się niemożliwe, by taka bliskość nie wywołała starych wspomnień, które zamazywały realia teraźniejszości. Egan był zawsze szefem. Dzięki talentowi i żmudnej pracy był w tym cholernie dobry. Ale w głowie każdego z nich zapalała się iskierka, która sprawiała, że chciałby być taki jak Salam al Fayed. Jasne, świetnie być szanowanym biznesmenem, aktorem, czy kimś tam jeszcze, ale było jeszcze coś - coś, co liczyło milion lat, co wywoływało w człowieku pragnienie, by być najsilniejszym, najdzielniejszym i najszybszym. By być wielkim wojownikiem, którego imię się wypowiada szeptem.

- Podobał mi się ten numer z tortem - powiedział Egan, gdy kolejna piosenka Elise przepoczwarzyła się w jakiś bezładny jazgot, by w końcu zamilknąć na dobre.

Elise postawiła gitarę w metalowym stojaku i zespół zszedł ze sceny.

Fade uśmiechnął się szeroko.

- Nawet nie wiem, czy się wściekać na ciebie, że nie dałeś mi sprzątnąć Stranda.

Poczęstowanie go odstrzałowym rozwolnieniem było równie dobre jak ołowiec.

- Dlaczego więc nie powiesz sobie, że wygrałeś, i nie ulotnisz się z kraju?

- Popatrz tylko. - Fade kopnął obcasem w mosiężną podpórkę pod nogi, biegnącą wzdłuż baru nad podłogą, z siłą, która wstrząsnęła stojącymi na ladzie butelkami. - Nic nie poczułem.

- Fade...

Fade położył palec na wargach i wskazał ponad ramieniem Egana.

- Ktoś mi powiedział, że jesteś. - Elise zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

Fade przyglądał się im przez chwilę z przejęciem, a potem, kiedy Elise wskoczyła na kolana męża i machnęła ręką do barmana, wbił wzrok w podłogę.

- Co tu robisz? - zapytała, odwracając się tak, by być jak najmniej widoczną dla tłumu.

Mimo to przyciągała uwagę wielbicieli, ale jak na razie, trzymali się od niej na dystans.

- Spotkanie się wcześniej skończyło, więc przyjechałem na koncert.

Elise wzięła od barmana wysoką szklanekę wody z lodem i wypła ją prawie całą jednym długim haustem. Egan wygodniej usadowił ją sobie na kolanach i odgarnął jej z czoła kosmyki mokrych włosów.

- Kiedy musisz wracać? - zapytała.

- Dzisiaj wieczorem. Zaraz po koncercie. Podniosła oczy.

- Chyba żartujesz. Ile zebrań może mieć jedna osoba? - Ja...

- Musisz chociaż wpaść zobaczyć Kali.

Egan zerknął na bok i zobaczył, że Fade im się przygląda. Przecież po to przyszedł, żeby Elise się do niego przytuliła, więc dlaczego ma ochotę odsunąć ją od siebie delikatnie? Nietrudno było znaleźć odpowiedź. Jak by się czuł, gdyby zamienił się życiem z Fade'em? Jak by się czuł, patrząc teraz na nich?

- Naprawdę, myślę, że nie uda mi się...

- Nie przedstawiś nas?

Elise spojrzała w bok na Fade'a, a potem z powrotem na Egana.

- A... tak - powiedział spokojnie Egan. - Przepraszam. To jest... John. Stary przyjaciel.

Wpadliśmy tu na siebie przypadkiem.

- Stary przyjaciel? - zapytała Elise, potrząsając dłoń Fade'a. - Co stary przyjaciel Matta robi na moim koncercie? Nie powinniście się spotkać na zlocie fanów ABBY?

Twarz Fade'a pozostała kamienna i ten brak emocji wzbudził w Matcie jeszcze większe napięcie.

- Nie podzielam fatalnego gustu muzycznego twojego męża.

Uśmiechnęła się.

- Jak dotąd, wszyscy starzy przyjaciele Matta wyglądali jak poborowi albo postaci z Diuków Hazzardu. Jak się poznaliście?

- To długa i nudna historia - odpowiedział Matt.

- Tak, bardzo długa. - Fade wstał. - Właściwie muszę już pryskać. i

- Nie zobaczysz finału? - zapytała Elise. Potrząsnął głową i jeszcze raz podał jej rękę.,

- Naprawdę się cieszę, że udało mi się ciebie poznać. - Potem się odwrócił i pochylił na tyle blisko, by niemal musnąć wargami ucho Egana. - Powinieneś się zobaczyć z córką, Matt. Jutro wieczorem nastąpi ciąg dalszy.

Skłonił lekko głowę w kierunku Elise i ostrożnie zaczął się wycofywać. Dopiero kiedy kilka osób się znalazło między nimi, odwrócił się i znikł.

- Ciekawy facet - powiedziała Elise, dopijając wodę z lodem. - Któregoś dnia będziesz musiał mi opowiedzieć tę długą i nudną historię.

Egan zmusił się do uśmiechu.

- Nie ma sprawy.

Obróciła się na pięcie i odchyliła trochę, uważnie patrząc mu w twarz.

- Dobrze się czujesz, Matt?

- Dlaczego miałbym się źle czuć?

- Nie wiem. Jakoś dziwnie wyglądasz. Jakby przeszła obok ciebie żywa śmierć.

Jak długo żyje, nigdy się nie przyzwyczai do sporadycznych i cholernie wkurzających wybuchów jasnowidztwa Elise.

- Jestem zmęczony. Może masz rację. Może powinienem spędzić noc w domu i wrócić rano do pracy.

Elise zeskoczyła z krzeselka i oparła się o jego kolana.

- Mówisz poważnie? - Tak.

- Czekaj na mnie za kulisami po koncercie, to może, jeśli dobrze to rozegrasz, pozwolę ci się odwiedzić do domu.

Rozdział trzydziesty siódmy

- Mów, Bill.

Hillel Strand w miarę z godnością zdołał przejść przez pokój, ale kwaśne grymasy, które wykrzywiły jego twarz, gdy siadał za biurkiem, wywołały u Fraisera pytanie, czy nie lepiej przenieść spotkania do toalety. Lauren, oparta obok ciężko o ścianę, czuła się zapewne podobnie, ale pozbawioną zmarszczek maskę, którą pokazywała światu, udawało się jej zachować niewzruszoną.

Poza nimi trojgiem w biurze nie było nikogo. Lauren i Strand zbagatelizowali radę ordynatora i wypisali się ze szpitala na własne życzenie. Reszta pozostanie jeszcze przez kilka dni na obserwacji.

- Z punktu widzenia mediów, o dziwo, wszystko jest pod kontrolą - zaczął Fraiser. - Dla pewności zmieniliśmy w szpitalnych kartotekach wasze nazwiska, chociaż ze względu na tajemnicę lekarską i tak nie byłyby nikomu udostępnione. Mamy jedyną istniejącą kopię nagrania z kamery przemysłowej, a administracja szpitala będzie utrzymywać, że w czasie zajścia kamera była zepsuta. Prasa oczywiście opisuje całe zdarzenie, ale nie mają nic, tylko relacje naocznych świadków. Ci natomiast podają jakiś powierzchowny rysopis, ale nie mają zgodnej opinii, poza tym, że był to jasnowłosy mężczyzna o ciemnej karnacji.

- A policja?

- Wciąż śledzimy ich postęp w śledztwie, ale chyba uważają, że był to po prostu jakiś pokręcony typ. Większą zagadkę stanowił dla nich Matt, doszli jednak w końcu do wniosku, że to przypadkowy człowiek, który miał przy sobie broń.

- Jak to się w ogóle stało, że Matt się tam znalazł? - zapytała Lauren.

Proste pytanie, ale wymagające zawilej odpowiedzi. Początkowo Fraiser był wściekły i trochę zdezorientowany, kiedy sobie uświadomił, że Egan wykorzystał własnych, niewinnych współpracowników jako przynęty, ale po obejrzeniu nagrania z kamery przemysłowej wszystko zrozumiał.

- Kiedy wieźli was do szpitala, udało mi się skontaktować z Mattem. Domyślił się, że al Fayed będzie tam na was czekał. Chciał, żebym zawrócił natychmiast ambulans, ale było za późno. Na szczęście jechał właśnie samochodem i nie był daleko od szpitala.

Miał wrażenie, że Strand i Lauren kupili to bardzo wiarygodnie brzmiące kłamstwo. Zresztą nic dziwnego, skoro oboje wyglądali tak, jakby całą uwagę koncentrowali tylko na tym, żeby się nie przewrócić.

- Jest postęp w poszukiwaniach al Fayed? Fraiser potrząsnął głową.

- Wciąż idziemy naprzód tropami, które podjęliśmy, ale donikąd nas jeszcze nie zaprowadziły.

- Niech to szlag! - Przez ten wybuch Strand stracił na moment równowagę i zmuszony był się uchwycić biurka. - Połącz się z Mattem. Chcę z nim porozmawiać. Teraz.

- Zrobię co w mojej mocy, ale...

- Nie chcę tego słyszeć! Wczoraj zginęła niemal cała nasza ekipa i chcę, do cholery, wiedzieć, jakim cudem taki niedouczony skurwiol przez cały czas wyprzedza nas o krok.

- Tak jest.

Strand machnął na nich ręką.

- Wynoście się.

Fraiser bez słowa podążył korytarzem za Lauren, ale kiedy miała skręcić do swojego pokoju, złapał ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Co robisz?

- Musimy porozmawiać.

- Nie powinieneś teraz próbować się skontaktować z Mattem? - powiedziała, usiłując się wyrwać z uchwytu, ale nie miała dość siły, by stawić mu poważny opór.

- Mam w dupie Hillela. - Bill, czy ty...

Przeciągnął ją przez drzwi i zamknął je za sobą.

- Chcę wiedzieć, co przed nami ukrywacie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Gówno prawda, Lauren. Słuchaj, Hillel zakopał się w biurze jak w norze, a Matt się wysuwa na pierwszą linię. Zasluguje chyba, żeby wszystko wiedzieć, co?

- Nie wiem, co powiedzieć, Bill. Ja...

- Mógł was zabić. Wszystkich. Dlaczego tego tortu nie nadział cyjankiem?

- Bo to szaleniec sadysta, który lubi zabijać, patrząc ofierze w oczy^

Najwyraźniej Strand mocno popracował nad tym, żeby wzmocnić iluzję, którą stworzył na samym początku.

- Daj spokój, Lauren. Czy ty...

- Mam robotę - powiedziała i odwróciła się do wyjścia. Billy znowu złapał ją za ramię, a ona znowu próbowała się wyszarpnąć.

- Obejrzyj nagranie z kamery przemysłowej - nalegał. - Potem rób co chcesz.

- Jezu, Bill... Dobrze. Niech będzie. Włącz taśmę.

Puścił jej ramię, wziął pilota z biurka i wycelował go w mały telewizor wciśnięty na regał z książkami. Film wideo był czarnobiały, kąt ujęcia nie najlepszy, ale ogólnie obraz był jak najbardziej czytelny.

- To jest Al Fayed - powiedział Bill, pokazując mężczyznę po lewej stronie na ekranie.
- Tędy będą was wwozić.

Na końcu szpitalnego korytarza otworzyły się drzwi i wpadające do środka promienie słoneczne prześwietliły obraz, przydając jakiegoś upiornego wymiaru noszom na kółkach i wijącym się na nich pacjentom. Lauren objęła się ramionami i patrzyła, jak sanitariusze i pielęgniarki biegają tam i z powrotem, wydając jakieś niesłyszalne okrzyki.

- Dobra, patrz teraz - powiedział Fraiser, kiedy Fayed zrobił krok do przodu i dokładnie się przyjrzał twarzy Lauren.

Nie można było zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale brak zainteresowania z jego strony był aż nadto oczywisty.

Dopiero, kiedy wypatrzył wśród pacjentów Stranda, sięgnął do paska po broń. Jakaś pielęgniarka dała mu znak, żeby się cofnął, ale zobaczyła w jego ręce pistolet. Wszyscy się rozpięchli, a chwilę później wbiegł przez drzwi Matt Egan.

- No i? - zapytał Fraiser, zatrzymując taśmę.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, Bill. Nie pracuję dla Matta. Pracuję dla Hillela.

- Nie ma znaczenia, dla kogo pracujesz. To nie jest polityka. To się dzieje naprawdę.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Masz pojęcie, przez co przeszłam? Wiesz, co znaczy leżeć i myśleć, że się umiera, podczas gdy jakiś facet zaciera z rozkoszy ręce?

- Ale nie umarłaś. Al Fayed miał dwie okazje, żeby cię zabić, ale z żadnej nie skorzystał. Matt nie kłamał, kiedy nam mówił, że mu na nas nie zależy. Hillel nam tak powiedział, bo chciał nas zmotywować.

- Może na Hillelu zależało mu najbardziej i jego pierwszego wziął na cel na wypadek, gdyby się pojawiła ochrona. Potem załatwiłby nas wszystkich.

Fraiser wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Ale jeśli tak, to musisz zadać sobie pytanie. - Puknął palcem w nieruchomą na małym monitorze postać Egana. - Skoro Al Fayed chce cię zabić, to zastanów się, kogo wolisz do osłony, Hillela czy Matta? t

Rozdział trzydziesty ósmy

Piękna okolica - nieco ponad godzinę jazdy od Waszyngtonu i niedaleko miejsca, gdzie kiedyś mieszkał. Miała też swój minus; z powodu gęstych krzaków, ciągnących się po obu stronach wąskiej polnej drogi, nie sposób było ominąć przecinających ją głębokich bruzd. Isidro nie brał pod uwagę, że caddy będzie musiał kiedyś zjechać z asfaltu, i subtelnie podrasowane, wyścigowe zawieszenie trzeszczało w szwach. Fayed wyłączył policyjny skaner

i wsłuchał się w grające raz po raz nad otwartym samochodem bzyczenie chmary komarów. Zsunął się trochę na siedzeniu i częściej spoglądał na czyste niebo nad głową niż na pustą drogę przed sobą.

Miał wrażenie, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wszystko się zmieniło. Nie potrafił jeszcze tego otwarcie przyznać, ale Matt Egan miał rację. Prawdopodobnie skrewił jedyną okazję dostania Hillela Stranda. Dlaczego nie wycelował i nie wypalił? Miał pięćdziesiąt procent szans, że zdoła wpakować mu krótką serię, zanim Egan go zabije. Byłoby już po wszystkim. Cóż, zbyt wiele lat spędził w szkole przetrwania. To się okazało trudniejsze, niż myślał.

Mimo paru godzin jazdy i długiego rozmyślania nie wiedział, od czego znowu zacząć wątek Stranda. Albo leży wciąż w szpitalu pod mocną ochroną, albo już siedzi w biurze, schowany za wartymi miliardy dolarów betonami, pleksiglasem i systemami alarmowymi najwyższej technologii.

To zostawiało tylko Matta. Miał go wciąż przed oczami przy barze z Elise na kolanach, ale nie potrafił rozszyfrować uczuć, jakie ten obraz w nim wywoływał. Koniecznie chciał się w nich doszukać gniewu i zazdrości, ale nie mógł jakoś ich w sobie nawet wzbudzić. Im więcej myślał o tym, jak bardzo wyglądali na ludzi kochających siebie nawzajem i swoje życie, tym bardziej czuł się zmęczony i oderwany od świata.

Pokręcił głową i włączył stereo, próbując się otrząsnąć z przygnębienia, które go zaczynało ogarniać. Wyjął z odtwarzacza wiecznie wesołą płytę „GoGo’s” i zastąpił ją bardziej odpowiednią grupą „Ministry”. Z doświadczenia wiedział, że przy „Ministry” nie można odczuwać złości.

Zsunął się jeszcze bardziej na siedzeniu, chcąc złagodzić przyprawiający o mdłości ból w plecach. Uznał jednak, że to beznadziejna sprawa, wyprostował się i skupił na bólu, muzyce i wspomnieniu Hillela Stranda, leżącego bezradnie na noszach w odległości ledwie metra.

Leśna droga kończyła się niewielką polaną, na której stał samotnie pusty samochód - należał do Karen Manning. Jeśli caddy miał jeszcze jakiś minus, to taki, że za bardzo się rzucał w oczy, żeby skutecznie siedzieć komuś na ogonie. Fade musiał się trzymać daleko z tyłu i o mały włos przeoczyłby, jak Karen zjeżdża z autostrady. Wziąwszy pod uwagę, że miała na sobie obcisły top i szorty, słusznie się domyślił, że dziewczyna chce pobiegać, ale spodziewał się, że pojedzie do parku albo na bieżnię przy jakiejś szkole - a nie, że pokona blisko osiemdziesiąt kilometrów, żeby się znaleźć na jakimś pustkowiu.

Zwolnił, zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Przeszedł na przód i rozłożył się plecami na masce, jak najdalej wyciągając ramiona. Trochę niepokojąco zabrzmiało ciche strzyknięcie, które wyszło gdzieś z kręgosłupa, ale mięśnie szybko reagowały na ułożenie ciała i ciepło promieniujące z silnika, co przyniosło mu ulgę.

Kiedy z zadowoleniem poczuł, że się rozluźnił, przeszedł przez polankę na początek traktu i ruszył biegiem wąską ścieżką. Zaczął wolno, zwiększając szybkość z każdą minutą, aż poczuł w płucach pieczenie, a w oczach słone krople potu.

Dopiero po trzydziestu minutach udało mu się po raz pierwszy dostrzec sylwetkę Karen Manning, która pięła się na zatrważająco dalekie wzniesienie. Był czas, kiedy dokładnie wiedział, ile musi z siebie dać i jak taki wysiłek wpłynie na jego dalsze siły. Teraz nie miał pojęcia. Pomijając już, że utrzymywał tempo w połowie tak dobre, jakie zwykł osiągać kiedyś, to miał wrażenie, jakby serce miało zaraz wystrzelić mu z klatki piersiowej. Co gorsza, tracił czucie w prawej nodze.

Kiedy zobaczył ją następnym razem, był to już tylko moment - krótkie mignięcie czegoś różowego i żółtego, zaczynającego się szybko oddalać.

Karen Manning, kiedy na chwilę wybiegła spośród drzew, rzuciła za siebie wzrokiem i zobaczyła, że biegacz za jej plecami stracił dystans. Po jego chwiejnym kroku widać jednak było, że robi wszystko, by go nadrobić.

Pokręciła głową i przeskoczyła konar zwalony w poprzek drogi, omijając rozczapierzone po drugiej stronie gałęzie. Czasem chętnie się przyłączała do kogoś na trakcie - mała, interesująca rozmowa mogła pomóc w pokonywaniu długich kilometrów. Ale nie tutaj. Przyjechała tak daleko właśnie po to, żeby znaleźć trochę samotności. Poza tym jeśli ktoś próbował z takim zacięciem ją dogonić, nie robił tego bez powodu. Następną godzinę przyszedłoby jej spędzić na wysłuchiwanie wystękiwanych z zadyszką zalecanek i patrzeniu, jak facetowi ślina cieknie z ust.

- Żegnaj - powiedziała głośno do siebie i wydłużyła krok, ruszając pod strome wzniesienie tempem, które mało kto w Wirginii by wytrzymał.

Kiedy dziesięć minut później wbiegła na grzbiet wzniesienia i spojrzała za siebie, nie widziała już swojego tropiciela.

To wspaniałe uczucie, biec ile sił w nogach i przytłumić wszystko inne. Ale nie dlatego tu przyjechała. Potrzebowała czasu na przemyślenia. Zadowolona, że nikt już nie podąża jej tropem, zwolniła tempo i skoncentrowała się na bardziej złożonych kwestiach niż tylko na tym, gdzie postawić stopę.

Według Johna Wakefielda dochodzenie w sprawie Fade'a właściwie stało w miejscu. Policja była przekonana, że jeszcze jest w kraju, ale ściślej nic nie byli w stanie ustalić. Sprawdzanie jego przeszłości skończyło się na konkluzji, że niemal całą zamknął i zostawił daleko za sobą.

O ile jej byłych kolegów szczęście zaczynało opuszczać, to jej sytuacja układała się coraz lepiej. Wywiad u Billa 'Reilly'ego poszedł na piątkę, a Pickering zaszył się gdzieś po spotkaniu z adwokatami jej ojca - silną grupą mężczyzn i kobiet, którzy samego Dzyngischana mieliby za mięczaka. Była jeszcze lepsza wiadomość, serie wywiadów z wdowami po jej podwładnych w końcu znudziły media, które intensywnie szukały innej perspektywy spojrzenia na sprawę. Jej ludzie od PR pracowali już nad tym, by w tej innej perspektywie znalazło się ofiarne poświęcenie Karen w imię bezpieczeństwa amerykańskich obywateli, wspieranie Kościoła i wypiek ciasteczek dla miejscowego sierocińca.

Ojciec - który niczego tak nie uwielbiał jak manipulowania mediami i dławienia ludzi, których uważał za wrogów - oznajmił, że nie spocznie, dopóki całe Stany Zjednoczone nie zobaczą w niej emanacji Joanny d'Arc i Matki Teresy. Należało wątpić, by to mu się nie udało, nigdy w życiu nie poniósł porażki. Ale nawet z przywróconym dobrym imieniem wydawało się mało prawdopodobne, żeby wróciła do służby. Lub żeby kiedykolwiek chciała wrócić. Bez względu na to, za kim opowie się opinia publiczna, jej ludzie stracili życie i ponosiła za to odpowiedzialność. Nie wierzyła, by w jej życiu zdarzył się choć tydzień, w którym obudzi się rano i nie zobaczy ich twarzy.

Więc co teraz? Jeśli weźmie sobie do serca ostatnie przemowy matki: „Możesz robić, na co masz żywnie ochotę”, to wybór się wydaje cholernie duży. Gwiazda filmowa? Prezydent? Neurochirurg? Mało prawdopodobne.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby zostać prokuratorem, ale już na samą myśl o studiach prawniczych nabierała ochoty, by strzelić sobie w łeb. Trener lekkoatletyczny w jakimś college'u? Może...

Znowu podkręciła tempo, wciąż niepewna, jakie podjąć decyzje co do reszty życia. Zostało jej dziesięć minut do półmetka, a potem cały czas z górki.

Dzieliły ją jakieś trzy kilometry od samochodu, kiedy, wychodząc z ostrego zakrętu, zobaczyła leżącego na głazie mężczyznę. Po paru chwilach poznała, że mężczyzna ma na sobie takie same rzeczy jak człowiek, który za nią gonił. Straciła nagle rytm kroku.

Wyglądał, jakby już nie żył.

Zatrzymała się w odległości paru metrów i spojrzała na niego.

- Nic panu nie jest?

Kiedy niedbale odwrócił w jej kierunku głowę i otworzył oczy, wypuściła z ulgą powietrze, nie zdając sobie wcześniej sprawy, że zatrzymała je w płucach.

- Albo jesteś cholernie szybka, albo ja jestem już cholernie wolny.

- Jestem szybka.

Uśmiechnął się i spojrzał w niebo, mrużąc coś do siebie pod nosem. Nie była pewna, ale wydawało się jej, że była to pieśń: „Jakże padli bohaterowie”.

- Więc nic panu nie jest?

- Wiem już, dlaczego tu biegasz - powiedział. - Tutaj człowiek się czuje, jakby był z dala od wszystkiego o miliony kilometrów.

Karen pochyliła się lekko do przodu, mrużąc oczy i próbując przejrzeć przez przeciwsłoneczne okulary. Było tam coś znajomego.

- Życzę miłego popołudnia - powiedziała w końcu i cofnęła się na ścieżkę. - I pięknych widoków.

- Czekaj. Mam coś dla ciebie.

- Słucham?

Sięgnął po coś obok siebie na kamieniu i rzucił w jej kierunku. Złapała to i natychmiast rozpoznała własny portfel. Kiedy znowu podniosła głowę, mężczyzna miał okulary odsunięte na czoło i patrzył jej prosto w oczy. Widząc te źrenice, nie miała już wątpliwości, gdzie go wcześniej widziała.

Poczuła silne uderzenie adrenaliny. Wystrzeliła na ścieżkę i obejrzała się za siebie dopiero po dobrych pięciu metrach. Nie ruszył się. Zwolniła trochę, siłą rozpędu przebiegła jeszcze dwa metry, potem się zatrzymała i odwróciła do niego. Leżał i patrzył w niebo.

W normalnych okolicznościach, w obliczu zabójcy policjantów próbowałyby wymyślić coś, żeby go pojmać. Nawet nieuzbrojona, przy siedemdziesięciu dwóch kilogramach mięśni, z brązowym pasem w dziudżitsu, ufała swoim siłom, stając przeciw roślejszym mężczyznom. Okoliczności jednak nie były normalne. Kiedy ostatnim razem stanęli naprzeciw siebie, przeszedł się po niej, jakby w ogóle jej nie było. Poza tym miał prawdopodobnie broń, a ona nie była uzbrojona w nic poza nylonowymi szortami, bezrękawnikiem i parą adidasów.

Pozostawał więc plan B, który polegał na tym, by biec co sił i dzwonić po policję, gdy dotrze do samochodu. Nie miał szans, by ją dogonić w biegu. Żadnych.

Kiedy Fade się wyprostował i usiadł, Karen się cofnęła o dalsze dwa metry i patrzyła, jak zapala papierosa.

- Powinieneś rzucić palenie - powiedziała, kiedy się zaniósł gwałtownym kaszlem.

- Rzucić? Dopiero zacząłem palić.

Nie ruszyła się, kiedy spuścił z głazu nogi i stanął przed nią.

- Co tu robisz, al Fayed? Czego chcesz? Wskazał na portfel w jej dłoni.

- Mogłeś go wysłać pocztą. Wzruszył ramionami.

- Okazuje się, że moja hulanka z zabijaniem wcale nie jest taka zabawna. Ostatnio wstaję rano z łóżka bardziej zmęczony, niż kiedy się kładłem wieczorem spać. Coraz trudniej zapamiętać mi rzeczy, które jeszcze przed tygodniem były dla mnie bardzo ważne...

Karen sobie uświadomiła, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła, wystraszyła się. Al Fayed, nawet z włosami a la Billy Idol, z pewnością jest przystojniejszy od przeciętnego mężczyzny. Ale nie to ją uderzyło. Uderzył ją jego smutek. Kiedy ruszył w jej kierunku, zauważyła, że już się go nie boi. Choć wiedziała, że powinna.

- Chcesz mi wreszcie opowiedzieć swoją historię - odgadła, kiedy ją minął i ruszył ścieżką w dół wzniesienia.

- Doprawdy?

- Domyślam się, że o to zapewne ci chodzi, chyba że przyjechałeś, żeby się oddać w ręce policji - powiedziała, doganiając go i idąc obok krok w krok.

- Może przyjechałem tu, żeby cię zabić - zauważył.

- Może...

Zanim w końcu dotarli do polanki, gdzie zostawiła samochód, od jakiegoś czasu szli w milczeniu. W głowie ciągle jej huczało od tego wszystkiego.

Wiedziała o jego wojskowej przeszłości, ale absolutną nowością była dla niej wiadomość, że firmą, do której się przeniósł z marynarki, była frontowa jednostka CIA. Zapewne nie kłamał, zważywszy horrendalne kłopoty, jakie napotykała policja przy próbach zdobycia informacji o tej nie funkcjonującej już firmie. To, że był nadzwyczaj skutecznym zabójcą, pracującym głównie na Bliskim Wschodzie, pasowało jak ulał do arabskiego pochodzenia i tego, że w pojedynkę zmiotł oddział SWAT. Szczegóły dotyczące postrzału w plecy i idącej za tym współpracy z Kolumbijczykami brzmiały przygnębiająco wiarygodnie.

Jeszcze bardziej wstrząsający był jednak udział Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i samego Hillela Stranda - człowieka, który w głupi sposób ruszył lawinę, a teraz zapewne w pocie czoła pracował, by ukryć swoją w tym rolę.

Kiedy doszli na środek polanki, Karen się zatrzymała i złapała go za ramię.

- Dlaczego mi to mówisz, Fade? Chcesz, żebym poszła z tym na policję? Do prasy?

Pokręcił przecząco głową i przez chwilę sądziła, że to jedyna odpowiedź, jaką od niego otrzyma.

- Trudno... - zaczął, mówiąc bardzo wolno i koncentrując się na każdym słowie. - Bardzo trudna do zniesienia jest świadomość, że po wszystkim, co zrobiłem, i po wszystkim, co z siebie dałem, będę zapamiętany wyłącznie jako godny pogardy psychopata. Nie chodzi mi o ordery ani nic takiego, wcale na nie nie zasługuję. Ale chciałem, żeby przynajmniej jedna osoba знаła prawdę, kiedy mnie tutaj nie będzie.

- Dokąd wyjeżdżasz? »

Uśmiechnął się i ruszył w kierunku swojego nieskazitelnego starego kabrioletu.

- Dlaczego akurat ja? - zawołała za nim.

- Och, jakże by inaczej, słodziutka!

W ułamku sekundy Karen się obróciła na pięcie, w kierunku, skąd dobiegał głos, i zobaczyła, jak zza jej samochodu wychodzi mężczyzna z czterdziestką piątką w dłoni.

- To jasne jak słońce, Fade myśli, że jak ci trochę nakadzi, to go wpuścisz pod sukienkę.

Karen obejrzała się na Fade'a, który stał w absolutnym bezruchu, obserwując mężczyznę ze zdumieniem na twarzy.

- Proszę pana, nie wiem, kim pan jest, ale ja jestem policjantką...

- Wiem, kurwa, kim jesteś, Karen - powiedział mężczyzna, idąc ostrożnie w jej kierunku, ale mierząc w Fade'a. - Wiem także, że właściwiej byłoby powiedzieć: była policjantką.

Zatrzymał się jakieś trzy metry przed nią i rzucił jej dwie pary jednorazowych kajdanków zaciskowych.

- Chyba wiesz, do czego służą. Twarzą do ziemi, Fade. Fade się nie ruszył, dopóki mężczyzna nie wycelował lufy pistoletu w głowę Karen.

- Hillel nie chce cię zabijać, zanim sobie z tobą nie pogada, ale co do tej suki nie mam jakichś szczególnych zaleceń.

Fade opadł na kolana, a potem położył się twarzą do ziemi. Mężczyzna machnął pistoletem, każąc Karen podejść i uklęknąć koło Fade'a.

- Też przyjaciel?

- Roy Buckner. Oddział Delta.

- Zamknijcie się!

Karen zacisnęła jedną parę wokół nadgarstków Fade'a, a drugą wokół jego stóp. Fade w ogóle nie reagował na to, że jest wiązany. Leżał nieruchomo, z policzkiem przyciśniętym do ziemi i oczami wpatrzonymi w jakiś ślepy punkt.

- Zaciągnij mu pasek na rękach o jeszcze jeden ząbek - powiedział Buckner.

- Zamknie mu krążenie.
- Nie będzie już potrzebował rąk.
- Wal się!

Był bardzo szybki, ale zdążyła zauważyć wymierzanego kopniaka i zasłonić się ręką, częściowo parując cios. Mimo to impet uderzenia zwałił ją na ziemię. Usłyszała ciche szcęknięcie, gdy Buckner docisnął kajdanki, a potem poczuła, jak chwyta ją za kark i wpycha twarzą w piach. Już próbowała wykorzystywać siłę ciężaru padającego ciała, by zrzucić go z siebie, kiedy nagle poczuła, łatwy do rozpoznania, chłód lufy przyciśniętej do tyłu głowy.

- Zaraz, zaraz, chyba nie jesteś uzbrojona, co? - powiedział Buckner, nie odmawiając sobie przyjemności dokładnego przeszukania Karen, choć miała na sobie za mało rzeczy, żeby cokolwiek w nich ukryć.

Po dobrej minucie, w czasie której przyciskał jej kolanem plecy, a rękoma obszukiwał od stóp do głów, klepnął ją w końcu w tyłek.

- Wygląda na to, że jest czysta, Fade. Ale mogła zrobić psikus, co nie? Co myślisz? Może przegapiłem jakiś schowek?

Fade wciąż milczał, oczy wciąż miał wlepione w dal. W ogóle nie reagował, kiedy Buckner klęknął przy nim i przeszukał go wcale nie mniej dokładnie. Buckner robił wrażenie nieco zmartwionego, kiedy nic nie znalazł.

- Wyglądasz na silną dziecinę - powiedział, cofając się o krok i znowu mierząc z pistoletu w Karen. - Powiem ci, co masz zrobić. Chcę, żebyś podniosła naszego przyjaciela i wrzuciła go na tylne siedzenie jego autka.

Zrobiła, jak jej kazał, obróciła Fade'a na plecy i pociągnęła go po ziemi przez polanę. Fade nie wydawał się zainteresowany pomocą i było jasne, że Buckner nie ma zamiaru zbliżyć się do więźnia na odległość mniejszą niż trzy metry. Aby więc ruszyć bezwładny ciężar z ziemi, Karen musiała użyć kombinacji odpowiedniego chwytu i siły fizycznej.

Kiedy zaczęła podnosić Fade'a i wciągać go do kabrioletu, Buckner przyskoczył nagle i kopnął go dziko w dolną partię pleców. Karen dostała się między nich i część uderzenia przyjęła na siebie, jednak Fade otrzymał wystarczającą dawkę, by przewrócić się na bok i wpaść na tylne siedzenie.

- Jak ma się stary kręgosłup? - zarechotał Buckner, patrząc w dół, na nieruchome ciało Fade'a.

- Ty sukinsynu! - krzyknęła Karen, robiąc krok w jego kierunku, ale zatrzymując się natychmiast, gdy Buckner wymierzył między jej oczy.

- Biere kluczyki.

Nie poruszyła się od razu, stała przez chwilę i zagryzała zęby. Wreszcie weszła na czworakach na tylne siedzenie i zaczęła szperać w kieszeniach Fade'a.

- Nic ci nie jest?

Oczy miał zamknięte, a jego mięśnie zdawały się być kompletnie zwiotczałe.

- Siadaj za kierownicą i zapnij pasy - rozkazał Buckner.

Kiedy zrobiła, co chciał, usiadł na miejscu pasażera i zatrzasnął drzwi.

- Co za głupota, tak się wystawić, co, Fade? - powiedział, obracając się na siedzeniu tak, żeby oboje mieć na oku. - Znaczy, jeśli staje ci na widok tej suki, to czemu nie korzystałeś wtedy, kiedy mogłeś? Nie powiem, wojownik z ciebie niczego sobie, strzał też masz niezły, ale, przysięgam, w głowie zawsze miałeś siano.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Klasyczna sytuacja, z której nie ma dobrego wyjścia. Strand mógł zostać w szpitalu, ale Banes i Despain dawali jasno do zrozumienia, że nie mogą mu zagwarantować bezpieczeństwa. Drugą opcją był powrót do biura, zapewniający fizyczne przetrwanie, ale - z punktu widzenia polityki - odsłaniający jego karty, na co nie był jeszcze przygotowany.

Siedział bez słowa. Darren Crenshaw, nowo mianowany dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, położył nogę na jednej z szuflad biurka i wystukiwał ołówkiem na blacie monotony rytym.

Crenshaw to były generał piechoty morskiej i stypendysta fundacji Rhodes, który nie widział powodu, by rozwijać osobowość i lepiej się dostosować do nowej roli politycznej. Meble, które stały w jego przestronnym gabinecie, zwykle urzędowe, można by policzyć na palcach jednej ręki. Włosy miał przystrzyżone na płasko, tak równo, że można by przyłożyć linijkę, a jego czarny garnitur wyglądał jak mundur galowy pozbawiony medali i orderów. Jego nominacja była dość niespodziewana, gdyż nigdy specjalnie nie ukrywał wstrętu do świata realiów politycznych i przychylności wobec ludzi, którzy, jak to ujmował, „siedzieli w okopach”.

Co gorsza, Crenshaw był wyjątkowo nieprzewidywalny. Wielu ludzi, którzy zrobili w wojsku karierę, było rzeczywiście błyskotliwych, ale większość z nich charakteryzowała się mozolnym i łatwym do przewidzenia procesem myślowym.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem tę historię z tortem - powiedział w końcu Crenshaw.

Oczywiście, nie było mowy, aby incydent zachować w tajemnicy. Strand mógł najwyżej mieć nadzieję, że tak uda mu się ukształtować prawdę, by do rozprawy z al Fayedem nie była dla niego szkodliwa.

- Według naszego przekonania, sprawca włamał się do domu mojej asystentki i znalazł tam notatkę, którą sporządziła, żeby nie zapomnieć odebrać tortu na moje urodziny. Potem wziął za zakładnika pracownicę cukierni i zmusił ją do dodania do tortu trucizny.

- Trucizna to chyba za duże słowo - zauważył Crenshaw. - Najprawdopodobniej chciał tylko, żebyście się rozchorowali.

- Tak jest. Najwyraźniej chciał, by przewieziono nas do szpitala, gdzie mógłby nas z bliska pozabijać.

Nie mogło być gorszego czasu na to spotkanie. Głowa bolała go niemiłosiernie, a w żołądku wciąż nie ustępowało wrażenie, jakby zaciskało się na nim imadło. W rozmowie, która wymagała najwyższej przytomności umysłu, Stranda stać było tylko na tyle, by nie stracić wątku, o czym się mówi.

- To zastanawiające. Po co się narażać na niepewność, skoro można było napakować do tortu pasty do butów, czy czegoś w tym rodzaju, i zdmuchnąć was na sto procent.

- Szpital jednak zapewniał rozgłos. Rysopis sprawcy wskazywał, że mógł być Arabem.

- Z włosami blond i angielskim bez cienia akcentu. - Tak jest.

Jedyna droga, jaką Strand mógł obrać na swoją obronę, to sugestia, że on i jego ludzie padli ofiarą ataku niezidentyfikowanego terrorysty, który wpadł na trop ich jednostki. Wersja w miarę wiarygodna i dość trudna do obalenia.

- Tymczasem Matt jakimś cudem wpadł na to, że powinien się znaleźć właśnie w tym szpitalu i namierzył gościa.

- Tak jest. Rozmawiał...

- Skąd wiedział, że to nie jest atak biologiczny?

- Słucham? - powiedział Strand, próbując zyskać na czasie wobec niespodziewanej zmiany tematu.

- Z tego, co wiem, wpadł do biura, kiedy was wywieźli, i w niezbyt kulturalny sposób wyrzucił naszą jednostkę ratownictwa. Cóż, nie znam Matta za dobrze, ale na tyle dobrze, by wiedzieć, że to facet, który nie jest ani głupi, ani nieostrożny.

Strand starał się nie pokazywać niczego po sobie, ale czuł, jak narasta w nim złość. Swoim wejściem Egan wszystko popierdolił.

- Przykro mi. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Egan jest w terenie, tropi sprawcę, nie rozmawiałem z nim jeszcze. Mogę tylko przypuszczać, że kontaktował się z lekarzami, a ci mu powiedzieli, czego się nałykaliśmy, ale nie miałem dość siły, żeby...

- Byłoby więc uczciwie powiedzieć, że wobec swojego, hm, delikatnego stanu wyznaczyłeś Matta na prowadzącego śledztwo?

- Wciąż dochodzę do siebie, panie generale. Chcę przyspieszyć sprawę. Ja...

- Alejście nie doszedłeś do siebie.

- To normalne, jeszcze odczuwam skutki...

- Nie chcę tego słuchać, Hillel. Na sekcję Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego dokonano ataku, o którym z oczywistego powodu nikt nic nie może wiedzieć, a zrobił to gość, który może ma, a może nie ma arabskiego pochodzenia. Chciałbym, żebyś się dowiedział, kim jest ten facet, gdzie on jest, i skąd, cholera, o was wie. Ale ty robisz wrażenie człowieka, który nie będzie w stanie powiedzieć mi ani jednej z tych rzeczy.

Strand poczuł wibracje telefonu komórkowego.

- Pan wybaczy, generale.

Wyciągnął z kieszeni telefon i spojrzął na numer dzwoniącego. Roy Buckner.

- To mogą być najnowsze informacje o rozwoju sytuacji. Pozwoli pan, że odbiorę, generale?

Crenshaw machnął ręką w odprawiającym gościu i zaczął przeglądać zawartość jakiejś teczki na biurku.

- Halo? - powiedział Strand i przycisnął mocno słuchawkę do ucha, chcąc być pewnym, że do Crenshawa nie dojdzie ani jedno słowo padające z drugiej strony linii.

- Mam go.

Strand odetchnął głęboko i opadł lekko w swoim krześle. Dzięki Bogu. Wreszcie wszystko się skończy.

- Mam też tę pannę policjantkę.

Crenshaw podniósł wzrok, gdy Strand gwałtownie się wyprostował.

- Słucham? - zapytał Strand wciąż wyważonym głosem. - Mielicie się rozdzielić.

- Mówię, że mam Manning. Nie można było inaczej. Kiedy ich nakryłem, rozmawiali o tobie. Wygląda na to, że poznała historię jego życia.

Strand poczuł, jak krople potu występują mu na czoło, i powstrzymał odruch, by je otrzeć. Dlaczego, kurwa, nic nie może być łatwe i proste? Dlaczego nic nie może iść po jego myśli?

- Najprościej będzie - mówił dalej Buckner - jeśli załatwię ją na miejscu, a on może potem, hm... popełnić samobójstwo albo mogę go przedtem przywlec do ciebie na pogawędkę.

- Komunikowali się z kimś jeszcze?

- Nie... Biegała po lesie. Nie ma komórki.

- Jesteś pewny?

- Możesz mi wierzyć. Dokładnie sprawdziłem.

Strand powoli przeanalizował relację Bucknera. Nie było szans, żeby się dowiedzieć, ile al Fayed jej powiedział, i nie było żadnej gwarancji, że dziewczyna zachowa to dla siebie. Zwłaszcza jeśli znajdą jego ciało.

Nie mogąc wysiedzieć dłużej w krześle, Strand wstał i odwrócił się do ściany, przeciągając ręką po włosach.

Ryzyko związane z zabiciem kobiety było minimalne. Al Fayed wymordował niemal cały jej oddział. W niczym nie nadszarpnie to wiarygodności wersji, że facet chciał zwiędzić dzieło, a potem zabić siebie. Wydawało się niemal pewne, że nikt nie będzie drażył sprawy al Fayedą dalej niż wokół kwestii martwego ciała. Ba, szefostwo policji będzie skakać z radości, gdy ktoś uciszy wreszcie Manning. Egan, rzecz jasna, będzie coś podejrzewał, ale cóż będzie mógł zrobić?

Kiedy się odwrócił, Crenshaw przestał udawać, że przegląda papiery w teczce, i patrzył w jego kierunku niecierpliwym wzrokiem.

- Będę musiał do ciebie jeszcze zadzwonić w tej sprawie - powiedział wreszcie Strand.

- Mam ważne spotkanie.

Nie mógł sobie pozwolić, żeby tego rodzaju decyzję podjąć w pośpiechu, nie przemyślawszy jej bardzo dokładnie.

- Co ty mi, kurwa, gadasz o ważnym spotkaniu? Chryste, siedzę w jakimś popierdzielonym lesie, a...

Strand wyłączył telefon i usiadł.

- Najmocniej przepraszam, panie generale. To nic ważnego, wciąż brak przełomu.

Rozdział czterdziesty

- Nie uwierzysz, co ten palant powiedział - rzucił Buckner, opierając się o drzwi samochodowe i łamiąc wściekle gałązkę, która nad nim wisiała. - Chce się zastanowić. Nic dziwnego, że masz ochotę go zabić.

Na polecenie Bucknera Karen wjechała cadillakiem dwadzieścia metrów w głąb lasu, przedzierając się między drzewami i kamieniami, aż pas lasu, który się zamknął za nimi, stał

się zaporą niemal nie do przebycia. Wystarczało to, żeby pozostać niewidocznym dla kogoś, kto niespodziewanie pojawiłby się na polanie, gdzie wciąż stał jej samochód.

Fade leżał nieruchomo na brzuchu, usiłując się skoncentrować, ale prawdę mówiąc, nie było się nad czym zastanawiać. Buckner to sadystyczna kanalia, był świetnie wyszkolony i znajdował się, czemu trudno zaprzeczyć, w znacznie korzystniejszym położeniu.

Żywot stolarza pogrążonego w klinicznej depresji najwyraźniej spowodował, że otępiał, stał się nieostrożny i dużo powolniejszy. Po wszystkim, przez co przeszedł, zostanie zastrzelony jak pies przez jedną z największych fajtlap sił specjalnych. Najdziwniejsze było jednak to, że nie potrafił się przymusić, by obchodziło go to choć trochę.

Fade spróbował poruszyć zdrętwiałą prawą nogą, ale kopnięcie, które dostał w plecy, wręcz ją sparaliżowało. Lewą mógł sprawnie poruszać, ale czuł w niej nieznaną mu wcześniej mrowienie. Następnie wypróbował palce u rąk, ale nie mógł się zorientować, czy są sprawne. Kajdanki zaciśnięte na nadgarstkach przemieniły je w coś, co odczuwał tylko jako kawałki martwego ciała.

Był zmęczony. Przydałaby się choćby mała drzemka. Przymknął oczy i prawie się pogrzyżył się w półśnie, gdy Buckner znowu przemówił.

- Kręcisz mnie, kicia, tą bluzeczką. Mam nadzieję, że najpierw będę mógł załatwić Fade'a, to spędzimy trochę czasu we dwoje.

- Co za różnica? - usłyszał odpowiedź Karen. - Przecież jest związany. Chyba się go nie boisz, co?

Niezły pomysł, pomyślał Fade, ale niestety Buckner nie był aż taki głupi, na jakiego wyglądał.

- Ach tak, dziudżitsu i te sprawki - powiedział ze śmiechem, - Pewnie myślisz, że jedną z rączek mogłabyś mnie mocniej objąć za szyję, co? Fajnie byłoby spróbować, ale prawda jest taka, że każdy, kto choć na chwilę odwrócił się do Fade'a plecami, gryzie już ziemię. Myślę, że spróbuję uczyć się na błędach tych biedaków.

Głos Karen wyrwał go z zamyślenia i przypomniał mu, że prawdopodobnie nie była, tak jak on, gotowa na śmierć. Miała życie przed sobą, miała rodzinę i przyszłość. Przez minutę próbował myśleć intensywnie, ale nie przychodził mu do głowy żaden genialny plan ucieczki. Choć siedział na prawdziwym arsenale - Isidro zamocował tylne siedzenie na sprężynowych zawiasach i otwierało się bardzo łatwo, odsłaniając zatopiony w piance tapicerskiej snajperski karabin i pistolet półautomatyczny - to nie miał żadnej możliwości, aby się do niego dostać. Jeszcze bardziej frustrujące było to, że nie mógł powiedzieć Karen o

podnoszonym podłokietniku między nią a Bucknerem, gdzie miała schowaną czterdziestkę piątkę i nóż bojowy. James Bond byłby zawiedziony.

Strumień jego myśli został raptem przerwany przez dzwonek telefonu komórkowego i Fade przekreślił szyję, by zobaczyć, jak Buckner przykłada go do ucha.

- Tak?

Nastąpiła dłuższa cisza, a potem Buckner znowu przemówił.

- Rozumiem, ale skąd mam, do diabła, wiedzieć, czy jeszcze komuś powiedział? Tak. Tak... Dobra. Ale będzie mi ktoś potrzebny do odprowadzenia mojego wozu. Uhm, uhm... Powiedz im, że znajdą go między drzewami, jakieś półtora kilometra od głównej szosy. Niech zaparkują za nim i zadzwonią do mnie na komórkę.

- Złe wieści, kiciu - powiedział, pakując telefon z powrotem do kieszeni. - Wygląda na to, że Fade cię zabije, a potem popełni samobójstwo. Co za tragedia.

Fade zamknął oczy, znowu ogarnęła go ochota, by zapaść się w ciemność. To była jego wina. Karen zginie przez niego. Szarpnął bezsensownie związane paskiem nadgarstki, wiedząc, że pasek boleśnie mu się wrzyna w skórę, chociaż zupełnie tego nie czuł. Jak mógł być tak głupi?

- Wyprałeś tej dziwce mózg czy co? - usłyszał Bucknera. - Jej się chyba wydaje, że lada chwila wyskoczysz stąd i ją uratujesz. Jesteś jej rycerzem w błyszczącej zbroi, Fade? - Skrzypienie skóry kazało mu się domyślać, że Buckner odwrócił się z powrotem do Karen. - Naprawdę tak myślisz? Że to bohater? To opowiem ci jedną historyjkę. Kiedyś zdejmowaliśmy jakiegoś faceta w Syrii. Nie pamiętam już nawet, jak się nazywał, ale mniejsza z tym. Facio wychodzi przed dom z rodziną, żoną, niemowlakiem i synem, który miał może dziesięć lat. No więc Fade strzela i trafia gościa w sam środek. Kula przechodzi na wylot, trafia matkę i niemowlaka na jej rękach, i dalej przez nią, też na wylot, skręca rykoszetem o dziewięćdziesiąt stopni i trafia chłopaka w głowę. - Buckner się roześmiał tak gwałtownie, że niemal się zaczął krztusić; Fade otworzył oczy i patrzył, jak Buckner kiwa się rozradowany. - Wiesz, co wtedy powiedział twój bohater? Pamiętasz, Fade? Nie? Powiedział: „Uups”. To wszystko. „Uups”.

Karen nie odpowiedziała.

- Nie wierzysz, co? Dalej, Fade, powiedz jej. I tak nie miała zamiaru się z tobą rznąć. Marzenia ściętej głowy. Powinieneś się zobaczyć z psychologiem.

- Dużo mówisz, wiesz? - powiedziała w końcu Karen, wywołując u Fade'a ciche syknięcie.

- Och, jednak żyjesz? - rzucił Buckner. - Gwarantuję ci, że spełnię twoje życzenie, byś nie żył.

- Słuchaj, jeśli zamierzasz mnie zabić - powiedziała Karen - to może miejmy to już za sobą?

- Mamy jeszcze chwilkę, zanim nadjadą moi chłopcy. Śpieszy ci się do śmierci?

- To lepsze, niż siedzieć tu i wysłuchiwać, jak mielesz językiem.

Fade znowu syknął, a Buckner się odwrócił i spojrzał na niego. Słońce się już schowało za góry i przy nagromadzonych gęstych chmurach trudno było dojrzeć wyraz jego twarzy. Ale potrafił go sobie wyobrazić.

- Gdyby to nie Fade siedział mi za plecami, robiłbym coś więcej. Nieee... poczekam sobie. Nie lubię dziurawić cycków klasy zerowej, jeśli absolutnie nie muszę.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i nie spuszczać z oka swoich więźniów, spróbował wytrząsnąć z niej papierosa. Po paru próbach papieros wypadł na podłogę. Buckner się nachylił, szukając go wolną ręką po omacku. Bez rezultatu, gdyż podłogę skrywał głęboki cień, a Buckner mógł tylko rzucać na nią okiem. Wreszcie machnął pistoletem w kierunku Karen.

- Włącz na sekundę światło, kicia. Fade poczuł nagle uderzenie adrenaliny.

- Pierdol się - warknęła Karen.

Odpowiedź Bucknera była krótka; uderzył ją kolbą pistoletu w twarz. Przypięta pasami, nie mając miejsca na jakikolwiek manewr, Karen otrzymała silne uderzenie w poprzek policzka. Fade widział nad siedzeniem, jak dziewczyna próbuje się otrząsnąć ze skutków ciosu. Nie zajęło jej to wiele czasu.

- Myślisz, że teraz się rozplączę i będę robić wszystko, o co mnie poprosisz?

Zapalaj, do cholery, światła!

- Na miłość boską, Karen, zrób to! - powiedział Fade. - On cię zabije.

Odwróciła się i spojrzała na niego, a potem zaczęła się przyglądać ciemnej tablicy rozdzielczej.

- Dobra, ale jak?

- Przycisk jest w podłodze - powiedział Fade, starając się mówić monotonnym i spokojnym głosem. - Na godzinie pierwszej od gazu. Trochę się zacina, musisz mocno przydepnąć.

Buckner znowu się pochylił w prawo i czekał w pełnej gotowości, najwidoczniej chcąc, by światło się paliło jak najkrócej. Moment później Karen znalazła przycisk.

Nastąpiła eksplozja sprężonego powietrza i Fade zobaczył, jak siedzenie obok kierowcy strzela gwałtownie w górę. Potem rozległ się odgłos tłuczonego szkła i gniecionego metalu oraz urwany pisk zaskoczonyj Karen. Chciał krzyknąć: „Uciekaj!”, gdy zdał sobie sprawę, że wcale nie widział, by Buckner wyleciał w powietrze, jak się należało spodziewać.

Kosztowało go to sporo wysiłku, ale w końcu udało mu się przekreślić na plecy i opuścić stopę pod przednie siedzenie, które, jak stwierdził, zablokowało się na teleskopowej dźwigni na wysokości jakichś trzydziestu centymetrów. Podciągnął się trochę zdrową nogą i po chwili siedział już wyprostowany.

Przerażona Karen przylgnęła plecami do drzwi. Jej twarz była artystycznie zbryzgana krwią. Buckner nie wyprawiał się w podróż tak, jak trzeba. Najwidoczniej w chwili, kiedy katapulta pod siedzeniem się uaktywniła, kolano Bucknera ugrzęzło pod tablicą rozdzielczą, siła wyrzutu strzaskała mu nogę. Ułamek sekundy później impet obrócił nim i rzucił go głową - teraz jakby spłaszczoną z jednej strony - na szybę rozbitą w pajęczynę kryształków.

- W Doktorze No działała trochę lepiej... - powiedział Fade, pochylając się do przodu.

Jego głos wyrwał Karen ze stanu katatonii. Błyskawicznie odpięła pas bezpieczeństwa i skoczyła na nogi na siedzeniu.

- Co to było u diabła?!

- To miała być katapulta, ale zdaje się, że brakuje jej do ideału.

- Katapulta? Twój samochód ma katapultę?

- Co, chyba nie narzekasz?

Kiedy w końcu spojrzała w jego kierunku, odwrócił się do niej plecami tak, by mogła zobaczyć jego skute ręce, które krwawiły przy zaciskach, brudząc skórzaną tapicerkę.

- Jezu. - Padała na kolana. - Masz jakiś nóż w schowku? Ja nie mam...

- Podłokietnik się otwiera.

Karen zmagala się z nim przez kilka sekund, a kiedy wreszcie go otworzyła, zamarała z wrażenia, wpatrując się w równo ułożoną broń.

- Myślałeś kiedyś o profesjonalnej pomocy? - zapytała, przecinając mu paski na nadgarstkach, a potem podając mu nóż.

Krzepnąca na rękach krew i odrętwienie w obu dłoniach sprawiły, że nie mógł go utrzymać. Karen podniosła więc nóż z siedzenia, przecięła mu paski na stopach, a potem pomogła wyjść z samochodu.

Kulejąc, zaczął chodzić w kółko, próbując przywrócić czucie w prawej nodze, a Karen pochyliła się nad siedzeniem obok kierowcy i próbowała wyczuć puls u Bucknera.

- Nie żyje - powiedziała po chwili.

\ - Wreszcie. Powiniennem zabić bydlaka wiele lat temu.

Kiedy przeszedł kilka razy dookoła samochodu, mrowienie w lewej nodze niemal ustąpiło, a prawa wydawała mu się sprawna w pięćdziesięciu procentach. Fade nagle poczuł się lepiej. Choć wciąż miał lekkie zawroty głowy.

Chwycił jakiś konar nad głową i podciągnął się kilka razy, nie zważając na ból w rękach spowodowany gwałtownym napływem krwi.

- Hej, Fade? Chyba nie czas na gimnastykę. Ten facet wezwał jakichś kumpli, będą tu lada chwila.

Ton jej głosu przypominał przedszkolankę, poganiającą niemrawego przedszkolaka. Na pewno myśli, że kompletnie stracił głowę. Może ma rację.

Fade puścił się konarowi i pokuśtykał z powrotem do samochodu.

- Pomóż - powiedział, wyciągając ciało Bucknera i upuszczając je bezceremonialnie na ziemię. - Wskocz na tylne siedzenie i przyjdź do dołu. Chyba skrzywiła się dźwignia.

Karen wskoczyła do samochodu i oboje z dwóch stron naparli ciężarem ciał na siedzenie obok kierowcy, przywracając je niemal do normalnej pozycji. Kiedy było jasne, że dalej już nie da się go wcisnąć, Fade się nachylił i podniósł pistolet Bucknera.

- Co robisz?,, ||;”

- Przygotowuję się.

- Do czego?

- Do wizyty koleżków Roya.

- Po co?

- Hm... Bo zamierzam ich zabić?

- Mam lepszy pomysł, możemy stąd jak najszybciej odjechać.

Fade ściągnął brwi i zaczął się przypatrywać głębokiej rysie na przednim błotniku.

- Zastanów się, Karen. Hillel chce trzymać wszystko w tajemnicy, a to oznacza tyle, że liczebność swojej ekipy ogranicza do minimum. Jeśli sprzątnę aż trzech, będę mógł założyć, że facet będzie na jakiś czas unieruchomiony, a to da mi więcej czasu, żeby go wyśledzić.

- Nie możesz ich zabić, Fade.

Podniósł oczy i spojrzał na nią, a potem wrócił do oglądzin uszkodzonego błotnika.

- Cóż, noga pewnie nie jest w idealnej formie. Ale mam w zanadrzu niespodzianki...

- Dobrze wiesz, co miałam na myśli!

- Przepraszam, Karen, że cię w to wpakowałem. To była głupota z mojej strony i moja wina. Ale jesteś już zamieszana i jeśli nie załatwię tych facetów dzisiaj, to można przyjąć za pewnik, że jutro staną pod twoimi drzwiami.

- Nie pozwolę ci tak po prostu ich zamordować. Ja taka nie jestem.

Fade znowu podniósł na nią wzrok.

- Dobrze. Masz rację. Stosunki między ludźmi polegają na kompromisach. Co więc powiesz na to, że przestrelę im tylko kolana?

Potrząsnęła gniewnie głową, mruczając pod nosem coś, czego nie zrozumiał, i usiadła z powrotem za kierownicą.

- Spadamy stąd i możesz uważać sprawę za zamkniętą.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i zaczęła wolno cofać, manewrując ostrożnie obok złamanego wpół ciała Roya Bucknera.

- Potrzebuję paru cholernych minut do namysłu, dobra?

Wyjazd z lasu na szosę trwał szybciej niż wjazd, ponieważ Karen nie okazywała subtelnemu zawieszeniu caddy'ego najmniejszego respektu. Fade postanowił nie protestować, dochodząc do wniosku, że lepiej, aby wyładowała wściekłość na samochodzie niż na nim.

Nie przyciskając zbyt często hamulca, wjechała raptownie na dwupasmową szosę i Fade patrzył tylko, jak jeden z kołpaków stacza się z hałasem do przydrożnego rowu. Gorsze było jednak to, że para reflektorów, którą zauważył jakieś dwieście metrów za nimi, wyraźnie się przybliżała.

- Czy ten samochód nas ściga? - zapytała Karen, patrząc spokojnie, we wsteczne lusterko.

- Na to wygląda.

- Cholera! - krzyknęła, bijąc dłonią w kierownicę. - Gdybyś się nie opieprzał i nie gimnastykował na drzewach, bylibyśmy już dziesięć kilometrów stąd.

- Aha, to teraz ja jestem winny, tak? Jeśli dobrze pamiętam, gdyby nie ja, byłabyś już martwa.

- Gdyby nie ty, siedziałabym teraz przy biurku i popijała kawę. - Przycisnęła z furią pedał gazu do podłogi i zamontowany przez Isidra silnik wcisnął ich w oparcia siedzeń. - Ale nie, jadę w jednym samochodzie z facetem, który wybił mi oddział, a za mną gonią rządowi zabójcy.

- Powiedziałem przepraszam.

Reflektory z tyłu zaczęły się systematycznie oddalać, jednak wkrótce szosa zrobiła się kręta i masa cadillaca zaczęła działać na niekorzyść uciekających.

- Cholera! - wykrzyknęła Karen, usłyszawszy odgłos strzałów i chyląc głowę. - Strzelają do nas!

Fade spojrzął za siebie, na zbliżający się samochód, i dostrzegł ciemny zarys postaci mężczyzny, który przez otwarte boczne okno mierzył do nich z karabinu.

- Nie inaczej.

- No to zrób coś! - wrzasnęła, przekrzykując hulający po odkrytym wnętrzu wiatr. - Podobno jesteś dobry w te klocki?

- Och, nie chciałbym, żeby komuś stała się krzywda. Po kolejnym strzale w przedniej szybie między nimi pozostała śliczna dziurka. Mała strata, łeb Bucknera i tak mocno ją rozkwaśił.

- Fade!

Wzruszył ramionami i położył się wzdłuż siedzeń, kładąc policzek na jej obnażonym, lewym udzie. Nawet wygodnie - jędrne, niemal twarde mięśnie, okryte delikatną, suchą skórą...

- Co wyprawiasz, do diabła!?

Fade znalazł dźwignię klapy bagażnika, pociągnął ją i przekręcił się na plecy, tak że teraz patrzył do góry wprost na nią.

- Otworzył się bagażnik? - Uhm.

- Kłapa powinna być w miarę kuloodporna. Po założeniu sprężarki powietrza trzeba było ją wzmocnić.

Jakby dla potwierdzenia jego słów, pocisk odbił się rykoszetem od grubej blachy, która wydała z siebie rozdzierający uszy brzdęk.

- Czy ten samochód robi jeszcze jakieś inne sztuczki?

- Owszem, ale to dobra wiadomość i poniekąd zła. O tyle dobra, że w bagażniku mamy ciężki karabin maszynowy, który strzela znad tablicy rejestracyjnej.

- Żartujesz.

- To cię dziwi?

- Chyba nie - odpowiedziała wśród odgłosów pisku opon i kolejnej kuli trzaskającej w klapę bagażnika. - Jaka jest zła wiadomość?

- Strzela ślepakami.

- Ślepakami! Co za cymbał zadaje sobie trud, żeby zainstalować w bagażniku ciężki karabin maszynowy, a potem go nie załadować ostrą amunicją?

- Wiesz, to miało być tylko dla frajdy. Nigdy nie myślałem, że rzeczywiście będę musiał kiedyś z niego skorzystać.

- Jezu Chryste!

- Mam taki pomysł. Kiedy wyjedziemy na prostą, pozwól im się do nas zbliżyć i daj mi znać, jak będziemy znowu dojeżdżać do zakrętu.

- Sama nie wiem, Fade. Jeśli pozwolę im podjechać, mogą trafić w oponę.

- Daj spokój, będzie ubaw. Pod tylnym siedzeniem jest karabin z ostrą amunicją. Jeśli przestrzelą oponę, zatrzymamy się, wykończę ich, a ty w tym czasie zmienisz koło.

Zerknęła na niego tylko i znowu skupiła uwagę na szosie.

- Super. Czemu nie.

Fade się uśmiechnął i oplótł dłoń linką, uwiązaną do spustu broni maszynowej z tyłu.

- Tył wozu może się lekko unieść przy strzałach.

- Uwaga, zakręt, przygotuj się - powiedziała Karen, puszczając pedał gazu i patrząc w lusterko wsteczne. - Teraz!

Pociągnął gwałtownie za linkę i nastąpił rozkoszny odgłos serii strzałów z broni maszynowej, a zaraz potem, jeszcze miłszy dla ucha pisk opon i łoskot kolizji.

Fade usiadł wyprostowany, a potem stanął na siedzeniu, próbując spojrzeć ponad klapą bagażnika. Goniący ich samochód wypadł z szosy i zjechał po poboczu prosto na drzewo. Mężczyzna z karabinem był już na zewnątrz, ale wyglądał na mocno oszołomionego. Kierowca musiał jeszcze być w środku.

Za następnym zakrętem Fade przesiadł się na tylne siedzenie i silnym pchnięciem zamknął bagażnik.

- Niemało mnie to kosztowało - powiedział, kiedy znowu wsunął się na miejsce obok Karen i włączył skaner policyjny. - Ale było warto.

Jak można się było spodziewać, policja nie otrzymała żadnego zgłoszenia i jakoś nikt nie wspomniał o uzbrojonym w karabiny maszynowe cadillacu, który sieje postrach na drogach Wirginii. Karen zjechała pierwszym zjazdem z szosy i odtąd jechała już zgodnie ze znakami ograniczenia prędkości, skręcając raz po raz w kolejne drogi, jakby na wszelki wypadek chciała zgubić rządowych agentów, choć ci najprawdopodobniej czekali daleko stąd na pomoc drogową.

Fade miał przemożną chęć zadzwonić do Stranda i poupać się sukcesem, ale Karen wzięłaby to pewnie za dziecinadę. I tak była już nieźle wkurzona i wcale nie wydawała się zachwycona ich ucieczką z okowów zła, choć dokonaną przecież w niewiarygodnym stylu.

- Teraz co? - zapytał, udając, że ogląda twardniejące na nadgarstkach strupy. - Nie możemy tak bez końca jeździć.

Ścięła sobie drogę przez parking McDonalda, zawróciła i pojechała w przeciwną stronę.

- Nie wiem.

- Mógłbym cię gdzieś podrzucić - powiedział niezobowiązującym tonem. - Do glin.

Do FBI. Do domu. Gdzie chcesz.

Nie odpowiedziała.

- Karen?

- Myślę!

- O czym?

- O tym, że ktoś umocowany wysoko w rządzie umyślił sobie, żeby mnie zabić, a ja nie mam zielonego pojęcia, jakie on ma wejścia w policji, FBI czy gdzieś tam jeszcze. Tymczasem jedyną osobą, która wydaje się w miarę godna zaufania, jest niedoszły James Bond, który, tak się pechowo złożyło, zamordował sześciu moich ludzi.

- Uhm, hm... Wiesz, co najbardziej mi pomaga w myśleniu?

- Nie bardzo.

- Meksykańska knajpa. Taco, kilka drinków margarity... Niedaleko jest świetna restauracja...

- Zabiłeś właśnie człowieka i chcesz sobie iść do meksykańskiej restauracji?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to ty go zabiłaś. Ale może masz rację. To co, włoska?

Spojrzała na niego z wpółotwartymi ustami.

- Jesteś stuknięty, prawda? Ty naprawdę kompletnie zwariowałeś. ‘

Wzruszył ramionami.

- Może tak. Może nie. W każdym razie mówię jeszcze raz, że nie możemy tak w kółko jeździć.;

- Dobrze. Co proponujesz?

- Może pojedziemy do mnie? Jeśli pojedziesz tą autostradą na północ, będziemy tam za niecałą godzinę.

Przez kilka sekund gryzła zapamiętałe wargi, a potem skręciła w kierunku wjazdu na autostradę. Odezwała się dopiero, kiedy byli w połowie rampy.

- To był Goldfinger. - Co?

- Katapulta w siedzeniu. To nie było w Doktorze No, tylko w Goldfingerze.

Rozdział czterdziesty pierwszy

- Moja kolej! - zapiszczała Kali, podskoczyła i o mały włos zdołałaby wyrywać pilota z ręki Matta Egana.

- Ciii... - powiedział, trzymając pilota poza zasięgiem jej rączek i próbując patrzeć ponad głową córki, która skakała przed nim po kanapie.

- Dość już tych wiadomości!

- Kali! Siedź spokojnie albo idź się pobaw do pokoju. Tato ogląda teraz telewizję.

Uznając swoją porażkę, dziewczynka wymknęła się na korytarz w poszukiwaniu innej zabawy lub lepszego nastroju, a Egan rozsiadł się wreszcie wygodniej na kanapie. Incydent w szpitalu doczekał się krótkiej relacji w wiadomościach lokalnych, ale Billy zrobił swoje, jak zwykle sprawnie, i całe wydarzenie przedstawiono jako przypadkową napaść narkomana, który chciał zdobyć środki przeciwbólowe. Hipoteza dotycząca obecności Egana opierała się natomiast na tym, że był przygodnym świadkiem zdarzenia, który jednak nie chciał się ujawniać, ponieważ nie miał pozwolenia na broń. Resztę programu zdominowała osoba Stephany Narwal, najnowszej ofiary „Kolekcjonera”, której ciało miało zostać odnalezione za parę dni. Jak dotychczas, morderstwa się powtarzały z regularnością zegarka i media już się przygotowywały na kolejne tragiczne wydarzenie.

Kiedy lokalna stacja skończyła nadawanie, Egan przełączył na CNN i trafił na końcówkę reportażu o agentach sił specjalnych. Jego przesłanie było mniej więcej takie, że agenci są szkoleni, aby bez litości zabijać, a po zakończeniu służby, oczywiście, stają się niebezpieczni dla społeczeństwa. Ulubioną frazą prezentera prowadzącego program były słowa: „Tykająca bomba zegarowa”.

- Mam powód do żartów? - zapytała Elise, stając za kanapą i opierając łokcie na jego ramionach.

- Wierzyć się, kurwa...

- Matt! Kali się bawi w korytarzu! Ściszył głos.

- Wierzyć się, kurwa, nie chce! Robota tych facetów jest dość ciężka bez gadania, że są bandą psycholi. Oni narażają życie dla kraju.

- Wiem - powiedziała, oplatając ręce wokół jego szyi. - To przez tego al Fayed. Kiedy go złapią, media ucichną.

Egan nie odpowiedział. Wpatrzył się znowu tępo w ekran, na którym pojawił się prezenter i zaczął roztrząsać kwestię, czy młoda kobieta o nazwisku Elizabeth Henrich, której zaginięcie niedawno zgłoszono, będzie następczynią Stephany Narwal.

- Miałaś czas, żeby spojrzeć na sufit w garażu? Jest coraz gorzej... Matt? Naprawdę musisz coś z tym zrobić. Nad garażem jest wolny pokój i kiedy ostatnim razem byłam tam w łóżku z moim kochankiem, o mało nie wpadliśmy do garażu.

- Uważajcie, żebyście nie spadli na samochód - powiedział wreszcie, a jej ręce zaplotły się ciasniej na jego szyi.

- Kutas z ciebie, wiesz?

Kali, która najwyraźniej ukrywała się cały czas za załomem, zwietrzyła szansę i wyskoczyła raptem z palcami wyciągniętymi po pilota. Matt błyskawicznie cofnął rękę, ale nie przewidział, że za jego plecami pochwyci go Elise.

- Masz rację, Kali. Tatuś jest samolubny. Teraz twoja kolej.

Egan westchnął, wstał i wyciągnął zza kanapy Elise, która opadła mu na plecy, oplatając nogami jego biodra.

- Na pewno musisz już iść? - zapytała zadowolona, że niesie ją na barana do swojego gabinetu.

Zbliżał się wieczór. Już dawno minęła godzina, o której, jak sobie obiecał, miało go tu nie być. Martwił się nie tyle tym, że Fade może złamać tymczasowe zawieszenie broni, lecz tym, że zbyt długi czas spędzony w domu znowu narzuci mu rolę męża i ojca, do cna rujnując tę odrobinę koncentracji, jaką zdołał dotychczas osiągnąć.

- Straciłem cały dzień seminarium, Elise. Chcesz, żeby mnie wylali?

Chrząknęła obojętnie, kiedy się pochylił, by przeczytać przyklejoną do lampy notkę.

- Wiesz - powiedziała, przywierając mocno do jego pleców. - Myślałam o czymś. Będę miała parę wolnych dni. Może pojedziemy z tobą? Ktoś z „Neutral Milk Hotel” napisał mi w emailu, że grają tam jutro akustyczny koncert w pubie.

Egan zamarł na chwilę, a potem zaczął udawać, że skupia uwagę na notce, myśląc zarazem usilnie nad jakimś wiarygodnie brzmiącym argumentem, odwodzącym ją od pomysłu wycieczki do Nowego Jorku.

- Czy Kali nie chodzi do szkoły? Zresztą, dzieciom w jej wieku nie wolno wchodzić do pubów.

Żałosna próba.

- Moje dziecko wpuszczają. Poza tym nie co dzień zdarza się okazja, żeby za darmo przenocować w Nowym Jorku. Kali jeszcze tam nie była.

- Dobrze, postawmy sprawę jasno. Jak rozumiem, chcesz wyciągnąć naszą córkę z przedszkola i zabrać ją do nowojorskiego pubu na wywrotowy koncert muzyki alternatywnej?

- Boże, chyba wyszłam za Tipper Gore - jęknęła, zaciskając na nim swój uchwyt. - Dlaczego zaraz wywrotowa? To koncert akustyczny. Potem zabiorę ją do Muzeum Sztuki Nowoczesnej, może do filharmonii. Moim zdaniem, to o wiele bardziej kształcące niż bawienie się klockami w „Pani Marty szkółce dobrego wychowania”.

- Och, błagam. Lubisz panią Martę, dobrze o tym wiesz. Sama się na tę szkołę zgodziłaś.

- Ale też nie ma sensu przesadzać.

- Może uda się jej zrobić w Nowym Jorku jakiś wystrzałowy tatuaż, co...?

- Chciałam z tym poczekać i zrobić jej niespodziankę na urodziny.

Przejrzał szybko obrotowy wizytownik, wyjął jedną z kart i wsunął ją do ręki Elise.

- Co to jest?

- Numer do hydraulika. Zamówisz go jutro przed południem, żeby naprawił rurę w suficie, zanim gościnne łóżko rzeczywiście runie do garażu.

- Nie moglibyśmy...

- Pojedźmy do Nowego Jorku jesienią, kiedy będę miał więcej czasu, Elise. Tylko we troje.

Położyła policzek na jego ramieniu, a on zaczął się wycofywać do kuchni.

- Obiecujesz?

Tym razem był gotów zełgać bez zajknięcia.

- Obiecuję.

Kiedy Egan się nachylił, żeby pocałować córeczkę w główkę, Elise wreszcie się zsunęła z jego pleców.

- Muszę pędzić, brzdącu. Możesz się oderwać od telewizora choć na taką krótką chwileczkę, żeby odprowadzić mnie do samochodu?

Egan odjeżdżał alejką sprzed domu, próbując jednocześnie prowadzić, machać ręką na pożegnanie i wybierać numer na telefonie komórkowym.

- Co słychać, Billy? - zapytał, ledwie unikając zarysowania stojącego na ulicy samochodu.

- Matt! Rozmawiałeś z Hillelem? Odchodzi od zmysłów, wciąż ciebie szuka.

- Wiem. Nagrał mi na komórkę z dwadzieścia wiadomości.

- To może się jednak zastanów, czy do niego nie oddzwonić. O ile wiem, widział się z Crenshawem, a Crenshaw aż się pali, żeby z tobą porozmawiać...

- Uhm, uhm...

- Słuchaj, Matt... Spójrz na to od strony politycznej, powinieneś wziąć pod uwagę spotkanie z dyrektorem. To jedyna szansa, żeby się dowiedzieć, co Hillel mu mówi.

- Nie wiem. Chyba ci za bardzo nie ufam jako doradcy politycznemu.

- Dzięki, chłopie - rzucił Fraiser, odbierając słowa Egana jako komplement, czym miały zresztą być.

- Masz coś od Lauren?
- Tak, ale nie było łatwo. Najpierw chcesz dobrą czy złą wiadomość?
- Dobrą.
- Nie sądzę, by robiła mnie w jajo. Myślę, że powiedziała mi wszystko, co wie.
- Niech zgadnę. Zła wiadomość jest taka, że powiedziała niewiele.
- Tego się właśnie obawiam. Praktycznie dostawałeś każdą informację poza jedną.

Kilka razy al Fayed kontaktował się z Karen Manning.

- Z Karen Manning? Naprawdę?

- Tak, chyba wpadła mu w oko. Policja mają na podsłuchu, ale za bardzo się nie przykładają, bo wciąż są pewni, że al Fayed jest daleko. Hillel kazał ją obserwować jakiegoś gościowi o nazwisku Roy Buckner.

Egan ściągnął brwi, zjeżdżając kołami na lewe pobocze, żeby wyminąć jakiś duży samochód kempingowy. Przez cały dzień udawało mu się unikać pytania: „Co dalej?” w nadziei, że Billy dowie się czegoś użytecznego. Ale przyszedł czas, by jasno sobie powiedzieć, że jedyne, co może robić, to czekać na ruch Fade'a. W tym czasie mógł się zastanowić nad sposobem rozszyfrowania ostatniej wielkiej niewiadomej w grze: generała Crenshawa.

- Jak mniemam, wciąż nie wiemy, gdzie Fade zaciągnął Manning?

- Jeszcze nie.

- Świetnie - powiedział Egan i zamilkł na dłuższą chwilę. Dobrego wyjścia po prostu nie było.

- Billy, zrobimy tak. Jak zjadę z szosy, wyślę ci emailem rysopisy i nazwiska, które wykorzystuje teraz Fade, oraz hasła do monitorowania transakcji na kartach kredytowych wydanych na te nazwiska...

- Wolne żarty! Masz takie rzeczy?

- Uhm, mam i chcę, żebyś zobaczył, co da się z tym zrobić. Jeśli jednak na coś trafisz, najpierw masz dzwonić do mnie. Dopiero potem pogadamy, czy dopuścimy do tego Hillela. Zgoda?

- Absolutnie. Zgoda., <

- Dobra. Daj mi adres Karen Manning.

- Myślisz, że coś tam można znaleźć?

- Prawdopodobnie nie, ale nie mam nic lepszego do roboty.

- Co z Crenshawem?

- Muszę się zastanowić.

Rozdział czterdziesty drugi

- To koniec? - zapytała Karen, wjeżdżając ostrożnie cadillakiem do małego garażu.

Kiedy znaleźli się w środku, Fade sięgnął po pilota i blaszane drzwi zaczęły opadać z głośnym zgrzytem.

- Wszystkie wydrążone kratery zostały zdobyte - oznajmił, wysiadając z samochodu i kuśtykając przez otwarte drzwi, znajdujące się tuż przed przednim zderzakiem.

Odkręcił kran, poczekał kilka sekund, aż polecą czysta woda i napełnił nią dwie szklanki. Kiedy się odwrócił, by jedną z nich poczęstować Karen, zobaczył, że zamarła w drzwiach, wpatrując się w resztki podartej taśmy, która wisiała wciąż z krzesła na środku pokoju.

- Co byś zrobił? - zapytała. - Co byś mi zrobił wtedy, gdybyś nie włączył telewizora i nie dowiedział się, że jestem policjantką?

Obrócił krzesło i usiadł na nim, prostując dla próby prawą nogę. Była sprawniejsza niż przed godziną, ale poprawa wydawała się minimalna. Uraz, którego doznał w wyniku kopniaka Bucknera, prawdopodobnie się okaże trwały.

- Postraszyłbym cię jak diabli i puścił wolno. Najwyraźniej nie czuła się dość pewnie, by przekroczyć próg pokoju.

- Właż, Karen, daj spokój, nie patrz tak na mnie. Jestem żołnierzem, nie zwierzęciem.

- Naprawdę to powiedziałeś? t

- Co?

- Uups. Kiedy zabiłeś tę rodzinę?

Spuścił wzrok na stopę i zaczął kręcić nią kółka, jakby był nieobecny.

- Czy nasze stosunki są aż tak zażyłe?

- To znaczy?

- Mam się teraz zachować jak w kiepskiej scenie filmowej, w której facet opowiada, jak to zabił o paru ludzi za dużo i ma nagle wyrzuty sumienia?

- Nie wiem. Tak było?

- Tak. Tak było - powiedział, podnosząc się z krzesła. - Tak właśnie było.

Zaskoczyła go, gdy weszła raptem do pokoju i szła w jego stronę, dopóki ich twarze nie zbliżyły się na odległość kilkunastu centymetrów.

- Nie. To za mało. Chcę znać prawdę.

- Prawdę?

Przytaknęła, choć w ruchu jej głowy był cień niepewności.

- Wiesz, co najbardziej wkurza, Karen? To, że pilot z lotniskowca jednym przyciśnięciem guzika może zmieść z ziemi tysiąc kobiet i dzieci i nikt nic nie powie. Tymczasem kiedy facet taki jak ja zabija drobniutki ułamek tej liczby, a każda jego ofiara to stuknięty sadysta, który na to zasłużył, to robi się ze mnie łajdaka. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi nie. Nie czuję się z tym źle, że zabijam. Myślisz, że z tymi ludźmi można negocjować? Równie dobrze możesz spróbować coś tłumaczyć zranionej cywecie. Robiłem to, bo wierzyłem, że tak trzeba i że świat staje się dzięki temu lepszy.

- A teraz?

Minęło kilka sekund, zanim odpowiedział.

- Teraz myślę, że może nie o to w tym wszystkim chodziło. Może byłem tam tylko po to, żeby banda wymoczkowatych biurokratów mogła poczuć siłę i dać wyborcom złudzenie, że są bezpieczni. Albo gorzej, może politycy mnie wykorzystywali do rozjątrzenia problemu, żeby wystraszyć społeczeństwo i zmusić je do przekazania im więcej władzy. W najlepszym razie, moje życie nie miało dla nikogo znaczenia. W najgorszym... - Zawiesił głos i pociągnął łyk wody ze szklanki. - Cóż, nie ma sensu rozwodzić się nad najgorszym, prawda?

Wydawało się, że Karen nie ma żadnej odpowiedzi. Stała tylko i wpatrywała się w niego bez wyrazu. Dobrze było chociaż to, że chyba już się go nie bała. Zaczynali go męczyć ludzie, którzy się boją.

- Musimy się pozbyć samochodu - powiedziała w końcu. - Co?

- Gdybym była Stranem, podałabym policji opis wozu i powiedziała, że jesteś poszukiwany w sprawie o terroryzm i że jeśli ktoś cię zobaczy, powinien cię mieć na oku i natychmiast zawiadomić Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Twój cadillac jest raczej oryginalny.

- Nie ma mowy. Samochód to jedyna jasna strona mojego życia. Prędzej w nim zginę, niż się go pozbędę.

- Jezu Chryste! - wykrzyknęła, wprawiając go w takie zdumienie, że cofnął się o krok.
- Może jednak mógłbyś trochę współpracować! Pewnie tego nie wiesz, ale w tej chwili moje życie również nie jest takie porywające, chociaż jeszcze parę tygodni temu wszystko było w porządku. Och, jasne, niektórzy faceci w policji to szowinistyczne świnię, ale byłam dobra w swoim fachu i ich lament był po prostu żalony. Było prawie pewne, że któregoś dnia czeka mnie awans na kapitana. Do diabła, mogłam znaleźć faceta, na tyle pewnego, by wyjść za niego za mąż i mieć z nim parę dzieci. Ale to już przysło. Teraz na gwałt potrzebuję firmy PR, która pracuje pełną parą, po to tylko, żebym nie wyszła na kompletnego imbecyla! Na

dodatek uciekam przed zabójcami najętymi przez rząd. Doprawdy, miło mi było ciebie poznać, zdrańcu!

Przez chwilę Fade myślał, że Karen zaraz go walnie, ale po tym wybuchu gniewu jakby się uspokoiła.

Oczywiście ma rację. Naprawdę nieźle ją wydymał. Jednak wobec tylu radości, które go dzisiaj spotkały, trudno było mu teraz nad tym medytować. Roya Bucknera zabił katapultą, chłopców Hillela Stranda ostrzelał ślepakami z karabinu maszynowego zamontowanego przemyślnie w bagażniku i znalazł sobie na pewien czas sojuszniczkę, która była piękna, bystra i twarda jak skała. To bez dwóch zdań jego najlepszy dzień od wielu lat.

- Tak, masz rację, Karen. Bardzo mi przykro...

- Zamknij się! Jeszcze nie skończyłam! - powiedziała, celując w niego podniesionym palcem. - Jakie masz prawo się rozbijać i zabijać ludzi, którzy cię wkurzyli? W taki sposób się nie rozwiązuje konfliktów, Fade.

- Ależ właśnie w taki sposób. Powiem więcej, żyłem z tego...

Z jej gardła wyrwał się gniewny wrzask, odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku jego prowizorycznej sypialni.

- Zostaw mnie... Po prostu mnie zostaw. Muszę pomyśleć. Dobrze?

- Hej, rozumiem, to był ciężki dzień. Oboje jesteśmy trochę spięci. Wiesz, co w takich sytuacjach najlepiej poprawia samopoczucie? Szybki numerek.

Karen stanęła jak wryta, jakby wpadła na jakąś niewidzialną ścianę.

- Co powiedziałeś?

- No, wiesz, małe bara bara. Przyznaj. To zawsze pozwala spojrzeć na wszystko z innej perspektywy...

- Czy ty... czy ty jesteś zdrowy na umyśle? Właśnie zabiłeś człowieka i chcesz... chcesz...

Była tak rozsierdzona, że nie potrafiła nawet dokończyć zdania. Z drugiej strony, właściwie nie powiedziała „nie”. Fade poczuł, że ma jeszcze lepszy humor.

- Nie ma sensu wracać do zamierzonych czasów, Karen.

- To było parę godzin temu!

Nawyk cedzenia słów przez zaciśnięte szczęki w chwilach zdenerwowania przydawał jej uwodzicielskiego uroku.

- Godzina. Rok. Dekada. Nikt nigdy do niczego nie doszedł, wracając ciągle do przeszłości. No, z wyjątkiem historyków...

Jeszcze gniewny syk i Karen przeszła spokojnie przez drzwi, zatraskując je za sobą z taką siłą, że odprysł kawałek framugi.

- I paleontologów - krzyknął jeszcze. - Myślę, że paleontolodzy mają się całkiem dobrze.

- Zamknij się! - dobiegł go zza drzwi stłumiony okrzyk.

Uśmiechnął się szeroko i znalazł sobie w miarę wygodne miejsce na podłodze, gdzie się ułożył i przymknął oczy. Po raz pierwszy, jak sięgał pamięcią, czuł, że rzeczywiście chce mu się spać. Nie leżeć, zapadając tylko czasem w półsen, ale naprawdę spać.

Wyglądało na to, że jest lepiej.

Fade obudził się nerwowo, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Upłynęło kilka sekund, zanim się wybudził z nietypowej dla siebie ospałości, a kiedy już się wybudził, spodziewał się, że zobaczy wokół gliniarzy ze strzelbami albo agentów rządowych uzbrojonych w fortepianowe struny. Pokój był jednak pusty, a jedynym dźwiękiem, który do niego docierał, był szum telewizora, sączący się zza zamkniętych drzwi sypialni.

Wstał ciężko i przeciągnął się, ziewając szeroko. Zauważalna wcześniej poprawa w prawej nodze jakby wyhamowała, co było przygnębiające. Fade nie potrafił się już zmusić, by bliżej się jej przyjrzeć. Nic nie mógł zrobić, nie było więc sensu o tym myśleć. Zawsze wiedział, że kiedyś to się stanie, i stało się, jest bardzo realne - nie jest to już duch, który czyha, by wyskoczyć, gdy tylko przestanie na niego uważać.

Starając się utrzymać równy krok, przeszedł pod zamknięte drzwi, uchylił je i wsunął do sypialni głowę. Karen siedziała na materacu, zajmującym niemal całą powierzchnię podłogi, ze wzrokiem przykutym do stojącego przed nią małego, czarnobiałego telewizora.

- Mówią o nas w telewizji? Podniosła rękę, by zamilkł.

- Znaleźli ją.

- Kogo?

- Stephany Narwał.

- Kto to jest? - zapytał, obchodząc materac, by lepiej widzieć ekran.

- Kobieta, która zaginęła. Znaleźli jej ciało.

- A tak, zapomniałem. Zajmowałaś się tą sprawą.

- Dotychczas zawsze było tak samo - ciągnęła. - Nagie zwłoki gdzieś w lesie, w Wirginii, dokładnie szesnaście dni po zniknięciu kobiety...

- I co?

- Teraz mamy czternasty dzień, a ona wisiała na drzewie spalona. - Karen podniosła na niego oczy. - Tacy kolesie nie zmieniają sposobu działania bez powodu. Kierują się planem...

- Chcesz piwo? Robi się ciep...

- Masz telefon?

Rzucił jej telefon i patrzył, jak uderza w klawisze.

- John! Co się dzieje, do cholery?

Fade wrócił wolno do pokoju i wydobył spod zlewozmywaka piwo, słuchając jednym uchem, co mówi Karen.

- Chyba żartujesz. Notatka? Będziesz w stanie coś z tego zrobić? Uhm, hm... Ale jesteś pewien, że to on... Daj spokój, to wcale nie jest śmieszne, mówisz poważnie. Chryste. U mnie? Nie, w jak najlepszym porządku. Dlaczego miałoby być inaczej? Uhm, hm. Dobra. Złap go.

Fade oparł się o framugę i patrzył, jak Karen rzuca telefon obok na materac.

- Nie uwierzysz - powiedziała.

- W co takiego?

- Wiesz, dlaczego zmienił sposób działania? Fade potrząsnął głową.

- Jest zazdrosny. - O co?

- O ciebie...?

- Nie kapuję.

Zmieniła pozycję, by lepiej go widzieć.

- Musisz zrozumieć, że ten facet ma jeden cel w życiu, chce zaistnieć w mediach. Wydaje mu się, że jest sławny i ma władzę... Jest kimś, kogo Ameryka boi się najbardziej. Nagle się pojawiaasz ty, telewizja w całym kraju przedstawia cię jako nieprawdopodobnie niebezpiecznego psychopatę, człowieka, który bez wysiłku wytlukł oddział SWAT. Więc raptem on wygląda bardzo żałośnie.

- Chyba żartujesz?

- Ani trochę. Facet podbija więc stawkę, bo chce ściągnąć uwagę znowu na siebie.

Wiesz, co to znaczy?

- Niezupełnie.

- Wszystko, co robił do tej pory, było zaplanowane w najdrobniejszym szczególe.

Teraz odstąpi od tego. Może popełnić błąd.

Fade otworzył puszkę piwa, trzymając ją z dala od siebie na wypadek, gdyby wyprysnęło.

- Cóż, niech szczęście mu sprzyja, ja nie żyję po to, żeby istnieć w mediach. Im bardziej mu odbija, z tym mniejszą skrupulatnością będę miał do czynienia.

Spojrzała na niego tak, jakby zastrzelił jej kota. - Co?!

- Są przekonani, że ma już następną dziewczynę, tę, która zginęła kilka dni temu, tak? Media zaraz zaiskrzą, pojawią się nowe tropy, a policja będzie robić wszystko, żeby go dopaść, zanim uśmierci panienkę. To daje mi wolną rękę. Do licha, niewykluczone nawet, że dadzą mi spokój, jeśli dojrzą mnie gdzieś na ulicy. Jak by to wyglądało, gdyby mnie teraz złapali? Ludzie ukrzyżowaliby ich żywcem za wykorzystywanie funkcjonariuszy do zemsty na kimś, kto pozabijał im kumpli, podczas gdy jakaś biedna dziewczyna umiera potworną śmiercią. - Pociągnął długi łyk piwa. - Teraz to już na pewno mogę zatrzymać sobie samochód.

- Samochód? Samochód?! A co z dziewczyną? Wiesz, przez co ona przechodzi? A co z tą, która ma być następna?

Fade wzruszył ramionami.

- Kobiety giną na świecie każdego dnia, Karen. Umierają w tak okrutny sposób, że ten facet nawet sobie tego nie wyobraża. Dlaczego nad nimi nie wylewamy łez?

Rozdział czterdziesty trzeci

- Chciałem tylko przypomnieć, że jeszcze jestem, Hillel. I wybieram się po ciebie.

Strand rzucił - telefon. Odgłos łamiącego się plastiku jeszcze bardziej spotęgował bolesne rwanie w głowie. Potem skasował wiadomość. Wszystkie telefony miały przechodzić wyłącznie przez Lauren. Kiedy go poinformowała, że na linii czeka al Fayed, Strand powiedział, żeby nie łączyła rozmowy. Po jaką cholere przełączyła go na automatyczną sekretarkę?

Sięgnął znowu po telefon, żeby wybrać numer Matta Egana, chyba po raz setny, ale zamiast dzwonić, stanął przy oknie i próbował uspokoić oddech.

Sytuacja była praktycznie opanowana i nagle się gwałtownie pogorszyła, niemal nie dawała nadziei. Usunięto już ciało Bucknera i samochód, i nigdy nie zostaną odnalezione, ale Strand nie potrafił wymazać z pamięci opisu zwłok byłego żołnierza. Bucknera nie zastrzelono, nie został nawet wprawnie pchnięty nożem. Jak się zdaje, pobito go na śmierć ciężkim, tępym narzędziem. Kiedy Banes składał raport, łatwo było sobie wyobrazić, jak al Fayed, zbryzgany krwią i odłamkami kości, wali w czaszkę Bucknera młotkiem i roi sobie przy tym o osobie będącej prawdziwym obiektem jego dążeń.

Strand złożył ręce na piersi i przysiadł na biurku, usiłując skupić wzrok na krajobrazie za oknem, ale tak naprawdę niewiele widział.

Karen Manning zniknęła, zostawiając tylko samochód. Wydawało się oczywiste, że Fade wszystko jej powiedział, i że słyszała, co mówi Buckner podczas ich rozmowy telefonicznej. To, że nie wypłynęła jeszcze na powierzchnię, oznaczałoby, że wciąż przebywa z al Fayedem i być może zaczyna w nim widzieć protektora. Z pewnością jest w tej chwili zagubiona i wystraszona, ale jej niepewność nie będzie trwała wiecznie. Jest była policjantką, o której zrobiło się głośno, i pochodzi z wpływowej rodziny, co jej ewentualną ucieczkę czyniło mało prawdopodobnym. Miała teraz do wyboru albo policję, albo prasę, albo ojca. Strand miał oko na wszystkie te trzy sfery.

W końcu sięgnął po telefon, znowu wybrał numer Egana i znowu usłyszał nagrane powitanie i prośbę, by zostawić wiadomość.

To chyba nie dzieje się naprawdę. Wszystko, na co pracował, wszystko, co dotychczas osiągnął - zawisło na włosku z powodu jakiegoś psychotycznego trepa z marynarki i jakiejś skompromitowanej policjantki.

Egan szedł cichutko przez wysoką trawę oddzielającą dwa małe domy i wyszedł na chodnik. Dom Karen Manning znajdował się na wprost niego, po drugiej stronie ulicy, wciąż pograżony w ciemności, jeśli nie liczyć przyćmionej lampy nad wejściem.

Przetrząsnął okolicę na tyle gruntownie, że zaczynał się niepokoić, czy ktoś nie zwrócił na niego uwagi i nie zawiadomił policji. Jak na razie jednak nic się działo. Wydawało się prawdopodobne, że Manning wyszła z domu, a Roy Buckner ruszył za nią. Nie pozostawało mu nic innego jak czekać. Zapewne na próżno. Poważnie wątpił, by Fade miał się tu zjawić, a jeśliby się zjawił, to nie po to, żeby odnaleźć Karen Manning, lecz jego.

Egan zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie w stanie prowadzić tę grę. Dzień spędzony w domu, zamiast pomóc mu obniżyć poziom stresu, tylko go podwyższył. Nie był pewien, jak długo wytrzyma w tym oczekiwaniu, nim w końcu porwie telefon, zadzwoni do Fade'a i zaproponuje mu jakieś miejsce na spotkanie. Gdzieś, gdzie mogliby wszystko zakończyć.

Telefon w kieszeni zaczął wibrować. Wyjął go i zanim odebrał, zerknął, kto dzwoni.

- Cześć, Billy. Powiedz, że masz dobre wiadomości.

- Chciałbym. Słuchaj, chłopie, musisz zadzwonić do Hillela.

- Nie teraz.

- Proszę, Matt. On kompletnie wariuje. Nie mogę się go pozbyć z pokoju, a kiedy siedzi mi nad głową, nie bardzo mogę ci pomóc.

Egan westchnął ciężko.

- No dobra, połącz mnie z nim.

- Mam u ciebie dług.

Na linii nastąpił krótki trzask, a potem zabrzmiał głos Stranda, niezwykle słabo.

- Matt, musimy porozmawiać. - Mów.

- Nie przez telefon. Osobiście. Chcę, żebyś tu się zjawił.

- Nie.

- Słuchaj, musimy się porozumieć. Ten brak współpracy staje się zbyt niebezpieczny.

Wiem, że popełniłem kilka błędów, ale wydarzyło się parę rzeczy, o których musisz wiedzieć.

Egan się namyślał przez chwilę. Nigdy nie ufał Strandowi, ale Hillel miał słuszość: spór, który narósł między nimi, trudno uznać za konstruktywny.

- W porządku. Spotkajmy się za dwie godziny na parkingu przy centrum handlowym Tyson's Corner, przed wejściem do Nordstroma.

- Wiesz, Matt, że nie mogę tego zrobić. Al Fayed mógłby... - Na własne szczęście zamilkł, kiedy sobie uprzytomnił, że Egan od samego początku działa w terenie.

- Twój wybór, Hillel. Do zobaczenia. - Czeka! Czeka!... Wygrałeś. Będę.

Rozdział czterdziesty czwarty

- Możesz mnie połączyć z automatyczną sekretarką? - powiedziała Karen Manning do telefonu Fade'a.

- Twój ojciec jest w gabinecie, Karen. Na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać...

- Nie, nie. Chcę tylko zostawić wiadomość. Ja... Ja zaraz mam ważne spotkanie i nie mam czasu na rozmowę.

Podczas gdy sekretarka ojca biła się z myślami, Karen patrzyła, jak Fade okleja taśmą chromowany zderzak cadillaca. Utykanie stało się mniej widoczne, a samopoczucie wciąż się poprawiało, choć bardzo delikatnie.

- Dobrze, Karen. Przełączę cię od razu na sekretarkę, ale jakby co, to się upierałaś, tak?

- Upierałam się.

Poczekala na sygnał i zaczęła mówić, przybierając radosny ton.

- Tatko? Witaj, słuchaj, obawiam się, że przez parę następnych dni czeka mnie mnóstwo zajęć i nie będę mogła się pokazywać publicznie. Mógłbyś przekazać swoim pijarowcom, żeby na razie próbowali pociągnąć wszystko beze mnie i że się odezwę, gdy tylko będę mogła, dobrze? Może zjedlibyśmy obiad w ten weekend? Pogadamy za parę dni...

Wyłączyła telefon z nadzieją, że jej głos brzmiał dość przekonująco, i znowu zaczęła się przypatrywać Fade'owi. Wciąż nie była pewna ani kim on jest, ani na jakim wspólnym gruncie z nim stoi. Nie był psychopata, to jasne. Socjopata? Być może, ale po wysłuchaniu go

łatwo było zrozumieć, skąd się wziął jego gniew i brak poszanowania dla ogólnie przyjętych norm moralnych. Czy osoba, która zabija w imię prawa, dla zachcianek polityków, jest bodaj odrobinę mniej mordercą niż ktoś, kto zabija z zemsty lub chęci zysku? Czy myślał racjonalnie, zakładając, że ona i jej oddział stanowią dla niego śmiertelne zagrożenie? Jeśli tak, to czy miał uzasadnione prawo do obrony? Co zrobiłaby na jego miejscu?

Pokręciła głową i zmusiła się, by wyrzucić z niej myśli, które bezpośrednio nie wiązały się z próbą wybrnięcia z tego bagna.

- Myślę, że zieleń to jednak nie to - powiedział, podnosząc na nią wzrok. - Co powiesz na różowy, z wielką trupią czaszką na masce?

- Coś w rodzaju ekspedientki Mary Kay z piekła rodem?

- Kupuj pan szminkę albo po twojej rodzinie!

- Czy możemy porozmawiać?

Fade nie zawrócił uwagi na jej pytanie, uważając, aby przy oklejaniu reflektorów nie zasłonić taśmą otworów na lufy karabinów maszynowych.

- Fade?

- Zdarzyło ci się kiedyś, żeby rozmowa, która zaczyna się od słów: „Czy możemy porozmawiać?”, była choć trochę przyjemna?

- Chyba nie - zgodziła się. - Słuchaj. Jak na wielokrotnego zabójcę, wydajesz się w miarę porządnym facetem...

- Dzięki.

- Ale rozumiesz chyba, że nie mam ochoty stać się połówką pary Bonnie i Clyde.

Fade przeszedł do lśniącej, chromowanej kraty na chłodnicę.

- Ty prowadziłaś samochód, Karen. Mogłaś jechać, gdzie chciałaś. Nie powstrzymywałem cię.

- Nie twierdzę, że mnie powstrzymywałaś. Chodzi mi o to, że jestem w kropce i nie wiem, do kogo się dalej zwrócić. Prawdopodobnie Strand ma w ręku prasę i policję...

- FBI? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Myślałam o tym, ale szczerze mówiąc, granice między FBI a Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego są dzisiaj bardzo zatarte.

- Może ojciec? To chyba jakiś Bill Gates czy ktoś taki, prawda?

- Nigdy nie pozwolę mieszać w to mojego ojca. Nigdy. Uśmiechnął się.

- Wygląda więc na to, że jesteś skazana na mnie. - Fade...

Wreszcie się wyprostował i odwrócił do niej.

- Posłuchaj, Karen. Jeden problem mamy na pewno wspólny: to Hillel Strand. Jesteś niezłym śledczym, prawda? Z kolei ja, powiedzmy to sobie szczerze, znam się trochę na zabijaniu. Dlaczego więc nie połączyć tych dwóch talentów i nie rozwiązać ostatecznie problemu?

- Ponieważ nie jestem morderczynią, a nawet gdybym była, nie mielibyśmy szans, żeby go dorwać. Strand ma do dyspozycji wszelkie możliwe środki świata, a my nie mamy nic.

Fade skinął głową rozczarowany, ale najwyraźniej nie zaskoczony.

- Jak rozumiem, to ma prowadzić do jakichś wniosków?

- To raczej obserwacja. Hillel Strand chce mnie zobaczyć martwą tylko dlatego, żeby nic nie wyszło na jaw.

- Więc?

- Więc musimy wszystko ujawnić.

Fade się odwrócił do auta i zaczął oklejać antenę radiową.

- Sama przed chwilą powiedziałaś, Karen. Będą mieć oko na media i żeby zamknęły dziób, będą je straszyć byle gównem z Ustawy Patriotycznej.

- Zgadzam się. Największe tytuły nie wchodzą w grę.

- To może „National Enquirer”? Salam al Fayed jest ojcem mojego ufoludka?

Zmarszczyła srogo brwi.

- Internet.

Fade przerwał oklejanie.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? Dlatego, że utrzymywanie tajemnicy sprzyja tyleż Hillelowi, co i mnie. Jeśli wszystko wyjdzie na jaw, podejście jego czy Matta stanie się dla mnie niemożliwe. Skończy się na tym, że przeniosą ich na jakąś Antarktykę albo zostaną objęci rządowym programem ochrony świadka czy czymś w tym rodzaju. Nie ma mowy. Rozjaśnienie sprawy tylko utrudni mi zadanie.

- Zadanie? Cóż to za zadanie, Fade? Zastrzelić ich? Twoja głupia zemsta nic mnie nie obchodzi. To jest moje życie!

Fade przeszedł powoli na drugą stronę samochodu. Odniosła wrażenie, że utykanie znowu jakby się pogłębiło; przypomniała sobie o paraliżu, który z wolna się rozprzestrzeniał od uszkodzonego kręgosłupa.

- Przepraszam... Fade. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak bym się czuła na twoim miejscu. Prawdopodobnie robiłabym to samo. Ale jako ktoś, kto patrzy na to z zewnątrz, mogę ci powiedzieć, że zabicie tych ludzi nie odwróci tego, co się stało. Co powiesz? Wystarczy, jeśli obiecuję, że te gnojki trafią do więzienia? Co ty na to?

Na Fadzie, jak się zdawało, nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Nigdy nie chciałem, żeby to się stało, Karen. Wiem, że to moja wina. Ale... - urwał.

- Wiem.

Zachodziła w głowę, jak znaleźć jakieś wyjście dla Fade'a. Jednak bez względu na to, z jakiej strony podchodziła do problemu, zawsze kończyła w ślepych zaułku. Nie można było uciec od faktów: zabił policjantów, podtruł sekcję Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i próbował wywołać strzelaninę w szpitalu. Ale gdyby jakimś cudem udało mu się wybronić przed tymi zarzutami? Czyż zanim zdążyłby przejść przez kolejne instancje sądowe, nie byłby już uwiązany do fotela inwalidzkiego, niezdolny się poruszyć ani nic powiedzieć? Próbowała spojrzeć mu w oczy, ale po chwili odwróciła wzrok i wpatrzyła się w popękany ceglany mur.

- Dobrze - powiedział, przerywając wreszcie długie milczenie. - Ujmując rzecz czysto hipotetycznie, o czym tak naprawdę myślisz?

Rozdział czterdziesty piąty

Egan wyłączył reflektory i kierował się już wyłącznie jarzącym światłem, padającym z witryn zamkniętego centrum handlowego. Kiedy się zatrzymał za samochodem, który stał samotnie w odległym narożniku parkingu, wysiadło z niego trzech mężczyzn.

Strand zapobiegliwie trzymał się między Banesem i Despainem. Krótkimi, szybkimi ruchami obracał głowę to w prawo, to w lewo, niczym ptak. Po chwili podeszli do drzwi pasażera, które Egan pchnięciem otworzył szeroko. Banes chwycił klamkę tylnych drzwi, ale były zamknięte.

- Tylko ty - powiedział Egan.

Przez chwilę Strand wydawał się niepewny, choć w półmroku i po widocznych wciąż skutkach urodzinowej niespodzianki Fade'a trudno było dostrzec jego prawdziwy wyraz twarzy. W końcu się zgodził. Egan przycisnął gaz i wyjechali na drogę wiodącą dookoła parkingu. Spojrzał jeszcze w lusterko wsteczne, ale Banes i Despain wsiedli z powrotem do swojego samochodu i już w nim pozostali.

- Więc coś takiego ważnego się stało, żeś wypełzł spod biurka i przyszedł mi o tym opowiedzieć?

Strand zignorował obraźliwy przytyk.

- Musimy zapomnieć o dzielących nas różnicach, Matt. W przeciwnym razie nie wyjdziemy z tego cało.

- Słucham.

- Rozmawiałeś już z dyrektorem? Egan pokręcił głową.

- Po obu atakach, w biurze i szpitalu, jego ludzie nie dają mi spokoju. Zrobiłeś błąd, przyjeżdżając do nas i wyrzucając jednostkę ratownictwa...

Egan zaczął się śmiać, a Strand wyciągnął rękę, w uległym geście, dziwnym u niego, prosząc o ciszę.

- Na nikogo nie próbuję zrzucić winy, Matt. Chcę tylko nakreślić sytuację, z którą musimy się uporać. Crenshaw chce wiedzieć, skąd miałeś pewność, że to nie był atak biologiczny. Na razie puściliśmy wersję, że rozmawiałeś z lekarzami w szpitalu i powiedzieli ci, że to chemiczne zatrucie. Oczywiście, ja również popełniłem poważne błędy...

Jego ton zdawał się mówić, że nie ma na myśli własnej głupoty, przez którą wciągnął wszystkich w tę sytuację, ale coś bardziej konkretnego i nieodległego w czasie.

- Kiedy się urwałeś Bucknerowi, przerzuciłem go na Karen Manning[^] - mówił dalej Strand. - Trochę na chybił trafił, ale miałem jakieś przeczucie, że al Fayed może się z nią kontaktować.

Egan ściągnął w złości brwi, ale powstrzymał się szybko, zanim Strand zdołał coś zauważyć w padających raz po raz smugach światła. Strand nie wiedział, że Lauren puściła farbę na temat cenzurowania policyjnych raportów, a nie miał zamiaru przyznać, że owo „przechucie” brało się z licznych, zarejestrowanych rozmów telefonicznych między Manning a Fade'em. Mało obiecujący początek jak na próbę odbudowania wzajemnego zaufania.

- I?

- Przechucie mnie nie zawiodło. Po jakimś czasie Buckner zadzwonił do mnie i powiedział, że schwytał Fade'a przy jakimś szlaku turystycznym pod Waszyngtonem. Powiedział również, że zjawił się zbyt późno, by uratować Karen Manning. Że al Fayed ją zabił.

Egan zacisnął mocniej ręce na kierownicy, by nie rzucić się Strandowi do gardła. Nie ma takiej możliwości, po prostu nie ma, żeby Fade wziął na cel Karen Manning.

- Jeśli ta kobieta nie żyje, Hillel, przysięgam na Boga, że...

- Żyje! - rzucił szybko Strand, a do jego głosu zaczynała się już wkradać znajoma nuta złości. - Pozwól mi skończyć! Kiedy rozmawiałem z Bucknerem, mówił... jakoś dziwnie. Miałeś rację. To nie był zrównoważony facet...

- Jezu Chryste, Hillel. Przejdź do rzeczy. Co się stało?

Strand zignorował pytanie, ciągnąc narrację, która wydawała się aż nadto dobrze wyćwiczona.

- Powiedział mi, gdzie jest, i natychmiast wysłałem tam Banesa i Despaina. Kiedy dotarli na miejsce, al Fayed i Manning już odjeżdżali. Uciekli im.

Egan odetchnął z ulgą, głośno i powoli.

- Co z Bucknerem?

- Nie żyje.

Strand usadowił się wygodnie, najwyraźniej kończąc swoją opowieść i dając Eganowi czas, żeby to przemyślał.

Oczywiście, wszystko to wierutna bzdura. Hillel się przestraszył, że Manning poznała od Fade'a całą historię, i zdał sobie nagle sprawę, że w tej sytuacji najbardziej byłoby mu na rękę zabicie obojga; małe, czyste morderstwo samochodowe, nie budzące zbyt wielu pytań. Tyle tylko, że Buckner wszystko spał. W ten sposób Strand ma teraz na głowie ludzi dyrektora, którzy zaczynają coś węszyć, Fade'a, którego oddech wciąż czuje na karku, i dodatkowo Karen Manning, która się zastanawia, co począć z tym, że rządowi agenci usiłują pozbawić ją życia. Ślicznie.

W tej chwili zadzwonił telefon. Egan ściągnął go z tablicy rozdzielczej.

- Co jest?

- Matt! Dzięki Bogu - głos Billa Faisera.

- Poczekaj. - Egan włożył słuchawkę do ucha, a Strand patrzył na niego z ciekawością.

- No, co jest?

- Po pierwsze, wydaje się, że zniknął Hillel, a jego goryle razem z nim. Nie wiem gdzie, ale według mojego rozeznania w ogóle wyszedł z budynku. Miej oczy z tyłu, tylko coś grubego mogło go stąd wyciągnąć.

- Jestem kryty, dzięki...

- Czekaj! Jesteś tam jeszcze? - Uhm...

- Siedzisz?

- Hm, uhm...

- Fade użył jednej z kart.

Egan poczuł lekkie uderzenie adrenaliny, prawdopodobnie całej resztki, jaka w nim jeszcze została, ale zachował stonowany głos.

- Mów dalej.

- Musi mu się kończyć gotówka. Mamy jedną transakcję w „Computer City”, a drugą ze sklepu samochodowego z farbami.

- Masz jakieś szczegóły?

- W „Computer City” zostawił paręset dolarów, ale mam kłopot z wyciągnięciem paragonu ze szczegółową listą zakupionych artykułów. Ale jest lepsza wiadomość, facet ze sklepu samochodowego dobrze go zapamiętał. Zdaje się, że poszedł w burgundowy metalik.

- Gdzie?

- Gdzieś koło Baltimore, ale jeszcze się dowiem. Jest jeszcze jedna transakcja, u dostawcy Internetu. Punkt jest już zamknięty, ale próbuję złapać właściciela w domu. Jeśli al Fayed wykupił dostęp do sieci, to musiał podać aktualny adres.

- Poczekaj chwilkę - powiedział Egan.

Pochylił się i otworzył drzwi pasażera. Silne pchnięcie, przy dość ostrym skręcie w lewo, wyrzuciło Stranda na chodnik. Egan patrzył we wstecznym lusterku, jak Strand się turla parę metrów. Potem skręcił do wyjazdu z parkingu.

- Przepraszam, Billy. Możesz powtórzyć, co mówiłeś?

Rozdział czterdziesty szósty

Karen Manning oparła się o materac i wklepała jeszcze parę zdań do laptopa Fade’a. Kilka lat temu chodziła na wieczorowy kurs tworzenia stron internetowych - potworne doświadczenie, na które jednak chętnie przystała, ponieważ bardzo się durzyła w nauczycielu. Choć sprawy z nauczycielem nie ułożyły się zbyt pomyślnie, to udało się jej w tym czasie stworzyć, może żalną, ale w miarę dobrze działającą witrynę, za którą dostała jedyną w życiu trójkę - szczególnie upokarzającą, ponieważ kiedy były wystawiane oceny końcowe, sypiała już z nauczycielem. Gdyby wiedziała, że któregoś dnia jej życie będzie zależało od umiejętności programowania, mniej czasu poświęciłaby na flirty, a więcej na naukę.

Zerkając przez otwarte drzwi, zobaczyła Fade’a w tej samej pozycji, w jakiej tkwił od godziny: siedział na podłodze, z głową wciśniętą w narożnik, i wpatrywał się bezmyślnie w ścianę. W końcu się zgodził na jej plan, a potem, z zastraszającą prędkością, zapadł w stan wpółkatatonicznej depresji, za którą się czuła odpowiedzialna. W tym, co robiła, Fade widział ostateczny koniec szans, by dopaść ludzi, którzy zniszczyli mu życie, a Karen nic nie mogła poradzić na to, że kładąc kres tej hulance, czuła irracjonalne wyrzuty sumienia. Obląkanie, jak widać, bywa zaraźliwe.

- W jakim okresie pracowałeś w CIA, Fade? I kto był twoim bezpośrednim przełożonym?

Fade przeniósł wolno spojrzenie ze ściany na Karen, ale nie odpowiedział.

- Fade? Możesz się skoncentrować na chwilę?

- Wkurzysz kupę ludzi, Karen. Wszystko, o czym piszesz, to sprawy ściśle tajne. Może jednak ich kropniemy?

- Nikogo nie będziemy zabijać, Fade. Daj już spokój, dobra? To jest właśnie wielka zemsta. Nie tylko zrujnuje Stranda, ale wreszcie twoja historia wyjdzie na światło dzienne i każdy będzie mógł ją poznać. Jeśli nie opowiemy absolutnie wszystkiego zgodnie z prawdą, te gnoje wykorzystają każdą niedokładność i każdy pominięty szczegół, żeby podważyć naszą wiarygodność.

Zebrał się na nogi i przeszedł przez pokój, znikając jej z pola widzenia. Chwilę później usłyszała włączony telewizor.

- Fade, wyłącz telewizor i chodź tutaj. Sama tego nie zrobię.

Znowu brak reakcji. Odłożyła laptopa na podłogę, obok otwartej książki Budowa stron www dla opornych, podeszła do drzwi i przełączyła kontakt, zapalając wiszącą u sufitu żarówkę.

- Fade?

Wskazał na telewizor, a ona weszła i wychylając głowę nad jego ramieniem, spojrzała w ekran.

- Mamy już potwierdzenie, że opisywany przez nas mężczyzna to Harold Logner, główny podejrzany w tak zwanej sprawie „Kolekcjonera” - mówił z ekranu głos i zaraz pokazał się drgający obraz filmu wideo, kręconego najprawdopodobniej z helikoptera.

Kamera podążała śladem trzech policyjnych radiowozów, ścigających niebieskiego minivana z dokładnie zamalowanymi szybami. Kiedy van wypadł z rampy na autostradę, jedna z opon eksplodowała. Chwilę później kierowca samochodu był na nogach, przebiegł na skraj drogi i zaczął schodzić po betonowym murze osłaniającym autostradę. Zdołał zejść tylko jakieś dwa metry, po czym stracił oparcie pod stopami i spadł dobre pięć metrów w dół. Wylądował ciężko na trawiastym pasie oddzielającym obie nitki arterii. Policjanci również byli już na nogach i, poza jednym, biegli wzdłuż muru, szukając bezpiecznego zejścia. Tymczasem ten, który pozostał, stanął na barierce

. [?] w miejscu, przez które przeszedł Logner, i patrzył na leżące niżej nieruchome ciało. Kiedy Logner się poruszył i zdołał wstać, policjant skoczył. Leciał blisko siedem metrów, by wylądować idealnie na barkach ściganego. Obaj upadli, tracąc przytomność.

- O kurwa... - rzucił Fade, podchodząc do zlewu i napełniając wodą czajnik do herbaty. - Powinnaś była mieć tego gościa w swoim oddziale.

Film się urwał dość niespodziewanie, a ekran małego telewizora natychmiast wypełniła twarz reportera.

- Mamy teraz dla państwa bezpośrednią relację ze szpitala, do którego przewieziono podejrzanego.

Znowu nastąpiła zmiana obrazu, zniknął z ekranu reporter, a kamera pokazała drobnego mężczyznę, ze starannie zaczesanymi włosami i wypielęgnowanymi wąsikami, który leżał w szpitalnym łóżku. Jego ręce i lewą nogę przykrywała kołdra, ale było oczywiste, że z obu stron są przykute do metalowej ramy łóżka. Prawa noga w gipsie wisiała nad materacem na wysięgniku.

Mężczyzna mrużył oczy przed snopami światła, rzucanymi przez lampy bodaj wszystkich mediów w miasteczku, ale poza tym zachowywał znakomity humor.

- Boże - powiedziała cicho Karen. - To jest on? Chodź, zobacz!

Fade jednak był bardziej zainteresowany gotowaniem wody w czajniku.

- Jak państwo widzą - mówił Logner zniewieściałym głosem - w czasie zatrzymania policja postępowała niedelikatnie, doznałem złamania biodra i nogi, a ponadto pęknięcia obojczyka. Pod żadnym pozorem nie wolno nam tolerować przemocy wobec obywateli ze strony rządu i w tej sprawie zamierzam wejść na drogę prawną.

- Od kiedy policja pozwala takim ludziom na udzielenie wywiadu? - powiedział Fade.

Karen nie oderwała oczu od telewizora. To było dobre pytanie.

- Wiem, nad czym się zastanawiacie - mówił dalej Logner. - W obu wypadkach odpowiedź jest twierdząca. Tak, mam Elizabeth Henrich i dziewczyna wciąż żyje. Choć, oczywiście, w takich okolicznościach nie mogę ujawnić miejsca jej pobytu...

- Nawet nie stara się zaprzeczyć - powiedziała Karen. - Jezu. To naprawdę on. Złapali go...

Fade wrzucił makaron z serem do wrzątku i przeszedł parę kroków, by zerknąć w ekran telewizora.

- Zapas wody wystarczy panie Henrich, tak na marginesie bardzo miłej, młodej panience, jeszcze tylko na kilka dni. Choć nietrudno sobie wyobrazić, jak mierniam, że może pożyć trochę dłużej, jeśli będzie przezorna...

- Czego żąda pan za informację o miejscu jej pobytu? - zapytał jeden z reporterów.

- Myślę, że to chyba oczywiste. Chcę, aby mnie zwolniono i pozwolono wsiąść do samolotu lecącego do Brazylii. Kiedy tam dotrę i się zainstaluję, z przyjemnością upublicznję miejsce jej pobytu.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła Karen, zrywając się na równe nogi z taką gwałtownością, że niemal uderzyła czubkiem głowy w podbródek Fade'a. - Jak Boga

kocham, zaraz tam pojadę i wyrwę flaki temu skurwielowi. Dajcie mi dziesięć minut, a zniknie z tej buźki słodki uśmiezek!

- Trochę się zdenerwowałaś - zauważył Fade. Obróciła się do niego na pięcie i stanęła tak blisko, że ich nosy dzieliło nie więcej niż piętnaście centymetrów. - Co?

- Stało się coś dobrego, prawda, Karen? Złapali go. Nawet jeśli ta Henrich umrze, to następnej już nie będzie.

- Co, w poprzednim wcieleniu byłeś księgowym? To nie są stracone pieniądze ani zepsuty produkt, Fade. To życie dziewczyny!

- Wiesz co, dajmy sobie spokój z tym makaronem - zaproponował. - Wyjdźmy do jakiejś knajpy. Zjemy przyzwoity obiad i wypijemy parę piw. Trochę o tym zapomnisz.

- Kobieta umiera w mękach w jakimś potwornym więzieniu, które zbudował dla niej ten czub, a ty uważasz, że to znakomity powód, żeby wyjść do restauracji?

Wzruszył ramionami.

- Tysiące ludzi umiera każdego dnia z głodu albo pragnienia, Karen. Jakoś dotąd nie powstrzymywało mnie to przed pójściem na obiad do restauracji.

Przysunęła się do niego jeszcze bliżej, tak że ich nosy niemal się stykały.

- Chcesz powiedzieć, że jestem hipokrytką? To chcesz powiedzieć?

Zrobił krok w tył.

- Nic nie chcę powiedzieć. Zupełnie nic.

Miała ochotę krzyknąć na niego, uderzyć czymś, chciała, żeby zaczęło mu zależeć na tej dziewczynie. Jednak nic, co powie, nie zmieni tego, co sam widział, co zrobił i co przecierpiał.

- Robię, co mogę, Fade. Tylko tyle...

Wrócił do swojego narożnika, usiadł i znowu wbił wzrok w ścianę.

- Wiem, ja też robiłem, co mogłem.

Karen stała wciąż w tym samym miejscu, patrzyła, jak Fade zapada się w sobie, i usiłowała okiełznać kotłowaną uczuć, które ją zalewały. Wyczerpanie, strach, gniew, uniesienie, poczucie winy...

- Wiesz, że nie jestem szaleńcem - powiedział, jakby mówił do ściany. - Jestem za to skończony, beznadziejnie i nieodwracalnie. Nie jest chyba szaleństwem chęć nacieszenia się resztką swoich dni.

Karen wróciła do sypialni, nie potrafiąc dłużej patrzeć mu w oczy. Miała wrażenie, że z wolna wypływa z niego życie i to, co ukształtowało go takiego. I nic już nie może zrobić, ani ona, ani ktokolwiek inny.

Wciągnęła laptop z powrotem na kolana. Usiłowała skoncentrować uwagę na monitorze, ale ledwie go widziała. Nie żyłaby, gdyby nie Fade. Oczywiście, to wyłącznie jego wina, że została w to wszystko wciągnięta, lecz nie dawało jej spokoju poczucie pewnego rodzaju zobowiązania.

- Coś ci powiem - oznajmiła, wychylając się na tyle, by zobaczyć go przez otwarte drzwi. - Usiądź teraz ze mną i pomóż skończyć wpisywanie informacji do witryny, a potem może zrobimy parę drinków i przyzwoity obiad. Ale tutaj, dobrze? Wydaje mi się, że rozsądnie będzie pozostawać jak najdłużej w ukryciu.

Rozdział czterdziesty siódmy

Większość lamp, przymocowanych sworzniami do niszczących ceglanych budynków, była zepsuta, co potęgowało atmosferę - postArmagedonu w tej okolicy i przez co trudno było się nie potykać o walające się dookoła rozmaite śmieci. Egan szedł ostrożnie naprzód, podchodząc na tyle blisko, żeby odczytać numer budynku jakiejś starej fabryczki i upewnić się, że idzie w dobrym kierunku.

Droga się kończyła prostopadłą ulicą. Egan nabrał głęboko powietrza w płuca, przebiegł nieosłonięty dziesięciometrowy odcinek i przykucnął za kontenerem na śmieci. Serce biło mu mocno, dużo mocniej, niż byłoby to uzasadnione tak krótkim sprintem, odczekał więc chwilę w bezruchu. Budynki po obu stronach ulicy wyglądały na niewielkie hale magazynowe, przypominające trochę bunkry. Nie miały ani okien, ani zwykłych wejść, lecz tylko metalowe drzwi garażowe na środku każdej fasady.

Egan wychylił się zza kontenera, mrużąc oczy, spojrzał na następny numer i natychmiast się ukrył za śmietnikiem. Przed niecałą godziną zatelefonował do niego Billy i podał adres uzyskany u dostawcy Internetu, z którym Fade podpisał umowę na usługę. Budynek znajdował się raptem dziesięć metrów od Matta.

Bicie serca znowu się wzmogło i Egan zaklął pod nosem. To nigdy nie była jego domena. To Fade zwykł mówić, że bój wyzwala w nim wszystko - każe mu zapomnieć o łajnie, które współczesny świat upakował mu w głowie. Dla Egana bój się sprowadzał do tego, że było zimno i mokro, a człowiek umierał ze strachu, bo ktoś próbuje go zabić - a wszystko za mniejsze pieniądze, niż mógłby zarobić na stacji benzynowej.

Przekręcił się na brzuch i skoncentrował uwagę na drugich drzwiach od prawej strony. Były zamknięte, a przez szpary nie prześwitywało żadne światło, ale to nie musiało jeszcze nic znaczyć. Czy Fade i Karen Manning byli w środku? Czy może to zasadzka? Fade mógł pojąć beznadziejność sytuacji i użyć karty kredytowej, żeby ściągnąć na siebie przeciwnika.

Ba, mógł teraz stać na dachu budynku po drugiej stronie ulicy, zjedna z tych znakomitych strzelb myśliwskich, których z tak dobrym skutkiem używał na całym świecie.

Mimo ciemności i nietypowych o tej porze roku niskich temperatur, Egan czuł, jak po karku zaczyna mu spływać pot. Realistycznie patrząc, miał do wyboru dwie możliwości. Mógł czekać z nadzieją, że Fade się pokaże jeszcze przed świtem, zanim pojawią się na ulicy ludzie, pewnie zdziwieni, co facet z pukawką robi za śmietnikiem. Albo mógł wrócić po samochód i staranować garażowe drzwi, licząc, że zdoła zaskoczyć starego przyjaciela.

Po dłuższych rozważaniach doszedł do wniosku, że każdy z tych planów jest do bani, ale ten pierwszy jednak trochę mniej.

Ramiona zaczynały go już trochę boleć, wyciągnął się więc na ziemi, wtulając policzek w otwartą dłoń, tę, w której nie zaciskał kolby pistoletu. Trochę szczęścia. Nic więcej nie było mu trzeba. Po prostu trochę szczęścia.

Po półgodzinie kompletnej ciszy poczuł wibrowanie telefonu komórkowego. Sprawdził nerwowo numer dzwoniącej osoby, nie wykluczając, że może to być Fade, który chce mu powiedzieć, że trzyma go na muszce i zaraz wpakuje mu w czaszkę kulkę - jednak okazało się, że to dzwonił Billy.

- Co jest? - szepnął Egan.

- Al Fayed znowu użył karty! Dwadzieścia minut temu. Sklep spożywczy oddalony od ciebie o parę kilometrów.

Egan odprężył się nieco, słysząc, że Fade prawdopodobnie nie znajduje się nigdzie w zasięgu karabinowego strzału.

- Co kupił?

- Nie wiem. Pieprzony sklep zamknęli zaraz po transakcji. Ale wiem, że wydał tam pięćdziesiąt osiem dolców.

- Dobra. Dzięki.

- Hillel wrócił niedawno do biura, wygląda, jakby ktoś go pobił, ale nic nie mówi, więc nie mam pojęcia, co się stało... W każdym razie są także jego goryle; jak się wydaje do wzięcia. Mam ich do ciebie wysłać jako ubezpieczenie?

Egan westchnął cicho. Teoretycznie rzecz biorąc, miło byłoby mieć parę utalentowanych agentów na dachach, ale wydawało się bardziej prawdopodobne, że Strand po ich ostatnim spotkaniu zaaprobuje już tylko śmierć Fade'a i Karen Manning. Zresztą może mu wpaść do głowy, że śmierć Egana również byłaby mu na rękę. Wiedział, niestety, więcej niż to, z czym Strand mógłby spokojnie spać, a gdyby był trupem, stałby się idealnym kozłem ofiarnym.

Nie. Dać się zabić razem z Fade'em to najczarniejszy scenariusz z możliwych. Jeśli było mu dane zginąć dziś w nocy, to wolał ruszyć do walki z przeświadczeniem, że Fade będzie potem ścigał Hillela - tak długo, dopóki któryś z nich nie padnie. Mściwe? Jasne. Ale miał prawo.

- Nie, sam się do tego wezmę.

- Jesteś pewien, Matt? Wiem, w szpitalu świetnie ci poszło, ale kiedy poprzednim razem ten facet grał na własnym boisku, to zmiotł cały oddział SWAT.

- Dzięki, że mi przypomniałeś, Billy. Od razu zrobiło mi się lżej na duszy. Naprawdę.

- Nie chcę tylko, żeby coś ci się stało, chłopie.

- Słuchaj, zadzwonię za jakąś godzinę, żeby się zameldować. Jeśli się nie odezwę, to... cóż, pewnie się już nie odezwę.

Wyłączył telefon i przesunął się nieznacznie w prawo, mając teraz przed sobą nie tylko budynek Fade'a, lecz i widok prowadzącej do niego ulicy.

Minęło następne pół godziny, gdy naraz w oddali dał się słyszeć metaliczny turkot. Z każdą chwilą dźwięk stawał się coraz donośniejszy, jakby jego źródło systematycznie się zbliżało. Egan koncentrował się już tylko na tym, by oddychać rytmicznie i nie myśleć o rodzinie.

Ciemny kształt, który się wyłonił zza rogu, był początkowo nierozpoznawalny, jednak hałas, jaki czynił, wydawał się dziwnie znajomy. Kosz na zakupy. Egan utwierdził się w tym domyśle, kiedy od kosza odbiło się światło lampy wiszącej na fabryczce.

Człowiek pchający kosz miał na głowie czapkę baseballową, której daszek przysłaniał twarz oraz bezkształtną, luźną kurtkę, która skutecznie skrywała sylwetkę. Choć zdawał się mocno wspierać na koszyku, wyraźnie utykał. Podczas koncertu Egan zauważył, że Fade oszczędza prawą nogę. Czy to był on?

Cofnął się i przyłgnął do kontenera. Kątem oka obserwował idącego mężczyznę. Przebranie i słabe światło nie wystarczyły, by przesłonić rysy twarzy, która przez ostatnie dwa tygodnie wciąż była obecna w myślach Egana. To Fade.

Kiedy mozolnie wpychał ciężki wózek pod krawężnik, stanął odwrócony plecami i Egan spokojnie wycelował pistolet. Mądre posunięcie - lekki ucisk na spust i Fade nawet nie będzie wiedział, co się stało. Wielki Salam al Fayed zważył się na ziemie za sklepowym koszykiem, po strzale w plecy oddanym przez najlepszego przyjaciela.

Fade szperał przez kilka chwil w kieszeni, aż wreszcie wy dostał z niej pilota do drzwi garażowych. „Strzelaj”, mruknął do siebie Egan. Jego palec ani drgnął. Drzwi zaczęły się unosić z chrobotem, a Fade znowu się ustawił za koszykiem.

Większą część dzielącego ich odcinka drogi pokrywał sypki żwir, na którym podniósłby niemiłosierny hałas, gdyby próbował dobiec do Fade'a. Mógł najwyżej wymierzyć zza kontenera i krzyknąć, jednak przy tej odległości i w takim mroku Fade najpewniej zdążyłby znaleźć bezpieczne schronienie i zacząłby się ostrzeliwać; a to już nie dobrego.

Drzwi były w połowie wysokości, kiedy zaczęły zadzierać o futrynę przerdzewiałymi gwoźdźmi; dało się słyszeć skrzypienie metalu. Było głośne, ale czy wystarczająco?

Egan wyszedł z ukrycia i puścił się biegiem przed siebie, przedkładając prędkość nad niezauważalność. Dobiegł na odległość trzech metrów od Fade'a, kiedy ten się błyskawicznie obrócił i zobaczył wymierzoną w siebie lufę. Jego dłoń zatrzymała się dosłownie centymetry od kolby pistoletu, wystającej zza paska na biodrze.

- Matt, ty szczwany skurwysynu. Karty kredytowe, co? Syd mnie wsypał, ten wypierdek w hawajskiej koszuli ciągnący trawkę.

Egan przesunął się w bok, uważając, by mocno i pewnie trzymać pistolet i wciąż zachować odpowiedni dystans.

- Gdzie masz wsparcie?

- Jestem sam - odparł Egan.

- To mnie obraża.

- Zacznijmy od spluwy, Fade. Wolniutko. Mówię serio.

Fade wyciągnął kciukiem i palcem wskazującym swoją dziewiątkę i rzucił ją na ziemię.

- Gdzie twoja dziewczyna?

- Karen? Właściwie mam wrażenie, że niezbyt się spodobałem.

- Gdzie ona jest, Fade?

- Nasłałeś tego osła Bucknera i poleciałeś sprzątnąć Karen. Tak sobie myślę, wiesz, że gównem się ode mnie dowiesz, gdzie ona teraz jest.

- Jasne, Fade. Sam przyłożyłem rękę do sprzątnięcia Roya Bucknera. Rozejrzyj się. Jesteśmy sami. Mogłem się zjawić z całą armią. Mogłem ci strzelić w plecy, kiedy mnie minąłeś. Mogę cię zastrzelić teraz.

Być może było to jedynie nieznaczne przesunięcie światła, ale wydawało się, że twarz Fade'a nagle straciła wyrazistość.

- Więc zrób to.

- Połóż ręce na głowę i odwróć się.

Fade wykonał polecenie. Egan postąpił parę kroków naprzód, zerkając po drodze do koszyka z zakupami. Para steków, dwa ziemniaki. Małe hibachi, butelka wina i torba, jak się mogło wydawać, z damskimi rzeczami.

- Urządzasz imprezę?

- Niektórzy mówią, że człowiek codziennie powinien żyć tak, jakby był to jego dzień ostatni. W moim wypadku to chyba szczególnie dobra porada, nie sądzisz?

Egan dał ręką znak, żeby wszedł do środka, i ruszył za nim, trzymając się dobry metr z tyłu.

- Niezłe autko - powiedział, kiedy obchodzili starego cadillaca, już oklejonego, ale jeszcze nie przemalowanego.

Otwarte drzwi na końcu pomieszczenia prowadziły do ponurego, niewielkiego pokoju z krzywą drewnianą podłogą i ścianami z gołej cegły. Jedyne umeblowanie w pokoju stanowiły krzesło oraz skrzynia, na której stał mały telewizor. Po prawej stronie były drzwi, ale zamknięte.

- Halo! - zawołał Egan, kiedy Fade stanął na środku pokoju. - Panno Manning?

Ruszył w kierunku drzwi, celując ciągle w Fade'a, i stanąwszy przy nich, przywarł plecami do ściany. Nie wiedział, czego się spodziewać po Karen Manning. Zważywszy na jej przeżycia z Royem Bucknerem, dziewczyna była pewnie podejrzliwa wobec facetów z bronią w ręku.

Sięgnął do klamki i silnym pchnięciem otworzył drzwi, błyskawicznie cofając rękę. Nic.

- Panno Manning? Nadal nic.

Ostrożnie wychylił przez próg głowę i zobaczył ze zdumieniem, że kobieta siedzi na materacu. Jej plecy przylegały do rury, która biegła od podłogi do sufitu, ręce miała wykręcone, a usta zaklejone kawałkiem grubej taśmy.

- Co jest grane? - zdziwił się Egan, wchodząc powoli tyłem do pokoju i ciągle mierząc w Fade'a.

Czyżby dawny przyjaciel rzeczywiście stracił głowę? Myśl, że miałby tu trzymać Karen Manning przywiązaną do rury, zupełnie nie pasowała do Fade'a, jakiego wcześniej znał.

Egan cofnął się jeszcze parę kroków i wyciągając za siebie rękę, po omacku zaczął szukać rury, do której była przywiązana Karen. Chwilę później poczuł coś, czego nie można z niczym pomylić; lufę pistoletu przytkniętą do tyłu głowy.

- Jeśli czegoś się w ogóle nauczyłem w życiu - stwierdził Fade, opuszczając ręce - to tego, że kobieta jest niezwykle zdradliwą istotą.

- Panno Manning - powiedział Matt, wsłuchując się, jak

Karen wstaje z materaca i zdiera sobie taśmę z ust. - Wiem, że trudno będzie w to uwierzyć, ale należę do tych dobrych, a nie złych bohaterów.

- Wszystko o tobie wiem, Matt. Również o Hillelu Strandzie, o Royu Bucknerze... A teraz ucieszyłoby mnie, gdybyś rzucił broń.

- Jeśli chodzi o Bucknera... nie miałem z tym nic wspólnego. Do diabła, spytaj Fade'a. Zapytaj, czy naprawdę wierzy, że dałbym się wciągnąć w plany Bucknera.

- Nie patrz na mnie - rzucił Fade, stając w progu i mierząc wzrokiem pistolet, z którego Egan wciąż w niego celował. - Nie mam wpływu na tę kobietę. Próbuję ją uziemić, odkąd ją spotkałem. Jednak... nic z tego.

- Powtarzam jeszcze raz, Egan. Rzuć broń albo cię zabiję, jak zabiłam twojego przyjaciela.

- To nie był mój przyjaciel - oświadczył dobitnie Egan. - Muszę też powiedzieć, że bardzo niechętnie pozbędę się broni. Fade dość jasno wyłożył swoje intencje w kwestii dla mnie zasadniczej.

Nie miał jednak wyboru. Mógłby zastrzelić Fade'a, bez dwóch zdań, ale to niemal na pewno skończyłoby się strzaskaniem jego czaszki od tyłu. Mógłby też rzucić pistolet, po który jednak z pewnością sięgnie Fade i roztrzaska mu czaszkę od strony czoła. Jakkolwiek by na to spojrzeć, jego czaszka nie wyjdzie z tego w jednym kawałku.

- Liczę do trzech, Egan. Potem zginiesz. Raz...

- W porządku, niech będzie, odkładam broń. Przykucnął, położył pistolet na podłodze, a potem powoli wstał i podniósł ręce.

Nacisk lufy ustał, Karen odsunęła się ostrożnie parę kroków, a potem zaczęła zbierać rozrzucone wokół laptopa kartki papieru. Broń wciąż miała wycelowaną mniej więcej w kierunku Egana, ale wyglądało na to, że kiedy nie jest uzbrojony i kiedy podchodzi do niego Fade, ona już się nim nie przejmuje.

- Więc co masz mi do powiedzenia, Matt?

- Nie wiem, a co byś chciał usłyszeć?

- Powinieneś był mnie zabić, kiedy miałeś okazję. Kolejna błędna decyzja w życiu, wśród tylu innych, hm?

Egan wzruszył ramionami.

- Mam cię błagać o litość? Wal się.

Fade zrobił jeszcze jeden krok. Egan zerknął kątem oka na Karen i zobaczył, że w lewej ręce, jak w kołysce, trzymała wszystko, co zebrała z podłogi, ale w prawej wciąż miała pistolet, którym mierzyła prosto w niego.

Kiedy więc Fade wpakował mu w brzuch pięść, co najwyżej mógł zgiąć się wpół i spróbować powstrzymać wymioty.

- Przestań! - usłyszał okrzyk Karen.

Zważywszy ton jej głosu, Egan uznał, że chyba nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli spróbuje uniknąć ciosu, który miał mu właśnie spaść na tył głowy. Błyskawicznie przeniósł ciężar ciała na drugą stronę i ręka Fade'a przemknęła obok jego ucha, nie robiąc mu krzywdy. Siłą zamachu Fade stracił, zwykle idealną, równowagę i rzucił się krok naprzód, akurat w takim momencie, by Egan, podnosząc się szybko, mógł zdzielić go czubkiem głowy w podbródek.

- Cholera! - krzyknęła Karen. - Mówiłam...

Egan jej nie słuchał. Uderzył Fade'a z byka i rzucił nim o ścianę. Mogąc wykorzystać prawą nogę najwyżej jako punkt podparcia, Fade nie był ani tak zwinny, ani tak silny jak dawniej, czym dawał Eganowi równe szanse na zwycięstwo w walce. Nawet jeśli to go nie uratuje, nie sprzeda tanio skóry.

Uderzenie o ścianę nie przyniosło skutku, na jaki Egan liczył, i w ułamku sekundy Fade spuścił ręce na jego barki z taką siłą, że Matt zwałił się na kolana.

Zanim Fade wymierzył mu kolejny cios, Egan zdołał złapać jego prawą rękę i naprzeć na nią z całej siły. Manewr się powiódł, osłabiona noga Fade'a nie wytrzymała i załamała się pod nim. Zanim złapał równowagę, obróciło nim dookoła, wystawiając na razy dolną partię pleców. Egan zacisnął pięść, mierząc w punkt kręgosłupa Fade'a, w którym powinna się znajdować kula, i... zawahał się. Łokieć, który ku niemu już sunął, zobaczył dopiero wtedy, kiedy spadł mu na skroń.

Sekundę później leżał na plecach, mrugając i próbując nieco oprzytomnieć. Fade stał nad nim rozkraczony i zdzielił go ciężkim sierpowym w prawy policzek.

- Jak się miewa twoja piękna i utalentowana żona, Matt?

Egan podniósł ramiona. Częściowo udało mu się sparować następny cios Fade'a.

- Pojechałeś z nią po koncercie do waszego wspaniałego domu i dałeś córce buzi na dobranoc? No? Pojechałeś?

Wyciągnął ręce, by złapać koszulę Fade'a, ale nie miał dość sił, by zacisnąć na niej palce. Trzeci cios dostał w drugi policzek i zauważył, że nawet nie zabolalo.

- Fade! - usłyszał ostry krzyk Karen. - Powiedziałam, przestań!

Na twarzy Fade'a coś dziwnie załśniło. Egan zmrużył oczy, usiłując wystrzyść spojrzenie. Łzy. To były łzy.

Za plecami Fade'a pojawiła się Karen Manning i grzmotnęła go kolbą pistoletu w potylicę. Niezbyt mocno, ale na tyle, żeby się przewrócił na podłogę i pozostał tam oszołomiony, nie mogąc wstać.

- Naprawdę nie trzeba mi dzisiaj waszej jatki - powiedziała, wciskając pistolet za pas i chwytając go za kołnierz.

Egan, patrząc, jak Karen odciąga Fade'a do drugiego pokoju, wciąż próbował dojść do siebie, ale poczuł raptem, jak ciemnieje mu w oczach. W końcu opuścił głowę na podłogę i stracił świadomość.

Rozdział czterdziesty ósmy

- Jezu... Dlaczego to zrobiłaś, do ciężkiej cholery? - powiedział Fade, rozmasowując sobie głowę z nadąsaną miną.

Karen zdarła z bocznego lusterka szary papier, dodała gazu i wyjechała z kwartału przemysłowego. Stosowała się do ograniczeń prędkości, zmierzając ku autostradzie. Samochód już wcześniej rzucał się w oczy, ale teraz, oklejony do lakierowania taśmą, widoczny był niczym neon błyskający wezwaniem: „Zawiadom policję!” Na szczęście było ciemno.

- Och, daj spokój. Tylko cię musnęłam.

- Musnęłaś? Wydaje mi się, że mam wstrząs mózgu.

- Wszyscy komandosi to takie mięczaki?

- Karen, do cholery! Już go miałem!

Kiedy zerknęła na niego, Fade znowu zaczął masować sobie głowę, demonstracyjnie, żeby wywołać w niej poczucie winy.

- Miałeś go? Ty go miałeś? Nie rozśmieszaj mnie. Co takiego chciałeś z nim zrobić?

- Dobrze wiesz, co chciałem z nim zrobić! - krzyknął na tyle głośno, by przygłuszyć hulający po kabriolecie wiatr; ale jego gniew wydawał się trochę wymuszony. - Z moich planów nie robiłem sekretu. Jeśli nadal chcesz mi przeszkadzać, to lepiej od razu zjedź na pobocze i zniknij mi z oczu.

Karen zmieniła pas ruchu, patrząc uważnie w boczne lusterko. Droga za nimi była pusta.

- Kogo próbujesz przekonać, Fade? Mnie czy siebie samego? Nie chciałeś go zabić.

- Chciałem.

- Nie zmuszaj mnie, żebym znowu użyła katapulty. Skrzyżował ręce na piersi i zrobił tak pewną siebie i nadąsaną minę, że Karen mimo woli się uśmiechnęła. Kto by pomyślał, że dzisiaj coś wywoła jeszcze uśmiech na jej twarzy?

- Dobrze - powiedział w końcu. - Nie było to takie łatwe, jak myślałem, ale dałbym sobie radę.

- Ho, ho, ho... Wiesz, dlaczego wygrałeś bójkę?

- O co ci chodzi?

- O to, że kiedy noga odmówiła ci posłuszeństwa, Egan mógł spokojnie strzaskać ci kręgosłup. Ale tego nie zrobił. Nie uważasz, że nadszedł czas, żebyście nareszcie porozmawiali jak dorośli ludzie? Chcę ci pomóc, Fade. Naprawdę. Ale kim ja jestem? Bezrobotną, była policjantką. Tymczasem Egan, z tego, co opowiadałeś, ma znakomite kontakty i myślę, że jak przyjdzie co do czego, stanie po twojej stronie.

Fade długo milczał.

- Dobra - powiedział w końcu. - W porządku. Zgadzam się, Matta można tymczasowo odstawić na bocznice. Ale Strand wciąż jest dla mnie trupem.

Wysiadając z samochodu, Fade próbował ignorować świdrujące spojrzenia Karen, które nieustannie na sobie czuł. Chociaż robił wszystko, żeby się poruszać naturalnie, trudno było mu ukryć, że nawet tak prosta czynność jak stanie wymaga od niego pełnej koncentracji. Odrętwienie wciąż postępowało ku górze; o ile ćwiczenia z nogą przynosiły jeszcze jakieś efekty, o tyle w żaden sposób nie mógł już skompensować utraty czucia w mięśniach pleców. Nawet jeśli Egan się hamował, to bójka kosztowała Fade'a tyle zdrowia, że co najmniej parę urazów było już nieodwracalnych. Może ten dzień nadejdzie jutro? Może jutro rano obudzi się tylko po to, by rozpocząć nie kończący się żywot patrzenia w sufit, w bezruchu i samotności.

Kiedy stanął pewniej na nogach, przekuśtykał na drugą stronę samochodu, gdzie czekała na niego Karen. Okna szeregowca, przed którym zaparkowali, były zupełnie ciemne, podobnie jak w pozostałych domach w sąsiedztwie. Karen objęła go ramieniem, ostrożnie pomagając mu przejść pod drzwi wejściowe. Kiedy się zatrzymali na ganku, uniosła rękę, ale nie zapukała.

- Coś nie gra? - zapytał cicho Fade.

- Myślę... myślę, że to może błąd. Spanikowałam, nie myślałam logicznie. Musimy znaleźć miejsce, gdzie mogłabym przez parę dni spokojnie popracować...

- Pukaj, Karen.

- Co ty mówisz? Przecież od samego początku byłeś temu przeciwny.

Fade przycisnął dzwonek, chwytając jej rękę, gdy próbowała go zatrzymać. Na piętrze błysnęła lampa, rzucając na jej twarz smugę światła. Dziwne, nigdy nie widział jej tak wystraszonej.

- Nie. Musimy zwiewać - powiedziała, kiedy zapaliło się światło na ganku.

Zacisnął na niej palce, ale gdyby rzeczywiście chciała się wyrwać i uciec, nie miałyby większych trudności.

- Fade...

- Tylko porozmawiamy, Karen. Potem, jeśli będziesz chciała, wyjdziemy.

Drzwi się uchyliły nieznacznie i Fade zobaczył wysuniętą zza nich połowę twarzy. Ale już chwilę później drzwi się otworzyły szeroko i pokazał się w nich mężczyzna, który wcale nie wyglądał jak komputerowy czarodziej, jak opisywała go Karen. Nie mierzył metr czterdzieści, lecz co najmniej metr osiemdziesiąt pięć, a na wysportowanym, opalonym ciele miał gimnastyczny podkoszulek i spodenki z obciętymi nogawkami w kolorze wojskowego kamuflażu. Gdzie poliestrowe spodnie i Tshirt z motywem Star Trek?

- Karen? Jezu! Co ty tu robisz?

- Nic takiego, Jeff. Właściwie miałam już sobie iść...

- Ależ o czym ty mówisz? Wchodź!

Zawahała się jeszcze, ale po chwili przekroczyła próg i przytuliła się do niego mocno i długo. Jeff był nauczycielem z kursu komputerowego, na który kiedyś przez rok uczęszczała. Chodziła z nim jakiś czas, ale w końcu się rozstali w przyjaźni. Fade poczuł bezsensowne ukłucie zazdrości, zapewne słabsze, niż być powinno. Prawda była bowiem taka, że Jeff robił wrażenie bardzo porządnego faceta, a nawet jeśli nim nie był, to należało sądzić, że w porównaniu z kulawym, wielokrotnym zabójcą jest o szczebel wyżej.

- Nazywam się Jeff Grant - przedstawił się.

Fade potrząsnął jego rękę i wszedł do środka, starając się nie przejmować tym, że siła jego uścisku była właściwie niezauważalna. Nigdy wcześniej nie miał problemów z rękami.

- Co się do diabła dzieje, Karen? - zapytał Grant, wprowadzając ich do czyściutkiej kuchni. - Wszystko dobrze? W głowie się nie mieści, co cię spotkało. Próbowałem dzwonić...

- Zostawiłeś wiadomość. Dzięki. Miałam trochę szalony okres...

- Trochę szalony? No, chyba tak. - Przeniósł wzrok na Fade'a. - Przepraszam, chyba nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

Fade milczał, a Karen przygryzła wargi.

- To jest - powiedziała w końcu - Salam al Fayed. Jak można się było spodziewać, oczy Jeffa rozszerzyły się okropnie i mężczyzna odruchowo cofnął się o krok. Właściwie

wyglądało to tak, jakby miał zamiar cofać się dalej i uciec z domu, ale Karen złapała go za rękę.

- Bez obaw, Jeff. On ma trochę... wyolbrzymioną opinię.

- To... to znaczy, że nie wybił oddziału SWAT?

- Tak. Wybił. Ale to był przypadek.

- Przypadek - powtórzył jak echo.

Fade spuścił wzrok. Wyczuł, że jeśli będzie tu dalej stał, rozmowa zaprowadzi ich donikąd. Grant robił wrażenie, jakby się zastanawiał, którym oknem mógłby jak najszybciej wyskoczyć.

- Słuchaj, Jeff. Nie masz nic przeciwko temu, żebym wprowadził samochód do twojego garażu?

Jeff pokręcił szybko głową, aż nazbyt energicznie.

- Rób, co chcesz.

Fade oderwał długi pasek papieru ze zderzaka, zmiął go i rzucił go na rosnący na podłodze stos śmieci. Drzwi prowadzące do domu zostawił uchylone, żeby usłyszeć rozmowę, ale, jak na razie, panowała tam raczej cisza. Kiedy zdrapał mniej więcej połowę taśmy, jaka pozostała jeszcze na przedniej szybie, dobiegł go wreszcie głos Jeffa.

- Cholera, Karen. To wszystko prawda?

Fade się położył na ciepłej wciąż masce samochodu i wbił wzrok w zawieszony u sufitu mechanizm do otwierania drzwi garażowych.

- Uhm. Wszystko prawda. - Jezu...

- Zrobisz to, Jeff? Programowanie stwarza mi duże kłopoty, a to, że nieustannie muszę się oglądać za siebie, niespecjalnie mi pomaga.

Cisza. - Jeff?

- Rany... Karen... Wiesz, jesteśmy przyjaciółmi i w ogóle, ale mnóstwo tych informacji jest tajnych.

Zniżył głos, ale akustyka domu działała na jego niekorzyść.

- I on... No, zabił kilku policjantów, Karen! Zdajesz sobie sprawę, w co chcesz mnie wplątać?

Nagle szeleszczenie papierami.

- Tak, przepraszam. To był błąd. Nie miałam prawa...

- Zaraz, poczekaj, nie powiedziałem, że tego nie zrobię. Próbuję się zastanowić, tak? Chodzi o to, że przecież próbowali cię zabić, więc to samo może spotkać mnie, a ja nie jestem dziewczyną ze SWAT, której gorylem jest żywa kostucha.

- Nie ma sprawy, Jeff. Ja...

- Dobrze - przerwał jej. - W porządku. Zrobię to.

- Co?! Naprawdę?

- Tak. Ale muszę zrobić to tak, żeby nikt nie mógł mnie namierzyć. Musimy też pamiętać, że z chwilą, gdy witryna znajdzie się w sieci, rząd zacznie robić wszystko, żeby ją usunąć... - Zawiesił głos.

- Ile czasu minie, nim ludzie będą mieli dostęp do tej informacji?

- Samo stworzenie strony to najwyżej parę godzin, ale wprowadzenie jej do sieci zajmie więcej czasu. Będziemy jeszcze musieli rozesłać anonimowe linki do mediów i na witryny zajmujące się tematyką różnych teorii spiskowych...

Fade usiłował znaleźć w sobie trochę motywacji, żeby wstać i umyć samochód, ale nie potrafił już wykrzesać z siebie energii. Nie ma co się oszukiwać, jedyna szansa, by dopaść Hillela Stranda, przeszła mu koło nosa. Nawet gdyby mu się udało wpaść na genialny pomysł, jak go wytropić przed opublikowaniem witryny Karen, to nie potrafi już ani wystarczająco szybko się poruszać, ani wystarczająco celnie strzelać, żeby zrobić coś więcej, niż tylko dać się zabić. Był jeszcze Matt. Czas najwyższy jasno sobie powiedzieć, że nie ma mowy, by pociągnął spust pistoletu wymierzonego w najlepszego przyjaciela, jakiego w życiu miał.

Za kilka godzin Karen będzie bezpieczna i przestanie go potrzebować. Wróci do rodziny i spróbuje rozwiązać problemy, w które ją wpakował. Do południa następnego dnia znikną właściwie wszystkie powody, które trzymają go jeszcze przy życiu.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Nie zważając na zaciekawione spojrzenia dwójki dzieci, ciągnących po schodach ciężką walizkę, Egan napełnił poszewkę do poduszki lodem z hotelowej maszyny, po czym wrócił do pokoju i padł na łóżko, przyciskając do twarzy mokry okład.

Tak oto zakończyło się kolejne nieudane spotkanie z niesławnym Salamem al Fayedem. Egan się zastanawiał, czy żyłby jeszcze, gdyby nie interwencja Karen Manning. Nie ma sensu za wiele o tym myśleć.

Po kilku minutach zwłókł się z łóżka, przeszedł do łazienki, napełnił sobie usta wodą i zaczerwienioną wypluł ją z powrotem do umywalki. Co dalej? Karen Manning wyraźnie miała wpływ na Fade'a. Co zamierzała? Wykorzystać swoje nie byle jakie doświadczenie śledcze i pomóc Fade'owi odnaleźć Stranda? Mało prawdopodobne. Pójdzie do prasy? Musi wiedzieć, że media są kryte. Ojciec? Być może. Ma spore możliwości, ale również na niego mogą już mieć oko. Zresztą Egan miał wrażenie, że Karen niechętnie wciągałaby w to rodzinę.

Prędzej czy później będzie zmuszona wykonać ruch. Nie wyglądała na osobę, która miałaby wiecznie uciekać lub chować się za plecami Fade'a.

Egan wyszedł z łazienki, unikając widoku swojej opuchniętej twarzy w lustrze, i rzucił się z powrotem na łóżko. Długie leżenie na podłodze bez przytomności nie mogło zastąpić dobrze przespanej nocy i był po prostu zbyt zmęczony, by o wszystkim teraz myśleć.

Sięgnął do lampki nocnej, ale jeszcze się rozmyślił i wybrał numer w swoim telefonie. Dawno już minął termin, kiedy miał się zameldować Bilb/emu, i ten na pewno już myśli, że jego szef nie żyje.

- Halo?

- Cześć, Billy. Zgadnij, kto mówi.

- Matt! Mój Boże! Nic ci nie jest?

Połączenie nie było najlepsze i Egan, krzywiąc się z bólu, mocniej przycisnął telefon do ucha.

- Bywało lepiej, ale wyjdę z tego. Gdzie jesteś? Ledwie cię słyszę.

- Jestem na autostradzie, jadę do domu al Fayeda, żeby się za tobą rozejrzeć.

- Naprawdę? - zapytał Egan, szczerze zdziwiony, że jego sekretarz podjął dla niego tak ogromne ryzyko.

- Uhm.

- Dzięki, Billy. Serio.

- Nie mnie możesz dziękować. Stwierdziłem, że wszędzie będzie lepiej niż w biurze.

Atmosfera mocno się zageściła.

- Tak, ja też nie miałem najlepszego dnia.

- Domyślam się. Całe szczęście, że była tam Manning i uratowała ci tyłek, hm?

Egan odjął nagle łód od policzka.

- Co? Co powiedziałeś?

- Nie mam dla ciebie najlepszych wiadomości, Matt. - Zamilkł na moment jakby zakłopotany. - Masz dostęp do Internetu?

Rozdział pięćdziesiąty

Matt Egan zahamował ostro, o włos unikając stłuczki z tyłem minivana swojej żony, i wyskoczył z samochodu. Biegł do domu, usiłując się uspokoić nadzieją, że Elise siedzi w piwnicy z słuchawkami na uszach, nieobecna dla świata. Gdyby chociaż tym razem szczęście mu sprzyjało...

Kiedy wpadł do domu, natychmiast uderzył go szokujący widok zielonych włosów. Oczywiście.

Kobieta obróciła się na pięcie i rozłożyła ramiona, tak szeroko, że dotykała palcami obu ścian korytarza.

- Ona nie chce z tobą rozmawiać.

- Zejdź mi z drogi, Amy.

- Nie słyszałaś, co mówiłam? Nie jesteś tu mile widziany!

Z trudem powstrzymywała uśmiech, który cisnął się jej na usta, pokonując starannie dobrany wyraz gniewu. To był prawdopodobnie najwspanialszy dzień w jej życiu - nie mogła sobie darować, by nie pognać najmniej lubianej osoby w życiu, a zapewne łudziła się jeszcze, że Elise dostrzeże wreszcie swój błąd i wpadnie wprost w jej ramiona.

Jedno musiał oddać Fade'owi - a raczej Karen Manning. Strona internetowa była prawdziwym dziełem sztuki. Zawarto w niej wszystko, z niezwykłą dokładnością i szczegółowością: szkolenie Fade'a w SEAL, angaż do frontowej jednostki CIA, opisy paru bardziej interesujących misji zagranicznych, nie wyłączając obszernej relacji o współdziale Egana, wreszcie postrzał i rana Fade'a, Hillel, oddział SWAT i Buckner. Całe dorosłe życie al Fayed'a zostało opisane żywą prozą i opakowane w doskonale zaprojektowaną stronę, która przedstawiała zdjęcie Fade'a i Karen trzymających wczorajszą gazetę. Była jeszcze nazwa domeny. To było najlepsze. ZABOJCASWAT.COM.

- Amy, ostrzegam ostatni raz.

Amy jednak nie zmieniała zdania i wbijała w niego oczy, które być może były ładne, ale w których Matt zawsze widział puste paciorki.

- Jak się domyślam, zajrzałaś na witrynę Fade'a - powiedział. - Przeczytałaś tam na mój temat coś, co sugerowałoby, że to świetny pomysł stawać między mną a moją żoną?

Straciła nagle pewność siebie i zanim zdołał do niej sięgnąć, wymknęła się jego ręką, robiąc przejście.

Elise znalazł w pokoju Kali. Wyciągała z garderoby jej rzeczy i upychała je do małej walizeczki ozdobionej Atomówkami. Nawet go nie zauważyła, ale córeczka tak - w milczeniu przeniosła szeroko otwarte oczy z mamy na tatę.

- Pójdiesz się trochę pobawić z Amy, kochanie? Kali się skrzywiła.

- Wiem, ale zrób to dla mnie, dobrze? Tylko na parę minut.

Kiedy go mijiała, przytuliła się do niego szybko, oglądając się nerwowo na mamę, jakby mogła tym ściągnąć na siebie kłopot. Potem zniknęła w drzwiach.

- Cześć, Elise.

Nie odwróciła się, ale rzuciła ukradkowe spojrzenie w lustro nad komódką Kali. Najwyraźniej nie zdziwiła się na widok jego opuchniętej twarzy, ale dlaczego miałaby się

zdziwić? Na stronie ZABJCASWAT.COM wszystko zostało opisane w najdrobniejszym szczególe.

- Amy zadzwoniła dzisiaj rano - powiedziała wreszcie. - Kiedy pierwszy raz to przeczytałam, pomyślałam, że to nie jest prawda. Ale prawda ma śmieszną właściwość, własny dźwięk i czucie...

Wszystko, co zamierzał powiedzieć, nagle się ulotniło z głowy. Stał w milczeniu, aż w końcu Elise wróciła do pakowania. Przerwała je po upływie kolejnych trzydziestu sekund.

- Matt. Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz coś.

Wszystko, co Fade o nim napisał - a co niewątpliwie było zgrabnie ujętym „pierdol się” - było zgodne z faktami i w miarę sprawiedliwe. Sukinsyn zrobił to celowo, nie zostawiając mu pola manewru.

- Wszystko szczerą prawdą - powiedział w końcu Egan. - Co do słowa.

Położyła rękę na czole i spuściła wzrok na otwartą walizkę, nawet jej nie widząc.

- Chryste... - Jej głos był cichszy od szeptu.

- Elise, ja...

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, Matt? Jak mogłeś mnie tak okłamywać? Co jeszcze przede mną ukrywasz? Co...

- Miałem ci powiedzieć? Miałem cię w to wciągać?

- Twierdzisz, że robiłeś to dla mnie? To żart?

- Nie to miałem na myśli. - Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. - Tak naprawdę nie chciałem, żeby moja przeszłość... hm, żeby się pokazała w tak ostrym świetle.

- Więc wolałeś nic nie mówić, tak? Nic nie mówić i narazić mnie z Kali na niebezpieczeństwo? Jak mogłeś to zrobić? Co z moim prawem do wspólnego podejmowania decyzji dotyczących mnie i naszej córki? Jak mogłeś mi je tak po prostu odebrać?

- Wiem, że bardzo cię zraniłem, Elise, ale chciałbym, żebyś uważnie mnie wysłuchała. Ani przez moment nie byliście z Kali w niebezpieczeństwie. Ani przez chwilę.

- Możesz być tego pewny, Matt? Dobrze wiesz, do czego ten człowiek jest zdolny. Zabił już niejedno dziecko. Ty... ty go tam wysyłałeś.

Byłoby miło, gdyby ten łajdak pominął kilka bardziej ponurych szczegółów ich wspólnych misji. Co miał odpowiedzieć? „Jezu, kochanie, przecież nie jechaliśmy tam zabijać dzieci, ale wiesz, gdzie rąbią drwa, tam wióry lecą”.

- Za moimi plecami ludzie nazywali cię dzieciobójcą. Myśleli, że nie wiem, ale wiedziałam. Nie zwracałam na to uwagi. Ba, śmiałam się z tego. Znowu ta moja naiwność,

co, Matt? Kiedy jednak człowiek myśli jedno, a wszyscy inni myślą drugie, to warto się zastanowić, czy to oni nie mają racji.

- Nie wiem, Elise. Może mają. Ale powiem ci coś, w co głęboko wierzę. Światu potrzebni są tacy ludzie jak ty, żeby warto było na nim żyć. I światu potrzebni są także tacy ludzie jak ja, żeby życie na nim było możliwe.

- Zabijając innych? Jadąc do innego kraju i robiąc tam rzeczy, których nigdy nie zrobilibyśmy własnym obywatelom? Niby jak pomogło to światu, Matt? Jak to się przyczyniło do pokoju?

To było dobre pytanie - pytanie, które każdy w jego sytuacji nieraz sobie stawiał.

- Hu zabiłeś ludzi, Matt?

- Daj spokój, Elise. To, co Fade...

- Zostawmy na razie Fade'a. Ja nie chcę wiedzieć, ilu kazałeś zabić ani do śmierci ilu się przyczyniłeś. Chcę wiedzieć, ilu ludzi zabiłeś własnymi rękoma.

Oparł się o ścianę i wlepił wzrok w podłogę.

- Nie. Nie chcesz tego wiedzieć.

Wówczas się pojawiły łzy. Zatrzasnęła wieko walizki i wybiegła obok niego na korytarz. Nawet za nią nie pobiegł.

Elise i Kali nie było zaledwie od godziny, a czuł, jakby ten dom zawsze był pusty. Sięgnął po stojącą na stole butelkę wódki, ale po drodze chwycił telefon i z pamięci wybrał numer.

Sygnał zabuczał kilka razy, a po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. „Dodzwoniłeś się do Salama al Fayeda. W tej chwili mam mokrą robotę w trzech stanach, ale jeśli zostawisz wiadomość, oddzwonię najszybciej, jak będę mógł”.

- Na pewno ucieszy cię wiadomość, że Elise mnie zostawiła. Uważa, że nie mówiąc nic o tobie, naraziłem życie Kali i jej. Aha, i wiesz co? Po tylu latach małżeństwa zapytała mnie wreszcie, ilu zabiłem ludzi. Dzięki ci, Fade. Coś jeszcze ci powiem. Siedzę w domu. Wpadnij na jednego. Napijemy się, a potem załatwimy wszystko raz na zawsze.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

- Panie generale, ja...

- Stul mordę i siadaj. - Darren Crenshaw nie próbował nawet ukryć gniewu i wzgardy.

- Wiesz, co mnie dziś rano obudziło, Hillel? Telefon z informacją, że w Internecie można znaleźć cały życiorys jednego z zamachowców CIA. Może zgadniesz, co im na to powiedziałem?

Strand się nie odezwał, powstrzymując odruch, by odwrócić głowę do chodzącego za jego plecami Crenshawa.

- Powiedziałem, żeby w takim razie szybko to usunęli z Internetu. I wiesz, co mi odpowiedzieli? Że nie mogą. Że poza stroną ZABOJCASWAT.COM jest jeszcze w sieci strona ZABOJCASWAT.IR w Iranie oraz ZABOJCASWAT.SY w Syrii. Nie zdziwisz się pewnie, jeśli ci powiem, że ze względu na treść tej witryny żadnemu z tych państw jakoś niespieszno do współpracy.

Strand już wiedział, odkrył witrynę na kilka godzin przed Crenshawem. I robił wszystko, żeby ją zamknąć.

- Zrobimy tak, Hillel. Zapomnimy o pierdołach, które mi wciskałeś podczas naszego ostatniego spotkania, i zaczynamy wszystko od początku.

- Panie generale, ja... - zaczął Strand, ale zamilkł, czując, że ma zbyt suche usta, by wyraźnie mówić.

- Tylko uważaj - ostrzegł Crenshaw, obchodząc go i włączając stojący na biurku magnetofon. - Pamiętaj, że przeczytałem każde słowo z witryny, podobnie zresztą jak wszyscy na całym zasranym świecie, a moi ludzie sprawdzają już rzetelność tych doniesień.

- Tak jest. Rozumiem.

- Zdajesz sobie sprawę, że twoje wypowiedzi są nagrywane?

- Tak jest. - Mów.

Strand wziął głęboki oddech, usiłując opanować narastający od paru godzin strach. Nie widział już szans, by wyjść z tej operacji cało. Najwyżej mógł próbować ograniczyć szkody, których nie uniknie. Ale nawet to musi robić z ogromną ostrożnością. Al Fayed i ta suka Manning już zniszczyli mu potencjalną karierę w rządzie, a także ambicje polityczne, o jakich mógł jeszcze myśleć. Pytanie, czy uda mu się uniknąć procesu.

- Salam al Fayed był człowiekiem wysoko kwalifikowanym do naszego... projektu. Prawdę mówiąc, najlepiej wykwalifikowaną osobą, jaką mieliśmy. Chciałem, by wrócił do roboty, a kiedy odmówił, zleciłem swoim ludziom, żeby sprawdzili jego przeszłość. Chciałem zobaczyć, czy znajdą coś, co być może zmieniłoby jego zdanie.

- Ale Matt uważał, że powinniście spasować. Najwyraźniej ludzie, którzy pracowali dla Crenshawa, nie tylko czytali witrynę ZABOJCASWAT.COM.

- Tak, to jest prawda. Ale nie zgadzałem się z Mattem. Czułem, że potrzebny nam ktoś taki jak al Fayed i że powinniśmy zrobić wszystko, by przeciągnąć go na naszą stronę.

- Domyślam się.

Strand zignorował ironiczną uwagę i ciągnął dalej opowieść, którą układał sobie w myślach od chwili, gdy odkrył w Internecie witrynę.

- Moim ludziom udało się dotrzeć do informacji, że al Fayed pracował dla karteli i że... - Strand udał, że czuje się niezręcznie. - Że Matt tę działalność tuszował. Mieliśmy też pewien, co prawda pośredni, ślad, że al Fayed mógł mieć związek z niedawną śmiercią braci Ramirezów. Tak więc to, co początkowo wyglądało na w miarę jasną sytuację, zaczęło się mocno komplikować. Mieliśmy informację, że al Fayed był zatrudniony przez Kolumbijczyków jako żołnierz i można było domniemywać, że ciągnie tę robotę na terytorium Stanów Zjednoczonych. Oczywiście natychmiast z niego zrezygnowaliśmy, ale pozostało pytanie, co zrobić z uzyskanymi informacjami. Z całą pewnością nie były to kompetencje Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Zdecydowałem w końcu, by zawiadomić policję. Rzecz jasna anonimowo, aby nas w to nie wciągnięto; uznaliśmy, że policja zrobi, co uzna za stosowne.

- Al Fayed podaje dość szczegółową listę wszystkich osób, które zabił - powiedział Crenshaw. - Interesujące, że nie umieścił na niej braci Ramirezów. Zresztą, nie ma na niej nikogo z USA poza policjantami.

- Tak jest. Jak wspomniałem, informacja, którą uzyskaliśmy w tym zakresie, nie była jednoznaczna. Być może al Fayed nie był zamieszany w ich śmierć, być może pominął te zabójstwa na stronie, by wzbudzić większą sympatię opinii publicznej.

- Sympatię opinii publicznej - powtórzył Crenshaw. - Jasne. Mów dalej.

- Z uwagi na wojskową przeszłość al Fayed a policja wysłała po niego oddział SWAT... Cóż, wiadomo, co było dalej.

- Dalej robiłeś wszystko, żeby ukryć swój udział w tej sprawie?

- Mojego udziału w tej sprawie właściwie nie było. Nie miałem czego ukrywać. Zawiadomiłem policję o podejrzeniu przestępstwa. To wszystko.

- Skoro jesteś takim dobrym obywatelem, Hillel, to dlaczego kilka dni temu łągałeś u mnie jak pies?

- Zrobiłem błąd. Sądziłem, że dbam o własną karierę zawodową. Nie uważam, że zrobiłem coś złego, ale przecież przekazałem policji informację, w konsekwencji której zginęło kilku policjantów. Ktoś musiał za to zapłacić i nie chciałem, żebym był to ja. Czulem, że mogliśmy się uporać z sytuacją szybko i bez rozgłosu.

- Przez „uporać się z sytuacją” rozumiałeś tyle, by zlikwidować al Fayed a i porzucić jego ciało przy najbliższym posterunku policji?

Strand zerknął na magnetofon.

- Jak pan wie, generale, al Fayed zapowiedział, że zabije mnie i Matta Egana. Nie mieliśmy zamiaru go likwidować, chcieliśmy jednak położyć kres pogrożkom, które rzucał zarówno nam, jak i opinii publicznej, policji, rządowi...

Nie było wątpliwości, że Crenshaw będzie musiał podjąć w tej sprawie zdecydowane działania. Strand wiedział, że przybiorą one jedną z dwóch form: dyrektor może bronić swojej instytucji i zaprzeczyć, jakoby pojawiły się jakiegokolwiek nieprawidłowości, albo może potwierdzić nadużycie władzy i publicznie domagać się ukarania winnych. Strand musiał zrobić wszystko, żeby Crenshaw otrzymał od niego na tyle logiczne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło, aby wariant pierwszy wydawał się bardziej atrakcyjny.

- I aby to zrobić - powiedział Crenshaw - postanowiłeś odciąć policję od informacji, tak? Wiedziałeś, że al Fayed wciąż jest w mieście, bo wiedziałeś, że chce ciebie dopaść. Do cholery, zleciłeś policji poszukiwania jego samochodu, ale zakazałeś się im do niego zbliżać.

- Nie chciałem, by ktoś jeszcze zginął... Crenshaw się zaśmiał.

- Do diabła, Hillel. Jedno muszę ci oddać. Jesteś mistrzem krętactwa. I to niemal bez przygotowania. Moje gratulacje.

- To wszystko prawda.

- Z tego, co wiem, informacje zamieszczone przez al Fayedą na jego witrynie też są prawdą. Jak przypuszczam, to prowadzi nas do Roya Bucknera.

- Jednak to, co napisał o Royu Bucknerze, nie jest prawdą.

- Och, zatem przyłapaliśmy go na kłamstwie. Fantastycznie. Proszę, Hillel, uracz mnie nową opowiadką.

- Al Fayed zaczął wydzwaniać do Karen Manning. Doszliśmy do wniosku, że być może zechce się z nią skontaktować osobiście. Więc kazałem ją obserwować.

- Roy Buckner. Czytałem jego akta.

- Tak jest. To był bardzo porządny facet, w przeszłości współpracował z al Fayedem.

- Bardzo źle współpracował. O ile wiem, obaj się nie znosili. Wiem także, że Buckner był niezrównoważony. Według twoich własnych danych, Matt się sprzeciwiał jego kandydaturze do twojego projektu.

- Zgadza się.

- Ale ty nie widziałeś problemu.

- Szczerze mówiąc, sądziłem, że obstawienie Karen Manning nie przyniesie wielkich rezultatów i że Buckner będzie słuchał moich rozkazów.

Crenshaw pokiwał znużony głową.

- Mów, mów.

- Buckner zadzwonił i powiedział, że ma al Fayed. Powiedział także, że zjawił się za późno, by uratować Karen Manning.

- Czy to był telefon, który odebrałeś u mnie w gabinecie, kiedy mnie okłamywałeś?

Strand założył wcześniej, że Crenshaw wyciągnie zapisy jego rozmów telefonicznych, ale nie mógł wpaść na pomysł, jak się z tą kwestią subtelnie uporać.

- Tak jest. Zadzwonił, kiedy byłem w pańskim biurze. Potem oddzwoniłem do niego i kazałem mu sprowadzić al Fayed. Zgodził się i poprosił, żebym wysłał kogoś po jego samochód.

- Ale wcześniej powiedział ci, że al Fayed zabił Karen Manning.

- Tak jest.

- Hm, mamy bardzo dokładną transkrypcję wypowiedzi, które padły ze strony Bucknera w tej rozmowie, i mówi tam między innymi, że Karen Manning żyje i że kazałeś mu ją zlikwidować. Jak mi to wyjaśnisz?

- Nie wiem. Możliwe, że mówił do głuchego telefonu, zanim oddzwoniłem, albo kiedy się już rozłączyłem. Możliwe także, jak przypuszczam, że Karen Manning się zadurzyła w al Fayedzie i próbuje go bronić...

- Zatem najlepsze twoje wyjaśnienie jest takie, że albo Buckner poszedł na całego w dezinformowaniu kobiety, którą ma za chwilę zabić, albo że była policjantka o nieposzlakowanej opinii, która walczyła jak lew o swoje dobre imię, postanowiła pojechać obejrzeć zachód słońca z dawnym komandosem SEAL, którego los był już przesądzony.

- Doprawdy, nie potrafię w tej chwili powiedzieć, co się wtedy stało.

Crenshaw usiadł wreszcie za biurkiem.

- Gdzie jest Matt?

- Nie wiemy. Nie odbiera telefonu.

U

Rozdział pięćdziesiąty drugi

- Tato! - krzyknęła do słuchawki Karen. - Uspokój się! Mówię, że nic mi nie jest.

- Trzyma cię siłą, tak? Każe ci tylko tak mówić? Słucha nas teraz? Powiedz mu, że dostanie, czego chce. Pieniądze, prywatny odrzutowiec, najlepszych prawników w kraju. Cokolwiek zechce.

Spojrzała przez cały pokój na Fade'a, który leżał przed telewizorem wyciągnięty jak trup. Ledwie się jej udało wydostać go z samochodu i pomóc wejść po schodach, choć obrażenia, których doznał, nie powinny przeszkodzić mu w tym, by zrobił to samodzielnie. Wydawało się, jakby już odchodził.

- Tato, po pierwsze, nie podsłuchuje nas. Po drugie, absolutnie nic mi nie jest. Po trzecie, nie trzyma mnie siłą. Powiem więcej, gdyby nie on, już bym nie żyła.

- Jak się wabił twój pierwszy pies? - Hmm?

- Jeśli wszystko w porządku, powiedz prawdę, jeśli nie, to skłam.

- Kudłacz, tato.

Odetchnął głęboko z ulgą, wydając chrapliwy odgłos, który zabrzmiał jak trzaski na łączach telefonicznych.

- Są tu u mnie agenci rządowi, którzy usiłują cię znaleźć. O ile wiem, telefon jest na podsłuchu.

- To ci prawie gwarantuję.

- Straszą mnie, że jesteś podobno zamieszana w ujawnianie ściśle tajnych informacji.

- Przepraszam, tato, że cię w to wciągnęłam.

- Nie bądź niemądra, kochanie. Rozmawiałem już z gubernatorem. Omówiłem też tę sprawę z grupą moich prawników. Jeśli zaczną cię ściagać, ukrzyżują ich wszystkich. Reklamę na ekranie wyciszonego telewizora zastąpiła nagle postać dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, stojącego przed najeżoną mikrofonami mównicą. Karen podskoczyła na łóżku i chwyciła pilota, przyciskając raz po raz przycisk głośności, a potem dźgając nim Fade'a pod żebro. Otworzył na chwilę oczy, potem obrócił się od niej na drugi bok i znowu je zamknął.

- Kochanie? Jesteś tam?

- Tak, tak, jestem.

- Mamy tu prawdziwą nawalnicę próśb o wywiady. Mówimy...

- Tato, chyba muszę się na jakiś czas przymknąć. - Oparła się o łóżko i patrzyła, jak Crenshaw przekłada przed sobą kartki papieru. - Wszystko, co mieliśmy do powiedzenia, powiedzieliśmy w Internecie. Teraz trzeba poczekać, aż wszystko się ułoży.

- Rozumiem, ale...

- Muszę kończyć, tato.

- Karen...

- Niedługo się jednak zobaczymy, dobra? Wyłączyła telefon i położyła rękę na boku Fade'a. Nie poruszył się.

- Przede wszystkim - zaczął Crenshaw - muszę państwu powiedzieć, że o sytuacji Salama al Fayeda, podobnie jak wszyscy, dowiedziałem się dopiero wczoraj. Natychmiast poleciłem wszcząć dochodzenie w sprawie zarzutów i stwierdzeń zawartych na stronie internetowej i osobiście to dochodzenie nadzoruję. Minie jednak trochę czasu, zanim zdołamy

wszystko wyjaśnić. - Zrobił krótką pauzę, a potem spojrział prosto w obiektyw kamery. - Priorytetem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego jest zapewnienie bezpieczeństwa amerykańskim obywatelom. Zaraz potem najważniejszą rzeczą jest bronić tego, o co walczy nasz kraj. W celu zwalczania terroryzmu Amerykanie złożyli w ręce swojego rządu ogromną władzę. To zaufanie uważam za świętość. Każde naruszenie tej świętości odbieram jak najpoważniej i każde będzie traktowane z całą surowością prawa.

Wśród dziennikarzy podniósł się las rąk, ale generał powstrzymał ich.

- Uprzedzając pytania państwa, powiem, że nie wiemy, gdzie w tej chwili przebywają Salam al Fayed i Karen Manning. W żaden sposób nie możemy się też dowiedzieć, jakie jest położenie pani Manning, to znaczy, czy jest przetrzymywana wbrew swojej woli czy też nie. Robimy jednak wszystko, co w naszej mocy, aby ich odnaleźć i zapewnić pani Manning bezpieczeństwo. Hillel Strand i Matt Egan zostali zawieszoni w czynnościach służbowych na czas trwania dochodzenia i obaj nie uchylają się od współpracy. To tyle.

Crenshaw pozbierał swoje rzeczy i zszedł z mównicy, nie zważając na wykrzykiwane za nim pytania reporterów. Karen uklękła na materacu i obróciła Fade'a na plecy.

- Obudź się - powiedziała, targając go lekko ręką po włosach. - Fade? Słyszysz mnie? Otworzył oczy, ale nie była pewna, czy dobrze ją widzi.

- Proszę cię jeszcze raz, Fade, żebyś poszedł ze mną. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Kto wie? Może uda się wszystko wytłumaczyć.

Uśmiechnął się niemal niezauważalnie. Karen musiała przeciągnąć dłońią po policzku, by nie spadła na niego jej łza.

- Fade...

Ale dla niego nie było już nadziei. Wiedzieli o tym oboje. Pójdzie do więzienia i najprawdopodobniej w nim umrze, sparaliżowany na łóżku w więziennym szpitalu. Niczym sobie na to nie zasłużył.

- Jak mogę pomóc? - zapytała, ocierając znowu twarz. - Powiedz.

On tylko przymknął oczy. Na jego ustach wciąż majaczył słaby uśmiech. Zdawał się tego nawet nie zauważyć, kiedy się pochyliła i go pocałowała.

Karen wzięła parę głębszych wdechów, próbując uspokoić drzenie głosu, i zsunęła się z łóżka. Z szafki nocnej wzięła pistolet i wcisnęła go sobie za spodnie na plecach.

- Muszę iść. Zgłoszę się na policję, a to oznacza, że powiem im, gdzie się znajduje ten hotel. Mogę trochę pomarudzić, ale przed rankiem musisz stąd zniknąć. Słyszałeś mnie, Fade? Przed rankiem.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Zadzwoił telefon, ale Eganowi nie chciało się nawet wyciągnąć do niego ręki. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka w kuchni, a po korytarzu poniósł się echem gromki głos.

- Matt! Tu Darren Crenshaw. Za chwilę wejść do ciebie przez frontowe drzwi i cieszyłbym się, gdybyś mnie nie zastrzelił.

Nalał sobie jeszcze jednego drinka, wsłuchując się w skrzypienie drzwi, po którym rozległy się kroki w korytarzu.

- Jak minął dzień? - zapytał Crenshaw, siadając ciężko na krześle przy biurku Egana.

Rzucił okiem na butelkę, a kiedy Egan skinął przyzwalająco głową, wziął szklaneczkę i nalał sobie trochę wódki.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ludzi cię szukało, zanim ktoś w końcu wpadł na pomysł, żeby zajrzeć tutaj. Jak Boga kocham, czasem myślę, że marnuję tylko czas. Egan siedział bez słowa.

- Elise odeszła?

Egan przytaknął. Crenshaw rozparł się w krześle, pijąc w zamyśleniu drinka.

- Hillel wciągnął nas w niezłą kabałę - powiedział w końcu. - Słyszałeś, że Pakistańczycy wnieśli formalny protest do ONZ, i spodziewamy się, że to samo zrobią co najmniej cztery kolejne państwa wymienione przez Fade'a w Internecie? Saudyjczycy są tak wściekli, że chyba nie wiedzą jeszcze, co zrobić.

- Z całym szacunkiem, mam w dupie Saudyjczyków.

Crenshaw się zaśmiał.

- Trudno bardziej się z tym nie zgodzić, choć poza tym pokojem nigdy tego ode mnie nie usłyszysz... Moi ludzie powiedzieli mi, że wszystko z witryny, co sprawdzili do tej pory, jest prawdą. Rozmawiałem z Hillelem i... cóż, powiedzmy, że tego faceta czeka w polityce wielka przyszłość.

- Jeśli dożyje.

Crenshaw wzruszył ramionami i pociągnął łyk.

- Może mi opowiesz swoją wersję, Matt?

- Chyba jest już trochę za późno, prawda?

- I tak nie masz nic lepszego do roboty.

Egan przechylił butelkę, wsuwając prawie całą jej szyjkę do szklanki, a potem wypełnił po brzegi szklankę Crenshawa.

- Wszystko, co dotyczy misji Fade'a, jest zgodne z prawdą. Raz za razem nadstawiał karku, żeby załatwić nasze problemy, potem został ranny, a my się odwróciliśmy plecami. Próbowałem zdobyć pieniądze na operację, na którą liczyłem, ale mi się nie udało.

- Nie zmusisz biurokracji do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chce, Matt. Z tego, co słyszałem, rząd popełnił gafę, ale ty zrobiłeś wszystko, co jeden człowiek jest w stanie zrobić, żeby mu pomóc.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, że jeśli coś ci się nie udaje, to albo zabrakło ci głowy, albo się nie dość starałeś.

Crenshaw się uśmiechnął.

- Podoba mi się taka filozofia, Matt, ale obaj wiemy, że jest głównie warta. W każdym razie wygląda na to, że al Fayed sam wpadł na pomysł, skąd wziąć pieniądze. Pojechał do Kolumbii i pracował dla Castela Veli.

- Wiedziałem o tym - przyznał Egan. - Ale zagrzebałem raporty DEA.

- Najwyraźniej nie dość głęboko.

- Nie, nie dość głęboko. Hillel się napalił na Fade'a, nie bez powodu, jak przypuszczam...

- Nie przeczysz, że facet się odznacza pewnymi wysoce pożądanymi kwalifikacjami.

Egan przytaknął.

- Pojechaliśmy do niego, ale jasno powiedział, że mamy spierdalać. Hillel się wściekł i postanowił, że mu nie popuści.

- Wtedy mu powiedziałeś o Kolumbijczykach?

- Nie. Tego się dokopała Lauren. Ja trzymałem gębę na kłódkę.

- A bracia Ramirezowie?

- Kompletna bzdura. Hillelowi potrzebna była jakaś lokalna sprawa, żeby ruszyć gliniarzy.

- Zatem plan był taki, żeby go zrobić, pozwolić wpakować za kratki, a potem łaskawie wyciągnąć z bagna, tak?

- Nie za darmo.

- Jak się z tym czuleś?

- Nic o tym nie wiedziałem. Gdyby to ode mnie zależało, możesz być pewny, nie wysłałbym grupki policjantów do zatrzymania Fade'a. Nietrudno było przewidzieć, co się stanie. W mojej opinii, Fade wystarczająco dużo dla tego kraju poświęcił, a poza tym, szczerze mówiąc, nie nadawał się już do tej roboty ani fizycznie, ani psychicznie.

- Tu się pojawia Karen Manning.

- Czyżby?

- Co wiesz?

- To samo co wszyscy: Hillel i Buckner mieli ją na oku i Buckner nakrył ich gdzieś w lesie.

- Na stronie można przeczytać, że Strand kazał ją zabić. Ale on mówi co innego. Według niego, Buckner mu powiedział, że al Fayed już ją zabił...

- Nie znam tej sprawy.

- A jak sądzisz?

- Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć.

- Dalej, Matt. Ubaw mnie.

Egan pociągnął łyk i spojrzał na kotary zasłaniające okno na wprost niego. Czy Fade tam stoi? Czekaj?

- Matt?

Spojrzał na generała i wzruszył ramionami.

- Oczywiście Hillel miał niejedną przyczynę, by widzieć ją martwą. Nie mógł być pewien, czego się dowiedziała od Fade, a wszystko można było tak zaaranżować, żeby wyglądało, jakby to Fade ją zabił. Czy Manning mówi prawdę, twierdząc, że Hillel zlecił ją zabić? Oczywiście. Ale Hillel, jak zwykle, zostawia sobie miejsce na wybieg. W przeszłości Buckner nieraz okazywał się bestią, która uciekła z klatki, i Hillel teraz to przypomni.

- To niezbyt przekonujące - rzucił Crenshaw.

- Wcale nie, jeśli zdobędzie pana poparcie. Liczy na to. Dobrze wie, że media i demokraci bardzo uważnie patrzą panu na ręce, generale, i tylko czekają na historyjkę, jak to Departament Bezpieczeństwa Krajowego przeistacza się w nowe gestapo. Hillel zadbał, żeby zostawić pana z odpowiednim zapasem amunicji, aby łatwiej było go bronić, niż robić z niego chłopca do bicia. Więcej nawet, podsunął jeszcze mnie, człowieka, który przymykał oczy, gdy jeden z naszych agentów operacyjnych niszczył amerykańską młodzież kokainą. Cóż za ładna, mała zmiana kierunku, jeśli tylko dobrze to pan rozegra.

- Wtedy ty kończysz w więzieniu, a Hillel dostaje order za wzorową postawę obywatelską.

- Jeśli dożyję.

Crenshaw odchylił się w krześle i oparł głowę o ścianę.

- Wiesz, co mnie najbardziej wścieka, Matt? Powiem ci. Kiedy ludzie zakładają, że skoro zrobiłem w wojsku karierę, to jestem faszystowskim kutafonem, który chciałby wprowadzić stan wyjątkowy i strzelać do każdego Araba, jaki mu się pokaże. Codziennie

rano, kiedy włączam komputer, na ekranie pojawiają mi się słowa Bena Franklina. Wiesz jakie? „Kto w imię bezpieczeństwa poświęca wolność, nie zasługuje ani na jedno, ani na drugie”. Mam na głowie stado polityków, którzy kręcą się po świecie, straszą i wkurzają kogo się da, a potem oglądają się na mnie, żebym ich bronił przed tymi, których straszyle i wkurzali. Z drugiej strony, mam Amerykanów, trochę nazbyt chętnie przyzwalających rządowi żonglować ich prawami, w zamian za gównie wartości obietnice, że zapewniemy im pełne bezpieczeństwo.

- Więc dlaczego pan to robi?

- A ty dlaczego?

- Bo jestem w tym dobry? Bo ktoś musi? Czasem sam nie wiem.

Crenshaw zamilkł na kilka minut. Dokończył drinka.

W końcu postawił opróżnioną szklankę na parapecie, pochylił się naprzód i opuścił nogi krzesła, uderzając nimi głośno o podłogę.

- Schrzanileś sprawę, Matt. Muszę powiedzieć, że zawiodłem się na tobie. Nie w kwestii Kolumbijczyków, rozumiem, że czasem trzeba wesprzeć swoich ludzi. Zawiodłem się, bo nie przyszedłeś z tym do mnie.

- Co by pan zrobił, generale? Powołał grupę, która powielałaby te same błędy co policja. Zastrzeliliby Fade'a albo zagrzebali go na resztę życia w jakimś ośrodku. Zasłużył na coś lepszego.

- Tak, zasłużył. Ale również ty nie mogłeś mu zapewnić nic lepszego. Teraz, na domiar złego, mam jeszcze na głowie witrynę ZABOJCASWAT.COM.

- Tak...

- Więc Strand myśli, że nie mam wyboru i muszę go poprzeć? Jego i jego zafajdane bajki o braciach Ramirezach i Royu Bucknerze? Myśli, że pozwolę mu się wymigać z nadużyć władzy, którą amerykański naród tak pochopnie go obdarzył.

- Bardzo niechętnie to mówię, ale wygląda na to, że jest to najlepsze wyjście.

- Ciebie mam poświęcić jako sprawcę zamieszania, tak?

- Tak jest.

Crenshaw wstał i przeszedł się po pokoju, przyglądając się ciekawie wiszącym na ścianach różnym pamiątkom branży fonograficznej.

- Co ty na to, jeśli powiem ci, że Hillel przesłał Bucknerowi wiele zaszyfrowanych emaili i że niektóre z nich są szczególnie obciążające?

Egan nie odpowiedział od razu, usiłując szybko zebrać myśli.

- Przepraszam, nie bardzo pana rozumiem, generale.

- Co tu jest do rozumienia? W laptopie Bucknera znaleźliśmy cały łańcuch korespondencji między nimi. Wiadomości z całą pewnością były wysyłane z komputera Stranda i zawierają jego zaszyfrowany podpis.

- Oo...

- Zamurowało cię?

- Cóż, wie pan, szyfrowane emaile to znakomity sposób komunikowania się, sam często z tego korzystam. Ale to jakby z góry zakłada, że osoba, do której się wysyła wiadomość, ma tyle oleju w głowie, żeby natychmiast ją usunąć. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Hillel popełnił taki błąd. Zresztą, szczerze wątpię, by Buckner kiedykolwiek miał własny komputer.

Crenshaw odwrócił się od entuzjastycznej recenzji ostatniej płyty Elise i stanął do niego twarzą.

- Masz rację. Nie miał komputera. Sfabrykowaliśmy to.

- Nie rozumiem.

- Znasz Lauren, asystentkę Stranda? Bardzo bystra dziewczyna. Cholernie ambitna. Pomogła nam to wszystko wytworzyć.

- Przepraszam, ale wciąż nie pojmuję.

- Matt, nie mam zamiaru spędzić następnych pięciu lat życia na przesłuchaniach komisji śledczych. Poza tym zawsze jasno podkreślałem, jakie jest moje zdanie na temat przekraczania uprawnień. Nigdy nie będę tego tolerował.

Egan nie był pewny, co powiedzieć.

- Jesteś zszokowany, Matt?

- Chyba tak. Trochę się pogubiłem.

- To, jak sądzę, zrozumiałe.

Crenshaw ruszył w kierunku drzwi, ale się zatrzymał.

- Chcesz siedzieć w domu, chlać i czekać, aż się zjawi al Fayed i cię kropnie?

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

- Powinieneś zastrzelić go w Baltimore, Matt. Głupi błąd. - Stuknął lekko palcem w zdjęcie Kali na ścianie. - Masz poważne obowiązki.

- Chciałem. Ale to się okazało trudniejsze, niż przypuszczałem.

Crenshaw pokiwał głową.

- Domyślam się, że twoja żona pojechała z córką do mamy. Może złap za telefon, zadzwoń do niej i przekonaj ją, że postarasz się wszystko naprawić. Potem wyjedźcie gdzieś.

Poprosiłem lekarza, który miał operować al Fayed, aby spojrział na witrynę ZABJCA.COM.
Jego zdaniem, tytai>

C o drętwieniu i częścioeJ dwa skończy na wózku

^zrok w pustą szklanę, cię osłaniać - powiedział

- Cholernie dziś trudno

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Jak długo nie ma Karen? Nie wiedział dobrze - szum telewizora nie miał końca, a ciężkie kotary były szczelnie zasunięte, pozostawało więc tylko sztuczne światło. Fade przekręcił głowę w lewo i sprawdził, czy na nocnej szafce leży pistolet. Nie leżał. Bystra dziewczyna. Zmusiła go do decyzji: wstań i zrób coś albo leż i czekaj, aż gliny cię wywleką.

Oczy same mu się zamykały, ale nie pozwolił im na to, wpatrując się uporczywie w zapadający się nad nim wolno sufit. Początkowo czuł, jakby się w coś zatapiał, ale im mocniej się koncentrował, tym bardziej jakby odzyskiwał siły.

Wreszcie dobrnął do kresu. Karen przekaze policji adres hotelu i dokładny opis samochodu. Matt będzie musiał ujawnić fałszywe dokumenty i karty kredytowe. Dzięki fotografii zamieszczonej w Internecie chyba każdy na świecie już wie, jak wygląda Salam al Fayed, a jego czas na sto metrów można teraz liczyć nie w sekundach, lecz minutach.

Spuścił z lekkim zamachem nogi na podłogę i spróbował stanąć, ale prawa noga ugięła się pod nim i wyrznął kolanem w ostrą krawędź nocnej szafki. Nic nie poczuł. Raz jeszcze huknął kolanem w masywne drewno, nawet mocniej, i usłyszał tylko głucho, tępe dudnięcie, które poniosło się po pokoju. Chwilę później raz po raz bił wściekły kolanem o szafkę, rozpaczliwie próbując wyczuć coś, co będzie znakiem, że żyje.

W końcu wyczerpany padł z powrotem na łóżko. Usiłował się skupić na ciężkim oddechu, a nie drętwocie, która z wolna, centymetr po centymetrze, ogarniała jego ciało. zakładając, że Fade pisze prawdę o drętwieniu i częściowym paraliżu, za tydzień, najdalej dwa skończy na wózku inwalidzkim. Albo gorzej.

Egan westchnął ciężko i wbił wzrok w pustą szklanę, którą wciąż trzymał w ręku.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię osłaniać - powiedział Crenshaw, wychodząc na korytarz. - Cholernie dziś trudno o utalentowanych ludzi.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Jak długo nie ma Karen? Nie wiedział dobrze - szum telewizora nie miał końca, a ciężkie kotary były szczelnie zasunięte, pozostawało więc tylko sztuczne światło. Fade przekręcił głowę w lewo i sprawdził, czy na nocnej szafce leży pistolet. Nie leżał. Bystra dziewczyna. Zmusiła go do decyzji: wstań i zrób coś albo leż i czekaj, aż gliny cię wywleką.

Oczy same mu się zamykały, ale nie pozwolił im na to, wpatrując się uporczywie w zapadający się nad nim wolno sufit. Początkowo czuł, jakby się w coś zatapiał, ale im mocniej się koncentrował, tym bardziej jakby odzyskiwał siły.

Wreszcie dojrzał do kresu. Karen przekaże policji adres hotelu i dokładny opis samochodu. Matt będzie musiał ujawnić fałszywe dokumenty i karty kredytowe. Dzięki fotografii zamieszczonej w Internecie chyba każdy na świecie już wie, jak wygląda Salam al Fayed, a jego czas na sto metrów można teraz liczyć nie w sekundach, lecz minutach.

Spuścił z lekkim zamachem nogi na podłogę i spróbował stanąć, ale prawa noga ugięła się pod nim i wyrznął kolaniem w ostrą krawędź nocnej szafki. Nic nie poczuł. Raz jeszcze huknął kolaniem w masywne drewno, nawet mocniej, i usłyszał tylko głucho, tępe dudnięcie, które poniosło się po pokoju. Chwilę później raz po raz bił wściekły kolaniem o szafkę, rozpaczliwie próbując wyczuć coś, co będzie znakiem, że żyje.

W końcu wyczerpany padł z powrotem na łóżko. Usiłował się skupić na ciężkim oddechu, a nie drętwość, która z wolna, centymetr po centymetrze, ogarniała jego ciało.

Nagle telewizor zagrał głośniejsze. Fade spojrzął na ekran, gdzie zamiast prezentera pojawiła się kobieta w wieku ponad pięćdziesięciu lat, która starała się coś mówić między spazmatycznymi chlipnięciami.

- Chcemy tylko, żeby córka cała i zdrowa wróciła do domu - zdołała powiedzieć i zaraz zaczęła wycierać nos zmiętą chusteczką. - To cudowna dziewczynka. Tylu ludzi ją kocha. Chodziła do szkoły pielęgniarstwa... Zawsze marzyła tylko o tym, by móc pomagać innym ludziom...

Nagle Fade zdał sobie sprawę, jak bardzo zahipnotyzowała go intensywność, z jaką kobieta opowiada o dzieciństwie Elizabeth Henrich, jej miłości do zwierząt i planach, jakie miała na przyszłość. Dlaczego nie potrafił się odwrócić od telewizora?

Wreszcie obraz się zmienił i na ekranie pojawił się reporter na tle jakiegoś rozległego budynku, otoczony tłumem ludzi, którzy coś wykrzykiwali i unosili pięści. Fade zorientował się po chwili, że jest to ten sam szpital, w którym prawie udało mu się wykończyć Hillela Stranda.

- Harold Logner, znany powszechnie jako „Kolekcjoner”, wciąż jest pacjentem oddziału ortopedycznego tego szpitala. Wciąż też nie chce podać miejsca, gdzie przebywa w tej chwili Elizabeth Henrich, i się upiera, by władze zapewniły mu bezpieczny azyl w Brazylii. Rzecznik brazylijskiej ambasady wydał publiczne oświadczenie, stwierdzające, że jeśli wpłynie oficjalna prośba w tej sprawie, jego rząd zgodzi się przyjąć pana Lognera. Jak dotąd amerykańskie władze nie udzieliły odpowiedzi na tę deklarację.

- Czy możemy się jej wkrótce spodziewać? - padło spoza ekranu pytanie prezentera w studiu. - Jak rozumiem, czas nagli.

- To oczywiście prawda. Według oceny samego Lognera, Elizabeth Henrich może jeszcze przetrwać najwyżej kilka dni. Panuje tu przekonanie, że Logner prowadzi tę grę na próżno, ponieważ dobrze wie, że jest mało prawdopodobne, by po odnalezieniu panny Henrich Brazylijczycy odmówili stronie amerykańskiej ekstradycji.

- Jest wokół ciebie wielu demonstrantów. Jakie wyczuwasz wśród nich nastroje?

- Tak naprawdę ludzie są zdezorientowani. Z wieloma z nich rozmawiałem i, jak się wydaje, nie ma zgody na temat tego, co należałoby uczynić. To raczej tylko upust złości i zniecierpliwienia.

Fade słuchał jeszcze chwilę, po czym sięgnął po leżący obok telefon i odsłuchał nagrane wiadomości. Od Karen nic, za to, jak zwykle, rzesza reporterów, oszołomów i gliniarzy. Na końcu jednak trafił na dwa interesujące wyjątki. Zadzwoił generał Crenshaw, który osobiście gwarantował mu bezpieczeństwo, jeśli się odda w ręce wymiaru sprawiedliwości. Z kolei Matt Egan nagrał wiadomość, że zostawiła go żona i że zaprasza go do siebie na ostateczną rozgrywkę.

Upuścił telefon z powrotem na łóżko i znowu skupił uwagę na krwawej historii morderstw „Kolekcjonera”. Miał wiele wspólnego z Haroldem Lognerem. To, co robili, sprawiało innym ból. Świat byłby lepszy, gdyby żaden z nich się nie narodził.

W końcu Fade zebrał się jeszcze raz i wstał z łóżka. Podeszedł chwiejnym krokiem do szafy i zaczął szukać czegoś głęboko w jednej z szuflad. Po chwili się wyprostował, trzymając w ręku małe pudełko z przyborami do szycia. Postawił pudełko i laptopa na stole w rogu pokoju i po paru nieudanych próbach zdołał się podłączyć przez hotelowe łącza do Internetu.

Jego umiejętność korzystania z wyszukiwarek systematycznie się poprawiała i niecałe dwie godziny zajęło mu znalezienie numeru telefonicznego, który każdy dziewięciolatek znalazłby zapewne w ciągu kilku minut. Wstał i podpierając się krzesłem jak kulą, podeszedł do łóżka. Na szafce nocnej stała szklanka napełniona do połowy wodą. Roztrzaskał ją o ramę łóżka, wybierając jednocześnie numer w telefonie.

- Halo? - pełen nieufności głos starszej kobiety.

- Czy mógłbym rozmawiać z Elise? - zapytał Fade, biorąc do ręki kawałek stłuczonego szkła i odcinając nogawkę tuż nad kolaniem.

- Nie ma jej w domu. Kto mówi?

- Salam al Fayed.

Kobieta rzuciła słuchawkę, a Fade wcisnęła przycisk powtarzania ostatniego numeru.

- Bo zadzwonię na policję - zagroziła kobieta, kiedy znowu podniosła słuchawkę. - Co pan sobie wyobraża, dzwonić...

- Proszę pani! Bardzo proszę! Naprawdę jestem Salam al Fayed. Pisałem na mojej stronie internetowej, że parę dni temu byłem na koncercie Elise. Ale nie napisałem, że miałem na sobie białą koszulę z chińskim kołnierzykiem, dżinsy i okulary z niebieskimi szklami. Czy może jej to pani powiedzieć?

Znowu chwila ciszy.

- Nie wiem, czy jest w domu, rozumie pan, ale sprawdzę, proszę chwilę poczekać.

Czekając, Fade przyjrzał się kolanu. Po niedawnym napadzie wściekłości zaczęło już puchnąć i sinieć. Nakłuł palcem rzepekę, próbując stwierdzić, czy nie złamał kości. Choć i tak nie miało to już znaczenia.

- Halo? - głos nienaturalnie napięty, ale nie do pomylenia z żadnym innym.

- Cześć, Elise.

- Skąd wziął pan mój numer? - zapytała, zdając sobie naturalnie sprawę, że skoro ma numer jej telefonu, to prawdopodobnie ma także jej adres.

- Cóż, najpierw postawiłem sobie pytanie, gdzie udałaby się kobieta w twojej sytuacji. Na stare śmieci, prawda? Na stronach internetowych twojej firmy fonograficznej znalazłem twój biogram i przeczytałem, skąd pochodzisz. Potem poszukałem parę okładek twoich płyt i powiększyłem je tak, żebym mógł odczytać z nich nazwiska osób, którym dziękujesz. Niemal na samym szczycie tej listy znajdowały się nazwiska rodziców. Potem wystarczyło już tylko...

- Czego pan chce?

Chwycił między palce odłamek szkła, niczym ołówek, i zrobił nim głębokie nacięcie z boku na kolanie. Dziwnie było nie czuć przy tym bólu. Trochę tak, jakby wrzynał się nożem w duży owoc.

- Wczoraj słyszałem w radiu jedną z twoich piosenek.

Dzisiaj rano w wiadomościach telewizyjnych puścili fragment twojego koncertu...

- Mój producent powiedział mi dzisiaj, że chcą wydać dwadzieścia pięć tysięcy moich płyt. Powiedział też, że moja ostatnia płyta znalazła się na dziesiątym miejscu listy sprzedaży na „Amazon.com”. Nieprawdopodobne, jak morderca i psychopata może wpłynąć na rozwój czyjejś kariery.

- Wiesz, tak naprawdę nie jestem psychopatą.

- Miałam na myśli mojego męża. - Ach... No tak.

Powinien był nawlec igłę, zanim przeciął skórę na kolanie. Krew ciekła już po goleni na pościel, a jemu nie udało się jeszcze trafić nitką w oczko. Kiedy przyjdą zawroty głowy, nie będzie wcale łatwiej.

- Słyszałem, że go rzuciłaś.

- Czego pan chce, panie al Fayed?

- Chciałbym wyjaśnić parę rzeczy, które trudno zrozumieć.

Nic nie odpowiedziała, ale też nie odłożyła słuchawki.

- Przede wszystkim ani tobie, ani twojej córce nawet przez chwilę nie groziło niebezpieczeństwo. Nawet przez krótką chwilę. Matt doskonale o tym wiedział. Więcej nawet, nie tylko nic wam nie groziło, ale uzgodniliśmy z Mattem, że nic się nie wydarzy na waszych oczach. Nigdy, w żadnych okolicznościach nie złamałbym tej umowy.

Udało mu się wreszcie nawlec nitkę i zawiązać na jej końcu supełek, po czym ostrożnie zaczął zszywać skórę na kolanie.

- Ale, jak mi się wydaje, pewnie już o tym wiesz. Znowu brak odpowiedzi.

- Elise, daj spokój. Znam twoje płyty. Jeśli jest coś, co dobrze cię charakteryzuje, to poświęcenie temu, co uważasz za prawdę. Od prawdy nigdy się nie odwracasz.

- Wiem, że nie narażałby nas na niebezpieczeństwo - przyznała w końcu.

- Więc zostawiłaś go, ponieważ zabijał. Ale o tym też wcześniej wiedziałaś.

- Matt to dla mnie niewiadoma. Przyzwolenie na hipokryzję.

- Każdy zasłużył sobie na tę odrobinę szczęścia, nie uważasz? By mieć coś albo kogoś, co daje prawo okłamywania siebie samego.

Wygiął nieznacznie igłę o kant stolika, przystosowując ją do czekającego go zadania. Może to niezbyt higieniczne, ale infekcja nie odgrywała teraz znaczącej roli.

- Pozwól, że opowiem ci trochę o świecie, w jakim żyjemy z Mattem. To świat, w którym za cudzołóstwo władza karze mężczyznę patrzaniem, jak odbywa się zbiorowy gwałt na jego siostrze, świat, w którym ojciec odcina dzieciom ręce i dusi je w garnku, bo jakiś znachor powiedział mu, że w ten sposób będzie niezwyciężony w walce. Widziałem ludzi obdartych ze skóry i oblanych elektrolitem z akumulatora, tylko z powodu różnicy zdań na temat ustrojów politycznych, których istoty nikt nie rozumiał. Poznałem ludzi, którzy bez namysłu zabiliby każdego, mężczyznę, kobietę, czy dziecko, bo sądzą, że tak nakazał im Bóg. To świat, w którym nie ma dobrych ludzi, w którym nie istnieją ludzie przedstawiani przez media jako niewinne ofiary. Najwyżej są gorzej uzbrojeni. Gdyby mieli odpowiednią siłę ognia, robiliby to samo, co inni robią im. - Zamilkł na chwilę, by odgryźć końcówkę nitki. - Być może to, co robiliśmy z Mattem, nie było całkiem słuszne. Być może zrobiliśmy więcej

złego niż dobrego. Ale próbowaliśmy pomóc. To brzmi głupio, gdy teraz głośno to mówię, ale naprawdę próbowaliśmy.

Zaległa cisza przeciągała się.

- Rzeczywiście ceni pan sobie prawdę, panie al Fayed?

- Słucham?

- Mówi pan, że kiedy został pan ranny, Matt się za panem nie wstawił. Mimo że Matt wciąż jest dla mnie niewiadomą, wiem, że to nie w jego stylu.

Fade uśmiechnął się słabo.

- Chyba był mi potrzebny ktoś, na kogo mógłbym zrzucić winę, a on był jedyną osobą, która miała siłę dać sobie z tym radę. Matt zrobił wszystko, co mógł.

- Pan nie ma prawa zabijać mojego męża, panie al Fayed.

- Tak naprawdę nigdy nie zamierzałem go zabić. Byłem taki zły... no, na wszystko. Zastanawiam się, czy gdzieś w podświadomości nie chodziło mi o zupełnie odwrotny skutek. O to, żeby to on zabił mnie. Żeby żył z tym przez resztę życia.

- A teraz?

- Teraz jestem zmęczony. Złością. Strachem. Rozmyślaniami, co by było, gdyby moje życie nie było takie przesrane. - Pochylił się i przeciągnął palcem po szwach na kolanie. Mało artystycznie, ale efekt był przekonujący. - Wrócisz do niego, Elise, prawda?

Przez parę sekund sądził, że nic nie odpowie. Wreszcie odpowiedziała.

- Powiedziałałam już, Matt to dla mnie jedna niewiadoma.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

W ciągu ostatnich kilku godzin ruch w biurze z każdą chwilą stawał się coraz bardziej gorączkowy, a w tej chwili każdy już miał zajęcie. Wszystko zmieniło pojawienie się witryny ZABOJCASWAT.COM. Cały personel wiedział już, co się stało, i wszyscy się zwracali bezpośrednio do Darrena Crenshawa. Przybyły z zewnątrz zespół śledczych pracował w pocie czoła, aby ostatecznie potwierdzić fakty opisane na stronie al Fayed. Natomiast Bill Fraiser i Lauren McCall zostali przeniesieni do grupy mającej go odszukać.

Jedyną osobą bez żadnego zadania pozostawał Hillel Strand. Nie miał pojęcia, gdzie przebywa Matt Egan ani jak przebiega postęp prac poszczególnych jednostek. Wciąż przemieszczał w biurze, ale praktycznie odizolowany od wszystkiego. Kiedy wychodził za próg, ludzie milkli i patrzyli spode łba, jak przechodzi obok nich sztywnym krokiem do kuchni, toalety czy gdzie indziej, i nie odzywali się, dopóki na powrót nie zniknął za drzwiami swojego pokoju.

Jednak gorsze od milczenia personelu było milczenie wyższych kadr. Przyjaciele i sprzymierzeńcy polityczni przestali oddzwaniać na telefony, a najwyższe kierownictwo Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego zachowywało się, jakby Strand nie istniał. Żadnych pouczeń, żadnych sprawozdań, żadnych komentarzy dla prasy. Nic.

Strand usiadł i sięgnął po kubek z kawą, jedną z niewielu rzeczy, które pozostały mu na biurku. Jego szafka z szufladami na akta, komputer, dyskietki, nawet notatnik i kalendarz, wszystko skrzętnie zebrano i wywieziono. Co prawda nikomu nic to nie da. Nie zapisał bowiem niczego, co przeczyłoby wersji, którą wymyślił. Bez końca sobie powtarzał, że rozegrał tę sprawę najlepiej, jak było można - jednak to wcale nie łagodziło bólu. Żołądka, w którym wrzód zdawał się pęcznić.

Crenshaw nie ma szans wygrać tej walki. Próby przebicia się przez dobrze wyważone wątpliwości, którymi okrył się Strand, podważą fundamenty całej organizacji. Nie będzie miał wyboru, musi zrobić wszystko, żeby to zatuszować. No, ma jedną możliwość. Może spróbować zmusić Stranda do przyznania się do winy, wyrzucając go z pracy, na te same ulice, po których przechadza się Salam al Fayed. Jednak adwokat, którego wynajął Strand, wcale się tym nie przejmował. Byłby to wybieg szyty tak grubymi nićmi, że powrót na stanowisko nie nastęczyłby żadnych problemów.

Jedno było pewne: nic mu nie grozi. Będzie musiało minąć trochę czasu, aż wszystko ucichnie, i raczej nie zrobi już wielkiej kariery w rządzie. Ale nic mu się nie stanie. Strand zamknął na chwilę oczy, rozluźnił mięśnie i zaczął myśleć o niczym. Nic mu się nie stanie.

Chwilę później drzwi się otworzyły z trzaskiem i stanął na równe nogi. Do pokoju wkroczył Darren Crenshaw z dwoma mężczyznami, których Strand nie znał. Obaj byli ubrani w tanie garnitury, a jeden miał taką nadwagę, że dostał zadyszki, usiłując dotrzymać kroku Crenshawowi, który szedł dwa razy wolniej niż normalnie.

- Czym mogę panom służyć? - zapytał Strand, gdy Crenshaw zajął miejsce z boku, pod ścianą, a towarzyszący mu mężczyźni stanęli nieruchomo na środku pokoju.

- Pan Hillel Strand? - zapytał jeden z nich, szukając czegoś w kieszeni.

- Tak.

Mężczyzna wydobyl z kieszeni odznakę i wyciągnął ją do Stranda na tyle blisko, by mógł przeczytać, co jest na niej napisane. Okazało się, że mężczyzna jest policjantem. Po prostu zwykłym policjantem.

- Jest pan aresztowany za utrudnianie śledztwa oraz usiłowanie zabójstwa Karen Manning i Salama al Fayed.

- Co? O czym pan, do cholery, mó...

- Zechce pan wyjść z biurka.

Strand popatrzył na Crenshawa.

- O co tu, do diabła, chodzi?!

- Znaleźliśmy emaile, które wysyłałeś do Roya Bucknera, Hillel. Buckner ich nie skasował.

- O czym pan mówi? Nigdy nie wysyłałem Bucknerowi żadnych emaili!

Crenshaw pokręcił tylko głową z dezaprobatą, a jeden z policjantów obszedł biurko i ujął Stranda pod ramię. Strand się szarpnął, ale sekundę później leżał już przygwożdżony do biurka, z rękami wykręconymi do tyłu. Poczul na nadgarstkach zimny metal i usłyszał znany mu dobrze szcęk zatraskiwanych kajdanek. Kiedy pociągnięto go z powrotem do pozycji wyprostowanej, odwrócony Crenshaw wychodził już z pokoju.

- Wiem o wielu kompromitujących rzeczach - krzyknął za nim Strand, wpadając w panikę. - Pan nie może oddać mnie w łapy zakichanej policji!

Crenshaw zatrzymał się w progu, ale nie spojrzął za siebie.

- Co takiego wiesz, Hillel? Wiesz coś, czego nie ma jeszcze w zasranym Internecie?

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Z powodu rosnącego przed frontem tłumu, a także niedawnych tortowych błazeństw Fade'a ochrona szpitala okazała się nadzwyczaj szczelna. Ustawione przy wejściu bramki do wykrywania metalu uniemożliwiały wniesienie do budynku poważniejszej broni i każdy był wyjątkowo czujny na to, co się wokół niego dzieje. Fade szedł ze spuszczoną głową, próbując przywyknąć do kul, które niedawno kupił, i unikał kontaktu wzrokowego z włączającymi się po korytarzach policjantami i ochroniarzami. Na głowie miał czapeczkę baseballową „Lakersów”, a na nosie lekko zaciemnione okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał na typowego trzydziestoparoletniego oldboja z autodestrukcyjnymi skłonnościami do gier sportowych na wolnym powietrzu. Jednak najważniejsze w tym raczej kiepskim przebraniu było kolano - czarnosine, spuchnięte i zsyte, doskonale widoczne pod obciążonymi nogawkami spodni i przyciągające wzrok niemal każdej mijanej osoby spoza personelu medycznego.

Staął plecami do kamery przemysłowej i pociągnął palcem po planie szpitala, kolorowanym według oddziałów. Odnalazł ortopedię i ruszył dalej korytarzem.

- Najmocniej przepraszam - wymamrotał, wskakując na jednej nodze do zatłoczonej windy i trącając przy tym plecakiem co najmniej trzy osoby.

Gdyby mógł działać tak jak zwykle, spuściłby się po linie z dachu albo zrzuciłby go helikopter, albo, w najgorszym razie, musiałby się przekraść schodami ewakuacyjnymi. W

obecnym stanie jednak jazda windą była jedynym wyczynem sportowym, na jaki było go stać. Albo atak frontalny, albo nic.

Nie zdziwił się, że kiedy drzwi się rozsunęły i niemal wypadł z kabiny na korytarz ortopedii, natychmiast się natknął na policjanta.

- Z kim chce się pan widzieć?

- Z doktorem Pritchardem. - Takie nazwisko znalazł na internetowej stronie szpitala.

- Jest pan umówiony? - zapytał policjant, odrywając oczy od opuchniętego kolana i spoglądając na jakąś listę, którą trzymał w ręku.

- Nie wiem. Rozmawiałem z nim dosłownie pół godziny temu, opisałem mu, jak wygląda kolano, i kazał mi natychmiast przyjechać. Podejrzewa zakażenie.

- Niewygląda to dobrze.

- Nawet pan sobie nie wyobraża.

- Proszę, może pan przejść.

Fade ruszył korytarzem, ale po chwili się zatrzymał i odwrócił głowę.

- Hej, to tutaj trzymacie tego świra, „Kolekcjonera”? Na zewnątrz jest chyba z tysiąc ludzi...

Policjant zmarszczył tylko brwi i usiadł na składanym krześle twarzą do windy.

Rozkład szpitala okazał się wręcz idealny do jego celów. Właściwie wystarczyło iść jedną drogą - korytarz miał dość załomów i zakrętów, żeby ochroniarze często nie mieli ze sobą kontaktu wzrokowego. W końcu minął ostatni zakręt i ruszył w kierunku pary solidnie wyglądających, podwójnych drzwi, przy których siedział muskularny policjant o krótkiej szyi. Kiedy Fade zbliżył się do niego o kulach, policjant wstał i przyjrzał się uważnie zranionemu kolanu.

- W czym mogę pomóc?

- Mam spotkanie z doktorem Pritchardem, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy dobrze trafiłem.

- Na pewno nie. Proszę wrócić do recepcji, którą pan minął, i zapytać pielęgniarkę.

Fade zastanawiał się wcześniej nad pomysłem, by Isidro przerobił jego nowe kule na dwunastokalibrowe śrutówki. Byłaby to niewiarygodnie wdechowa sprawa, ale to nie przewyższało jej oczywistych niepraktyczności. Postanowił więc, że lepiej będzie, jeśli spędzi trochę czasu, eksperymentując przy prawej nodze i precyzując sobie dokładnie, co może, a czego nie może nią zdziałać. Doszedł w końcu do wniosku, że zachował w niej jakieś czterdzieści procent siły i trzydzieści procent manewrowości, ale tylko przy uderzeniach z

niedużej odległości. To wystarczyło, by swój mało elegancki plan mógł uważać za wykonalny.

Kiedy Fade się odwrócił, w ruchu, który do znudzenia przećwiczył w hotelu przed lustrem, udał, że traci równowagę, i upuścił jedną z kul. Policjant się pochylił, aby ją podnieść, a w tej samej chwili Fade dzielił go drugą kulą w tył głowy. Policjant padł ciężko na ziemię, wydając z siebie charknięcie, które na pustym korytarzu wydawało się nieprawdopodobnie głośne. Fade zastygł i obejrzał się za siebie, w głąb korytarza, ale nikt się nie pojawił. W tego typu sprawach nie opuszczała go dobra karma.

Z pewną trudnością pochylił się nad policjantem, zabrał mu pistolet, który wcisnął sobie za pas, podniósł kulę i pchnął drzwi.

Korytarz, na którym się teraz znalazł, nie był tak długi, jak się spodziewał; ciągnął się kilkanaście metrów, a potem kończył ślepo oknem, wychodzącym na przedmieścia. Tym razem miał przed sobą dwóch policjantów, którzy siedzieli przy ostatnich drzwiach po prawej stronie, a na jego widok natychmiast się ruszyli ze swoich stanowisk i zaczęli iść w jego kierunku.

- Cześć - powiedział Fade, zmuszony podnieść głos, by usłyszeli go w dobiegającym z zewnątrz jazgocie tłumu. - Mam spotkanie z doktorem Pritchardem. Musi obejrzeć moje kolano.

Policjanci się zatrzymali, a Fade szedł dalej, aż znalazł się na tyle blisko, by prowadzić normalną rozmowę.

- Może panowie wiedzą, w którym pokoju przyjmuje?

Policjanci robili wrażenie lekko zdezorientowanych. Jeden z nich odezwał się przez radiofalówkę do kolegi, który leżał nieprzytomny przed drzwiami.

- Hej, Andy? Co to za facet?

Nim stało się oczywiste, że kolega zbyt długo milczy, Fade sięgnął za plecy i wyciągnął zza spodni pistolet. Jeden z policjantów rozsądnie podniósł ręce do góry, ale drugi zmierzył Fade'a wojowniczym spojrzeniem i opuścił rękę centymetry od kabury.

- Nie baw się, kurwa, zabawkami, chłopcze - powiedział. - Jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

- Zobaczymy - odpowiedział Fade, zdejmując czapkę i okulary. - Pewnie o mnie słyszeliście. Nazywam się Salam al Fayed.

Po twarzach obu policjantów było widać, że rozpoznali go doskonale i mężczyzna, który przed chwilą mu groził, całkowicie stracił rezon.

- Powiem tak, żadnego z was jakoś szczególnie nie chcę pozbawiać życia, ale z drugiej strony nie postanowiłem sobie, że absolutnie tego nie zrobię. Może zaczniemy od ciebie. - Wskazał mężczyznę po lewej. - Wyjmij pistolet, wolno i spokojnie, i połóż go na podłodze.

Policjant się nie ruszył. Fade skinął głową w kierunku strzeżonych przez nich drzwi.

- Doceniam waszą odwagę i poczucie obowiązku, ale radzę dobrze się zastanowić. Naprawdę chcecie za niego zginąć?

Parę chwil później broń obu mężczyzn leżała na podłodze, a oni sami stali twarzami do ściany, z rękami na głowach. Fade zdjął plecak, wrzucił do środka pistolety i wyciągnął z niego blokadę pod drzwi oraz obustronnie przylepną taśmę do wykładzin.

Nie spuszczając swoich więźniów z oka, przeszedł pod drzwi, których strzegli, i wziął kilka głębokich wdechów. Drzwi były dość grube, mogły więc być kuloodporne, ale oczywiście nie mógł być tego pewien. Był tylko jeden sposób, by się dowiedzieć, co czeka go po drugiej stronie. Pchnął mocno drzwi, wskoczył do środka, natychmiast zatrzęsął je za sobą z hukiem i przykucnął błyskawicznie, by się nie znaleźć na linii okna w dalszej części pokoju.

- Kim pan jest, do diabła? - rzucił Harold Logner z łóżka, do którego był przypięty skórzanymi paskami.

Fade nie odpowiedział; z wyciągniętym przed siebie pistoletem zlustrował wnętrze i upewnił się, że nikogo więcej w pokoju nie ma. Proszę, co za wygoda.

Zadowolony, że są sami, oderwał kawałek obustronnej taśmy, przykleił go do blokady i wcisnął ją pod drzwi. Jedna próba przekonała go, że drzwi są zablokowane.

- Kim pan jest, do diabła? - powtórzył Logner, podczas gdy Fade obszedł przy ścianie cały pokój i pozaciągał kotary, pogrążając wnętrze w głębokim mroku.

Na zewnątrz, pod oknem, przebiegał wąski gzyms, ale trzeba być samobójcą, by próbować się na niego dostać.

- Co ty robisz, człowieku?!

Fade odwrócił się i upewnił, że ręce Lognera i niezłamana noga są przypięte do ramy łóżka grubymi pasami. Potem wyciągnął z plecaka taśmę klejącą. Najpierw uszczelnił długim kawałkiem szparę pod drzwiami, a potem zaczął oklejać otwory wentylacyjne. Sufit był solidny, nie podwieszany, przynajmniej więc o to nie musiał się martwić.

Wreszcie, używając jednej z kul, roztrzaskał przymocowaną do ściany kamerę, a potem przesunął łóżko pod przeciwną ścianę, podczas gdy Logner, bez większego przekonania, zaczął szarpać krępujące go pasy.

Fade był pewny, że nie zostawił szczeliny, przez które policja mogłaby wsunąć kamery na światłowodzie, ale od okna warto się było trzymać z dala.

- Nie wolno ci - powiedział Logner. - Jestem ciężko ranny! Żądam rozmowy z kapitanem Pickeringiem. Słyszysz? Natychmiast!

Fade raz jeszcze się rozejrzył po pokoju, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczył. Kiedy doszedł w końcu do przekonania, że miejsce jest w miarę zabezpieczone, jego oczy zdążyły się w tym czasie przyzwyczaić do mroku.

- Słyszałeś? Chcę rozmawiać z kapitanem Pickeringiem! Tego nie było w umowie!

- Nie, Harold. Tego zapewne nie było w umowie. Fade spotkał w życiu więcej psychopatów, niż trzeba - serbscy ludobójcy, afrykańscy watażkowie, arabscy terroryści - wszyscy mieli jedną wspólną cechę: byli zadziwiająco mało interesujący.

Jednak ten facet bił wszystkich na głowę. Miał na sobie starannie włożoną czerwoną pizamę z jedwabiu, która wydawała się nieskłonna dostosować się kształtem do jego chudego, kościstego ciała, i nadawała jego małej głowie żółwi wygląd. Włosy miał równiutko przystrzyżone, a paznokcie najwyraźniej przeszły niedawno manicure. Widać było, że facet korzysta ze swego położenia, ile może.

- Kim jesteś?!

Jego głos podniósł się niemalże do pisku, a brwi na czole tak się zmarszczyły, że przypomniały Fade'owi dziecko, które lada chwila dostanie napadu płaczu i złości. Co za rozczarowanie. Karen miała rację. Mała, żalonna gnida, która upodobała sobie napadanie na kobiety.

- To ja podkradłem ci trochę sławy. Nazywam się Salam al Fayed. Ale możesz mówić do mnie Fade.

Logner obserwował badawczo, jak Fade chwyta taboret i kuśtyka z nim do jego łóżka.

- To ty zabiłeś tych policjantów? Ten z Internetu...

- We własnej osobie - oznajmił Fade.

W tej chwili zadzwonił telefon. Fade wstał z taboretu i powoli przeczołgał się po podłodze w miejsce, z którego mógł sięgnąć kabel telefoniczny.

- Co robisz? - zakwilił Logner.

Fade ściągnął z nocnego stoliczka telefon i złapał go tuż nad podłogą.

- Halo? Halo? Jest tam jeszcze kto? - zapytał Fade, obracając się na plecy.

- Mówi kapitan Seymore Pickering. Z kim rozmawiam?

- Chyba znasz już odpowiedź na to pytanie, co, Seymore?

- Chyba tak. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje, panie Fayed.

- Nazywam się al Fay... Ee, mniejsza z tym. Powiem tyle, źle mi z tym, że zabiłem waszych ludzi, więc wymyśliłem sobie, jak to wam wynagrodzić.

- Panie al Fayed, nie chcemy, aby komukolwiek stała się krzywda. Co możemy zrobić, żeby rozwiązać tę sytuację?

- Cieszę się, że pytasz. Otóż chcę, żebyś odnalazł i podesłał mi tutaj Karen Manning i Matta Egana. Na początek może tyle.

- Co otrzymam w zamian? Potrzebny mi jakiś gest...

Logner wyciągnął się do przodu, na ile pozwalały mu więzy, i przekreślił szyję, żeby coś zobaczyć. Fade go pacnął, żeby się odwrócił.

- Cóż, wykoncypowałem, że zależy wam na dwóch rzeczach, ocaleniu Elizabeth Henrich i zabiciu mnie. Może niekoniecznie w tej kolejności. Powiedzmy, że chcę wam pomóc przy jednym i przy drugim.

Odłożył słuchawkę i poczołgał się z powrotem do taboretu, ciągnąc za sobą telefon.

- Czego chcesz? - zapytał znowu Logner, na próżno szarpiąc prawą ręką umocowany do łóżka pasek.

- Lubisz się powtarzać, prawda, Harold? Już ci mówię, w czym rzecz. Otóż chciałbym się dowiedzieć, gdzie ukrywasz dziewczynę.

- Co? A co cię to obchodzi? Przecież ty mordujesz policjantów. Czytałem o tobie wszystko. Rząd nabił cię w butelkę... Co ci do Elizabeth Henrich?

- Właściwie nic. Ale postanowiłem zapisać sobie jakąś pozytywną kartę w życiorysie. Może powinieneś się zastanowić nad tym samym. Wiesz, niektórzy mówią, że spowiedź dobrze robi na duszy. To chyba dobry moment, żeby się przekonać, czy mają rację.

Logner długo patrzył Fade'owi prosto w oczy, mocno zaciskając usta, po czym nagle zupełnie się rozluźnił. Opuścił głowę na poduszkę i uśmiechnął się pogodnie do sufitu.

- Coś mi się wydaje, że nie jest z ciebie taki twardziel, jak wszyscy mówią. Co, panie al Fayed? Dostali cię, tak? To gra? Dostaniesz łagodniejszy wyrok, jeśli uda ci się mnie nastraszyć i wydostać informacje o dziewczynie. Pomysł nawet niezły. A teraz, mój drogi, przynieś mi migiem szklankę gorącego mleka. Czas na drzemkę.

Fade wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Podziwiam twój optymizm, Harold. Ale czy to możliwe, żeby policjanci mogli wziąć mnie żywcem? Czy w ogóle chcieliby?

Telefon u jego stóp znowu zadzwonił i Fade odebrał. - Tak?

- Rozmawialiśmy z Eganem i Karen Manning. Już jadą.

- Świetna robota, kapitanie. Kiedy będą na miejscu, wyślij ich do mnie na górę. Tylko bez żadnych głupich sztuczek, jasne? Jeśli przez parę godzin zachowasz spokój i będziesz trzymał rączki na kolanach, to będzie to najpiękniejszy dzień w twoim życiu. Masz moje słowo. Odłożył słuchawkę i znowu spojrzał na Lognera.

- O czym to mówiliśmy? Aha, o dziewczynie, prawda?

- Wal się, chłopie, wynoś się z mojego pokoju.

Fade wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni najwykleszą plastikową zapalniczkę „Bica”.

- Dziewczyna albo zapalniczka. Masz trzy sekundy do namysłu. Raz...

Na moment Logner zwątpił, ale po chwili odwrócił głowę, demonstracyjnie okazując Fade’owi lekceważenie, najwyraźniej gotów założyć się o wszystko, że jest świadkiem wymyślonej przez policję inscenizacji.

- Dwa... i trzy...

Jego krzyk był nieprawdopodobnie przeszywający - jak u małej dziewczynki. Rzucił się dziko na łóżku, wygiął się cały w pałąk i gwałtownie zabujał wiszącą na lince złamaną nogą. Fade przycisnął rękę do prawego ucha, żeby zagłuszyć hałas, a drugą wciąż podtrzymywał płomień pod nadgarstkiem Lognera. Kiedy wreszcie odjął zapalniczkę, wrzaski Lognera przeszły w chlipnięcia i zachłystywania.

- Możesz się uważać za szczęściarza, bo przez bramkę do wykrywania metali nie mogłem przynieść obcęgow - powiedział Fade, nie bacząc na telefon, który znowu zaczął dzwonić. - Spróbujmy zatem jeszcze raz. Gdzie jest dziewczyna? Raz...

Logner otworzył gwałtownie oczy.

- Stój!

- Dwa...

- Czekaj! Ona jest...

Tym razem wrzask był jeszcze większy. Powinien był zabrać waciki do uszu czy coś w tym rodzaju - facet mógłby tłuc szyby takim piskiem.

- Dobra - oznajmił Fade, cofając zapalniczkę. - Znasz pytanie. Raz...

- Powiem ci! Powiem! Proszę! Tylko już przestań! Telefon wciąż dzwonił i Fade go odebrał. &

- Panie kapitanie?

- Co się tam dzieje? Słyszeliśmy krzyki. Czy nikomu nic się nie stało?

- Pan Logner chciałby z tobą o czymś porozmawiać. Fade przyłożył telefon do ucha mężczyzny, a ten wyskamlął jakiś adres.

- Słyszałeś? - zapytał Fade. - Pod tym adresem powinniście znaleźć dziewczynę. Mam tu telewizor, który za chwilę włączę. Poddam się, kiedy ją zobaczę na ekranie.

- Potrzebny mi lekarz - jęknął słabo Logner. - Proszę wezwać lekarza.

Fade zakrył dłonią mikrofon w słuchawce.

- Przymknij się.

- Natychmiast wysyłamy ekipę, panie al Fayed. Chciałbym tylko, żeby pan się uspokoił, niech się pan odpręży. Możemy coś jeszcze dla pana zrobić?

- Niezbyt. Pokażcie w telewizji dziewczynę. - Wyciągnął rękę, chwycił rozporek w piżamie Lognera, rozerwał go i podłożył zapalniczkę pod mosznę. - Bo jeśli nie zobaczę jej w ciągu godziny, zrobi się tutaj naprawdę paskudnie. - Patrzył na Lognera, który dyszał ciężko, jak kobieta w szkole rodzenia Lamaze'a, i wolno zaczął odkładać słuchawkę.

- Czekaj! - krzyknął Logner.

- Coś ci przyszło do głowy, Harold? Pomylił ci się adres? Bo wiesz, powinienes mieć absolutną pewność, że dobrze go zapamiętałeś. To prawdopodobnie najważniejsza rzecz, jaką robisz w życiu.

Logner kiwał przez chwilę głową, dając upust złości i bólowi, a potem zerknął na telefon, który Fade trzymał w ręku.

- Ja... ja jeszcze mu coś powiem.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

To była niemała operacja. Na dalekim końcu korytarza dwóch policjantów z oddziału SWAT przycupnęło za stalową zaporą, z karabinami wymierzonymi w zamknięte drzwi. Jedyne okno w korytarzu zostało zasłonięte kocem, aby media nie mogły filmować, co się w środku dzieje, i prowadzić transmisji na antenę telewizji, do której dostęp miał także Fade.

Dwaj mężczyźni, którzy przyciszonym głosem prowadzili rozmowę na korytarzu, zdawali się w ogóle nie zauważać Egana, dopóki ten się w końcu nie odezwał.

- Czy któryś z panów to kapitan Pickering? Jestem

Matt.

Młodszy z mężczyzn usunął się bez słowa, a drugi wyciągnął rękę.

- Dziękuję, że tak szybko pan do nas dotarł, panie

Egan.

- Co tu się...

Przerwał mu nagle hałas otwieranych z rozmachem wahadłowych drzwi. Egan się obejrzał i zobaczył, jak na oddział wpada Karen Manning. Kiedy go rozpoznała, zwolniła kroku.

- Do tej pory nie miałem okazji podziękować za interwencję - powiedział Egan, kiedy podeszła dostatecznie blisko.

- On nie chciał cię zabić. On był... był tylko wściekły.

Egan pokiwał głową, a Karen zwróciła się do Pickeringa.

- Jaką mamy sytuację, kapitanie?

- Właśnie chciałbym się tego od ciebie dowiedzieć.

- Słucham?

„Chyba me chcesz powziąć, że nie ty wystawiłaś tu ju, a potem nagle ^^ Egan nie spodzieChoć Pickering ^f^Karen i zdążył wskoczyć wał się fizycznej napasą ze strony ^ ^ R między nich dosłownie ^ ^tatniej silniejsza, mz

„n dosięgły krtani W^fc^ się jej obejść Egasugerowałby jej wygląd, i niema na, lecz ten odciągnął jąsih,. e ^ z tym

- Jeśli w mediach usłyszę c co trzeb&; zecokolwiek wspólnego, ^^cesy sądowe wszystkie byś wyleciał z P^J^tT^o mówię, ty mały, natręt - - oszczędności życia. Rozumiesz, ringbylwyraje«^*B chyba powiedzieć ze

„,* taCS. wte M^* *dMk by ^” Karen nic o tym nie w mó&f? A | ł od razu wyraźnie szukając sposobu

Nie odpowiedział od razu y ak godzli odzyskania ^^J^S^scb^ wytraciło imsię z tym, że ego natarcie n sterroryzował pistoletem, a v Harolda Lognera.

- Po co? - ^pytataKat^..^^ miej-

- Torturuje Lognera, zeoy wy scu pobytu Elizabeth Hetmdj.. patrząc unie

- Co? - zapytała ^rtsWWS - t robl? strzeżone drzwi w głębi korytarza.

I^t^SeSpytał Egan. |

Pickering przeszył go wzrokiem pełnym złości, ale pytanie było sensowne.

- Dostaliśmy jakiś adres i sprawdzamy go. Jeszcze nic nie wiemy.

Egan wziął głęboki oddech i spojrzał na Karen.

- Jesteś gotowa? Skinęła głową.

- Dobrze, kapitanie. Proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że wchodzimy. I niech pan zabierze spod drzwi swoich ludzi. Dość mam problemów na głowie, żeby się jeszcze dostać w krzyżowy ogień.

- Jest pan uzbrojony? - Hm?

- Nie chcemy, by w pokoju się znalazła broń, którą mógłby przejąć al Fayed.

Egan się roześmiał.

- Jak się domyślam, al Fayed ma już broń pańskich ludzi. Ale odpowiedź brzmi: nie. Nie mam broni. Ty, Karen?

- Ja też nie.

Pickering wskazał leżące na podłodze dwie kamizelki kuloodporne. Egan potrząsnął głową.

- Obejdzie się.

- Hej, Fade!' Rozejm, tak? Jeśli chcesz strzelać, musiałbym się cofnąć po broń - krzyknął Egan, gdy się otworzyły drzwi.

Kotary były zaciągnięte i w środku nie można było dostrzec szczegółów.

- Nie wiem, jak bym z tym żył, gdybym odstrzelił ci tyłek - zabrzmiała odpowiedź.

Można się było spodziewać, że Fade stoi za otwartymi drzwiami, przywarty plecami do ściany.

Karen otworzyła szerzej drzwi i weszła pierwsza, najwyraźniej niczego się nie obawiając. Egan wsunął się za nią, ale ostrożniej. Kiedy był już w środku, drzwi się zatrzasnęły, a Fade wsunął pod nie blokadę.

- Musicie mi pomóc - Egan usłyszał za sobą cienki, błagalny głos. - Zostałem dotkliwie poparzony. Muszę znieść potworny... ból. «.isi jw-:ur-

- To zażyj, kurwa, aspirynę - poradziła Karen, patrząc na kolano Fade'a, który przekuśtykał do taboretu i powolutku na nim usiadł. - Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytała, kiwając głową w kierunku przypiętego do łóżka chlapiącego mężczyzny. - Powiedziałaś, że nie obchodzi cię ani on, ani te kobiety. Co tu robisz?

Wzruszył ramionami.

- Przyszło mi do głowy, że może jednak nie miałem racji.

- Błagam... - jęczał Logner. - Musicie mi pomóc.

W powietrzu unosił się łatwo rozpoznawalny smród palonych włosów i mięsa. Egan podszedł do łóżka i mrużąc w mroku oczy, wypatrzył na nadgarstku Lognera małe kółko wypalanej skóry.

- To tyle? Przez to tyle jęczysz? Gorzej się oparzyłem, jak gotowałem makaron.

- Niski próg bólu - rzucił Fade. - Będzie to dla niego prawdziwy problem, jeśli adres, który podał policji, wysłał sobie z palca.

- Masz zamiar siedzieć przy nim i podpalać po kolei wszystkie części jego ciała, dopóki nie znajdą dziewczyny?

- Mniej więcej. Uhm.

- Co potem?

- Nie wybiegam myślami tak daleko naprzód. Jak sprawy z żoną, Matt?

Egan usiadł w winylowym fotelu przy łóżku.

- Dzwoniła do mnie. Wraca z Kali do domu. Na twarzy Fade'a pojawił się szeroki uśmiech.

- To wspaniale, chłopie. Gratuluję.

- No, będziemy musieli jeszcze popracować nad tym 'i owym, ale myślę, że się uda. Nie wiem, jak będzie wyglądało nasze życie po ujawnieniu tych wszystkich rzeczy. Kto by pomyślał, że nasz związek może być jeszcze bardziej skomplikowany.

- Jeśli skomplikowany, to w porządku. Poza tym teraz jesteście bogaci. Słyszałem, że ze sklepów znikają jej płyty.

Egan parsknął cicho.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, ale jestem więcej niż pewny, że jej zdaniem to brudne pieniądze, i przeznaczy je na uratowanie jakiegoś zagrożonego gatunku afrykańskiego ślimaka albo czegoś w tym rodzaju.

- Mogę coś zasugerować?

- Proszę bardzo.

- Prawdopodobnie powinieneś unikać kontrargumentów, że takie datki lądują w kieszeniach handlarzy bronią i w szwajcarskich bankach.

- Nie martw się. Dostałem już niejedną lekcję.

- Och, przepraszam, że się wtrącam - przerwała im Karen. - Czy przez minutkę moglibyśmy się jednak skupić na tym, że zabarykadowałeś się w pokoiku pięć na pięć metrów i jesteś otoczony przez stado cholernie umotywowanych snajperów policyjnych?

Fade pokręcił głową.

- Ona jest taką realistką. I niezłym rozrabiaką. Jak tu jej nie kochać?

- Fade, mówię poważnie...

- A ty, Karen? - zapytał Fade. - Udało się ojcu wszystko naprawić?

Na te słowa najpierw zmarszczyła groźnie brwi, ale potem wzruszyła ramionami.

- Tak, pewnie tak. Jak się okazuje, nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiłaby dokonać armia prawników, ludzi od wizerunku i polityków. Jutro wieczorem mam wystąpić w programie Larry'ego Kinga. - Jej głos naraz jakby stracił siłę i spojrzała niżej, w kierunku podłogi. - Powinieneś się tym zająć.

- Może się zajmę. Nastąpiła długa cisza.

- Jezu... - powiedział wreszcie Fade, stając i kuśtykając przez pokój. - Sprowadziłem was tutaj, bo jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi na świecie. Miało być trochę weselej.

- Hillel chciał ci przesłać tort - zażartował Egan. Fade się roześmiał.

- Jak się miewa to łajno? Muszę ci wyznać, naprawdę szczerze żałuję, że nie miałem okazji wpakować mu kuli w łeb.

- To już nieważne. Jest ugotowany. W tej chwili siedzi w więzieniu. Jeśli dobrze rozegrasz tę partię, to może będziecie siedzieć w jednej celi.

- Uhm, jasne. Coś mi się wydaje, że nikt mnie nie wysłał do któregoś z tych wiejskich klubików.

- To nie żaden klub, Fade. To stary dobry pierdel. Kiedy sprawy wyszły na jaw, Crenshaw wylał ze skóry. Mówi, że osobiście dopilnuje, żeby Strand przesiedział resztę życia w zaostrzonym rygorze. Znasz generała, jeśli coś postanowi, to tego dopnie.

Fade pokiwał głową i dalej kuśtykał bez celu po pokoju, z każdym nieporadnym krokiem jakby coraz bardziej daleki i nieobecny. W końcu zaczął czegoś szukać w plecaku i wyjął z niego zapinaną na suwak plastikową torebkę, pełną starannie zwiniętych studolarowych banknotów.

- Reszta moich pieniędzy - powiedział, rzucając ją Karen. - Nie ma tego wiele, ale może rozdzielisz je między rodziny zabitych policjantów. Jest tam także dysk, ostatnia aktualizacja witryny ZABOJCASWAT. Może udałoby ci się opublikować.

- Fade, ja...

- I proszę, żebyś wpadła do mojego warsztatu. Komódka ślubna wciąż tam na ciebie czeka. Może kiedyś ją zapamięsz, jeśli poznasz faceta na tyle pewnego, żeby cię poślubił.

Nic nie odpowiedziała, a było za ciemno, żeby Egan mógł dostrzec wyraźniej jej twarz, ale zobaczył, jak ociera rękawem oba policzki.

- To dla Elise - mówił dalej Fade, rzucając Eganowi pęk kluczyków samochodowych.

- Taka kobieta nie powinna jeździć minivanem. Ale zanim jej dasz samochód, musisz się z nim wybrać do mechanika. Trzeba co nieco poprawić...

Egan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał mu dzwonek telefonu.

- Halo?

Fade kiwnął palcem w kierunku telewizora. Karen włączyła go i zaczęła zmieniać kanały, aż w końcu na ekranie się pojawiła młoda kobieta, opatulona kocem, w otoczeniu policjantów. Jeden z nich ustąpił na bok i odsłonił przed kamerą jej twarz.

Fade zakrył dłońią mikrofon w słuchawce.

- To ona?

Karen wspięła się na palce, patrząc badawczo na ekran telewizora, a potem przytaknęła.

- No, to ją macie! - zaskowyczał Logner. - Potrzebny mi lekarz! Wezwijcie lekarza!

- Chyba mówiłem, żebyś się przymknął - powiedział Fade, odkładając słuchawkę i wyciągając zza pasa pistolet.

Karen skoczyła do jego ręki, ale dopadła jej ułamek sekundy po tym, jak kula ugrzęzła w klatce piersiowej Lognera. Egan się nawet nie ruszył, a Karen rzuciła się i pchnęła Fade'a tak mocno, że niemal się przewrócił.

- Co jest, do cholery! - krzyknęła, podbiegając do łóżka i przyglądając się krwawiącej dziurce w mostku Lognera.

Wspierając się na oparciach fotela, Egan wstał na chwilę, żeby lepiej widzieć, ale zaraz usiadł, gdy zobaczył, że Logner nie żyje.

Chwilę później Karen też się zorientowała. Odwróciła się do Fade'a. W tej samej chwili zaczął dzwonić telefon.

- Co ty sobie wyobrazasz?! Strzelasz do bezbronnego człowieka, przywiązanego do łóżka?! Odbiło ci? Myślisz, że to pomoże w twojej sprawie?

Fade wzruszył ramionami. Mogło się wydawać, że w ten prosty ruch włożył całą swoją siłę.

- Wcale nie najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem, co, Matt?

Egan nie odpowiedział. Skoncentrował całą uwagę na Fadzcie, który przeszedł przez pokój i zatrzymał się tuż przed oknem.

- Trochę tu ponuro, nie? - powiedział, wyciągając ręce do kotar i odsuwając je jednym szarpnięciem. - Może więcej światła...

Choć już trochę Egan o niej wiedział, nie przypuszczał, że potrafi reagować tak błyskawicznie. Zerwał się z krzesła i w ostatniej chwili zdołał złapać Karen w pól i powalić ją na podłogę.

Wciąż się szarpała, gdy pierwsza seria strzałów przeszła Fade'a między piersią a prawym ramieniem. Egan przycisnął twarz do jej pleców i siłą przytrzymał jej głowę, gdy w powietrze wleciały odłamki rozbitego szkła. Donośne dudnienie, które wstrząsnęło pokojem, oznaczało kolejne serie strzałów. Kiedy Egan podniósł głowę, Fade padał na plecy z zamkniętymi oczami i rozpostartymi ramionami.

W tym momencie Karen udało się zamachnąć łokciem w kierunku głowy Egana. Musiał ją puścić, żeby uniknąć ciosu. Nie bacząc, że szkło tnie jej kolana, poczołgała się do przodu i odciągnęła Fade'a z linii ognia snajperów. Przez chwilę próbowała zatamować krwotok, ale w końcu zrezygnowana oparła się o ścianę.

Egan wrócił na fotel i ukrył twarz w dłoniach, biorąc głębokie, równe oddechy. Kiedy wreszcie podniósł głowę, Karen patrzyła na niego oczami pełnymi łez i wyrzutu.

Pokręcił bezwiednie głową.

- A jak byś chciała, żeby umarł?

Epilog

ZABOJCASWAT.COM

Ostatnia aktualizacja.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że wiele rzeczy, które zrobiłem, było złych. Jednak wierzyłem, że dzięki nim niosę pomoc - i mam nadzieję, że to pozwoli ludziom zapamiętać mnie z odrobiną większej sympatii, niż być może na to zasługuję.

Żałuję, że nie było czasu na wyrównanie szkód. Ale po prostu nie było.

Salam al Fayed